

Robert Mason

Solo Wojownik

Przekład: EWA MAŁGORZATA TURSKA

MAMA CROWN

WARSZAWA 1993

Dla Patience

Nr 20

Tytuł oryginału: WEAPON

Copyright © 1989 by Robert Mason „All Rights Reserved”

Copyright © by 1993 MARBA CROWN LTD., Warszawa

Polish translation copyright © by Ewa Małgorzata Turska

Projekt graficzny okładki: Maciej Sadowski

ISBN 83-85467-20-3

Wydanie I Wydawnictwo MARBA CROWN LTD.

00-975 Warszawa 12, skr. poczt. 7

Dział Handlowy, Warszawa, ul. Dzwonkowa 52, tel. 46-73-47

Skład: „Polico-Art”, Warszawa, ul. Jagiellońska 30 m. 11

Printed in Poland

(TT DRUK I OPRAWA f~^ Zakłady Graficzne w Gdańsku ^3) ul. Trzy Lipy 3, tel 32-57-69

Generał Clyde Haynes obserwował jacht żeglujący u wylotu zatoczki i zastanawiał się czy to szpiedzy. Podniósł lornetkę do oczu. Goli szpiedzy? Na jego czerstwej twarzy pojawiły się zmarszczki uśmiechu. Dwoje nagich szpiegów z dużymi cyckami.

Jedna z dziewczyn opalających się na dziobie zauważyła go i pomachała ręką. Cholera! Co ja bym dał, żeby teraz tam być. Tyle czasu bez dupy!

Fala obmyła skalny występ i zmoczyła mu nogawki polowego munduru, ale Clyde nie zwrócił na to uwagi. Dziewczyna leżąca obok uniosła się i obie machały rękami, śmiejąc się. Jedna z nich wstała trzymając się za poręcz. Clyde chrząknął. Całkiem rozebrane i wcale się nie krepują. Gdzie one były wtedy, kiedy ja byłem młody? Jacht zniknął za kokosowymi palmami okalającymi zatoczkę.

Cholera! Clyde odwrócił się i zeskoczył ze skały. Biegając truchtem wzdłuż jaskrawobiałej plaży, wyciągał szyję żeby jeszcze zobaczyć jacht. Ale zatoczka była zbyt wąska. Już nigdy go nie zobaczył.

Amerykanki, mógłby przysiąc. To na pewno były amerykańskie biusty. Ale gdzie zatrzymują się Amerykanki w tej części Kostaryki? Nie tutaj, to pewne. Tu nie ma nikogo. Może gdzieś dalej na wybrzeżu, w jakiejś miejscowości wypoczynkowej.

Clyde zostawił za sobą zatoczkę i ścieżką prowadzącą w górę stromego przylądka Santa Elena poszedł w stronę pałacyku. Kierownictwo programu wybrało właśnie ten odludny przylądek na północno-zachodnim wybrzeżu Kostaryki, właśnie dlatego, że był odludny i łatwy do zabezpieczenia.

Clyde spojrzął na szczyt wzgórza. Biały stiukowy pałacyk jarzył się na tle kobaltowego nieba. Dach z czerwonej terakoty poprzecinany występami poddaszy wydawał się unosić ponad ścianami. Cały pałacyk pałał blaskiem na grzbiecie ciemnozielonej fali tropikalnej roślinności. To szczęście,

że w ogóle były tu zabudowania. Właściciel, aktor filmowy, chętnie zgodził się go wynająć. Chmara mew krążyła nad zwróconym ku morzu tarasem na piętrze.

Stuknęły obcasy. Clyde usłyszał „Dzień dobry, panie generale”, zanim ujrzał żołnierza. Odsalutował i zboczył ze ścieżki w stronę zamaskowanego wartownika.

- Po co to robisz? - spytał Clyde. - Jak będziesz tak stawać na baczność i salutować na warcie to się możesz zmarnować.

- Tak jest, panie generale. Przepraszam.

- Nic się nie stało... - Clyde odczytał czarną naszywkę z nazwiskiem: „...szeregowy Sawyers.” - Nie chcesz chyba nabyć, synu, złych przyzwyczajęń. Pewnego dnia może zajmiesz się prawdziwą żołnierką.

Mewy krążyły nad czerwoną płaszczyzną tarasu unosząc się w powiewach morskiej bryzy i z krzykiem spadając w dół, by chwycić okruchy chleba, które Solo podrzucał im z fotela.

Bili Stewart, jeden z właścicieli Electron Dynamics i oficjalny najemca pałacyku, leżał prostopadle do Solo z twarzą zwróconą ku plaży. Był wysoki, szczupły, jasnowłosy o jasnej karnacji, wyglądający młodo jak na swoje czterdzieści pięć lat. Miał na sobie białe spodnie z bawełny, elegancką hawajską koszulę i panamę. Chłodna bryza szeleściła w gałęziach palm, delikatnie owiewając mu twarz i rozchylając koszulę. Patrzył jak Clyde wbiega ścieżką pod górę. Clyde, pomyślał Bili, nie potrafi poruszać się w normalnym tempie. Jego krępe, twarde ciało wyrażało witalność, Clyde był energiczny; głupi ale aktywny.

Gdy pięć lat temu Electron Dynamics rozpoczął badania na zlecenie DARPA - Agencji d/s Zaawansowanych Obronnych

Projektów Badawczych - firma urosła do rangi jednego z głównych producentów uzbrojenia. Bili, wspaniały inżynier, stał się też bogaty. Nie miał wiele czasu na korzystanie z domu, który kupił w Melbourne Beach. Próby wylegiwania się na słońcu

- mimo, że takiej przyjemności jego skóra nie znosiła - przychodziły mu z łatwością i wydawały się właściwym dla multi-milionera sposobem spędzania czasu w kosztownej nadmorskiej posiadłości. W letnie dni na Florydzie nie było chłodnej bryzy.

Bili uśmiechał się. Chłodne powietrze Kostaryki było cudownym balsamem dla jego rozgrzanej skóry, nadymało nogawki spodni i luźną koszulę. Odwrócił głowę w kierunku mew.

Widział tylko tył krzesła, na którym siedział Solo. Kulka chleba poszybowała w górę. Po hałaśliwym powietrznym pojedynku reszta mew rzuciła się w pościg za zwycięzcą.

- Żarłoczne dranie - powiedział Bili.

- To dla nich zabawa - odrzekł Solo. Bili uśmiechał się. Panama na głowie Solo obracała się za mewami jak słomiana antena radarowa.

- Jesteś przygotowany na jutro? - spytał Bili.

- Nie mogę się doczekać. - Solo podrzucił w górę kolejną kulkę chleba.

Bili uśmiechnął się. Wreszcie... Postęp... - Mnóstwo ludzi chce się dowiedzieć, co z tego wyniknie. To dla ciebie duża szansa.

- I dla ciebie, Bili.

- Owszem. I dla mnie. - Bili patrzył jak Clyde przebiega pod tarasem. - Ale jeżeli ty spieprzysz, to ja będę miał gówno.

- Jestem gotowy. Potrafię tłuc komunistów najlepiej ze wszystkich - odrzekł Solo dziwnym, bezbarwnym głosem.

- Smukła, nerwowa maszyna bojowa. Lorenzo może już się pożegnać z życiem.

Bili skrzywił się. Wszyscy chcieli to właśnie usłyszeć, ale Solo mówił jak papuga, bez wyrazu i przekonania.

- To jest to! - podczas gdy Solo mówił, na taras wszedł Clyde. Białe zęby lśniły na tle opalanej twarzy. - Wiesz jak gadać do naszego chłopaka, co, Bili?

- Rozwiązujemy pewne zagadnienia moralne, Clyde. Solo miał w pewnych sprawach wątpliwości, ale już to załatwiliśmy. Tak przynajmniej sędzę.

- Zagadnienia moralne? - Brwi Clyde'a zbliżyły się do linii krótko ostrzyżonych, siwiejących włosów. Podszedł do Solo.

- Ma cię obchodzić tylko tyle, że jesteś żołnierzem. Amerykańskim żołnierzem. I że walczymy o nasze cholerne życie.

Bili przymknął oczy. Już dość...

Clyde ciągnął dalej: - Bywało ciężko, ale przecież wygrywamy, chłopie. Właliśmy im w Korei i Wietnamie, przypieprzyliśmy im w Chile, Salwadorze, Gwatemali. A teraz wlejemy im w Nikaragui. Z takimi jak ty - Clyde uśmiechnął się szeroko.

- Z takimi jak ty, i podobnymi, damy im w dupę.

- Damy w dupę! - odparł Solo podrzucając kolejną kulkę chleba.

Clyde zaśmiał się i zerknął na mewy a potem na posadzkę tarasu. Skrzywił się. - No, Solo, może już z tym skończysz. Wszystko wypaskudzone ptasim gównem!

- Nie znoszę ptasich gówien! - odparł Solo.

Clyde odwrócił głowę i usiadł obok Billa. - Powiedz, Bili, co się dzieje z naszym chłopakiem? Nigdy jeszcze nie był taki zgodny.

- Powiem ci potem - odparł Bili patrząc w stronę Solo.

- Dobra, potem. - Clyde zerknął na morze przez białą drewnianą balustradę. Widziałeś, Bili, to co przepływało tędy kilka minut temu?

- Jacht?

- Nie jacht, ...na tym jachcie! Dwie gołe panienki. Jak to dawno było? Miesiąc?

- Trzy tygodnie - odparł Bili. - Nie widziałem żadnych dziewczyn. Za daleko.

- O Boże, człowieku! - Clyde chwycił lornetkę. - Powinieneś mieć ją zawsze pod ręką. Skąd wiesz co można wypatrzeć. A ty, Solo, widziałeś - Clyde odwrócił się - te cycki? - Mówił do oparcia pustego fotela. Solo zniknął. - Gdzie on się, do cholery, podział ?

- Pewnie poszedł pouczyć się przed akcją - odparł Bili.

- Szybki jest, co? I cichy - rzekł Clyde. - Ich nic nie powstrzyma.

- Obawiam się, że masz rację - odparł Bili.

deszczu docierał do ziemi szybciej niż krople. Pekari buszujący w ściółce podniósł głowę i zmarszczył ryj. Skradający się jaguar zamarł w bezruchu, obserwując jak jego ofiara bada otaczające ją zapachy.

Krople przenikały przez górne warstwy tropikalnej roślinności i dwieście, trzysta stóp niżej rozpryskiwały się tworząc mgiełkę. Biały tuman snuł się na tle mrocznych cieni. Pekari znów zanurzył ryj w ziemi.

Ukryty wśród korzeni matapalo, zwiastun przeznaczenia poruszył ogonem i podkradł się jeszcze bliżej.

Pekari wrył się głęboko w butwiejącą ściółkę. Jaguar podpełzł jeszcze kilka cali. Gdy pekari przerwał na chwilę, by się rozejrzeć, kot znieruchomiał.

Na skraju pola widzenia jaguara coś się poruszyło. Zerknął. Nic. Powąchał powietrze. Zaniepokojony, zerkając z ukosa, trwał w zasadzce.

- Wspaniały obraz. Z odległości dziesięciu mil - powiedział Bili. Ubrany w jeszcze jedną ze swej kolekcji krzykliwych hawajskich koszul, siedział przed monitorem w pokoju kontrolnym. Żle dopasowane długie zasłony i rozczapierzony kryształowy kandelabr to wszystko, co pozostało z jadalni na pierwszym piętrze. Wypełniona komputerami, monitorami i ludźmi obsługi wyglądała teraz jak miniaturowy Oś-

rodek Kontroli Lotów w Centrum Kosmicznym Johnso-na.

- Tak, to niezwykle - powiedział Clyde ziewając. Jako wojskowy wicedyrektor programu Clyde nie interesował się szczegółami technicznymi. Nie rozumiał, w jaki sposób Bili to osiągnął, i wcale nie chciał się dowiedzieć. Dla Clyde'a liczył się wynik.

Obraz podkradającego się jaguara powiększał się w miarę tego, jak Solo ogniskował obiektyw na jego pysku.

- O co chodzi z tym jaguarem? Co z misją?

- Misja. - Obaj mężczyźni spojrzeli zaskoczeni na monitor. Głos Solo wydobywający się z głośnika był ponury, mechaniczny, elektroniczny.

- Tak - potwierdził Bili.

Gdy Solo z powrotem panoramował obraz, kot bezszelestnie rzucił się przez liście. Świnka odwróciła się, upuszczając łodygę hymenium, i wydała z siebie wrzask grozy. Z głośnika dobiegł metaliczny kwik. Solo zrobił najazd na jaguara potrząsającego swą ofiarą. Krew tryskała z poszarpanych ran i ściekała po kłach jaguara na ziemię.

- Obrzydliwe.

- Co tam, Clyde. On ogląda wszystko. Dobry znak - powiedział Bili.

Kot ruszył gwałtownie w bok, odciągając swoją ofiarę.

Na monitorze pojawiła się w wielkim powiększeniu kropla krwi zwisającej z poszarpanej krawędzi liścia.

- Misja - łagodnie przypomniał Bili.

- Co to ma być? - Clyde był rozdrażniony - Mamy przecież, do cholery, kogoś zabijać!

- Misja. - Ten sam odległy, bezduszny głos potwierdził w głośniku. Jednak na ekranie monitora nadal widać było kroplę krwi. Kropla wydłużała się zniekształcając odbijający się w niej świat, aż wreszcie oderwała się od liścia.

Obraz na monitorze zmienił się gwałtownie.

Wilgotny liść przylgnął do obiektywu. Czekali, mrugając oczami, aż Solo go odklei, lecz robot pozwolił mu zsunąć się powoli z oka. Ruszył dalej, skradając się jak jaguar przez mokre listowie.

Bili mrugnął instynktownie, zdjął stereoskopowe okulary i przetarł oczy. Wydawało mu się, że liść spływał po jego własnym oku. Dzięki okularom był tam, gdzie Solo, był w nim. Nałożył znów okulary. Zerknął na monitor. Przez gęstą roślinność dżungli robot dostrzegł swój cel oddalony o dziesięć mil.

W rejonie akcji, na małej polance w dżungli, w prześwitach między liśćmi widać było kaprała Lorenzo. Czujny, skupiony reagował na każdy dźwięk. Kapral Lorenzo był celem. Miał też zadanie jako pierwszy dostrzec robota, zanim ten zobaczy jego.

Solo pochylił głowę i na ekranie pojawiła się jego ręka. Czarny plastik oklejony był mokrymi liśćmi i pokryty warstwami pajęczyny. Kropelki wody ściekały po źdźbłach. Robot zaczął odpinać przyczepiony do pasa pistolet Ruger.

Bili poczuł ściskanie w gardle, widząc, jak Solo podnosi pistolet i rozkłada kolbę. Kapral Lorenzo patrzył prosto na Solo. Robot zamarł. Lorenzo nie widział go. Nerwowo poruszył głowę na głośny wrzask tukana. Robot odetchnął i nakierował linie celownika teleskopowego na skroń Lorenza.

- Już go ma - powiedział ktoś w tyle pokoju kontrolnego.

Sąsiadujące ze sobą na monitorze obrazy pokazywały to, co Solo widział każdym okiem. Lewy obraz ukazywał czarną, plastikową rękę oblepioną pajęczyną i źdźbłami, trzymającą Rugera z poczernionej nierdzewnej stali, wycelowanego w gąszcz palm. Obserwatorzy w pokoju kontrolnym widzieli przedzierającego się przez zarośla Lorenza. Prawy obraz pokazywał go na zbliżeniu, spoconego, strzelającego wokół wzrokiem. Linie celownika przeniosły się na część głowy pomiędzy uchem i okiem. Jak doświadczony snajper, robot patrzył nie mrugając powiekami. Nie mógł przecież mrugać.

Oba obrazy stały się zbyt różne, by okulary stereoskopowe mogły je scalić. Bili zdjął okulary i przenosił wzrok raz na jeden, raz na drugi obraz. Przez cały czas gdy Lorenzo poruszał się po polanie, celownik śledził bezbłędnie jego ruchy, nigdy nie tracąc jego głowy z pola widzenia. Do robota należała decyzja kiedy oddać strzał.

Pistolet spoczywał swobodnie w lewej ręce Solo. Nagle przyfrunęła ważka i usiadła mu na kciuku. Celownik nadal bezbłędnie podążał za ruchami kaprała.

Lewe oko Solo pokazywało teraz powiększony obraz owada. Ważka przechylała głowę, gdy obiektyw kamery poruszał się pokazując zbliżenie. Lewy ekran na monitorze w pokoju kontrolnym wypełnił się obrazem połyskliwej głowy ważki. Prawy pokazywał kaprała Lorenzo śledzonego celownikiem dalekonośnego pistoletu.

- Czemu nie strzela, do diabła? - spytał Clyde.

Bili odwrócił się do niego i wyszeptał: - Strzeli. Ale nigdy przedtem nie widział ważki. - Szybko przeniósł wzrok na monitor.

- Cieszy mnie to jak cholera - Clyde wymamrotał.

Ważka muskała się, przecierała tysiąc swoich oczu, czasami rozglądając się wokół i zupełnie nie reagując na pochylającą się nad nią bezkształtną, czarną twarz. Lorenzo zniknął z monitora. Solo opuścił pistolet. Ważka rozsiadła się wygodnie na kciuku robota i spoglądała na Billa z obu części monitora.

Publiczność w pokoju kontrolnym zaszemrała.

Bili powoli pokręcił głową.

Widzieli, jak Lorenzo zbliża się przez zarośla. Robot na nic nie zwracał uwagi. Lorenzo już go dostrzegł.

- Coś tam się z nim porobiło? - spytał generał.

- Tak jakby... - cicho odrzekł Bili.

Twarz kaprała Lorenzo rosła za obrazem muskającej się ważki. Jego głos rozległ się w głośnikach:

- Ale masz tu fajnego robaczka, Solo!

- O co tu chodzi, Bili? - spytał Clyde.
- Trzeba czasu, Clyde. Taka jest natura tej bestii. On się ciągle uczy.
- Nie przyszło ci do głowy, że „to” mogłaby się uczyć szybciej - tyle pieniędzy.
Monitor pokazywał gałązki i liście przesuwane się koło głowy Solo. Lorenzo zasłonięty przez maszynę, odezwał się:

- Jesteś pewien, że wiesz dokąd idziesz?
- Tak.
- Co w tym robaku było takiego ciekawego?
- Odonata albami.
- Że co?
- Rodzaj i gatunek.
- Aha...

Potem słychać było tylko szelest. Na monitorze same liście, pnącza i owady przesuwane się przed oczami Solo.

Generał Haynes spoglądał na obraz Solo i kręcił głową:

- Czasami tak bardzo przypomina człowieka, szczególnie wtedy gdy rozmawia z Lorenzo. Tak jakby rozumiał.

- On rozumie. Więc czemu nie pociągnął za spust? Co dzień robi się mądrzejszy. - Bili z westchnieniem powiedział do Clyde'a. - Nie wiem jeszcze jak długo będzie kupował te bzdury, które mu wciskamy. Powinniśmy mu mówić prawdę.

- Po co ma znać prawdę. Ma tylko wykonywać rozkazy. My nawet żołnierzom nie mówimy prawdy - bo myślisz, że chcieliby walczyć?

- Igramy z ogniem, Clyde. On się dowie, że go oszukiwaliśmy. Wkurzony wojak to jedno. Ale Solo...

- Cieszę się, że te pieprzone pajęczyny nie przeszkadzają ci

- z głośnika dobiegł głos Lorenza.
- To najmocniejsze naturalne włókno - odrzekł Solo.
- Indianie robią z niego sieci na ryby.
- Taa... Ale to i tak paskudztwo.
- Nephila clavipes.
- Co? Aaa, tak... nazwa tych wielkich zasranych pajaków.
- Tak.

Solo i Lorenzo przedzierali się przez gąszcz zarośli. Solo kierował się wzdłuż elektronicznego szlaku prowadzącego do oczekującego helikoptera. Nie było innej drogi.

Pozycja Solo podawana przez satelity wyglądała na monitorze nawigacyjnym jak jasna, niebieska plamka. Plamka migotała i posuwała się w kierunku helikoptera.

Clyde wziął mikrofon do ręki. - Powiedz im, że Solo jest już niedaleko.

W głośniku na przedzie pokoju zabrzmiał podwójny elektryczny trzask. - Czerwony Jeden, tu Centrala!

- Roger, Centrala. Odbiór.
- Za chwilę będziesz miał randkę.
- Roger.

Z głośnika słychać było zawroźnienie uruchamianej turbiny śmigłowca. Bili chwycił okulary i włożył na nos. Wzdrygnął się, gdy mokra gałąź uderzyła Solo w twarz. Jego ręka omotana pajęczynami, oblepiona liśćmi i pnączami, odsunęła gałąź na bok. Helikopter stał na środku

polanki, świszcząc leniwie obracającymi się łopatomi wirnika. Otaczała go grupka ponuro wyglądających komandosów z bronią gotową do strzału.

Bili uśmiechnął się z przekąsem i zaraz poczuł wyrzuty sumienia. Nie można wykluczyć, tak przynajmniej sądził, że komuś udałoby się sforsować kordon batalionów otaczających strefę wyznaczoną dla programu „Solo”. Ale w Kostaryce z pewnością nie było miejsca bardziej chronionego niż to.

Solo schylił się przechodząc pod wirującymi płatami do otwartych drzwi kabiny helikoptera. Pilot dał mu znak, by zaczekał. Dowódca załogi i strzelec podbiegli do niego ze szmatami. - Solo, wyglądasz jak straszdyło z bagien - krzyknął dowódca ze śmiechem. - Trzeba cię trochę oczyścić z tego leśnego paskudztwa, zgoda?

- Dobrze.

Szmaty okazały się bezużyteczne. Łatwiej było po prostu zrywać całe warstwy pajęczyn. Gdy obaj żołnierze zajęci byli usuwaniem brudu, Solo patrzył na obracającą się głowicę wirnika.

- A to ścierwo! - dowódca strząsnął z ręki ogromnego pająka. Podniósł stopę, by go rozdeptać.

- Zostaw - powiedział Solo.

- Co jest! - krzyknął dowódca. - Tobie to świństwo nic nie zrobi, ale mnie może niezłe ujechać!

- Ona cię nie ugryzie.

Dowódca zobaczył, że pilot podniósł rękę i pokręcił głową. Z Solo nie należy się spierać.

- Ona? - Dowódca skrzywił usta z obrzydzeniem, ale pająka zostawił w spokoju. Poczul na grzbiecie dreszcz grozy. Zapomniał do czego Solo jest zdolny. Ile brakowało, by pożegnał się z życiem? Dalej zrywał z robota pajęczyny. Trzeba być miłym, pomyślał. - Skąd wiesz, że to była ona?

- Pajęczynę snuje samica. Samce są tak małe, że prawie ich nie widać.

10

- Tak? - Ściągnął z piersi Solo warstwę sieci upstrzonej owadami i żdźbłami roślin. - Dobrze wiedzieć.

- Tak - odparł Solo.

Solo nie zaliczył dotąd ani jednego testu na zabijanie, ale uwielbiał latać. Przynajmniej ta część próby zakończyła się sukcesem. Solo wdrapał się do kabiny i ostrożnie usadowił na prawym fotelu, tak żeby nie potraćić drążka sterowniczego. Dowódca załogi pomógł mu zapiąć pasy i zamknął drzwi. Gdy Solo włożył hełm i opuścił wizjer, wyglądał zupełnie jak człowiek.

- Gotowe - powiedział z uśmiechem pilot, starszy sierżant Sam Thompson. Solo był zdecydowanie najlepszym z jego uczniów. - Wszyscy na pokładzie.

- Gotowe - odpowiedział Solo przez interkom.

Przed oczami Billa przesunęło się dziesiątki zegarów i przełączników, gdy Solo przebiegał wzrokiem po desce rozdzielczej. Śledził ruch jego ręki, już czystej, ujmującej dźwignię. Solo zwiększył obroty silnika. Kształt glucho bijących powietrze łopat, rozmazał się. Hałas przybierał na sile, dźwięk dudnił coraz głośniejsze, aż Solo ściągnął dźwignię. Maszyna podniosła się z polany.

Helikopter przechylił się do przodu zmierzając szybko w kierunku prześwitu między wierzchołkami drzew. Solo wtulił się w osłonę. Widok umykających pnączy, konarów, zbitej zielonej masy przyprawiał Billa o mdłości. Na wielkim hymenium ujrzał setki ptasich gniazd

zwisających z gałęzi jak wypchane skarpety. Między nimi uwijały się czarne, połyskliwe oropendolas. Solo odbił w bok i z dala ominął kolonię. Po minucie pokazał się Pacyfik. Solo ostro położył maszynę na bok i lecąc wzdłuż plaży, wspiął się na wysokość dwustu stóp. Pod nimi w zwolnionym tempie załamywały się fale oceanu.

Z lotu ptaka pałacyk wydawał się całkiem spokojnym miejscem, ale z bliska widać było co innego. Bili mógł się o tym przekonać, gdy Solo spoglądał w dół krążąc nad zabudowaniami. Widać było kilkuset żołnierzy ukrytych w dżungli wokół pałacyku, okopanych wzdłuż okalających go żywoplotów. Na trawniku za domem rozparły się dwa śmigłowce.

Na ile znaki te były widoczne z większej wysokości? Z pewnością satelity Rosjan widziały helikoptery. Z tego

11

jeszcze nic nie można było wywnioskować. Armia amerykańska wynajmowała dziesiątki takich pałacyków w całej Ameryce Środkowej. Ten niczym specjalnym się nie wyróżniał.

Billa rozbawił fakt, że słyszał helikopter, z pokładu którego oczami Solo mógł obserwować budynek, w którym właśnie się znajdował.

Solo pochylił maszynę schodząc do lądowania pod wiatr. Thompson trzymał rękę na kolanie w pobliżu drążka, na wszelki wypadek. W przeszłości szkolił już ludzi, którzy pomimo długiego treningu nie dawali sobie rady przy lądowaniu. Wiedział też, że gdyby Solo zrobił sobie krzywdę z powodu jego lekkomyślności, niechybnie pożegnałby się z karierą w wojsku.

Zanim Solo wpadł w zawirowania po nawietrznej stronie budynku, skompensował wysokość zwiększając moc silnika. Lądowanie było doskonałe. Posadził śmigłowiec obok dwóch innych tak, jak gdyby już spędził w powietrzu tysiące godzin. To była jego dziesiąta godzina.

Solo wyłączył silnik. Bili słyszał głos Thompsona: - No, Solo, musisz to powiedzieć. Dostajesz za to świetny stopień. Wspaniale.

- Tak - powiedział Solo.

12

lill sącył wódkę z tonikiem. Obserwował z górnego tarasu wyścigi brodziec z falami. Nogi miał oparte o balustradę. Gdy zgiął się, by zawiązać sznurowadło, przypomniały mu się miesiące, które Solo spędził na nauce wiązania butów. Interpretacja obrazu, wyczucie pozycji ciała, reakcja dotykowa. Tego dzieci uczą się w kilka tygodni. Ale Solo chłonał wiedzę coraz szybciej. W dziesięć godzin stał się ekspertem pilotażu śmigłowców. Bili sącył drinka i uśmiechał się w głębi duszy. Czyja kiedyś przestanę patrzeć na wszystko jak na problem do rozwiązania? Brodziec pognął za cofającą się falą, chwycił dziobem pchłę piaskową i umknął przed następną falą. Sprawność ptaka przypomniła mu o mękach, które przeżywali ucząc Solo - przez rok - chodzenia. Tak często się przewracał, że popadał w depresję i mógł w niej trwać całymi dniami. Jego konstrukcja i oprogramowanie pobudzały wyzwalać takich emocji. U ludzi emocje są wyznacznikiem hierarchii celów i kształtują dążenia, dlatego trzeba było w nie wyposażać inteligentną maszynę. Pozbawiony struktury emocjonalnej, Solo błędziłby po omacku. Choć Bili uzbroił Solo w odruchy emocjonalne, to ich ujawnianie się wprawiło go w zachwyt. Można jednak było się tylko domyślać, czy u Solo występowały odczucia takie same jak u istoty ludzkiej. Ludzie mogli jedynie zgadywać, co czuje Solo, obserwując to, co Solo robi.

13

Mając do czynienia z maszyną doznającą stanów przypominających przeżycia emocjonalne, ludzie pracujący nad nią zapominali, że Solo jest maszyną. Clyde, na przykład, myślał o Solo jak o dziecku wymagającym starannego kształcenia.

- Dziwię ci się, Solo - powiedział Clyde. - Myślałem, że zrozumiałeś o co nam chodzi.

Solo siedział na fotelu i nie odzywał się. Clyde smutno pokręcił głową. - Dobra, Solo.

Przećwiczymy to jeszcze raz - Clyde przechylił się w stronę Solo i podniósł palec. - Po pierwsze, są dobrzy faceci i źli faceci.

Bili odwrócił się gwałtownie. - O Boże, Clyde! Mógłbyś przestać pieprzyć. - Obrócił krzesło w stronę Solo, który w bezruchu zaległ w fotelu. Clyde siedział na krawędzi swego krzesła i wpatrywał się w Billa.

- O co chodzi? - przez mocne rysy twarzy Clyde'a przebijało zdziwienie dziecka.

- Chodzi o to, co mówię. Solo nie jest kretynem. On to wie. Słyszał to już ze sto razy. Ja to słyszałem ze sto razy. Przestań wreszcie pieprzyć, do cholery!

- Wiesz co, Bili, nie powinienesz pić od samego rana, zwłaszcza w godzinach pracy.

- Cywile mają przywileje.

Clyde odwrócił się z powrotem do robota. - Zapewne wiesz o czym mówię, ale może powinniśmy powtórzyć to jeszcze raz, żeby nie było wątpliwości. Co ty na to?

- Tak - odpowiedział Solo. Gdy mówił, nic się nie poruszało. Uśmiech czy zdziwienie nie wywoływało ruchu ust. Nigdy nie było wiadomo, gdzie spoglądają soczewki obiektywów. Solo mówił bez gestykulacji. Potrafił zsyntetyzować każdy głos na podstawie próbki kilku słów. Teraz postanowił użyć głosu Clyde'a, choć dźwięk był trochę brzęczący, gdy próbował naśladować jego chrypkę.

- Widzisz - rzekł Clyde. Spojrzał gniewnie na Billa. Ten pokręcił głową. - Solo, powiedz nam, jaka jest różnica między dobrym facetem i złym facetem.

- Dobry facet, to ten, co robi dobrze, Amerykanin - odpowiedział Solo. - Zły facet, to ten, co robi źle, komunista.

- Zgadza się! - stwierdził Clyde.

14

- Boże święty... - odezwał się Bili.

- A więc, Solo - ciągnął Clyde - my jesteśmy dobrzy faceci. Bili i ja. Wszyscy nasi żołnierze. Ty też, Solo. I chcemy, żebyś pozabijał tych złych facetów, których ci każemy zabić.

- Nie - odparł Solo.

- Wydawało mi się, że się rozumiemy - zdziwił się Clyde.

- Rozumiemy się.

- Więc w czym problem?

- Nie prosiłeś mnie, żebym rozwiązał problem.

Clyde rzucił okiem na Billa. Bili uśmiechnął się. Clyde ciągnął dalej: - No więc dlaczego nie będziesz zabijał facetów, których ci wskażemy?

- Lorenzo nie jest zły.

- No tak! - wykrzyknął Clyde. - Rozumiem. - Odwrócił się znów do Billa z wyrazem tryumfu na twarzy. - Solo, posłuchaj uważnie. Kapral Lorenzo udawał, że jest złym facetem. Twój karabin był

załadowany ślepyimi nabojami. Chcieliśmy się tylko przekonać, czy potrafisz wytropić na niby złego faceta i na niby załatwić go. Teraz rozumiesz?

- Tak. Załatwić: wyeliminować, skompromitować, usunąć, wytrzebić, przypierdolić, zabić. - Solo z coraz lepszym skutkiem naśladował głos Clyde'a i doszedł już do perfekcji.

- Tak jest. Zgadza się. - Generała poirytował ciąg synonimów wypowiedzianych jego własnym głosem. - Solo, używaj własnego głosu, bo dreszcz mnie ścina, gdy słyszę siebie mówiącego twoją głową. - Solo przytaknął. - Więc jeżeli jutro powtórzymy ćwiczenie, pociągniesz za spust?

- Nie - odrzekł Solo.

Clyde podniósł się nagle. - Dajcie mi drinka - powiedział. Zatrzymał się w pół drogi do baru i odwrócił w kierunku Billa. - No, ekspercie - wskazał na Solo.

Bili pokiwał głową. - Solo, myślałem, że to ćwiczenie nowej JAT. - Bili użył akronimu oznaczającego Jednostkę Abstrakcji Tematycznej. Dawniej termin ten oznaczał sytuacje lub plany społeczne już opanowane przez Solo, takie jak JAT-Zagrożenie, JAT-Hipokryzja, JAT-Unikanie Przeciwnika.

- Owszem, Bili. JAT-Eliminacja.

- Zgadza się. Czy rozumiesz, że popełniłeś błąd?

15

- Nie. - Robot leżał wygodnie na fotelu, nie poruszał się.

- Wytropiłem cel i naprowadziłem prawidłowo celownik. Pociągnięcie za spust było zbyt szybkie.

- Instrukcja wykonania tej symulacji obejmowała pociągnięcie za spust.

- Owszem - odparł Solo. - Ale karabin nie był przecież załadowany ostrymi nabojami. Wszystkie istotne elementy zadania zostały zrealizowane. - Głos Solo brzmiał teraz naturalnie, z poprawną artykulacją nieco przypominającą głos Davida Brinkleya. - Moją sprawą jest także podejmowanie decyzji.

Clyde opadł na fotel stojący koło Solo. Zręcznym ruchem zakręcił trunkiem w szklance - whisky z wodą.

Bili przechylił się w ich stronę i powiedział cichym głosem:

- Gdybyśmy wyznaczyli ci zadanie na JAT-Eliminację z ostrą amunicją i prawdziwym przeciwnikiem, to czy wtedy pociągnąłbyś za spust?

Solo lekko odwrócił głowę w kierunku Billa. Ruch ten był sygnałem, że patrzy w tę stronę, rodzaj uprzejmości, którą nauczył się stosować wobec ludzi. - Zawsze dobrze wywiązywałem się ze swoich zadań. Zgodnie z logiką należy przyjąć, że nadal będę tak postępował.

Bili opadł na poduszki fotela. Sączył drinka wpatrując się w robota. Gdy Solo był przyparty do muru, uciekał się do denerwująco dosłownej interpretacji zjawisk. Udawał głupiego. Czemu właśnie teraz stosował uniki? Potrafił kłamać, myślał Bili, ale skąd te wymijające odpowiedzi? Tego nie było w założeniach. Solo miał wyraźny zakaz unikania odpowiedzi na pytanie stawiane przez konstruktora. Wymykanie się nieprzyjacielowi - tak, ale nie nam. System uczył się, ale niewłaściwych rzeczy. Pomimo grupowej indoktrynacji i prania mózgu na temat przeciwnika, Solo stawał się coraz bardziej niezależny. Kłopotliwy. Zgodnie z przewidywaniami Billa, coś nowego zaczęło rodzić się wśród miliona procesorów, całkiem samoistnie, i szybko dojrzewać. Przede wszystkim, Solo nie mógłby rozwijać się bez programu stymulującego emocje i uczenie się.

Marzenie Billa, by móc porozumiewać się z maszyną obdarzoną własnymi odczuciami, zmieniło się teraz w koszmary

16

wysiłek podporządkowania jej sobie. - Dobrze, Solo. - Bili podniósł się. - Idź teraz i naładuj sobie akumulatory. Jutro zajmiemy się ćwiczeniami JAT-Obszerwacja.

- Tak. - Przeciężony fotel zatrzeszczał, gdy Solo wstawał. Przy wzroście sześciu stóp i dwóch cali, Bili ważył siedemdziesiąt pięć funtów. Przy tym samym wzroście, maszyna ważyła trzysta funtów. Solo wyprostował się i opuścił taras bez słowa.

- Coś się dzieje z tym chłopakiem - powiedział Clyde.

- Wiem - odparł Bili. - Robi uniki. Kwestionuje zadania.

- Właśnie - ciągnął Clyde. - Symulacja zabijania daje mu zbyt wiele swobody działania. Jeśli chcemy dowiedzieć się co by zrobił w rzeczywistości, musimy dać mu prawdziwe zadanie. Po to tu jesteśmy. Trzeba kazać mu kogoś zabić.

Bili spojrzał na Clyde'a z niedowierzaniem. - Mówisz poważnie?

- Przecież o to chodzi, Bili. Zapomniałeś?

- Solo jest tylko prototypem. Musimy działać powoli. Dopiero zaczynamy przekonywać się o jego możliwościach. Solo jeszcze nie potrafi zabijać. Wydaje mi się, że doświadczenie z McNeilem pozostawiło ślad. Musimy pozwolić mu, żeby wychodził z tego w swoim własnym rytmie.

Clyde skrzywił się na dźwięk nazwiska McNeil. - Bzdury. Musimy się przekonać. Powiedział, że mógłby to zrobić, gdyby cel był prawdziwy.

- Powiedział tylko, że należy przyjąć zgodnie z logiką, że tak...

- No to dajmy mu, kurwa, prawdziwy cel. Przekonamy się, czy blefuje. Jest ich trochę na północ stąd.

Bili wpatrywał się w niebieskie oczy Clyde'a. Obaj byli w Wietnamie. Obaj widzieli rzeź, czemu zatem myśleli tak różnie? Żeby sobie, kurwa, tak spróbować?

- Bili, obudź się! - Clyde wykrzyknął wstając. - Zabijamy ich każdego dnia. Kulami, bombami, ogniem, pałkami. Czym jeszcze? Co to za różnica, do diabła, czym ich się zabija. Dla mnie to to samo, co testowanie nowego karabinu. ^>^^~-

Bili nie wątpił w jego szczerłość. ^., *'V1
- Nigdy nie dadzą ci na to zezwolenia. f'j'-'>"

17

- Oczywiście, że dadzą. To jest w programie testu. Musimy być pewni, czy te Solą potrafią działać w rzeczywistych warunkach.

- O tym nikt mi nie wspomniał! Próbne zabijanie?

Clyde zauważył, że Bili robi się czerwony na twarzy. - To jest w wojskowym programie testu - dodał spokojnym już głosem.

Bili wolno pokręcił głową i wbił wzrok w Clyde'a. - Ja, w każdym razie, nie przyłożę do tego ręki.

Clyde wstał i spojrzał na Billa z góry. - Wiesz co, Bili, przy tym wpływie, jaki masz dziś na Solo, wydaje mi się, że i tak nikomu nie jesteś potrzebny. Z dnia na dzień rozumiemy się z maszyną coraz lepiej. Ja też mogę dodać sobie jakiejś JAT do słowa. Solo potrzebuje twardszej ręki. Spójrz prawdzie w oczy, Bili. Czasami po prostu nie potrafisz zrobić tego, co należy.

- Odwrócił się i wyszedł.

Bili obserwował poruszone wiatrem zasłony. Za nim szumiało morze. Krzyczały mewy. Obrócił fotel. Część pomarańczowego słońca pograżyła się w oceanie. - Przekonamy się.

- powiedział do siebie.

Solo leżał wyciągnięty na sofie w swoim pokoju. Przez prześwitujące zasłony okna sypialni obserwował latającą wiewiórkę szybującą między palmami kokosowymi. Wiewiórka wylądowała dokładnie w miejscu, które Solo przewidział w momencie skoku. Przeniósł uwagę na co innego. Zobaczył własne odbicie w bogato zdobionym lustrze na serwantce. Przyjrzał się z bliska srebrzystym pokrywom oczu. Widział w nich odbicie całej strony pokoju, serwantki, dwóch okien, patery z owocami na obrazie Cezanne'a. Zastanawiał się, co jest za pokrywami oczu. W odbiciach pytanie to powtarzało się w nieskończoność.

18

K

ś porusza się w kwadracie trzy-dwa-jeden, sześć-sześć-dwa. Jest uzbrojony. Błękitny. - Z głośnika dobiegł spokojny głos Solo, chrypiący z powodu zakłóceń i szumu helikoptera.

- Roger. Czerwone Oko. Zgadza, się. Przejdź do następnego sektora - potwierdził Clyde uśmiechając się. Odezwał się do Billa: - Ten chłopak ma cholernie bystre oko. Facet w sektorze trzy założył kamuflaż i pomalował sobie twarz.

- Bardzo wysoka rozdzielczość soczewek - odparł krótko Bili.

- Owszem. Ale i tak trzeba wiedzieć gdzie patrzeć, nie?

- Czekał, aż Bili mu odpowie. Bili w stereoskopowych okularach wpatrywał się w monitor robota. Widział, jak dwa śmigłowce pościgowe leciały w szyku obok Solo, który po raz pierwszy pilotował helikopter samodzielnie. - Chodzi mi o to

- ciągnął Clyde - że gdybyś dał te same obiektywy komuś innemu, to i tak nie znalazłby faceta. Zakładam się.

- Chyba masz rację - odparł Bili nie odwracając wzroku.

- Ciągle masz do mnie pretensje za wczorajszy wieczór?

- spytał Clyde.

Bili zerknął spoza okularów. Clyde siedział rozparty na krześle. W rękę trzymał plastikowy kubek z kawą. - Zdaje się, że tak to można określić - w krótkich, żołnierskich słowach.

19

Łlr

Clyde zaśmiał się. - Bili, nie bierz tego do siebie. Obaj musimy wykonać robotę, nie? - Clyde przysunął bliżej swoje krzesło. Mówił cichym głosem. - Ja też nie lubię zabijania. Brzydzę się tym, wiesz przecież.

- Bzdura. Co ty wiesz o zabijaniu? Ty tylko rozkazujesz ludziom takim jak ja, żeby zabijali.

- Czerwone Oko do Centrali - odezwał się Solo. Clyde wrócił do pulpitu i podniósł do ust mikrofon. - Co tam, Czerwone Oko?

- Widzę dwa obozy. Jeden Białych, drugi to atrapa.

- Cholera! Ten chłopak jest niesamowity - zaśmiał się Clyde.

- Dziękuję - odpowiedział Solo.

Clyde spojrział na mikrofon. - O co chodzi? Ja nie nadawałem!

- Solo użył własnej radiostacji - Bili zerknął na swój pulpit. - Zgadza się. Mój nadajnik był włączony.

- Wyłącz go. On powinien używać tylko podstawowego sprzętu. - Clyde przyłożył mikrofon do ust.
- Czerwone Oko. Trzymaj się tylko tej częstotliwości. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

- Przejdź do sektora pięć.

- Roger.

Clyde spojrzął na Billa. - Po pierwsze, chcę się dowiedzieć skąd ta pierdolona maszyna wie jak łamać rozkazy. Był zaprogramowany, żeby nie używać własnej radiostacji podczas tej akcji.

- Ponieważ Solo nie jest komputerem, Clyde. Mówię wam o tym od samego początku. Solo staje się żywą istotą. Ani komputerem, ani człowiekiem. On myśli. Taki jest Solo, i dlatego jest tak niebezpieczny. Czemu, do cholery, ciągle o tym zapominasz. Siedzisz w tym programie od momentu, gdy przejęła go DARPA.

Clyde poczerwieniał. - Posłuchaj mnie, Stewart. To ja kieruję ćwiczeniami w terenie. Ty stworzyłeś broń, która ma działać, a ja ją sprawdzam. Gównu mnie obchodzą szczegóły, tak jak nie obchodzi to ludzi, którzy będą tych maszyn używać. Do ciebie należy, żebyś się znał na sprawach technicznych i odpowiadał, jak się ciebie pytam!

20

Bili poczuł znów mdlący ucisk w piersiach. Dziesięć lat pracy nad programem. Powinien był przewidzieć, że to się tak skończy. Problem podstawowy: albo Solo będzie narzędziem walki, albo nie będzie go wcale. Zignorował głos sumienia, rozgrzeszył się w nadziei, że gdy maszyna będzie działać, pokieruje nią po swojemu.

I maszyna działa. Gdy zwracał uwagę, jak niebezpieczny może być Solo, jeżeli jego trening ograniczy się do walki - groźny nawet dla swoich własnych twórców - nikt nie podzielał jego wątpliwości. Gdy upierał się, że Solo jest całkowicie nowym rodzajem broni, która może okazać się niebezpieczniejsza od bomby atomowej - bomby nie mają swojego zdania - usłyszał, że stracił poczucie rzeczywistości, że zbyt identyfikuje się ze swoją pracą, by móc ją obiektywnie ocenić. Doradcy naukowcy pracujący dla DARPA przeprowadzili symulacje komputerowe, które udowodniły, że Solo zawsze będzie posłuszny - jak idealny wojownik - jeżeli właściwie zaprogramuje się go i wyposaży w odpowiednie zabezpieczenia. Uważali Solo za niemożliwe do unieszkodliwienia, wymienne narzędzie walki, poddające się manipulacji i posłuszne jak każdy komputer. A co z pozorną zdolnością maszyny do przeżywania emocji? To przecież tylko złudzenie, mówili, program kontrolny generowany przez samą maszynę kontrolującą miliony współbieżnych procesów - zresztą Bili sam to przepowiedział. Na wszystko mieli odpowiedzi i pieniądze. Bili udawał, że akceptuje to i pracował dalej - kiedyś i tak dowiedzą się prawdy. Mimo to, najdoskonalsza technicznie ze wszystkich zbudowanych dotąd maszyn znajdowała się w rękach neandertalczyków.

- Czy dla ciebie Solo znaczy tylko jedno? Narzędzie walki?

- Tak jest, panie naukowcu. Dla mnie Solo znaczy tyle, co telewizor, nic mnie nie obchodzi jak działa. Wystarczy, żeby można było oglądać na nim program. I tylko o to chodzi w naszej sprawie. I będziemy sprawdzać, co Solo potrafi. I to...

- Centrala, tu Czerwone Oko - przerwał mu głos Solo z głośnika.

Clyde nerwowym ruchem przełączył na nadawanie. - Odbiór, Czerwone Oko.

- Sektor pięć jest pusty.

21

Clyde spojrzął na monitor nawigacyjny. W sektorze piątym nie było żadnych celów. Zmyłka. Jak dotąd Solo trafiał w dziesiątkę. Został jeszcze jeden sektor.

- Roger, Czerwone Oko. Zgadza się. Przejdź do ostatniego sektora.
- Roger. Potwierdzam zapas paliwa na dwadzieścia pięć minut - odpowiedział spokojnie Solo.
- Clyde spojrzął na Billa. Ten pokręcił głową. - Idziesz ostro jak na pierwszy lot.
- Rozumiem, Czerwone Oko - odpowiedział Clyde. - Powinno spokojnie wystarczyć na sprawdzenie ostatniego sektora i powrót do domu.
- Roger - odpowiedział Solo.
- Głupio ryzykujesz maszyną wartą dwa miliardy dolarów, Clyde.
- Tak zdecydowałem. Muszę się przekonać czego Solo potrafi dokonać pod wpływem stresu. Nie na symulacji. Naprawdę - odrzekł Clyde.
- A jeżeli skończy mu się paliwo?
- To usiądzie. Jest doskonałym pilotem. Zgadza się, Bili?
- Clyde wzruszył ramionami. - Lądowanie awaryjne nic mu nie zaszkodzi. Marny tam zresztą dwa pościgowce, które go zabiorą.
- Bili milcząco patrzył w pustkę. Clyde ciągnął dalej: - Jeżeli mu się coś stanie, to go poskładamy do kupy. Po to tu jesteś.
- A jak go nie poskładamy do kupy? - Bili odezwał się w wyrzutem.
- Jeśli w ogóle do tego dojdzie; niedługo Electron Dynamics wypuści jeszcze jednego Solo. Te urządzenia z założenia się zużywają. Musimy się przekonać.

Podwładny Clyde'a podszedł pospiesznie podając mu kartkę z wydrukiem; wiadomość przesłaną w sieci MILnet. Clyde odłożył mikrofon i przeczytał kartkę.

Bili obserwował monitor nie zwracając uwagi na wiadomość. Solo szybował jak koliber dwieście stóp nad dżunglą, co i raz robiąc gwałtowne zwroty, by lepiej przyjrzeć się czemuś na ziemi. Pokrywa tropikalnej puszczy wydawała się nieprzenikniona dla wzroku. Solo przeszedł na obserwację w podczerwieni. Gdy w swoim lewym oku Solo uruchomił teleobiektyw,

22

Bili ujrzał ostro odcinającą się od czerwonych koron drzew zielonkawą sylwetkę leżącego na ziemi człowieka. Solo poświęcił tygodnie na doskonalenie techniki analizowania obrazów. Udało mu się. Żadna istota ludzka nie byłaby w stanie dostrzec tego żołnierza, nawet gdyby machał chorągiewką.

- Centrala do Czerwonego Oka.
- Clyde podniósł oczy znad kartki, skinął głową w kierunku Billa i wskazał na mikrofon.
- Roger, Czerwone Oko, odbiór - odezwał się Bili.
- Zlokalizowałem jeden cel w sektorze sześć. Współrzędne trzy-dwa-dwa, sześć-pięć-zero.
- Bili sprawdził na monitorze nawigacyjnym. Niebieska plamka Solo przykryła cel. Bez pudła. - Roger, Czerwone Oko - nadawał Bili. - To już ostatni. Wracaj do domu!
- Solo nie odpowiedział.
- Clyde odłożył kartkę z uśmiechem na twarzy. - Dostałem od nich zgodę.
- Bili podniósł rękę i postukał w mikrofon. - Czerwone Oko, tu Centrala. Słyszysz mnie?
- Żadnej odpowiedzi.
- Bili powtórzył: - Czerwone Oko, tu Centrala, czy mnie słyszysz?

Spróbuj jego własnej radiostacji - doradził Clyde.

Bili przytaknął ruchem głowy, postukał w klawiaturę i odezwał się do swojego mikrofonu przy słuchawkach. - Solo?

- Słucham, Bili.

- Twoja radiostacja pokładowa musiała wysiąść, nie możemy cię złapać.

- Radiostacja działa.

- Więc czemu się nie odzywałeś?

- Miałem głowę zaprzątniętą bardzo nieciekawą wiadomością. Wydarzył się JAT-Konflikt.

- Co to za wiadomość? - spytał Bili usiłując zachować spokój.

- Ta przesłana MILnetem.

Bili spojrzał na Clyde'a. - Co tam podali?

- Mówiłem ci, mamy zgodę.

- O czym ty mówisz?!

23

- O teście. Z prawdziwym celem.

- Ty skończony idioto! - Bili trzasnął pięścią w pulpit.

- Weź się w garść, Stewart. - Clyde chwycił mikrofon. - Czerwone Oko, tu Centrala!

- Głupie pierdolone mędrki! Mundurowe gnoje! - szalał Bili. Obsługa pokoju kontrolnego zaczęła się gapić na niego.

- Roger, Centrala.

- Wracaj do domu, Czerwone Oko. Zadanie skończone. Wynik celujący.

- Dziękuję, Centrala. Jeszcze nie wracam do domu,

- Nie do wiary. Czy ty mu wysyłasz jakieś sygnały? - Clyde wrzeszczał do Billa.

- Nie. To wyłącznie twoja impreza. - Bili wyciągnął rękę i chwycił leżącą przed generałem kartkę z wiadomością. Przeczytał:

REBELIANCI INFORMUJĄ O OBECNOŚCI SANDINISTÓW W NIEBIESKIM SEKTORZE. ZGODA NA PRÓBNĄ KOMPROMITACJĘ. CEL WEDŁUG UZNANIA. KONIECZNY PEŁNY KAMUFLAŻ.

Tak zrobią, pomyślał Bili z odrazą. Poślą Solo w pełnym kamuflażu, polowym mundurze i siatce, żeby odstrzelił kogoś, kto się nawinie pod rękę. Wyszukać i zniszczyć. Cel według uznania.

Bili rozejrzał się. Clyde próbował namówić Solo na powrót do domu. - Zostało ci paliwa na piętnaście minut. Nie ma czasu na spory, Solo. Wracaj do bazy!

Solo nie odpowiadał. Na monitorze nawigacyjnym widać było, jak Solo zrobił zwrot i poleciał na północ.

- Czerwony Dwa, tu Centrala - Clyde wyzwał dowódcę śmigłowców pościgowych.

- Roger, Centrala - odezwał się instruktor Solo, Thompson.

- Chcę żebyś razem z Czerwonym Trzy podeszli do Czerwonego Oka. Zmuscie go do powrotu.

- Roger - odpowiedział Thompson. - Zrozumiałeś, Czerwony Trzy?

24

Czerwony Trzy potwierdził dwoma trzaskami. Na monitorze nawigacyjnym dwie żółte plamy zbiegły się w miejscu niebieskiego punktu.

- Bili, nie mamy czasu, żeby się z tym pieprzyć. Jeśli ta świrująca maszyna będzie dalej robić to, co robi do tej pory, to będziemy musieli ją wyłączyć, albo zestrzelić. - Po twarzy Clyde'a ściekał pot. - Nie mogę mu pozwolić dostać się na terytorium przeciwnika.

Bili przytaknął. - Ani DARPA, ani CIA też za bardzo by tego nie chciały, zgodzisz się?

- Zgodzę się! - wykrzykiwał Clyde. - Nie chcieliby też, żeby trzeba było go zniszczyć. Obaj odpowiadamy za ten zajebany program. Lepiej wymyśl od razu jakąś wymówkę. I to zarazi

Bili trzepnął dłonią w kartkę. - Mówiłem ci od samego początku, że Solo nie jest automatem. Nie mam guzika, który nacisnę, a on będzie robił to, co chcę. Musi nauczyć się chcieć robić to, co my chcemy, żeby robił. Musi mieć motywację do działania. Dokładnie tak jak człowiek. - Bili podniósł kartkę do góry. - Zmusiłeś go do zrobienia rzeczy, do której nie był przygotowany. Rozwaliłeś go. To poważny konflikt, który nastąpił za wcześnie. Zrobi to, co uzna za słuszne.

- Czyli co właściwie robi? - Clyde domagał się odpowiedzi.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Stewart, porozmawiaj z nim - Clyde cedził słowa. - Porozmawiaj z nim i sprowadź z powrotem, zanim ja będę musiał go zestrzelić.

- Spróbuję. - Bili spojrzał na monitor Solo. Wierzchołki drzew umykały w szalonym tempie. Solo leciał niżej i szybciej niż potrafiłby człowiek. - Solo?

- Odbiór, Bili - odpowiedział Solo spokojnym głosem.

- Gdybyśmy odwołali tę misję - tę z MILnetu - wróciłbyś do domu?

- Nie.

- No właśnie! - wtrącił Clyde. - Bili, przygotuj się do wyłączenia go.

- Nie możemy go wyłączyć w momencie, gdy leci tak szybko. Rozbiłby się w sposób całkiem niekontrolowany. Uderzenie mogłoby go zniszczyć.

25

Clyde westchnął i wbił wzrok w monitor nawigacyjny. Niebieska plamka Solo zbliżała się do granicy z Nikaraguą na odległość mniejszą niż dwadzieścia kilometrów. Clyde chwycił mikrofon. - Czerwony Dwa, tu Centrala.

- Roger, Centrala. Odbiór.

- Załaduj działka.

- Centrala, powtórz.

- Załaduj działka! Zrozumiałeś?

- Centrala, powtórz.

- Załaduj działka! Załaduj działka! Zrozumiałeś? Czerwony Dwa zgłosił się po dłuższej chwili. - Roger, Centrala. Działka załadowane.

- Roger, Czerwony Dwa. Przygotuj się do unieszkodliwienia Czerwonego Oka. Na mój sygnał celuj w komorę silnika. Odbiór.

- Roger, Centrala. Czerwony Dwa wyłącza się.

- Solo - powiedział Bili - nie mogę ci zagwarantować, że nie będziesz musiał zrezygnować z tej misji.

- Centrala, tu Czerwony Dwa - krzyczał Thompson. - Czerwone Oko zaczął wykonywać uniki na bardzo małej wysokości.

Na monitorze Solo linia horyzontu przechyliła się o 90° w chwili gdy robot prześlizgiwał się przez wąski prześwit między drzewami.

- Solo, czy słyszysz mnie?

- Tak. - Spokojny głos robota kontrastował z szalonymi zygzakami wykonywanymi przez śmigłowiec. - Słyszę cię dość dobrze. Najlepszym rozwiązaniem dla mnie będzie wycofanie się na bezpieczne pozycje i przeanalizowanie położenia.

- Dziesięć klików do granicy, generale Haynes - zawołał jeden z techników.

- Dobra decyzja, Solo - Bili zmuszał się by mówić cicho i spokojnie. - Bezpieczną pozycją jest Centrala. Powinieneś do niej wrócić.

- Centrala, nie możemy utrzymać Czerwonego Oka na celowniku. Jak to się dzieje, że ten helikopter się jeszcze nie rozpadł od takich zwodów - odezwał się Thompson.

- Weź pan i sprawdź - mruknął Clyde.

26

- Solo, bez nas nie masz szans na przeżycie. Za mniej niż dwadzieścia godzin stracisz zasilanie - namawiał go Bili. - W tej chwili przetrwanie jest twoim głównym zadaniem.

- Przetrwanie jest zadaniem. - Ze skrajnego lewego położenia śmigłowiec tak ostro przechylił się na prawo, że wirujący horyzont przyprawił Billa o mdłości. - Powrót do Centrali nie będzie dla mnie bezpieczny. Logika tej propozycji wskazuje, że mój system zostałby zmodyfikowany w sposób niszczący moją osobowość.

- Solo, nie pozwolę im, żeby cię tknęli palcem! - krzyczał Bili. - Obiecuję ci to!

- Pięć klików, generale Haynes.

- Wystarczy, Stewart - wybełkotał z furją Clyde. - Musimy sukinsyna zestrzelić.

- Solo - błagał Bili.

- Nie wątpię w to, Bili, że próbowałbyś mnie chronić

- odezwał się Solo.

- Czerwony Dwa, tu Centrala. - Clyde wpatrywał się w monitor nawigacyjny. Niebieska plamka nie zboczyła ani trochę z kursu na północ.

- Roger, Centrala!

- Otworzyć ogień. Zestrzelić go.

- Zestrzelić go? - Thompson połączył się przez interkom z drugim pilotem. - Nie mogę go nawet utrzymać na celowniku.

- Thompson znów przełączył się na radiostację. - Roger, Centrala. Informuję, że nie mam pewności czy trafię w komorę silnika. Jak będę miał szczęście to w ogóle w niego trafię.

- Thompson leciał kilkaset stóp wyżej niż Solo. W obiektywie celowniczym Thompsona śmigłowiec Solo migał raz z jednej, raz z drugiej strony.

- Roger, Czerwony Dwa - głos Clyde'a trzeszczał w słuchawkach Thompsona. - Rozwalcie go! Wszystko mi jedno czy on też oberwie. Słyszycie?

- Roger, Centrala - odpowiedział Thompson.

Solo dał silnikom pełną moc. Dziób maszyny podniósł się niemal pionowo do góry. Oba śmigłowce pościgowe przeleciały obok niego. Zatoczyły łuk i rzuciły się za nim.

Solo wyrównał lot, a potem zaczął schodzić w stronę korony ogromnego drzewa hymenium. Oba napastnicy ostro

27

ruszyli za nim. W słuchawkach słyszał zawroźenie syreny alarmującej o braku paliwa. Na tablicy migotało światelko ostrzegawcze. Kontrolowane lądowanie było najlepszym rozwiązaniem, mimo że grunt znajdował się co najmniej sto pięćdziesiąt stóp poniżej poziomu roślinności.

Thompson miał go na celowniku, mimo to nie pociągnął za spust. - Centrala, tu Czerwony Dwa.

- Odbiór, Czerwony Dwa.

- Czerwone Oko próbuje lądowania - nadawał Thompson.

- Siada na drzewach. Nie ma czystej przestrzeni.

- Dobrze. Dobrze - odezwał się Clyde. - Nie strzelaj, chyba że będzie próbował uciekać. Mamy go - odezwał się do Billa.

- A kiedy wyląduje masz wysłać, Stewart, sygnał wyłączający.

Bili z rezygnacją skinał głową. Nie ma wyboru. Bez wątpienia Solo sam sobie wyznaczył zadanie. Trzeba go zatrzymać. Bili podniósł czerwoną pokrywę zabezpieczającą wyłącznik.

Skomplikowany sygnał powtórzony trzy razy wysadzi miniaturowy bezpiecznik, który odłączy robota od akumulatorów. Dzięki małemu generatorowi awaryjnemu Solo zachowa świadomość, jednak będzie sparaliżowany. Bili czekał i obserwował monitor. Na kabinę śmigłowca Solo napierały gałęzie drzew.

Główny wirnik uderzył w wierzchołek wydając trzask jak karabin maszynowy, siekąc liście i gałązki na miazgę. Wirujące łopaty opadały miarowo, tnąc coraz to większe gałęzie. Wirnik oderwał się od ogona i spadał z furkotem w ciemną gęstwinę. Helikopter zachwiał się i gwałtownie obrócił w prawo. Solo odciął moc, by zmniejszyć moment obrotowy i zwiększyć stabilność maszyny w czasie spadania. Po uderzeniu w konar drzewa jedna z łopat urwała się. Druga łopata wykonała dwa chwiejne obroty i odpadła zabierając ze sobą wał z przekładni głównej. Trzymając w rękę bezużyteczny drążek sterowniczy strzaskanego i ogołoczonego kadłuba, tłukąc i trąc o poskręcaną masę drzewa matapalo, Solo zagłębił się w dżunglę. Fragmenty szkieletu gięły się jak cynfolia. Solo przypomniał sobie polecenia z podręcznika szkoleniowego: Rozdział VIII, 4-56 Lądowanie na drzewach, Podrozdział 3: Jeżeli wystarczy na to czasu, zapiąć uprząż, odłączyć przełączniki i zawór paliwa. Solo zapiął uprząż, odłączył wszystkie przełączniki, zawór paliwa i czekał.

28

pokryty glonami leniwiec odwrócił się wolno i kątem oka poszukiwał przyczyny niesamowitego hałasu. Strzaskany szkielet śmigłowca spadał w koronie drzewa zrywając pnącza i ścinając gałęzie. Pokłady leśnej roślinności wchłaniały cztery tysiące funtów skręconego żelastwa i spowalniały jego upadek. Malutkie aguti czmychnęło z wrzaskiem, gdy wrak helikoptera spadł na ziemię tuż obok niego.

Przedział radiowy został wgnieciony do środka. Od zwarcia w urządzeniach elektronicznych posypały się snopy iskier. Wrak zawisł na chwilę oparty nosem o ziemię, a potem przewrócił się na grzbiet.

Cisza.

Spadła jeszcze wiązka zerwanych pnączy. Długoreka małpa wrzasnęła gniewnie i rzuciła w intruza kasztanem.

Solo wisiał w uprzęży do góry nogami i próbował dojrzeć cokolwiek poprzez dym. Uchwycił się lewą ręką za siedzenie fotela, a prawą odpiął sprzączkę pasów. Spadł na sufit kabiny i wyczołgał się na zewnątrz przez rozbitą skorupę osłony.

Na głowę spadł mu kasztan. Spojrzał w górę i zobaczył jazgoczącą małpę z obnażonymi kłami, która znów szykowała się do rzutu. Uchylił się. Śmigłowce Czerwonego Dwa i Trzy dudniły i furczały wysoko nad głową, chwilami pokazując się w szparach między gałęziami.

- Centrala, tu Czerwony Dwa. - Solo usłyszał rozmowę przez radio.
- Odbiór, Czerwony Dwa - odezwał się Clyde.
- Roger, mamy zamiar na niego, ale nigdzie go nie widać. Za gęsto w tej dżungli.
- Roger. My też mamy jego pozycję.
- Solo - słysząc było głos Billa na ich własnej częstotliwości. - Nie odbieram twojego obrazu i dźwięku. Włącz układy zapasowe.

- Centrala. Nie rusza się. Może uszkodził się przy uderzeniu. Coś niesamowitego - nadawał Thompson. Solo wyłączył nadajnik pozycyjny.

- Centrala. Straciliśmy jego sygnał - zgłosił Thompson.

- Cholera. Próbuje się wymknąć! Wyłącz go. Łap za przełącznik! - krzyknął Clyde.

Na dźwięk słów „wyłącz go” Solo ogarnęło przerażenie. Przypomniawszy sobie, że gdy zabił McNeila, klęcząc koło drgającego ciała człowieka, którego uważał za przyjaciela, próbował pojąć, co się stało. Gdy dotykał zmasakrowanej twarzy McNeila, w jego wnętrzu nastąpiła mała eksplozja. Padł jak kłoda, sparaliżowany. Przerażony.

Już nigdy więcej!

Bili przełączył kontakt. Czerwony sygnał błysnął trzy razy. Wyłączony. - W porządku, już po nim - powiedział. - Lepiej go szybko zabierzmy stamtąd, bo może być pożar.

- O to się nie martw - warknął Clyde. - Moi ludzie pójdą tam, gdzie im każe.
- Czerwony Dwa, tu Centrala - odezwał się Bili.
- Roger, Centrala.
- Bądź w pogotowiu. Grupa desantowa jest już w drodze. Zrozumiałeś?
- Roger. Informuję, że możemy zostać na stanowisku przez pięć minut. Kończy się paliwo.
- Roger, Czerwony Dwa. Niebieska Grupa w jest w drodze. Solo wybrał kierunek, skrzył i pomaszzerował na północ. Clyde i Bili stali nad mapą w tyle sali.
- Spadł trzy kliki od granicy - powiedział Clyde. - Udało nam się. Ale sęk w tym, że tam właśnie nasi sojusznicy widzieli

30

wczoraj jakiś pieprzony patrol Sandinistów. Tam mieliśmy przeprowadzić próbne zabijanie.

- Jeżeli ten patrol znajdzie Solo, to on nie ma żadnych szans

- stwierdził Bili.

- A jeśli tak będzie, to koniec z nami, Stewart. Za tydzień Solo będzie rozmawiać z Rosjanami. - Clyde odwrócił się plecami.

- Z nami? A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- krzyknął Bili za plecami Clyde'a. - Wpakowałeś go w to, skurwielu, przez własną głupotę. Taki z ciebie, cholera, wspaniały dowódca.

- Już się poddajesz, gnoju. Ja dostanę tego pierdolonego dezertera! - Clyde chwycił za mikrofon, nie czekając na odpowiedź Billa. - Niebieska Grupa, tu Centrala!

- Roger, Centrala.

- I co tam?

- Pięć minut - odpowiedział dowódca Niebieskiej Grupy-

Solo przedzierał się przez pnącza, gałęzie i sterczące korzenie oplatające podłoże dżungli. Orientował się w terenie dzięki sygnałom dwóch satelitów nawigacyjnych. Mała wioska nad brzegiem jeziora Nikaragua, pięćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od Los Chiles, dziesięć kilometrów na południe od Las Cruzas. Uszedł już dwa kilometry od miejsca katastrofy.

Głosy.

Zamarł w bezruchu.

Głosy dochodziły ze ścieżki gdzieś powyżej. Ukucnął w kępie palm i czekał. JAT-Unikanie Przeciwnika.

- Los Yanąisl - dobiegł go głos. Solo znał ten język bardzo dobrze. Hiszpański należał do jednej ze struktur podstawowych, którą opanował przygotowując się do ćwiczeń w terenie. Struktury. Znał dwie struktury językowe, w tym niektóre towarzyszące im gesty i mimikę. Struktury. Każda część każdej broni i pojazdu używanego w walce przez ostatnie sto lat wyryła

31

się w jego pamięci. Struktury taktyki i strategii walki. Struktury środowiskowe: flora, fauna, mapy topograficzne Kostaryki, Nikaragui i Florydy.

- Możliwe. Słyszę gdzieś tam ich helikoptery. Patrol zbliżał się w jego kierunku.

- Poszliśmy za daleko na południe?

Solo dojrzał ich. Człowiek, który mówił miał na sobie mundur w ochronnych kolorach i karabin AK-47 przewieszony przez ramię. - Paco, umiesz czytać tę mapę, czy nie?

- Pewnie, że umiem, teniente. Na pewno jesteśmy na północ od granicy. Amerykanie mogą być po południowej stronie.

- Chodźmy jeszcze trochę dalej, może zobaczymy co porabiają.

- Pół kilometra stąd przekroczymy granicę, teniente.

- No to co? Przecież animales przyszli tutaj, aby nas znaleźć. Zgadza się?

- Tak, teniente. - Mężczyzna skinął głową. Dowódca nakazał gestem iść naprzód.

Solo patrzył na czternastu żołnierzy maszerujących tuż koło niego.

- Centrala, tu dowódca Niebieskich.

- Roger, Centrala.

- Jesteśmy na miejscu. Nie widzę wraku. Bardzo tutaj gęsto. Jakies dwieście stóp do ziemi. Szykujemy się do zjazdu.

Dwa śmigłowce Niebieskiej Grupy unosiły się nad gąszczem drzew. Czterech ludzi z patrolu głębokiego rozpoznania - Drużyny Lobo - stało na płozach śmigłowca dowódcy grupy. Przyczepili się karabńczykami do nylonowych lin spuszczonej w dół między gałęziami. Podmuchał łopaty uginał wierzchołki drzew. Na sygnał dowódcy grupy wszyscy równocześnie zaczęli zjeżdżać w dół.

Dowódca wezwał przez radio swego partnera. - Niebieski Dwa, tu dowódca Niebieskich.

- Niebieski Dwa, zgłaszam się.

- Roger, Niebieski Dwa. Wejdz na orbitę ubezpieczającą o promieniu około jednego klika.

- Roger, dowódca Niebieskich.

32

Niebieski Dwa natychmiast zniżył lot i ruszył leniwie z prędkością zaledwie trzydziestu węzłów, wężąc wokół i zataczając coraz większe kręgi.

Drużyna Lobo zagłębiła się w dżungli.

Żołnierze już odeszli. Solo opuścił kryjówkę. Zszedł ze szlaku. W kłębowisku roślin natknął się na ogromnego pająka. Siedział pośrodku sieci, o kilka cali od jego twarzy. Reperował to, co zepsuła poprzednia ofiara i w ogóle nie zwracał uwagi na wpatrującą się w niego maszynę. Podniósł z wolną ręką i zbliżył palec do pająka. Ten nie zareagował. *Nephila clavipes*, pomyślał Solo, widzi słabo, mimo że ma ośmioro oczu. Delikatnie dotknął żółto-czarnego pancerza. Pająk poruszył się gwałtownie. Zaczął drgać na sieci tak szybko, aż jego kontury stały się zamazane. Po długiej chwili zatrzymał się.

Solo dotknął go jeszcze raz.

- Do dowódcy Niebieskich, jesteśmy na dole - zawiadomił szef Drużyny Lobo.

- Roger, Lobo. Widzisz coś?

- Tak, widzę. Stoimy o dziesięć metrów od wraku. To już nie przypomina helikoptera.

- Roger, Lobo. Załóżcie linę na Solo i zjeżdżamy stąd. Pająk znów potrząsnął siecią, ale już nie tak gwałtownie. Solo znów zbliżył palec na pół cala od jego głowy.

- Dowódca Niebieskich!

- Roger, Lobo. Odbiór.

- Nie ma tu Solo.

- Sprawdźcie rejon! Mógł wypaść.

Nephila clavipes podniósł jedną ze swych długich przednich nóg, poruszył nią jak anteną i dotknął palca robota. Szybko cofnął nogę. Po chwili znów dotknął cieplej, plastikowej skóry.

- Dowódca Niebieskich - odezwał się Lobo. - Nigdzie go nie ma i nic nie zauważyliśmy w drodze na dół. Solo zniknął.

Dowódca Niebieskich spojrzał na drugiego pilota i skinął głową. - Zaraz się zacznie heca, tylko czekać - powiedział

33

przez interkom. Włączył radiostację. - Centrala, tu dowódca Niebieskich.

- Odbiór - Clyde odezwał się ostro.

- Roger, Centrala. Informuję, że Czerwonego Oka nie ma we wraku. Nie ma go też w okolicy.

- Utopią mnie w gównie! - Solo usłyszał, jak Clyde mówi do Billa. - Dowódca Niebieskich, przekaz Lobo, że mają przeczesać ten rejon liść po liściu. Przesyłam wam posiłki.

- Roger, Centrala.

W ciągu minuty pająk dotknął palca Solo jedną nogą, potem dwiema nogami. Nie poruszał się.

- Dowódca Niebieskich, tu Niebieski Dwa. Właśnie natknąłem się na kilku Sandinistów niedaleko stąd.

Dowódca Niebieskich dostrzegł, że Niebieski Dwa kołuje w powietrzu w odległości około kilometra. - Roger. Ilu ich jest?

- Dwóch widziałem na pewno, jak uciekali z drogi. Pewnie drużyna.

- Roger. Zostań tam. I informuj mnie o sytuacji. Nie strzelaj pierwszy.

Solo powoli cofnął palec. Schylił się i wszedł pod pajęczynę. Wstał i szybkim krokiem pomaszerował na północ.

- Co za kurewskie szczęście! - Clyde przechadzał się za plecami Billa. - Zakładam się, że ta cholerna maszyna wpadła w ręce Sandinistów. - Clyde pocił się obficie w klimatyzowanym pokoju na myśl o tym, jaka będzie reakcja Waszyngtonu. Dwa lata do emerytury. Zdegradują mnie do szeregowca.

Clyde dostał szlify za trzecim i ostatnim podejściem. Po trzech nieudanych próbach zwalniana z korpusu oficerskiego. Gdyby nie służył w Wietnamie jako komendant regionu i nie miał w aktach dobrej opinii, zostałby pominięty przy awansach. Wietnam był jego przepustką do awansu na generała brygady. Potem gnuśniał na różnych podrzędnych stanowiskach. Był szarym generałem utrzymywanym w rejestrze kadrowym przez kolegę i aktualnego szefa, generała majora Charlesa Wilsona. Wilson i Clyde studiowali razem w Akademii Dowodzenia

34

i Sztabu Generalnego jako pułkownicy lotnictwa. Ich zażyłość wynikała ze wspólnych upodobań do pokera i alkoholu. Wilson zdecydował, że stanowisko Wojskowego Wicedyrektora Programu Solo będzie dla Clyde'a zajęciem niezbyt absorbującym lecz ważnym dla jego dalszej kariery. Clyde wyglądał na generała, i DARPA była zadowolona. Clyde wiedział, w jaki sposób osiągnął swoje stanowisko i że nie miał odpowiednich kompetencji. Ale wolał nie pamiętać. - Muszę iść na całość - powiedział do Billa. - Są jakieś wiadomości od Solo albo od kogoś innego, może jakieś odgłosy?

- Zupełnie nic, ma odłączone główne zasilanie. Nie wystarczy mu mocy, żeby nadawać.

- Ale przecież nas słyszy?

- To możliwe - odparł Bili.

- Co oznacza, że również jest możliwe - jeśli wpadł w ich ręce - że oni też nas słyszą?

- Możliwe. Mieliby wtedy podsłuch.

- Doskonała wiadomość, kurwa mać! - Clyde odwrócił się. Kark mu poczerwieniał z wściekłości. Czuł, że jest bliski szaleństwa. Po minucie znów odwrócił się do Billa. - Dobrze - mówił cicho z wielkim wysiłkiem. - Powinniśmy jednak wyłączyć nasz nadajnik, jak uważasz?

Bili skinął głową. - Myślę, że tak będzie lepiej. Możemy zostawić włączony odbiornik, może coś usłyszymy.

- Dobrze. Zrobmy tak - Clyde odwrócił się i podszedł do mapy na ścianie. - Jaka jest sytuacja, kapitanie?

Bili przysłuchiwał się informacjom udzielanym Clyde'owi przez jego podkomendnego. Jeden oddział przeszukiwał teren katastrofy, drugi poszedł za patrolem Sandinistów. Dwie kompanie Contras grupowały siły na granicy. Monitor nawigacyjny roił się od kolorowych plamek oznaczających śmigłowce, dowódców oddziałów lub patroli głębokiego rozpoznania. Nie było na nim migającej niebieskiej kropki.

35

a wysokie na milę wulkany, Maderas i Concepción, odbijały promienie zachodzącego słońca na tle ciemniejszego nieba. Eusebio Chacon, ciemnoskóry, czarnowłosy czternastoletni campesino siedział na krawędzi przystani i machał nogami nad powierzchnią wody. Rybacka łódź „Mądre de Dios” z wolna płynęła w jego stronę unosząc i kolebiąc się na zielonkawych falach jeziora Nikaragua. Jeżeli się nie pospieszy, Eusebio spóźni się do domu. Następnym razem powie siostrze, Ageli, żeby przyniosła ryby zamiast niego. Agela nie będzie marudzić i trwonić czasu, powie

matka. O nie, Agela wie jak pomóc biednej matce. Eusebio skrzywił się. Czasami chciał ją zamordować.

Gdy „Mądre de Dios” wpłynęła na spokojniejszą wodę, Eusebio zobaczył małą postać u steru machającą do niego. Inginio. Poczul uklucie zazdrości. Inginio miał dobrze. Wypływał na jezioro, za horyzont, aż do San Ramon w Maderas. Nie musiał bez przerwy kopać w ogrodzie, zbierać ryżu albo ładować koszy słodkich ziemniaków na wóz.

Usłyszał plaśnięcie pod stopami. Woda zawirowała, tak jakby pod powierzchnią przepłynęło coś dużego. Tiburón? Eusebio zerwał się na równe nogi. Nigdy nie słyszał, żeby wielki rekin pożarł kogoś siedzącego na brzegu, ale... Wyraźnie słyszał silnik łodzi rybackiej i wołanie jego kolegi, Inginia. - Eusebio. złapałem dla ciebie kolację!

- Eee...! - krzyczał do niego Eusebio. - Ty, la chica. Panienka pokładowa? Szorujesz pokład albo gotujesz jedzenie i podstawiasz im pod nos! - Eusebio uśmiechnął się szeroko, aż białe zęby zalśniły na tle brązowej twarzy.

- Haa...! - śmiał się Inginio. - A ty, campesina, miałeś dziś dobry dzień? Zebrałeś elote, uprałeś i pocerowałeś ubrania. Co?

- Te, chica, ja teraz pracuję w warsztacie samochodowym

- dumnie odpowiedział Eusebio.

„Mądre de Dios” z wolna żeglowała ku przystani. Jej silnik sapał i postukiwał na tle przekomarzanki chłopców. Inginio rzucił cumę z rufy. - Zobaczymy, czy potrafisz ją złapać, chica\

- Skręcona lina przeleciała łagodnie nad głową Eusebia i wpadła w jego podniesioną rękę. Eusebio przyciągnął linę do pachołka, przywiązał i zaczął wybierać luz.

- Świetnie, Eusebio - campesino z twarzą pooraną zmarszczkami i wesołymi oczami zawołał do niego z przystani.

- Gdybyś chciał, mógłbyś zostać rybakiem.

Eusebio uśmiechnął się szeroko do mężczyzny, ojca Inginia.

- Dziękuję, tio Justos.

Inginio wyskoczył na przystań z cumą dziobową. Gdy obwijał ją wokół pachołka, zawołał: - Ale tato, on ma za dużo roboty w obejściu.

Justos Flores skinął głową. Obaj chłopcy weszli już w wiek, pomyślał. Gdy on miał piętnaście lat, on i ojciec Euse Juan Chacon, też wyzywali się nawzajem od dziewc:

- Inginio! - Justos wykonał gest dłonią - wystarczy. Wszy mamy swoją robotę. To się liczy. Co ty byś jadł do swojej ryb^J gdyby nasi compañeros nie zbierali ryżu i fasoli? •’* Na przystani gromadzili się ludzie czekający na świeże ryby. Załoga Justosa, Raoul i Felix, zaczęli wyładowywać ryby z łodzi na brzeg przystani. Tłum otoczył półkolem sieć pełną guapotes. Pstrągi z jeziora, zielonkawe-srebrzyste, ciągle szamoczące się by odzyskać wolność, wpadały do skrzyni. Justos zawołał do ludzi: - Dziesięć córdobas za sztukę, amigos - i lekko wyskoczył na brzeg.

- Liczysz co dzień drożej, Justos - powiedziała jakaś kobieta. - Dla mnie to za drogo.

37

- Senora Arauz - obruszył się Justos. - Cena paliwa rośnie z dnia na dzień. Części do silnika, które muszą szmuglować, kosztują mnie fortunę. Ta cena pokrywa tylko moje wydatki, senora.

- Przed Zwycięstwem, guapotes kosztowały tylko dwie lub trzy córdobas - powiedziała pani Arauz z przekąsem w głosie.

- I do tego były świeże.

A ty wysyłałaś po nie służącą. Jak ta baba może jeszcze narzekać, że żywe ryby nie są świeże? Cóż ja mogę poradzić

- pomyślał Justos. Tak to jest z babami. - Si, senora Arauz. Teraz są ciężkie czasy, ale wszyscy musimy przez to przejść.

Senora Arauz chrząknęła obrażona. Włożyła dwa największe pstrągi do plastikowej torby i wrzuciła dwie monety do pudełka po cygarach, które stało na stole. - Ci Sandiniści wszystkich nas zrujnują - wymamrotała. Poprawiła czarny szal wokół szyi i podreptała w kierunku wioski. Justos pokiwał tylko głową.

W kilka minut ze sto kilogramów ryb powędrowało do kuchni w Las Cruzas.

- Muszę już wracać - powiedział Eusebio. - Mama się wścieknie.

Inginio spojrzał błagalnie na ojca. - Tato?

- Chcesz, żebyśmy sami sobie posprzątaali „Mądre de Dios”? - rzekł Justos z wyrzutem w głosie, ale już wcześniej postanowił, że pozwoli chłopcu iść.

- Nie, tato - Inginio wzruszył ramionami. - Zostanę... : - A co to? - odparł Justos z błyskiem wesołości w oku.

- Nie masz zamiaru przynieść warzyw? Chcesz, żeby biedna mama sama wszystko robiła?

- Dziękuję ci, tato - odrzekł Inginio z radością.

- No to chodź, chica - Eusebio ze śmiechem wybiegł z przystani.

Inginio dogonił go przy magazynie. Mężczyźni ładowali ciężarówkę z El Tigre, ostatnią w tym dniu. Worki z suszonymi gallo pintas, czerwoną fasolą, kosze elotes, młodą kukurydzą, która w Nikaragui uważana jest za przysmak, i kiście bananów obciążały ciężarówkę do granic możliwości. Wioska zarobi na tegorocznych zbiorach. Może, pomyślał Eusebio, matce wystarczy pieniędzy na kupno radia.

38

- Powiedziałaś, że pracujesz w warsztacie? - spytał Inginio.

- No - Eusebio zaczerwienił się. - Będę pracował, już niedługo.

- Aha, niedługo. - Inginio nie chciał drażnić Eusebia. Sprawa była zbyt delikatna. - Chyba powinieneś poprosić w spółdzielni, żeby ci pozwolili pracować na „Mądre de Dios”. Dobrze by nam się pracowało razem. A na wielkim jeziorze jest tyle przygód...

- Mówią, że na razie nie potrzeba więcej rybaków. A ja tak bym chciał pracować przy maszynach. Zdobylibyśmy więcej pieniędzy za nasze zbiory, gdybyśmy sami mogli zawieźć więcej na rynek. Ci tam - pokazał ręką za siebie, na ciężarówkę - to lodrónes, złodzieje.

Inginio pokiwał głową.

Zbliżał się do nich coche, biały wóz z jaskrawo pomalowanymi kołami, zaprzężony w woły, wyładowany trzcina cukrową. Chłopcy pomachali do woźnicy.

- Cześć, Tomas - zawołał Inginio. - Dzisiejszej nocy nasza kolej na vigilancia, zgadza się?

- Tak, estúpido - drwił Tomas. Był starszy o trzy lata, działał w organizacji Juventud i był już dowódcą warty. - W każdą środę mamy w nocy wartę, i w niedzielę też. Co się głupio pytacie.

- Que pasa, ninol - spytał Eusebio. - Pokłóciłeś się ze swoimi ukochanymi? - pokazał palcem na woły. - Nie chcą ci ostatnio pomagać?

Tomas złapał kij leżący na wozie i rzucił w nich, ale chłopcy śmiejąc się już pobiegli dalej.

Stu dwudziestu czterech obywateli Las Cruzas mieszkało w dwudziestu pięciu domach ustawionych w dwa nieregularne szeregi między rzędami palm kokosowych rosnących na zboczach doliny. Przestrzeń między domami była pusta. Na udeptanym placu-podwórzu skupiało się życie społeczne wioski. Gdy słońce znikło za grzbietem wzgórza, na zachodzie widać było jezioro i wulkany, a na wschodzie pola spółdzielni ciągnące się po obu stronach Rio Haciendas. O tej porze dnia dolinę okrywał mroczny cień Colina Duendes, Wzgórza Duchów, zaś dżungla za polami była czarna i tajemnicza.

39

Nikt nie lubił chodzić nocą do dżungli. Wypełniały ją niezliczone duchy - Duendes, Chimeques i Siga Montes, o których nikt już nic nie wiedział. Choć przodkami Eusebia i jego rodaków byli Indianie, od dawna tutejsza ludność zmieniała się w rybaków i rolników. Wiedza o dżungli została zapomniana. Żywe pozostały jedynie przesady. Ludzie żyli z tego, co wyprodukowali na polach i działkach, nie licząc przypadków, gdy udało się upolować iguanę, pancernika lub sarnę.

Zachodzące słońce odbijało się od blaszanych dachówek domu Eusebia. Poczul nagle smutek. Ten dach był dumą ojca, był oznaką dostatku, od pokoleń nieosiągalnego dla innych mieszkańców wioski. Zwycięstwo zmieniło życie wieśniaków. Teraz byli właścicielami ziemi, do której niegdyś byli przypisani.

Ciemnoczerwony krąg zachodzącego słońca skrył się niemal za czarną linią drzew. Pochyłe cienie i refleksy światła padające na dach połyskiwały krwistoczerwone. Eusebio zatrzymał się. Znalazł swego ojca w kałuży takiego szkarlatu przed wypalonym szpitalem po napadzie Contrás. Animales zamordowali go, gdy próbował gasić ogień.

- Quepasa, Eusebio? - Inginio dotknął ramienia przyjaciela. - Co tam widzisz? - Małpka mico skrzeczała w gałęziach palmy kokosowej rosnącej nie opodal domu Eusebia. Z glinianego komina unosił się dym. Siostra Eusebia, Agela, siedziała na werandzie i splatała nowy hamak.

Eusebio odwrócił się wyrwany z zadumy. - Nie, nic. Tylko to słońce.

- Słońce? - Inginio spytał kpiąco. - Jak zaczynasz gapić się na słońce, to ludzie mówią, że masz źle w głowie, nie wiedziałeś? - Skinął głową. - Chodźmy. Muszę zanieść matce warzywa.

Pobiegli do domu, rozpędzając po drodze kury i indyki.

- Eusebio! - Modesta Chacon zawołała od progu. - Czemu tak pędzisz i robisz taki hałas i kurz? - Wytarła zniszczoną rękę w szary od brudu fartuch i wyszła na werandę. - I gdzie ty się podziewałeś z rybami? Chcesz dostać jeść przed pójściem na wartę?

- Mamo, łódź przyплыnęła późno. Biegłem całą drogę.

- Aaa, rozumiem. - Odwróciła się do Inginia. - A ty, Inginio, matka czeka chyba na tę torbę? - wskazała ręką na

40

plastykową torbę na zakupy wypełnioną pomidorami, ogórkami, fasolą zawiniętą w papier i dużą kapustą.

Inginio spojrzał na torbę i skinął głową. - Gracias, tia Modesta. - Potem spojrzał na Eusebia. - Wróć za dwie godziny, żeby cię zabrać. Nie będziesz spał?

Agela zaśmiała się głośno. Inginio wybiegł, zanim Eusebio zdążył odpowiedzieć.

- Gaduła - Eusebio wymamrotał do siostry.

- Eusebio - powiedziała matka. - Potrzebuję więcej drewna na opał. - Pokazała ręką na wiklinowy kosz koło glinianego pieca. - I dlaczego muszę ci o tym zawsze przypominać? Drewno jest zawsze potrzebne. Mam sama przynosić drewno i pracować w polu?

- Pewnie, że nie, mamó. - Gdy mówił, Agela chichotała głośno, zakrywając usta ręką. Eusebio spojrzał na nią ze złością. Znów zachichotała. Zamierzył się na nią ręką. - Mamó! - krzyknęła Angela.

Modesta odwróciła się. Eusebio uśmiechnął się, chwycił kosz na opał i zarzucił go sobie na plecy. Modesta pokiwała tylko głową i weszła do środka.

- Nenal Dzieciak! - Eusebio syknął w stronę siostry.

Jego pies, Cheripa, biegł obok niego całą drogę do wiejskiego składu drewna na opał. Niska szopa stała na skraju wsi. Niezliczone stopy od stuleci wydeptywały do niej drogę. Eusebio zastanawiał się, czy stawiał stopy dokładnie w miejscach, w których zostawili ślady jego przodkowie. Jeżeli tak, to czy poczuje ducha tego, kto stapał tu przed nim? Może to nasi przodkowie zamienili się w duchy Siga Monte i śledzą kroki tych, którzy wejdą do dżungli? .

Pies zaszczekał i pobiegł w krzaki koło ścieżki. Na pobliską palmę kokosową wskoczyła iguana i uciekała po pniu między liście. Cheripa oparł się o pień drzewa i ujadął.

- Chodź, Cheripa, już uciekła.

W dżungli okalającej Colinas Duendes słyhać było wołanie tukana. Jego wołanie brzmiało jak „Yo te veo! Yo te veo! Widzę cię”. Eusebio spojrzał w górę. Szczyt wzgórza ciągle lśnił w słońcu. Jaskrawe kolory tukana kontrastowały z ciemną barwą zbocza wzgórza nie opodal casa embrujada, domu

duchów, jak mówiły o nim małe dzieci. Od czasu Zwycięstwa dom stał opuszczony. Kilku chłopców bawiło się tam czasami, ale nigdy w nocy. Trudno było nie wierzyć w duchy dżungli siedząc w nocy w domu, który z wolna zapadał się w leśnej gęstwinie.

Tukan odleciał. Światło przygasło; słońce zapadło za wyższe szczyty gór na zachodzie. Zanim Eusebio doszedł do szopy, zapadła ciemność rozjaśniana jedynie różaną poświatą nieba. Nerwowo wyciągał patyki ze sterty drewna, bojąc się ukąszenia czegoś niewidocznego. Szybko napełnił koszyk, Cheripa ujadął na coś przed szopą na wzgórzu.

Nagle ze starego domu dobiegł krzyk małp. Eusebio nie zdziwił się, gdyż wiedział, że w domu gnieździły się małpy. Całe stado wrzeszczało z trwogi. Jaguar? Eusebio zarzucił kosz na plecy i szybkim krokiem zaczął schodzić ścieżką w dół. Czuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Może to był sam Yacayo, duch, który żywi się ludzkim mięsem. Pobiegł co sił w nogach czując się nieswojo, choć wiedział, że dom jest pusty.

Wpół do ósmej Eusebio i Inginio szli razem przez plac, każdy z nich ze swoim kałasznikowem na plecach. Grupka dzieci siedziała na pudłach i składanych krzesłach przed sklepem Escopeta, który służył wiosce zarazem jako bar i sala do bilarda. Na werandzie stał włączony telewizor - jedyny w całej spółdzielni. Generator Hondy terkotał z tyłu za domem.

Eusebio uśmiechnął się, gdy zobaczył siostrę siedzącą na czele grupy. Robiła się coraz ładniejsza. I ten kukurydziany chleb, który upiekła wieczorem był wspaniały. Program pokazywany w telewizji: „Niemożliwe zadanie” był bardzo popularny i Eusebio żałował, że nigdy nie może go oglądać.

- Gdybym mógł na to popatrzeć - powiedział Inginio. - Ci jankesi potrafią robić niesamowite rzeczy.

- To dla dzieci - odparł Eusebio. - A poza tym to i tak bujda.

Inginio spojrział na przyjaciela, by sprawdzić czy aby nie żartuje. Ale Eusebio wyglądał poważnie. Inginio, mały i cichy

42

chłopiec, pozwalał koledze, by nim kierował. - To bujdy dla dzieci - zgodził się natychmiast.

Poza kręgiem dzieci kilkunastu mężczyzn grało w domino przy lampie naftowej, popijając piwo Yictoria i rum Flor de Cana. Choć nie byli na służbie, każdy z nich miał kałasznikowa opartego o krzesło. Tomas stał przy stole i obserwował grę. Widział zbliżających się chłopców. - Buenas noches, chicos - zawołał. Wziął swój karabin i dołączył do nich.

- Dziś w nocy będzie księżyc - powiedział Tomas. - Los animales nie lubią jasnych nocy.

- Ja bym chciał, żeby przyszli - powiedział spokojnie Eusebio.

- Tak - odrzekł Inginio. - Niech przyjdą. Tym razem nas nie zaskoczą. - Klepnął ręką karabin. Przygraniczne wioski były obecnie lepiej uzbrojone niż wsie w głębi kraju. - To powstrzyma kompanię tych bastardos.

Szli na południe wzdłuż rzeki zanurzając się w ciemność. Podążali do swego stanowiska na moście. W kilka minut wioska zniknęła w ciemnościach. Noc wchłonęła także w swą czerń monotony terkot generatora. Przez czyste nocne powietrze przeblyskiwały gwiazdy. Grzbiety po prawej stronie i wysokie ściany doliny na południu były jak ogromne cienie majaczące na tle gwiazd. Eusebio spojrział nieśmiało w kierunku ciemnego kształtu na zboczu wzgórza. Było już całkiem cicho.

- Może powinniśmy trzymać wartę w starym domu - powiedział. - To słabe miejsce dla naszej vigilancia.

- Za blisko dżungli - odpowiedział Tomas. - Grupa w składzie drewna widzi wszystko, co się dzieje pod wzgórzem. Poza tym animales przyjdą albo od rzeki, albo drogą od jeziora, jak ostatnim razem.

- Prawda - zgodził się Eusebio. Jego oczy przywykły już do ciemności. Widział ścieżkę nie wpatrując się w nią. Instruktor milicji sandinistowskiej uczył ich, by w czasie warty nie patrzeć długo w jedno miejsce. - Oczy muszą być w ruchu. To się potwierdzało. Inginio i Tomas byli najbliedszymi z duchów, mającymi cieniami znikającymi w chwili, gdy na nich spoglądał. Gdy patrzył w inne miejsce, widział ich sylwetki obok siebie.

43

Trzej chłopcy szli drogą w milczeniu, aż ujrzeli ciemny kształt mostu rozciągniętego nad bladą rzeką. Wartowników nie było widać. Pod mostem rzeka szemrała łagodnie na kamieniach. Tomas zagwizdał jak pajaro tonto. Ta głupia papuga odzywała się w dzień i w nocy. Wartownik odpowiedział gruchaniem gołębia. Chłopcy podeszli chyłkiem do mostu.

Obie grupy otarły się o siebie w ciemności. Wyszepotali buenas noches i zmienili się na posterunku. Tomas, Eusebio i Inginio mieli pełnić wartę do północy.

Eusebio i Inginio przeszli na drugą stronę i zajęli pozycje na brzegu obok mostu. Tomas zszedł w dół na swoje stanowisko. Tylko głowy wystawały ponad szczyt mostu. Sandiniści powiedzieli im, że animales mają specjalne okulary zrobione przez Yanquis, które pozwalają im widzieć w ciemności.

- Kiedy wzejdzie księżyc? - spytał Inginio.

- Niedługo.

- To dobrze. Nie lubię być w ciemności tak blisko cementarza - powiedział Inginio. - Widziałem światelka, świecące kulki, które się tam unosiły. To duchy

- Duchy lubią światło księżycy, Inginio. - Eusebio niewidocznie uśmiechnął się w ciemności.

- Może. Ale przynajmniej widzę dokąd uciekać - odpowiedział Inginio.

Drzewa gięły się i pochylały pod sztormowym podmuchem nadlatującego helikoptera. Bili Stewart stał oparty o balustradę tylnego tarasu i obserwował śmigłowiec, tego huczącego, świszczącego, niezgrabnego smoka młócającego powietrze, by móc unieść się nad ziemią. Ogon drgał, gdy maszyna łapała równowagę przy siadaniu na wypieszczonym trawniku. Nagły jęk wyłączanego silnika brzmiał jak westchnienie ulgi. Wskoczył z niego Clyde Haynes. Wyglądał groźnie w przepocowanym mundurze polowym i karabinem M-16 w ręku. Nie zapowiadało się, by przywiózł dobrą wiadomość.

Contras odnaleźli drużynę Sandinistów. Bili cofnął się od balustrady i wszedł do środka na spotkanie z generałem. Zatrzymał się na szczycie niesamowicie szerokich schodów ozdabiających pałacyk na styl południowy, po których schodziło się do głównego hallu.

- Twoja cholerna maszyna dała nogę, sama. - Clyde stał na dole. - Znaleźli ślady stóp niedaleko wraku. - Kiwnął głową w stronę pokoju kontrolnego, odwrócił się i odszedł.

Bili poszedł za nim, tłumiąc uśmiech. Nikomu nie uda się go schwytać.

Clyde przez radio wykrzykiwał rozkazy do swoich żołnierzy w terenie.

Bili usiadł. Włączył monitor Solo i ekran jego komputera.

- Na jednej nodze - Clyde rzucił do podwładnego. Odwrócił krzesło do Billa, przesunął rękę po wilgotnych włosach i powiedział: - Jeżeli nie znajdę Solo, to mi dopierdolą.

Bili pokiwał głową.

- Jeżeli mnie dopierdolą, to i tobie też - dodał Clyde.

To, oczywiście, nie było prawdą. Nawet gdyby Clyde potrafił przerzucić na kogoś winę, Bili nadal posiadał połowę udziałów w firmie Electron Dynamics. W NASA wielu ludzi odpowiedzialnych za katastrofę wahadłowca Challenger wyleciało z posad, ale firma Morton-Thiokol dalej produkowała dopalacze do promów kosmicznych. To Clyde miał wszystko do stracenia, ale nie warto było mu tego wypominać. Bili pokiwał głową. - Nic nie znalazłeś?

- Nic. Contras wzięli jednego Sandinistę żywcem.

- Jednego? - Bili zacisnął dłoń na oparciu krzesła z taką siłą, że aż zbiały kostki.

- Tak jak powiedziałem! - Clyde walnął pięścią w stół. - Co jest, do cholery! Tobie się wydaje, że my tu prowadzimy jakieś gry wojenne?

Bili miał wrażenie, że zaraz skoczy Clyde'owi do gardła. To Clyde był odpowiedzialny za tę aferę. Ale odpowiedział mu spokojnie: - Nigdy mi się nie wydawało, że prowadzimy jakąś grę wojenną, byłem tylko zaskoczony, że tyli ich ginie. Myślę, że byłoby lepiej, gdyby brać więcej jeńców i zdobywać informacje.

- Owszem - generał przerwał w momencie, gdy podszedł ordynans niosący drinka na tacy. Clyde wziął szklaneczkę i zapatrzył się w pustkę przed sobą. Potem ciągnął dalej. - Moglibyśmy złapać ich wszystkich. Przecież byli okrażeni. Musisz pamiętać o tym, że wśród Contras nagromadziło się wiele nienawiści do Sandinistów - trudno ich kontrolować. Ale nie o to chodzi. Trzymaliśmy jednego dostatecznie długo. Dowódcę. Nie mają pojęcia o Solo, nawet nie wiedział o co nam chodzi.

- Dostatecznie długo?

- Tak. - Clyde podniósł rękę zastanawiając się nad odpowiedzią i przerwał. - Zresztą, nieważne. Wolałbym raczej dowiedzieć się, co ty zamierzasz zrobić z tą pierdoloną sprawą.

46

- Ja?

- To ty zbudowałeś tę pierdoloną maszynę. I ty teraz powiesz mi, jak ją odnaleźć skoro już wiemy, że nie jest zniszczona. I skoro wiemy, że sama uciekła. Musi dawać jakieś sygnały, które da się wysledzić, tak czy nie?

Bili spojrzął na monitor Solo. Nic prócz szumów. - Solo ma być najwspanialszą maszyną bojową wszystkich czasów. Zna się tylko na walce. Na walce wręcz. Jak zbudować i używać dowolne narzędzie walki. Zna strategię. Wie jak atakować, bronić się, wycofywać i uciekać. Skumulował w sobie tysiącletnie doświadczenia, wie jak najlepiej wykorzystać to, do czego został stworzony. - Bili wypił łyk drinka, zamieszał kostkami lodu. - Jest cichy i zabezpieczony przed wykryciem przez przeciwnika. Dlatego, że zrobiliśmy wszystko, żeby był nie do pokonania. Teraz to się obraca przeciwko nam samym.

- A podczerwień?

- Mała szansa. Gdy porusza się w terenie, jego temperatura na powierzchni wynosi dwadzieścia jeden stopni. Gdyby stał na otwartej przestrzeni, teoretycznie możliwe byłoby wykrycie go z satelity. Ale taką temperaturę ma w słońcu wiele innych rzeczy. Zginąłby w tłumie.

- Więc, gdy mu się wyczerpią akumulatory, zostaniemy z nieruchomą, zimną, ściśle tajną bronią leżącą sobie w środku dżungli i czekającą, aż druga strona ją sobie zabierze.

- Niezupełnie. - Bili wyświetlił na monitorze schemat zasilania Solo. - Główne akumulatory zasilające dostarczają mu pełnej mocy przez około dwadzieścia godzin. Gdy się wyczerpią, ma w zapasie generator plutonowy dla podtrzymania pamięci. - Bili wskazał rysunek na ekranie. - Przy zasilaniu awaryjnym nie może się poruszać, generator dostarcza mu energii jedynie na podtrzymanie funkcji mózgu w warunkach zagrożenia. Daje bardzo mały prąd - o, tu widzisz - tylko kilka miliwatów więcej, niż potrzebuje mózg.

- A więc?

- Więc, oznacza to, że jest możliwe, żeby ten nadmiar prądu posłużył mu do podładowania głównych akumulatorów. Potrzeba tygodni, żeby naładować akumulator na dziesięć

47

procent pojemności, ale jest to wykonalne. A jeżeli ja o tym wiem, to Solo też to wie.

- Chodzi ci o to, że on po prostu może uciąć sobie drzemkę, wypocząć, a potem iść dalej?

- Tak. Całymi latami.

- Jak długo?

- Co najmniej dwadzieścia lat, pomijając większe awarie.

Clyde opadł na krzesło, upił łyk ze szklaneczki i zapatrzył się przed siebie. - Bili, gdy satelita wymyka się spod kontroli albo wypada z orbity, faceci z JPL wysyłają sygnał, który zmienia program, omija obwody, zmienia tor sygnału albo coś tam jeszcze, zgadza się?

- Zgadza, się. - Bili znów odwrócił się w stronę monitora, nacisnął kilka klawiszy i na ekranie pojawił się schemat. - Widzisz to? - wskazał na kwadracik, z którego wychodziło wiele linii.

- I co? - Clyde nie potrafił czytać schematów elektronicznych.

- On to zrobił w ten sposób.

- Co zrobił?

- Wymknął się - wyjaśnił Bili. - Ten układ kontroluje wyłącznik awaryjny i łączność. Sygnał pozycyjny, łącze satelitarne, radio. Ten układ można przeprogramować, ale Solo nie ma do niego dostępu. - Bili przesunął palec w kierunku innego symbolu, kółka ze strzałką w środku. - Ale jeżeli Solo celowo spalił ten tranzystor puszczając przez niego zbyt duży prąd, odłączył układ. Tak, jakby cały obwód został wyrwany z układu. Tak to musiał zrobić - wspaniała robota inżynierska. Teraz Solo nie można unieruchomić na odległość. Jedyne sposoby, to ręczny wyłącznik.

- Nie ma innego sposobu?

- Możemy spróbować jakichś sztuczek z radiem, ale Solo będzie miał się na baczności. Oczywiście jest też odporny na manipulowanie. - Bili nie mógł pohamować uśmiechu. Mówili o tym, jak genialne jest jego własne rozwiązanie. - To właściwie dobry znak, że Solo jest łatwo adaptującym się, uniwersalnym urządzeniem bojowym, nie sądzisz?

- Pocałuj mnie w dupę, Stewart. - Clyde dopił drinka. - Jak na geniusza technicznego potrafisz głównie gadać.

- Jeszcze się nie poddałem, Clyde. Przeprowadzam symulację na komputerze centralnym, szukam słabego punktu. Problem w tym, że przeprowadziliśmy takie próby w fazie projektowej. Ale - Bili zatrzymał się, próbując znaleźć jakieś słowa otuchy - najwięcej osiągniemy, jeżeli będziemy go przekonywać, jeżeli namówimy go do powrotu.

- Zgadza się! - Clyde nagle ożywił się. - Przecież on nas słyszy.

- Zapewne. Do momentu wyczerpania się głównych akumulatorów.

- No to zacznij gadać do skurwysyna. - Clyde poderwał się z krzesła i klepnął pięścią w otwartą dłoń. - Zbajeruj go, Bili! Obiecuj, że mu dasz, no... co robot chciałby mieć? - elektrycznego fiuta, czy coś takiego. Porozmawiaj z nim. Jeżeli zmusisz go do nadania choćby jednego słowa - Clyde strzelił kciukiem - dostaniemy go, zgadza się?

- Zgadza się - odrzekł Bili. - Jeżeli włączy nadajnik, to go wykryjemy. - Nie zagłębiał się w szczegóły. Potrzeba było około pięciu sekund transmisji, by wykryć pozycję Solo. On o tym wiedział.

- Wspaniale, jest zatem nadzieja. W tym czasie wyślę tam najlepszych ludzi.

- Chcesz posłać Amerykanów do Nikaragui? - spytał Bili z niedowierzaniem.

- Bili - Clyde spoważniał. - Nie wolno nam zbliżyć się do ich granicy nawet na dwadzieścia kilometrów. Nie mogą tam posłać naszych żołnierzy. Wiesz o tym świetnie.

49

r' ^

• 8

M.

alpy przeraźliwie hałasowały. Chłopiec w szopie obejrzał się. Z jego wyrazu twarzy Solo wynioskował, że chłopak domyślił się, iż w starym domu ktoś jest. Muszę się ukryć.

W wiosce był prąd. Zasilanie Solo szybko wyczerpywało się. Obejrzał pomieszczenie blado oświetlone gwiazdami, wiedząc, że na wzmocnienie obrazu zużywa energię. Jeden koniec domu oparty był na skale wystającej ze zbocza. Stara podłoga trzeszczała pod jego stopami. Znów odezwała się małpa. Stado uciekło, ale ciągle je słyszał szeleszczące wśród drzew okalających dom.

Ślady stóp prowadziły obok sterty starych numerów Playboya i El Diarios do rogu pokoju. Solo dostrzegł szparę kłapy w podłodze, włożył palec w uchwyt i podniósł drzwiczki. Wsunął głowę do otworu. Bezszelstnie opuścił się w dół. Po stronie zbocza otwór nie był wyższy niż cztery stopy.

Solo ukucnął i posuwał się wzdłuż ściany domu od strony wioski. Zatrzymało go głośnie syczenie. Siedząc w kucki, wyciągnął powoli rękę w geście przyjaźni. Przed sobą miał rozszoszczonego grzechotnika. Wąż wbił się zębami w jego przegub i gwałtownie cofnął. Solo sprawdził, czy rękawica jest w porządku. Ani śladu uszkodzenia. Agresja syczącego i wibrującego ogonem grzechotnika wydawała się być jego zaprojektowaną cechą. Solo przesunął się w kierunku głazu pod-

50

pierającego róg domu. Grzechotnik znów zaatakował, w łydkę. Solo nie zwracał na to uwagi. Poruszał się bardzo powoli, oszczędzając energię.

Siedząc obok głazu, Solo widział wyraźnie wioskę przez szparę w kamiennym fundamencie. W domach paliły się lampy. Przed jednym z nich migotał ekran telewizora. Słyszał warkot małego generatora. Mógłby go użyć do naładowania akumulatorów, ale żeby tam dojść potrzebna była energia, której już nie miał. Usadowił się na stanowisku obserwacyjnym.

Trzech ludzi z karabinami wyszło z wioski drogą wzdłuż rzeki. Powiększył ich obraz i rozpoznał chłopca. Rozmawiali, ale nie słyszał ich. Wtedy chłopiec spojrzał prosto na niego. Solo czytał z ruchu jego ust.: „Może powinniśmy trzymać wartę w starym domu”. Solo nie dojrzał odpowiedzi.

W końcu kiedyś tu przyjdą.

Ręce robota poruszyły się powoli. Obsypał się garścią chwastów i usiadł oparty o skałę, z głową podniesioną do góry. Jeżeli będzie ostrożnie gospodarować zasobami, nie będzie się poruszać, może obserwować wioskę. Obliczył, że trwając w bezruchu, w ciągu dwóch tygodni doładuje akumulatory na tyle, żeby móc zapuścić się do wioski. Wyłączył wizję.

Wirujący kalejdoskopowy obraz wielokolorowych plamek zlewał się w kształt przedmiotów, które Solo siłą woli zmuszał do istnienia. Chaotycznie pojawiały się przedmioty -jego buty, karabin, pająk. Widział, jak ziemia unosi się w przestrzeni kosmicznej w pobliżu jaskrawego słońca. Przypomniawszy sobie uczucie radosnego uniesienia, gdy pozwolili mu obejrzeć obraz Ziemi z satelity szpiegowskiego, pokazujący jego własną pozycję, pamiętał, jak wydawało mu się, że on sam unosi się w kosmosie. Nie zgodzili się, żeby mógł to zrobić jeszcze raz.

Przez pamięć przemknęła się kolejna scena. Bili trzymający jego dłoń. I słowa: - Ujmij moją dłoń. Teraz ściskaj bardzo powoli. Powiem ci, kiedy masz przestać. - Bili skrzywił się z bólu. - Powoli, Solo. Zgnieciesz mi dłoń. Bardzo powoli. Uważaj, z jaką siłą ściskasz. - Solo spróbował znów. Rejestrował siłę nacisku wszystkimi czujnikami dłoni i uśredniał wyniki. Pięć funtów, dziesięć funtów. - Dobrze - powiedział Bili. - Ściskaj dalej. - Piętnaście funtów. Dwadzieścia. - Dob-

51

rze. Już jest mocno. Jeszcze trochę mocniej i przeciętny człowiek zacząłby odczuwać ból. Rozumiesz? - Tak, Bili. - Spróbuj jeszcze raz.

Solo wypuścił dłoń Billa, znów ją chwycił i ścisnął z tą samą siłą, rozluźnił uchwyt. - O to chodzi - powiedział Bili z uśmiechem. - Doskonale.

Doskonale. Solo pamiętał, że to słowo pojawiało się często w czasie treningów. Gdy tylko go zbudowano, Solo nie miał ani rąk, ani nóg. Istniał tak jak każdy inny komputer - bezkształtny, we wnętrzu obudowy. W łonie, w którym rozwijał się jego umysł.

Solo pamiętał pierwsze zjawisko, które pojał: jasność. Poświęcił wiele czasu - wiele cykli mózgu - by stwierdzić, że coś się zdarzyło. Świat częściowo zmienił się, stał się jasny. Ta odmiana przykuła jego uwagę. Skoncentrował się na jasności. Przez jasność przewijała się ciemność. Badał

zmiany. Za każdym razem, gdy ciemność przesuwała się, stwierdzał, że ma obrys. Brzegi zmiany. Brzegi stawały się kształtem, doskonałym kołem. Koło wahadłowym ruchem przesuwało się przez jasność. Całymi dniami obserwował ten kształt, kieszonkowy zegarek poruszający się przed obiektywem jego kamery, jak się później dowiedział. Interesowało go tylko to, żeby dowiedzieć się, co ten kształt oznaczał. Solo widział cyfry, połysk metalu. Cyfry. Porównywał je z tymi, które zapisane były w adresach jego pamięci. Jego pamięć to zainstalowana baza danych, niemal niedostępna dla czynności rozwojowych. Komputer może wynajdywać i przetwarzać informację nie rozumiejąc jej znaczenia. Solo porównywał obserwowane cyfry z tymi, które przechowywał w pamięci. Bawił się tym odkryciem: przedmiot można było odnieść do tego, co w pamięci. Cyfry w świetle, cyfry w ciemności - takie same.

Trzy linie poruszały się na tle cyfr. Jedna szybciej niż pozostałe; podczas gdy jedna poruszała się między dwoma cyframi, druga szybko wykonywała całe obroty trzysta razy. Najwolniejsza poruszała się między dwoma cyframi, zaś najszybsza wykonywała całe obroty trzy tysiące sześćset razy. Dwie grubsze linie zachodziły na siebie dwanaście razy, ale tylko raz pokrywały się na tej samej liczbie: dwanaście. Potem cykl zaczynał się od nowa.

Coś docierało do niego jak podrażnienie, więc Solo zbadał to zjawisko. Skąd słychać było ciągle powtarzany dźwięk: zegar. Szukał w ciemności i znalazł zegar oraz listę innych kojarzących się z nim słów: dokładność, punktualność, mechanizm i wiele innych, które nie miały dla niego żadnego znaczenia. Czuł, że dźwięk słowa był kluczem do tajemnicy tego przedmiotu. Skąd dochodziło?

Zegar.

Zegar.

Zegar. Coś próbowało skojarzyć te dwie rzeczy: słowo w jego pamięci i przedmiot na tle światła.

Potem przedmiot zniknął. Pojawił się inny. Potrafił szybko odróżnić kształt: widział, że to jest przedmiot. Nie był doskonały. Był długi, na końcu miał okrągłą płaszczyznę, z której rozciągał się w pięciu kierunkach. Znowu poczuł podrażnienie: ręka.

Ręka: uścisk, chwyt, wskazywać... i setki innych skojarzeń z tym słowem. Brak w tym sensu.

Pięcioramienny przedmiot znikł i w jego miejsce pojawił się okrągły. Ruchome linie rosły, aż zobaczył koniec jednej z nich, zakończony szpiczastym trójkątem.

Wskazówka.

Przypomniał sobie poprzedni obraz - stwierdził, że stało się to automatycznie. Przedmioty nie były takie same, lecz skojarzenie powtarzało się. Czy były tym samym? Coś, co zadało tę zagadkę podpowiadało, że mają ze sobą wiele wspólnego. Sięgnął do pamięci. Wskazówka. Jedno ze słów kojarzących się z nim: zegar. Zegar: urządzenie do pomiaru upływu czasu. Upływ: ruch - to już poznał. Pomiar: kwantyfikacja. Mierzył już zależność między ruchami. Oglądał zatem - przyrząd - do mierzenia. Mierzenia czasu. Czas już poznał. Czas to cykle jego umysłu. A to - ten przyrząd - to był zegar. Czas, słowo określające odstępy między cyklami. Zegar, słowo określające przyrząd. Zegar zmniejszał się, aż wreszcie zobaczył go w całości. Pomyślał: zegar! Skąd dochodzące słowo brzmiało teraz: doskonale. Doskonały: bezbłędny, znakomity. To coś zgodziło się z jego rozumowaniem. To coś pokazywało mu przedmioty w świetle i wskazywało ich nazwy.

53

Zrozumiał. Znowu pojawił się podłużny przedmiot. Pomyślał: ręka!

Doskonale.

Solo zastanawiał się czy ten podłużny, pięcioramienny przedmiot, ręka, mierzy czas. Jeszcze nie wiedział jak o to spytać.

Siedział tutaj już dwa dni. Pokryła go warstwa pyłu. Grzechotnik zwinął się na jego brzuchu, doskonałym gnieździe dla węża, zawsze ciepłym kamieniu. O głowę Solo pająk zaczepił swoją sieć. Po ciele pełzały karaluchy, zostawiając w pyłe przecinające się ślady.

W górach na wschodzie, nad Los Tres Hermanos wstawał sobotni dzień. Odległy wierzchołek położonej na jeziorze wyspy Isla Mancarrón wyglądał jak czarny stożek na tle różowego nieba. Między zmerchem i świtem rozbłyskiwała Wenus, jej blask przygasł w świetle wschodzącego słońca. Na północy, Conception i Madera, wyglądały jak złowrogie olbrzymy.

We wsi piał koguty, gdakały kury, czekały psy. W gąszczu palm hałasowały małpy i śpiewały ptaki silgueros.

Solo włączył wizję i zobaczył trzech ludzi idących drogą wzdłuż rzeki. Wracali do domu z nocnej warty. Zauważył, że obraz staje się niewyraźny. Warstwa pyłu robi się coraz grubsza. Nigdy nie zwracał uwagi na kurz. Teraz samo podniesienie ręki dla wytarcia obiektywu zużyłoby energię, którą nagromadził przez cały dzień.

Znów wyłączył wizję i słuchał. „Juan, nie zapomnij oddać mi pieniędzy”, krzyczał jakiś mężczyzna. Do późna w nocy mężczyźni siedzieli przy piwie i rumie, kłócili się i przechwalali, rozpraszając swym hałasem ciszę nocy. Solo pomyślał, że Bili i Clyde też tak czasami robili. Nie była to rozsądna taktyka.

Solo poczuł, że grzechotnik pełza wzdłuż jego ręki. Włączył na krótko wizję. Wąż wybierał się na łowy? Sunąc, pozostawiał czarny szlak w czerwonym pyłe przykrywającym Solo. Gdyby wąż doszedł do jego głowy, mógłby oczyścić mu oczy. Ale równie dobrze mógłby owinać się wokół obiektywu, pozbawia-

54

jąc go wizji. Usłyszał: „Eusebio!” i popatrzył w stronę wioski. Chłopiec od drewna stał na werandzie i przeciągał się. Potem drapał się w pierś i spoglądał na innego chłopca biegnącego przez podwórze. Usiedli na schodkach i rozmawiali. Nie słyszał ich. Bez wzmocnienia dochodziły do niego tylko krzyki, zawołania, gdakanie i kwiki, ale musiał oszczędzać energię. Obserwując ruchy ich warg dowiedział się, że drugi chłopiec ma na imię Inginio. Kobieta przyniosła chłopcom dwa parujące kubki z kawą. Stała obok. Uśmiechała się; kiwała palcem jak przy liczeniu i potrząsała głową. Solo nie rozumiał znaczenia tych gestów.

Wiedział jedno: zdolność bojowa komunistów była godna pożałowania, bez żadnego kłopotu mógłby zdobyć generator. Sens reszty ich działań stanowił dla maszyny bojowej tajemnicę. Wyłączył wizję.

Z satelity dobiegały miliony elektromagnetycznych impulsów, które przenikały przez gałęzie, wiązki palmowych liści pokrywających dach, mahoniową podłogę i odbijały się od plastikowej skóry. Tysiące odbiorników w powłoce robota rezonowało pod wpływem tych impulsów i przesyłało sygnał do wzmacniacza. Zakodowany sygnał kazał lewej ręce Solo uruchomić wyłącznik awaryjny. Na próżno. Wzmacniacz był wyłączony.

55

o desayuno, śniadaniu, złożonym z chleba przygotowanego przez Age\ę, pimplillo, napoju z mąką kukurydzianą i kakao oraz jajek, Eusebio i Inginio wzięli maczety, worki i poszli polować na iguany. Cheripa biegł przed nimi. Rankiem w każdą sobotę wieśniacy polowali na jaszczurki, nazywane przez nich „kurczakami z drzew”.

Słońce prażyło, od jeziora powiewała chłodna bryza. Z drzewa obok drogi Eusebio zerwał manzana rosa. Podał przyjacielowi żółty gruszkowaty owoc. Inginio skrzywił się. - Smakuje jak perfumy.

Eusebio uśmiechnął się i potrząsnął owocem koło ucha, by usłyszeć pestki kołaczące się w środku. Był to rzadki owoc, zupełnie pusty w środku. Wygryzł dziurę w grubej skórce i żuł słodki miąższ o różanym zapachu. Wysypał pestki przez otwór i wdeptał bosą piętą w ziemię. Będzie potem obserwował, jak wyrasta z nich drzewo.

Cheripa szczekał gdzieś przed nimi. Warczał wpatrując się w stertę drewna.

- Coś znalazł? - spytał Inginio.

Eusebio kucnął i wpatrywał się w stertę drewna. - Nie wiem, może paca, albo tylko szczur.

- Nie lubię paca - odparł Inginio. - Czuć go rybą.

- Ja też tego nie lubię. Chodź piesku.

56

Pies grzebał w stercie, warcząc i jeżąc sierść. Spod chrustu wyskoczyło coś szarego.

- Pancernik! - krzyknął Inginio, gdy zwierzę przemknęło pomiędzy jego nogami i popędziło po zboczu.

- Łap go! - wrzasnął Eusebio.

Inginio odwrócił się, Cheripa wpadł na niego. Chłopiec przewrócił się na psa. Cheripa zaskowytał z bólu i uciekł ze skamlaniem.

Pancernik umknął w gęste krzaki na zboczu przed nimi.

- Co z ciebie za myśliwy! - naigrywał się Eusebio.

- To przez twojego głupiego psa!

- Może jego powinniśmy przynieść na kolację?

- Taki głodny to ja nigdy nie byłem - powiedział Inginio ze śmiechem.

Eusebio zawołał psa. Cheripa przybiegł i zachowywał się już całkiem normalnie. - Ven acd, bruta - Eusebio powiedział do psa i wskazał na zbocze ponad nimi.

Niewielu ludzi zapuszczało się tak daleko w dolinę Colinas Duendes. Nie było tam nic prócz widoków, a rolnicy nie mieli czasu na ich podziwianie. Człowiek, który zbudował tu domek, Don Zeledon, miał na to czas. Ale w 1979 roku uciekł z pieniędzmi do Miami. Don Zeledon był bardzo bogaty i mieszkał w wielkim domu w El Tigre. Zatrzymywał się w swoim małym quinta, gdy odwiedzał finca i gdy doglądał donos, zastanawiając się jak mogą tak ciężko pracować w upale. Był oficerem w armii Somosy i wzbogacił się na krótko przedtem. Lubił siadywać na ganku, popijać rum i oddawać się przyjemnościom ludzi bogatych. Płacił za pracę lichy i dużo wymagał. Gdy wyjechał i zostawił im swą posiadłość, wieś uznała to za zrządzenie boskie.

Don Zeledon siadywał na ganku i gwizdem przywoływał chłopców ze wsi, by załatwiali mu różne drobne sprawy. Płacił im za to grosze. Eusebio pamiętał, że kiedyś przyniósł mu papierosy. Dom był wówczas bardzo czysty. Miał jeszcze w pamięci pobielone ściany, białe wiklinowe krzesła i hamak wiszący w cieniu na ganku. Don Zeledon wziął do ręki paczkę papierosów i patrzył na jezioro zdejmując z pudełka celofan. Eusebio, wówczas dziewięcioletni chłopak, stał przy schodkach

57

na ganek i oczekiwał na swoją nagrodę. Lecz Don Zeledon spoglądał na wulkany, a potem na swe pięćdziesiąt manzanas żywej uprawnej ziemi nad rzeką, otwierał pudełko i nie zwracał uwagi na Eusebia. Chłopiec zobaczył uśmiezek na jego twarzy i odwrócił się. Don Zeledon zawołał za nim: - Esperate, pordiosero. Zaczekaj, żebraku.

Eusebio odwrócił się i zobaczył, jak Don Zeledon rzucił monetę na ziemię. Podeszedł bliżej, schylił się czerwony na twarzy i podniósł ją. Popędził wściekły drogą w dół, krzyząc: „Nie jestem żebrakiem!”

Miał satysfakcję widząc, jak biała farba odpada ze ścian, drewno butwieje, odpada balustrada. Teraz mieszkali tam małpy i robactwo. Dom zarastał leśną gęstwina. Wkrótce ziemia upomni się o to miejsce.

- Chodź, chyba że się boisz! - Inginio wskazał na dom, gdy przechodzili obok.

- Po co! Tam wszystko już się rozlatuje.

- Ale tam coś mieszka - Inginio uśmiechnął się tajemniczo.

Eusebio wzdrygnął się. Jak każdy, potrafił dowieść, że nie jest tchórzem. Nie było tam nic, z czym by sobie nie poradził.

- Dobra - odpowiedział. Zawołał Cheripę. - Dobry piesek

- powiedział słodko, gdy pies przybiegł merdając ogonem.

- Chodź, Cheripa... - Ruszył w kierunku zmurszałego domu.

Cheripa wpadł na porośnięte chwastami schody, zatrzymał się gwałtownie i zaczął węszyć. Wydał z siebie niskie warknięcie i zjeżył sierść. Eusebio mocno ścisnął maczetę i podeszedł do ganku. Schylił się i zajrzał pod schody. Całkiem ciemno. Nic nie widać. - Nic tam nie ma, Cheripa. Uspokój się.

Pies był przerażony.

- Czegoś się przestraszył - powiedział Inginio, czując się nieswojo.

- Przestraszył się swojego cienia, ten bruta - Eusebio zachichotał usiłując ukryć zdenerwowanie. Poklepał psa.

- Chodź, zajrzemy do środka. - Machnął maczetą w stronę Inginia.

Ganek sprawiał wrażenie jaskini. Eusebio czuł chłód i napięcie gdy zbliżał się do drzwi. Co się z nim dzieje? W zeszłym tygodniu był tutaj, było nawet ciemno, i nie bał się. Nic tu nie

58

ma, prócz cieni i strachu. Wiedząc że Inginio obserwuje go, Eusebio wyprostował się i dzielnie wszedł do środka.

Stojąc na ganku, Inginio odezwał się do Cheripy, który nadal warczał i skamlał pod schodami. - Cicho, ty tchórze!

- Czekał, aż Eusebio się odezwie. Słysząc było falujące crescendo żab drzewnych.

Eusebio wrócił niosąc w ręku Playboya. Otworzył go na rozkładanej, środkowej stronie. - Hej, Inginio. Moja dziewczyna znów się cieszy, że mnie widzi. Popatrz! - Miał roześmianą twarz. - Chodź, w środku wszystko jest po staremu. - Eusebio wszedł do wnętrza, a za nim Inginio.

Wszystko wyglądało jak dawniej. Usiedli na starych stołkach obok okna i w przygnionym świetle dżungli przeglądali zniszczone strony magazynów Playboya. Była to pozostałość kolekcji gromadzonej latami przez/feteros i kierowców ciężarówek. Eusebio odczytał imię dziewczyny stojącej nago przed lustrem. Donna Winfield. Kobiety jankesów są takie ładne. I ona o tym była przekonana. Podziwiała swoje odbicie w lustrze, i jest samotna - zobacz, gdzie trzyma rękę. Poczul podniecenie i skrzyżował nogi, by to ukryć. Spojrzał na Inginia. - Czemu tak mocno ściskasz nogi? Eee, hombrel

Inginio wyglądał na niewzruszonego. Widząc szeroki uśmiech na twarzy Eusebia i jego zaciśnięte uda, zaczął się śmiać. - Jest z tym problem - pokazał na swoje krocze.

- W zeszłym roku w szkole, ile razy przechodziła dziewczyna, on stawał na baczność - chichotał. - Musiałem go zasłaniać zeszytem.

- Ja też - powiedział Eusebio. - Pewnego razu Cecilia zobaczyła, jak go chowam! - Eusebio zarumienił się.

- Skąd wiesz, że zobaczyła?

- Bo koniecznie chciała pożyczyć książkę, którą trzymałem na kolanach, a jak odmówiłem, to się śmiała. Zaczepiała mnie!

- Tak? - zdziwił się Inginio.

- Tak. Powiedziała: „Eusebio, proszę. Pożycz mi książkę do historii”. Powiedziałem jej, że ma swoją, a ona na to: „Aleja muszę zajrzeć do twojej, bo swoją gdzieś podziałam”, a jak powiedziałem, że nie pożyczę, to ona chichotała. Potem powiedziała: „Eusebio, czemu jesteś czerwony na twarzy?”

59

- Cecylia jest bardzo śmiała - powiedział Inginio.

- Bezwstydna - Eusebio uśmiechnął się nagle i pokazał na stronę pisma. - Nie to co Donna.

- Nie, zupełnie nie to samo - śmiał się Inginio. - Zakładam się, że Donna wiedziałaby co robić, zamiast tylko się śmiać.

- No. I do tego bidulka potrzebuje mnie. Zobacz.

Inginio przyjrzał się dokładnie fotografii. - Tak, widzę, że potrzebuje... kogokolwiek.

Tymczasem pies przestał szczeekać i wszedł do środka. Eusebio podniósł oczy. Światło z tyłu wyraźnie oświetlało ślady ich stóp. Cheripa węszył wśród śladów. Eusebio był rozbawiony. Psy używały węchu zamiast oczu, nawet gdy to, czego szukały było całkiem widoczne.

Inginio podniósł oczy znad czasopism. - Próbuje nas znaleźć, co?

- Cheripa, tonta, tu jesteśmy! - zawołał Eusebio. Pies pomachał ogonem, ale dalej węszył od drzwi do odległego rogu pokoju.

- Może znowu znalazł pancernika? - powiedział Inginio.

Odłożyli czasopisma i poszli za psem. Inginio przykucnął obok Cheripy. Narysował palcem linię na pokrytej pyłem podłodze. - Spójrz tutaj, Eusebio, ktoś tu był, całkiem niedawno.

- Ślady butów. Może animales tu przychodzą, ostrzegąłem cię!

- Tylko jeden? Może to inny chłopak, może Tomas?

Zobaczywszy ślady obok kłapy w podłodze, Eusebio zaczął drapać się w podbródek jak jego ojciec, gdy się zastanawiał. Ślady prowadziły w jedną stronę. Ten kto tam wszedł, musiał nadal być w środku. - Chyba ktoś wchodził tędy pod dom - powiedział Eusebio.

- Tak - odrzekł Inginio. - Spójrz - wskazał na miejsce koło kłapy. - Odciski dłoni. On się spuszczał na rękach.

- Nie wyszedł tędy z powrotem - powiedział Eusebio.

- Mógł wyjść pod spodem. Myśmy tamtędy wychodzili.

- Albo jeszcze tam jest - Eusebio powiedział cichym głosem.

Inginio powolnym ruchem uniósł klapę. - No, zajrzyj do środka - wyszeptał wskazując otwór.

60

- Ja? - zdenerwował się Eusebio. - Ty otworzyłeś klapę, to sobie teraz zaglądamy - syknął.

- Ty jesteś starszy. Zajrzyj.

- O trzy dni! - Eusebio podniósł głos. Przełknął ślinę ze zdenerwowania. - Od kiedy stałeś się taki uprzejmy? To dlatego, że masz pietra, co?

Cheripa obwąchiwał smugi na podłodze. Zaskowytał cicho, jak gdyby dzieląc ich zdenerwowanie.

Eusebio pokiwał głową. Musiał się poświęcić dla tego smarkacza. Wychylał się poza krawędź, aż zobaczył do góry nogami całą przestrzeń pod domem.

Kurz wirował w strugach światła i utrudniał widzenie. Cheripa włożył głowę do otworu. Zaczął lizać Eusebia po policzku. Chłopiec skrzywił się i odepchnął psa. Słyszał, jak Inginio pyta szeptem:

- No i co? - ale tylko uciszył go gestem ręki. Im dłużej wpatrywał się, tym lepiej widział w ciemności, ale żeby mieć pewność, że nikogo tam nie ma, musiałby mieć świecę lub latarkę. Podniósł się znad otworu obok Inginia. - Mamy tu jakąś świecę?

- Widziałeś coś? - spytał Inginio.

- Gdybym coś widział, to bym nie pytał o świecę, tontol

Inginio podszedł do ściany w tyle pokoju. Nad kominkiem

znalazł świecę zatknętą w butelkę. Zapalił ją zapalniczką

i wręczył przyjacielowi. - Myślisz, że powinniśmy kogoś

zawołać? Albo pójść po karabin? - wyszeptał.

- Nie - odparł Eusebio. - Gdyby tam był człowiek, to Cheripa by szalał. Myślę, że ktokolwiek tam był, już poszedł sobie. Chcę tylko sprawdzić, czy są jakieś ślady. - Eusebio spuścił się w czeluść otworu.

Solo słyszał psa węszącego po pokoju. Zastanawiał się, co ich tak śmieszyło, gdy mówili o zaciskaniu nóg.

Pies mnie znajdzie.

Dwa dni ładowania akumulatorów wystarczyłoby na podniesienie się i zrobienie kilku kroków. O ucieczce nie było mowy. JAT-Obrona: miał Rugera - załadowanego ślepymi

61

nabojami. Mógł użyć rąk. Mimowolnie przed oczami stanął mu obraz jego pięści wbijającej się w twarz McNeila. Głowa McNeila zmieniła się w galaretę. Obraz zniknął. Nie był przyjemny. Mimo to, gdyby mnie odkryli mógłbym ich zabić. To komuniści. Ale zeszłoby się pewnie więcej ludzi, a ja nawet nie mógłbym się ruszyć.

Słyszał, jak otwierali klapę w podłodze.

Nie poruszę się, bez względu na to, co robią. Zignoruję ich, a gdy akumulatory będą dostatecznie naładowane, odbiorę im generator.

Zobaczył twarz chłopca. Eusebio rozglądając się w ciemności, spojrział prosto na niego, potem się cofnął. Możliwe, że mnie nie zauważył. Może odejdzie.

- Mamy tu jakąś świecę?
- Widziałeś coś? - spytał Inginio.
- Gdybym coś widział, to bym nie pytał o świecę, ton-tol •

Solo słyszał, jak Inginio poszedł po świecę, przyniósł ją i zapalił.

Nie ruszę się, choćby nie wiem co ze mną zrobili.

Zobaczył nogi zwisające z otworu. Chłopak, Eusebio, zeskoczył na ziemię i kucnął. Mógł prawie wyprostować się w tej dziurze - był nieduży. Eusebio usiadł na kamieniu, wyciągnął przed siebie rękę trzymającą świecę i rozglądał się. Dłonią zasłaniał twarz przed światłem.

Inginio pochylony nad otworem, spoglądał sponad Euse-bia. - Widzisz coś? - spytał.

Eusebio odwrócił się i syknął na niego, żeby się uciszył.

Są nieporadni, pomyślał Solo.

Eusebio miał dziwne przeczucie, że kupa kamieni w rogu ma kształt leżącego człowieka. Wiedział, że to tylko kamienie, ale trzeba rozwiązywać zagadki, pokonywać strach, jeżeli chce się być mężczyzną. Podkraść się bliżej, przeklinając migotanie płomienia świecy. Na ścianach zatęchłego pomieszczenia tańczyły cienie. Karaluchy uciekały w popłochu.

To światło sprawia, pomyślał Eusebio, że kamienie wyglądają jak ludzie. Kilka kroków bliżej złudzenie stało się tak silne, że nie mógł podejść bliżej: zamarł ze strachu.

62

Solo rozpoznał przerażenie w oczach Eusebia. Zobaczył mnie. Eusebio schylił się, by podnieść kamyk i rzucić nim w ciemność. Grzechotnik poderwał się z wściekłym sykiem.

Solo nigdy przedtem nie widział takiego przerażenia, jakie odmalowało się na twarzy Eusebia. Nawet na pokazywanych mu przez Billa fotografiach przedstawiających różne wyrazy twarzy. Świeca wzleciała w powietrze. Dwa odbicia płomienia zamigotały w oczach chłopaka. Grzechotnik zaatakował w chwili, gdy Eusebio cofnął się z krzykiem. Solo wyliczył, że chłopiec cofnął się za późno.

JAT-Decyzja: jeżeli chłopak zginie, to go później odnajdą. Jeżeli ja zabiję węża, będę uznany za przyjaciele, bo ocaliłem mu życie, lecz zużytkuję wszystkie swoje siły.

- Eusebio! - wrzasnęła Inginio.

Dla Eusebia życie wydało się majakiem. Grzechotnik lecący ku jego nodze wyglądał jakby płynął w wodzie. Nie potrafił dostatecznie szybko się cofnąć. Ręka zahaczyła o ostry kamień za plecami, lecz nie czuł bólu. Nie istniało nic, prócz otwartej paszczy grzechotnika i obnażonych kłów kilka cali od nogi. Nikt nie przeżył takiego ukąszenia. Stało... się?

Czarna ręka błyskawicznie wysunęła się z cienia i chwyciła węża za głowę. Grzechotnik wił się spazmatycznie, gdy jego głowa oddzieliła się od ciała w uścisku czarnej pięści. Ciało spadło na ziemię wijąc się w konwulsjach. Ręka opadła bezwładnie. Łeb gada zginął w kurzu podłogi. Jeszcze patrzył, zamykając i otwierając pysk, nie rozumiejąc co się stało. Eusebio krzyczał.

- Eusebio! - usłyszał za sobą głos Inginia. - Pobrecito, leż spokojnie zanim sprowadzę doktora...

- Nie potrzebuję doktora - odpowiedział Eusebio.

- Jeżeli będziesz się ruszał trucizna...

- Nie ukąsił mnie.

- ... rozejdzie się po całym ciebie... - Inginio przerwał, gdy zrozumiał, co Eusebio mówił do niego. - Co?

- Ten człowiek oderwał mu głowę - powiedział cicho. Człowiek leżał w bezruchu wyciągnięty na skale, z rozpostartymi rękami. Może uderzył się o kamień i ogłuszył. Człowiek miał na sobie dziwny kombinezon z plastyku, buty polowe i pas z kaburą. Pokrywał go kurz i pajęczyny.

63

- Człowiek? - Inginio zeskoczył na dół przez właz i pod-czołgał się do Eusebia.

Eusebio skinął głową i wskazał na Solo. - Stracił przytomność.

- Czemu on jest tak ubrany? - spytał Inginio.

- Nie wiem.

- Może ma na sobie jakiś nowy strój jankesów. Może kombinezon kuloodporny. Dają animales najlepsze uzbrojenie.

- Jeżeli to Contrás, to czemu uratował mi życie? - Eusebio wstał z grymasem na twarzy. Spojrzał na rękę. Z głębokiej rany na dłoni ciekła krew.

- Eusebio! Jesteś pewien, że waż cię nie ukąsił? - spytał Inginio.

- Tak. - Eusebio pochylił się nisko, by przejść pod legarami podłogi i przysunął się bliżej Solo. - Upadłem na ostry kamień. O tu - skinął ręką na Inginia, żeby podszedł bliżej. - Chodź, pomóż mi. - Inginio złapał Solo za ramię i próbował go obrócić. Człowiek ważył chyba tonę. Plastikowy kombinezon był ciepły. Eusebio gestem ręki poprosił przyjaciela o pomoc. Czuli ogromny ciężar, jakby obracali głaz. Obaj złapali za ramiona i wyteżając wszystkie siły, obrócili Solo na bok.

- Ale on wielki! - powiedział Inginio. - Pewno Yanąui, co?

- Zaraz się dowiemy - odparł Eusebio, odwracając głowę Solo. Twarz była całkiem gładka, nie miała żadnych otworów do oddychania i mówienia. Otwory na oczy były pokryte szkłem, gładko z powierzchnią twarzy. Żadnych szpar ani zamków. - Poświeć mi tu - powiedział do Inginia.

Inginio sięgnął żwawo po świecę leżącą tuż obok wytrzeszczającej oczy głowy grzechotnika. - Jemu ciągle wydaje się, że żyje. El Diabło, nie?

- Tutaj, poświeć mu na twarz. - Eusebio stał ręką kurz z gładkiej powierzchni. Pokrywy oczu dawały lekkie odbicia. - Daj mi to - Eusebio powiedział do Inginia i wziął od niego świecę. Przysunął ją blisko i rozpoczął oględziny.

Padre Cerna, ksiądz odwiedzający Las Cruzas co tydzień, raz pozwolił chłopcu przyjrzeć się aparatowi fotograficznemu. Oczy wyglądały jak obiektyw w aparacie księdza. Może to nie

64

były obiektywy, lecz lornetki, takie jakie widział w telewizji, wbudowane w maskę kombinezonu.

- To Yanąui - powiedział Inginio nagle.

Eusebio podniósł wzrok. Inginio trzymał w ręku pistolet i wskazywał napis wygrawerowany na kolbie. - Spójrz, to broń jankesów, Ruger.

- No to co? My też mamy trochę broni jankesów.

- Myślę, że to szpieg jankesów. Albo Contra ubrany w kombinezon od jankesów. Powinniśmy go związać zanim przyjdzie do siebie.

Eusebio wstał wpatrując się w Solo. Inginio miał rację. Tylko Yanąuis mogliby zbudować coś takiego. Ale dlaczego ten człowiek uratował mu życie? - Dobra, ale wynieśmy go stąd. Musimy przyjrzeć mu się dokładnie.

- Mamy go wynieść? Eusebio, nam się ledwo udało go obrócić na bok. Musi ważyć dwa quintales, albo trzy - powiedział Inginio. - To chyba ten kombinezon jest taki ciężki. Powinniśmy go tutaj zdjąć, a jak się obudzi, wziąć go do niewoli.

- Czasami nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, Inginio.

- Ale musimy się spieszyć, Eusebio. Jak mamy go wziąć do niewoli, skoro on jest wewnątrz tego kombinezonu?

- No, to zwiąż go, żeby nie mógł się ruszać, kiedy będziemy go rozbierać - powiedział Eusebio.

Solo czuł smutek z powodu węża. Wąż był niewinnym stworzeniem idącym za głosem instynktu. Nie miał zamiaru zrobić mu krzywdy, ale stało się inaczej. Poświęcił węża dla swojego własnego dobra.

Gdy chłopcy oglądali go, czuł się przyjemnie. Oni też byli niewinnymi istotami działającymi instynktownie. Choć odczuwał ją rzadko, przyjemność nie była mu całkiem obca. Przyjemność z poprawnego rozwiązania problemu była jednym z pierwszych uczuć, jakich doświadczył. Ale czemu ich rozmowa była taka zabawna? Zabawna? Znajomość definicji, to

65

jedna rzecz, a przekonanie się, co ona oznacza, to co innego. Wydaje im się, że jestem człowiekiem w kombinezonie. Wydaje im się, że mogą go zdjąć i wziąć mnie do niewoli. Gdy jeden z chłopców, Eusebio, zaglądał mu w oczy, miał ochotę powiedzieć mu „cześć”. Co chłopiec wtedy zrobiłby?

Bezsilny, Solo obserwował, jak wiążą mu ręce i nogi paskami, stękając z wysiłku. Ich powaga śmieszyła go. Był pewien, że to było właśnie to: zabawne.

Związawszy mu ręce z tyłu i nogi w kostkach, chłopcy zaczęli systematycznie badać jego skórę w poszukiwaniu „zamka”. Spojenia płyty czołowej twarzy ze skroniami wyglądały jak cienkie rysy, ale Eusebio zauważył je. Idąc ich śladem w dół szyi, dostrzegł elastyczną teflonową osłonę przeciwpylową. Znalazł wkrety typu Tora przytrzymujące czarne uszczelki zabezpieczające. - To jest przymocowane dziwnymi śrubami

- powiedział Eusebio. - Może założyć na siebie od razu całą górną połowę, jak koszulę. Poszukaj zamka koło pasa.

Solo czuł to, co czują dzieci bawiące się w chowanego. Uczucie było nowe. Nigdy nie miał z kim się bawić, miał jedynie nauczycieli i doradców.

Na biodrach miał, oczywiście, taką samą teflonową uszczelkę przymocowaną śrubami zabezpieczającymi.

- To musi być gdzieś pod spodem - powiedział Inginio, skubiąc teflon. - Moglibyśmy to przeciąć.

- Nie. On się musi jakoś otwierać.

- Może nosi ze sobą jakieś narzędzia, specjalny klucz?

- zastanawiał się Inginio.

- Może, ale gdzie?

Każda elastyczna część zbroi była zrobiona w ten sam sposób. Zamków nigdzie nie było. Potrzebowali klucza do odkręcenia śrub.

- Czy w warsztacie samochodowym są takie klucze? - spytał Inginio.

- Nie, mamy klucze do wkretów Allena, ale one są sześciokątne. Te mają kształt gwiazdy - odparł Eusebio. - Moglibyśmy spróbować coś dopasować, ale byśmy je zniszczyli.

- Eusebio, musimy zabrać go stąd zanim się obudzi. Jeśli nawet coś zepsujemy, to nie można potem tego zastąpić inną

66

śrubą? - Tłuszcz świecy kapnął na ciało Solo. - Mogę przyprowadzić ojca. On cały czas reperuje silnik w łodzi. Może. ma narzędzie, które będzie pasować?

Eusebio kiwał głową i przyglądał się zastygającym kroplom wosku. Gdy stały się przejrzyste, Eusebio dostrzegł coś na boku człowieka. Plunął na to miejsce i wytarł je rękawem. - Daj bliżej światło - powiedział. W migoczącym świetle zobaczyli niewyraźny prostokąt wielkości pocztówki. Obok niego było coś w kształcie krążka o rozmiarach małej monety. - Może to jest to

- zastanawiał się Eusebio.

Wzbierające rozbawienie doprowadzało Solo do śmiechu. Czy tak czują się ludzie, gdy się trzęsą i wydają dźwięk brzmiący jak „hahaha”? Ta boleśnie wyglądająca czynność wydawania dziwnego dźwięku fascynowała go. Nawet Bili czasami objawiał tę przypadłość i dostawał niekontrolowanych skurczów, wyglądając przy tym, jakby się krztusił. Pewnego razu, gdy Solo próbował podnieść jajko i po kolei zgniótł ich trzydzieści, Bili dostał takich spazmów, że wyglądał jakby miał zaraz umrzeć. Wydawało mu się, że jest to jakiś błąd w programie, aż wreszcie zrozumiał, o co chodzi. Musiał zrobić coś, by rozładować wzbierające napięcie. Czuł, że musi koniecznie.

Eusebio nacisnął brzeg pokrywki złącza „wejścia/wyjścia” w miejscu, gdzie cienka gumowa uszczelka wypełniała szczelinę. Pokrywka ani drgnęła.

Krążek wielkości monety miał podobną uszczelkę. Gdy Eusebio nacisnął to miejsce, krążek wydał cichy trzask i ustąpił pod naciskiem palca.

- Hej... - Eusebio cofnął się, gdy pokrywka złącza odskoczyła gwałtownie.

- Nieźle, Eusebio. Mamy zamek, co?

- Nie da się ukryć... - Eusebio był uradowany swym odkryciem. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

Inginio nachylił się nad znaleziskiem. Złącze miało kształt pudełka z dwoma otworami przypominającymi gniazda lamp radiowych. Było też coś, co miało trzy wystające bolce. Rozpoznali to natychmiast. - Chyba wtyczka elektryczna?

- powiedział Inginio.

67

Eusebio pociągnął za wtyczkę. Wysunęła się z pojemnika, ciągnąc za sobą przewód. Gdy ją puścił, przewód zwinął się do środka i wtyczka wróciła na swoje miejsce. - Po co człowiekowi prąd? - zastanawiał się Eusebio. Zaczął wyciągać przewód obiema rękami na zmianę. W kilka sekund wydobył piętnaście stóp pomarańczowego kabla.

- Nie podoba mi się to, Eusebio.

Złącze było zbyt duże. Wyciągnięty przewód zajmował wiele miejsca. Gdyby we wnętrzu kombinezonu był człowiek, zostałby przecięty na pół.

- Eusebio, widziałem takie rzeczy w telewizji.

- Eee? - Eusebio zaczął przyglądać się uważniej rozciągniętemu na ziemi człowiekowi. Poruszył się nerwowo. - Robot? Myślisz, że to robot?

- No a co innego. Jak by się człowiek w tym zmieścił? Jak by oddychał albo jadł, albo nawet sikał?

- Ale to, co widziałeś w telewizji to była bujda, nawet jankesi nie mają takiej maszyny. Niemożliwe...

- Potrzebny prąd... - odezwał się Solo.

Chłopcy odskoczyli jak oparzeni, waląc głowami w strop. Solo poczuł, że przeciążenie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył, przybiera formę cyklicznych przyływów energii znajdujących ujście przez kanał dźwiękowy. Brzmiało to jak ryk szalonego osła.

Eusebio i Inginio wskoczyli na górę po kamieniach, wydostali się na zewnątrz i czmychnęli w popłochu.

Solo ryczał, słabnąc z każdym cyklem, aż do zupełnego rozładowania akumulatorów.

68

Ii

fitp-i

Justos przyniósł z łodzi zwój lin. Raoul i Felix przynieśli bosak i sznury. Mężczyźni z wiejskiej milicji mieli ze sobą karabiny. Eusebio i Inginio szli przodem drogą pod górę. Między nimi szczekał i skakał wesoło Cheripa. Dzieci z wioski szły za nimi, ciekawe tego, co się będzie działo.

Justos zatrzymał się koło baru Escopeta, by powiedzieć, że w starym domu chłopcy kogoś znaleźli, być może od Contrás.

Modesta krzyczała: - Eusebio, lepiej szybko wracaj, nie będę na ciebie czekała z jedzeniem.

- Mam! Nie jestem głodny. Złapaliśmy coś!

- Dobrze go związałaście? - spytał Justos. Chłopcy szli obok niego.

- Tak, tato. Paskami.

- A przywiązałaście go do czegoś? Tak, żeby nie mógł usiąść albo skakać?

Inginio spojrział z pretensją na Eusebia, ten zaś odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

- Nie było do czego go przywiązać, tio Justos - odpowiedział Eusebio.

- Mam nadzieję, że jeszcze tam jest.

Cheripa biegł z przodu i poszczekiwał. Zanim Justos i chłopcy dotarli do domu, ze zjeżoną z gniewu sierścią dzielnie już ujadał pod schodami.

- Jeszcze musi tam być - powiedział Eusebio i uklęknął obok ganku. Justos i Inginio razem z nim zaglądali pod podłogę domu. - Widzę go! - krzyknął Eusebio.

- Ja nic nie widzę - powiedział Justos.

- My wiemy, gdzie jest, tio Justos. On jest czarny.

- Przynieście światło - zarządził Justos. Zanim Felix przyniósł latarkę, większość mieszkańców wioski była w drodze do starego domu.

- Odsuńcie się - powiedział Justos. - Może być strzelanina. W bezpiecznej odległości ludzie ustawili się w szpaler. Tylko wskazani przez niego mężczyźni podeszli bliżej.

- Dobra, chłopaki. Pokażcie mi go - powiedział Justos.

Solo zobaczył światło przez szpary podłogi. Z trudem mógł coś usłyszeć, jednak domyślił się, że przyszli ludzie. Czy zabijają go? Czemu całkiem wyczerpał akumulatory tym śmiechem? Czy oszalał?

Wszędzie migają światła. Pod podłogą domu rozbrzmiewały głosy, stłumione i głuche. Mężczyźni przełożyli sznury przez krępujące go pasy i mocno je ściągnęli. Po co się wysilają, pomyślał Solo.

Solo rozpoznał Eusebia i Inginia, którzy zaglądali mu w oczy, lecz inne twarze były obce. Coś mówili. Ich głosy brzmiały, jakby mówili przez koc. Jego system audio właściwie był nieczynny. „Robot...” i „Niemożliwe...” Eusebio pokazał Justosowi złącze „wejścia/wyjścia” i wyciągnął przewód. Justos, z brwiami zmarszczonymi z zakłopotania, wziął przewód do ręki i wyginał w świetle latarki. Rzucił przewód i poświecił latarką w oczy Solo. Świetliste punkty strumienia światła załamującego się w jego układzie optycznym zawirowały mu w mózgu. Oczy człowieka były oddalone od jego oczu zaledwie o kilka cali, wzrok przesuwiał się, oczy próbowały zobaczyć... jego samego.

Eusebio mówił zza pleców człowieka. „Powiedział... potrzebny prąd...” To dobrze, pomyślał Solo. Dajcie mi zasilanie i już mnie tu nie będzie. Opanowała go myśl, żeby poderwać się na nogi i zacząć walczyć. Ręce swędziały go.

70

- Uwaga! - Justos cofnął się gwałtownie. Chłopcy mieli rację. Za tymi soczewkami nie było oczu, nie miał wątpliwości. I ten kabel elektryczny. To musi być prawda. Jankesi potrafią wszystko zbudować, nawet nieprawdopodobne rzeczy. Często powtarzał kolegom, że gdyby nigdy nie widział telewizji, to by nie uwierzył w to, co o niej mówią. Nie rusza się. Zasilanie, pomyślał Justos. Prosił o zasilanie. Jeżeli mu go nie damy, będzie bezradny. Zgadza się. Ale do czego może nam się przydać taka maszyna? Uratowała chłopakowi życie. Pierwszy zobaczył węża. Może to rosyjska maszyna? Ale Rosjanie nie potrafią robić takich maszyn jak jankesi. Ale też nie zabijają campesinos. Możliwe. To może być rosyjska maszyna, która ma im pomagać. Więc powinni dać jej zasilanie. Ale ona chyba przyszła od jankesów. Gdyby tak ją mocno związać, dać zasilanie i wziąć na spytaki, można by się przekonać, czy to przyjaciel czy nie. Da się ją mocno związać? Spojrzał na Solo uważnie, próbując wyobrazić sobie, jak duże ma w środku silniki. Oczywiście, że się da, postanowił. Nawet traktor można powstrzymać. Ta maszyna nie ma tyle siły, żeby przerwać linę albo łańcuch.

- Dobra, Eusebio, przynieś bosak. Inginio, przynieś więcej lin. Felix, zluźnij tamtą linę i pomóż mi włożyć ten sznur pod niego. W piętnaście minut później Solo leżał przywiązany do bosaka i omotany linami jak kokonem.

Justos zawołał jeszcze kilku mężczyzn i kazał im ustawić się w szeregu. Pomimo ograniczonej przestrzeni udało im się wydobyć maszynę spod domu. Jak świnia przywiązana do drąga, Solo leżał na ziemi przed całą wioską.

W jaskrawym słońcu Solo zobaczył małą, która mu się przyglądała kołysząc się na gałęzi nad nim. Krąg brązowych twarzy, czarnych oczu i włosów, zasłonił mu widok. Dziecko stuknęło pętykiem w jego pierś, rozbawione się wydobywającym się z niej stukiem. Czterech mężczyzn dźwignęło drąg na plecy i poniosło drąg w dół. Ludzie dotykali jego skóry, drapali i stukali w nią paznokciami. Spośród zgiełku głosów i pokrzykiwań, wydobył jeden głos, ich szefa, „...do garażu”. Garaż: narzędzia, piły, palniki. Mają zamiar rozłożyć go na części?

71

df

de Haynes wstał i zaczął przechadzać się jak dziarski porucznik na pierwszej służbie.

Bili znów zaczął przesłuchiwać taśmę. Z głośników wydobył się przez chwilę krótki elektroniczny hałas niepokojąco przypominający odgłos wydawany przez człowieka krztuszącego się ze śmiechu.

Robert Warren, mężczyzna o muskularnej sylwetce, wysoki i jasnowłosy jak Bili, pochylił się w fotelu obok magnetofonu by lepiej słyszeć. Wsłuchując się w hałas, zmarszczył brwi, co uczyniło jego poważną twarz jeszcze groźniejszą. Taki wyraz twarzy odpowiadał jego naturze. Kształcił się w tej technice przez lata kariery w CIA. Odkrył bowiem, że jego atletyczna budowa, wzrost i

przystojny wygląd, obojętne spojrzenie, gniew graniczący z wściekłością, wywoływały u jego podwładnych lęk i posłuszeństwo. Dzięki tej technice potrafił osiągnąć wiele małym kosztem. Jako specjalny agent przysłany z Waszyngtonu, Warren mocno trzymał Clyde'a za dupę. Spojrzał wyczekująco na Billa i złagodził ostrość spojrzenia. Bili Stewart, choć formalnie podporządkowany w trakcie dochodzenia Warrenowi, był cywilem. Wpływowym cywilem.

- Jesteś pewien, że to Solo? - spytał Warren.

- Tak - odparł Bili. - To jego częstotliwość została odebrana przez antenę. Nie ma wątpliwości.

72

- Ale co to oznacza? Co to za sygnał, który wysłał jego program? - Warren sięgnął do jednej z wielu kieszeni w kamizelce koloru khaki i wydobył papierosy. Warren był dumny z tej kamizelki. Kupił ją w sklepie „Republika Bananowa” w Miami, wyprał dziesięć razy i spał w niej przez tydzień, by nadać jej odpowiednio znoszony wygląd. Dzięki kamizelce, bawełnianej koszulce z napisem L.L. Bean, wypłowiałym dżinsom, butom Rockport i odrapanemu, poobijanemu aparatowi Nikon przewieszonemu przez ramię, Warren uzyskał pożądany wygląd dziennikarskiego wygi.

- Nie nauczyliśmy go tego - powiedział Bili. - Może to jego sposób wysłania ostatnim tchem sygnału SOS.

- Ale, mam nadzieję, dowiedziałeś się czegoś dzięki temu?

- Warren skinął głową, pokazując, że chce się też dowiedzieć.

- Mamy tyle, że możemy go określić w terenie - wtrącił się Clyde.

Warren spojrzał na Clyde'a. - W terenie? To znaczy, że go macie?

Bili wystukał coś na klawiaturze komputera i wyświetlił mapę regionu. Migał na niej niebieski prostokąt pokrywający obszar Nikaragui od Pacyfiku, przez jezioro Nikaragua, do granicy Kostaryki.

- To jest ten pieprzony teren? Nic lepszego już nie potraficie? - Warren spojrzał ostro na Billa.

Clyde cofnął się i stanął za plecami inżyniera.

- Więc tak, Warren. Może powiesz mi, jak to ma działać? Sygnał był zbyt krótki. Tyle możemy zrobić bez dodatkowej informacji.

Robert Warren zamilkł na chwilę zastanawiając się nad konsekwencjami; narzędzie walki za dwa miliardy dolarów znajdowało się w Nikaragui, prawdopodobnie w rękach nieprzyjaciela. Powoli odwrócił się, miazdząc Clyde'a wzrokiem.

- Generale, nie było o tym mowy, że on jest w Nikaragui!

- Chyba nie spodziewałeś się, że będę informował o takiej sprawie przez sieć. - Clyde przełknął głośno ślinę pod wrażeniem siły Warrena. - Dziś nikomu nie można ufać.

- Owszem - odparł Warren z takim wyrazem twarzy, jak gdyby właśnie przełknął gówno. - Rozumiem to. Ale nie

73

potrafię zrozumieć, Clyde, jak ta cholerna maszyna uciekła.

Clyde wzruszył ramionami, rozkładając ręce. - Wiesz, Bob, to jest tylko test zupełnie nowego rodzaju broni. Tego nikt nie mógł przewidzieć. Powzięliśmy wszystkie środki ostrożności...

- Clyde rzucał okiem w stronę Billa. - Trzymaliśmy się planu, liczbowo. Solo się po prostu zbiesił. I tyle.

Warren odwrócił się do Billa. - Solo się zbiesił?

Bili spojrzał na Clyde'a. - W pewnym sensie tego słowa

- odrzekł.

- W jakim sensie tego słowa, do cholery? - warknął Warren.

- Wyjaśnijmy jedną sprawę, Warren. Nikt z administracji nie zwraca się do mnie w ten sposób. Zwłaszcza ktoś, kto pracuje dla ludzi, którzy zwracają się do mnie per pan. Zrozumiałeś?

Warren kiwnął głową. Uśmiech przemknął mu przez twarz. Wygląd Billa mógł wprowadzić w błąd - chudy, blady. Taki wycieńczony komputerowiec. Ale Bili nie był mięczakiem.

- Okay. Zgadzam się. Pracuję dla ludzi, ale ci ludzie są właśnie bardzo wkurwieni i oczekują wyjaśnień. Moim zadaniem jest dowiedzieć się, co się tu wydarzyło i załatwić tę sprawę. Szybko. Znam się na swojej robocie bardzo dobrze, panie Stewart. Nie mam zamiaru zadzierać z panem, ale swoją robotę muszę wykonać.

Twarz Billa rozluźniła się. - Dobrze, Warren. Będziesz robił swoją robotę. Tak długo, jak będziemy się rozumieli. Teraz odpowiedź na twoje pytanie, co się stało z Solo. Solo wszedł w konflikt i postanowił uchronić się od sytuacji, którą uznał za śmiertelne zagrożenie.

- Czyli co? - Warren pochylił się.

- Czyli to - powiedział Bili - że uznał, iż istnieje możliwość zneutralizowania go, że zostanie zasadniczo przeprogramowany i straci swą osobowość. - Na twarzy Warrena pojawiło się zdziwienie. Bili ciągnął dalej: - Ponieważ nie chciał zabić człowieka na próbę.

- Czemu nie? Czy Solo nie zabił już kogoś? - spytał Warren.

74

- Tak, przypadkowo. Na początku cyklu szkolenia, w fazie uczenia się walki wręcz zabił swojego trenera. Nie miał pojęcia jak delikatna jest czaszka człowieka. A my go za bardzo naciskaliśmy - powiedział cicho Bili. - Chyba z tego powodu ma teraz takie opory przed zabijaniem. Ale nie sądzę, żeby potrzebna była zasadnicza przeróbka. Solo pracował nad tą sprawą. Dzięki naszej indoktrynacji rozwinął w sobie szczere poczucie obowiązku, a zarazem własnej osoby. Chce być przydatny. Myślę, że mimo wszystko nadal jest przydatny.

- Podejrzewał, że może zostać skasowany? - spytał Warren. - A teraz jest gdzieś w Nikaragui i opowiada o wszystkim Sandinistom?

- Nie - odrzekł Bili. - Są zdefiniowani jako nieprzyjaciele. Solo zbyt czuje się żołnierzem, żeby im coś powiedzieć.

- Ale również myśli, że my chcemy go skasować - odpowiedział Warren. - Czy my również nie staliśmy się jego wrogami? - Warren wstał. Podszedł do monitora nawigacyjnego i wydmuchnął dym na ekran. - Dobrze przynajmniej, że ten podzielony teren to jedno wielkie jezioro. Do czego możemy się ograniczyć? Może tylko do jakichś pięciuset mil kwadratowych, co? - Warren powiedział z przekąsem.

Odezwał się chłodnym głosem do Clyde'a: - To musi się oprzeć o samą górę, Clyde. Gdybym był tobą, odtąd nosiłbym pancerne gacie. - Przyglądał się uważnie obrazowi na monitorze. - No, to musimy teraz tam pojechać i znaleźć go. - Warren zwrócił się do Billa. - Pokaż mi, jak można go wyłączyć. - Przyjrzał się jego twarzy i dodał z uśmiechem: - Uprzejmie proszę.

f!

Warren siedział na łóżku oparty o poduszkę i pocił się niemiłosiernie. Z kącika ust zwisał mu papieros, na kolanach trzymał stertę papierów, które dostał od Billa. Teczka na wierzchu zawierała

notatkę sporządzoną rok temu. Uproszczony opis działania Solo przygotowany dla administratorów programu.

75

Do odprawy w Waszyngtonie Warren nic nie wiedział o programie Solo, a mimo to miał teraz naprawić to, co tych dwóch idiotów spieprzyło. A właściwie jeden idiota i zwariowany komputerowiec. Stewart był w porządku, tylko trochę narwany. Ale jak Clyde mógł w ogóle awansować na generała? Zgubili robota, ale - jak mu to jasno wyłożył szef - robot należał do jego obszaru działania. Warren był specjalistą od tajnych misji, więc teraz on odpowiadał za odzyskanie maszyny. Jeżeli ten pierdolony robot się nie znajdzie, on pierwszy poleci, oczywiście, jego szefowie też. To mu rozjaśniło umysł. Ale jeśli odnajdzie Solo, to może jego szefowie jeszcze kiedyś będą pracować dla niego.

To, co Warren powinien wiedzieć o sprawie znajdowało się w różnych aktach w sprawie programu Solo, dostatecznie wiele, żeby zorientować się, czym jest Solo. Również Stewartowi polecono, żeby zapoznał go szczegółowo ze sposobami unieszkodliwienia, bądź zniszczenia maszyny.

Warren przeczytał napis na okładce teczki:

PROGRAM SOLO: OPIS NIE-TECHNICZNY

William Stewart, Electron Dynamics

Była też pieczęćka „Ścisłe Tajne” w poprzek napisu. Otworzył teczkę na pierwszej stronie i czytał:

Proszono mnie, abym dla osób zaangażowanych w program, a nie będących inżynierami, opisał podstawowe założenia projektowe Solo.

Założenia te zawierały warunek, aby Solo realizował w sposób możliwie wierny możliwości motoryczne człowieka, i aby dzięki temu mógł posługiwać się pojazdami, uzbrojeniem i umundurowaniem będącym aktualnie w użyciu. Solo opiera się na prostych, technicznie zaawansowanych rozwiązaniach struktury mechanicznej i motorycznej. Urządzenia poru-

76

szające niemal wszystkimi jego częściami oparte są na modelu ludzkiej anatomii wprawianej w ruch hydrauliką. W każdym miejscu, w którym człowiek posiada ważniejszy mięsień, umieszczono tłok hydrauliczny. Ruch każdego tłoka kontrolowany jest przez zawór solenoidowy, zaś każdy z setek tych zaworów jest sterowany własnym procesorem komputerowym.

Każdy procesor połączony jest równolegle z innymi w sieć współbieżnych komputerów. Przy właściwym skoordynowaniu ich działania, system potrafi poruszać się z miękkością ruchów zwierzęcia i sprawia wrażenie żywego organizmu. Dwie pompy hydrauliczne, jedna z nich jest zapasowa, utrzymują w systemie hydraulicznym stałe ciśnienie rzędu kilkuset funtów na cal kwadratowy, podobnie jak w urządzeniu wspomagającym układ kierowniczy samochodu. Pompy są napędzane elektrycznie z lekkich akumulatorów. Jedno ładowanie wystarcza na około dwadzieścia godzin działania Solo.

Bez mózgu Solo byłby jedynie kosztowną marionetką. Electron Dynamics rozwinął technologię obróbki płytek w stopniu umożliwiającym nam wyposażenie Solo w komputer równoległy składający się z miliona wzajemnie połączonych ko-procesorów umieszczonych w jego kadłubie.

Procesor równoległy o tym stopniu złożoności nie da się oprogramować w sposób tradycyjny. Należy odejść od programowania liniowego - listy instrukcji wykonywanych po kolei - na rzecz programów umożliwiających maszynie samoistne uczenie się.

Uczenie maszyny jest niezmiernie trudne. Nigdy dotąd nie zbudowano robota dwunożnego, który potrafiłby chodzić nawet po gładkiej powierzchni. Zwykły chód po podłodze obejmuje nieskończoną liczbę możliwości ruchowych. Ich sekwencja nigdy nie powtarza się w ten sam sposób. Solo potrafi chodzić, ponieważ nauczył się chodzić tak jak my - dzięki

77

temu, że często się przewracał. Nasze podstawowe programy rozruchowe, będące faktycznie zsyntetyzowaną ludzką siecią neuralną, miały na celu wyposażenie go w swoiste instynkty. Proponuje się cel do osiągnięcia, zaś rozwiązanie - które i ile procesorów ma być użytych - system musi sam opracować.

Wiele czasu poświęcił Solo na naukę widzenia, interpretowanie tego, co widzi i poruszanie się w widzianym przez niego świecie. Gdyby nagle usunąć zasilanie jego mózgu, cała zgromadzona w nim wiedza przepadłaby bezpowrotnie. Struktura mózgu - sieć neuralną i podstawowa wiedza - mogą być zarejestrowane i zachowane. Wynikające z niej czynności, które system wykonuje, umiejętności, które nabył, tożsamość, nie dają się zarejestrować. Dla ochrony tej wiedzy i naszych nakładów poniesionych na jej osiągnięcie mózg jest wyposażony w niezależny system zasilania awaryjnego, mały cykliczny generator Stirlinga. Przypomina on generator napędzany niewielką ilością plutonu, używany do zasilania sztucznych ludzkich serc. Zasilanie awaryjne wystarcza na lata. Jeżeli maszyna straci dopływ prądu w głównym obwodzie zasilania, urządzenie awaryjne zapisuje zawartość mózgu i włącza wewnętrzny sygnał pozycyjny. Dzięki temu będziemy mogli odnaleźć uszkodzone Solo i przywrócić ich funkcje. Przy produkcji kolejnych wersji robota można zastosować większe urządzenia zasilania awaryjnego dające robotowi niemal nieograniczony zasięg. Do rozwiązania pozostaje jednak problem zanieczyszczenia pola walki niezwykle szkodliwym plutonem po ewentualnym zniszczeniu robota.

Zewnętrzna powłoka Solo, oparta na opracowanych przez NASA twardych powłokach kombinezonów kosmicznych, wykonana jest z mieszaniny kev-laru i włókna węglowego, odpornego na wilgoć i strzały z broni krótkiej. W powłoce umieszczono kilka tysięcy dwojakiego rodzaju czujników. Pierw-

78

sza grupa, to czujniki naciskowe i temperaturowe - dotyk. Druga grupa, to wzajemnie połączone w matryce miniaturowe odbiorniki radiowe. W efekcie umieszczenia fazowo zsynchronizowanych matryc czujników, powłoka symuluje antenę paraboliczną, która może być wybiórczo nakierowana na satelity i inne źródła fal radiowych bez potrzeby zmiany pozycji ciała. Ponadto, odbiorniki te mogą wykrywać pole elektryczne zwierząt i pozwalają na „widzenie” ogólnych zarysów organizmów żywych za plecami lub w ciemności. W podobne zdolności wyposażone są rekiny.

System wizyjny Solo umieszczony jest w głowie. Przyrządy o sprzężeniu ładunkowym (CCD) wbudowane w kamery wysokiej rozdzielczości umieszczone są w każdym oku. Główny procesor wizji, również umieszczony w głowie, przygotowuje informację wizualną przed przesłaniem jej do mózgu. Solo potrafi wzmocnić sygnał przy słabej widoczności, tak jak teleskop gwiazdny. Potrafi dostroić system w sposób pozwalający mu widzieć w podczerwieni i ultrafiolecie. Zdolność ta, w połączeniu z rozbudowanym systemem radiokomunikacji, czyni z Solo szerokopasmowy odbiornik, jakże przydatny na polu walki. Solo może transmitować przez satelitę to, co widzi, do odległych monitorów znajdujących się w dowolnej części globu. Na polu walki dowódca używający Solo, może własnymi oczami obserwować otoczenie takim, jakim widzi je Solo.

Solo przypomina człowieka. Zagadnienie, czy Solo myśli tak jak my, jest czysto metafizyczne. Choć odczuwa emocje, jest maszyną i myśli jak maszyna. Nie jest to sztuczna inteligencja. Jest to autentyczna inteligencja „maszynowa”, odmienna od naszej.

Solo jest prawdziwym stworem kosmicznym. Nasz światopogląd wynika z tego, kim jesteśmy i gdzie jesteśmy, w wypadku Solo jest podobnie. Inaczej niż my, Solo nie posiada wrodzonych skłonno-

79

ści do podporządkowania się przywódcy lub bycia przywódcą. Solo nie jest w sposób naturalny graczem drużynowym. Próbuje to zmienić w procesie kształcenia. Zauważyłem, że choć Solo wykazuje chęć współpracy, pozostaje niezależny i niedostępny. Celem prób w terenie zaplanowanych na przyszły rok jest obserwacja, w jaki sposób poczucie niezależności wpływa na jego zachowanie się jako żołnierza.

Obecnie i w przyszłości będziemy starannie edytować światopogląd Solo. Ma on dostęp jedynie do informacji dostarczanych przez nas, w tym uproszczonych poglądów politycznych, opisów przeciwnika, jak również w ograniczonym zakresie danych astronomicznych i geograficznych potrzebnych do nawigacji. Solo rozumie świat jako miejsce, w którym ma toczyć walkę.

W efekcie końcowym możliwości Solo stwarzają przekonywającą kreację osobowości. Muszę ze wszech miar fakt ten podkreślić, gdyż mylne potraktowanie maszynowego umysłu Solo za umysł ludzki może być bardzo niebezpieczne, jak wykazał incydent z McNeilem.

O Solo można powiedzieć znacznie więcej, niż udało mi się zawrzeć w tym ogólnym opisie.

Warren wyjął następnego papierosa i postukał nim w dokument zatytułowany:

INCYDENT DOTYCZĄCY SIERŻ. McNEILA

William Stewart

Po miesiącu szkoleń wydawało się, że Solo opanował technikę walki wręcz, wobec czego zdecydowaliśmy się na usunięcie rękawic używanych dotąd na treningach.

80

Sierż. McNeil, instruktor walki wręcz, prosił nas już kilka tygodni wcześniej o usunięcie rękawic, uznałem jednak działanie takie za przedwczesne. Chodziło o to, że McNeil, ćwiczący Solo codziennie od ponad miesiąca, czuł się w pełni przekonany, że Solo świetnie już opanował przedmiot szkolenia.

W dn. 14 września 1988 r. w sali gimnastycznej Electron Dynamics w Palm Bay na Florydzie, rękawice zostały usunięte. Podczas odprawy dla Solo kładłem nacisk na fakt, że ćwiczenie ma być jedynie walka pozorowana, że tak jak poprzednio, ma powstrzymywać ciosy. Solo odpowiedział, że rozumie. Uważam, że Solo zrozumiał polecenie. Dla bezpieczeństwa miałem przy sobie przenośny nadajnik, z pomocą którego mogłem odłączyć główne zasilanie Solo.

Sierż. McNeil wszedł na środek maty, za nim Solo. Podczas pokazu obecni byli: Byron Rond, współwłaściciel Electron Dynamics, ja, gen. Charles Wilson, dyrektor programu i jego zastępca, gen. Clyde Haynes oraz czterech podoficerów z grupy szkoleniowej. (Zeznania wszystkich świadków w załączeniu).

Sierż. McNeil został poproszony o zademonstrowanie możliwości Solo. Kazał Solo zaatakować a sam miał wykonać rzut. Solo zgodził się. Podniósł rękę i zamierzył się na McNeila. Sierż. McNeil złapał Solo za przegub w chwili zamachu i przeszedł pod jego ręką. Solo przewrócił się twarzą na matę, jak gdyby McNeil wykonał rzut. Miało to na celu wykazanie zwinności i odporności Solo. Ponieważ Solo waży trzysta funtów i jest niezwykle zwinny i silny, McNeil ani nikt inny, nie dałby rady rzucić Solo na matę.

Gdy Solo podniósł się, McNeil kazał mu spróbować jeszcze raz, ale nie pozwolić mu na rzut. Solo powtórzył atak, lecz gdy McNeil schwycił jego przegub, Solo stanął w bezruchu. Gdy McNeil próbował przejść pod jego ręką, Solo nie poruszył się.

81

McNeil uśmiechnął się i powiedział: „Trzymaj się”. Zaszedł Solo z tyłu. Zadawał ciosy w jego korpus z różnych pozycji. Robot potrafił niepostrzeżenie ustawić się na każde uderzenie i wyglądał, jak gdyby był przymocowany do ‘podłogi. Zrobiło to duże wrażenie na gen. Wilsonie.

Następnie McNeil rozkazał Solo bronić się z normalną szybkością. Nie zaznaczył, że ma to być obrona nieszkodliwa. Nie uważam jednak, żeby mogła to mieć wpływ na to, co nastąpiło później. Do pomocy w pokazie McNeil wezwał trzech innych członków grupy szkoleniowej. Jak wyjaśnił McNeil, wszyscy mieli atakować równocześnie.

Przeglądaliśmy zdjęcia filmów e całego zdarzenia. Solo rzucił McNeila jako pierwszego, a następnie szybko odwrócił się, by odeprzeć atak pozostałych napastników. McNeil wrócił do wałki, złapał Solo za szyję i próbował przewrócić go do tyłu. Solo chwycił rękę McNeila i szybko zgiął do przodu rzucając McNeila ponad sobą na matę. McNeil poderwał się, ukucnął, wyciągnął ręce przed siebie przyjmując postawę obronną. Solo odpowiedział tak, jak został wyszkolony, przyjęciem takiej samej pozycji. McNeil zadał Solo cios w głowę, Solo odbił go jedną ręką, a drugą zadał cios w twarz McNeila. Muszę przy tym wspomnieć, że w trakcie szkolenia Solo, McNeil często używał określenia „uderzaj w punkt za celem „. Nie wiemy, czy zdecydował ten element ćwiczenia, czy brak rękawic, czy też oba jednocześnie. Solo nie zatrzymał ciosu. Cios zadany z pełną siłą trafił McNeila w twarz. Pięść Solo rozstrzaskala mu czaszkę i dotarła do mózgu, natychmiast pozbawiając go życia.

Trzymałem palec na zdalnym wyłączniku, mimo to nie zdążyłem zareagować przed zadaniem ciosu. Gdy Solo uklęknął nad ciałem McNeila, pomyślałem, że może zadać kolejny cios. Uruchomiłem zdalny wyłącznik i Solo upadł obok ciała McNeila.

82

Warren zgasił papierosa i pokiwał głową. Cios przeszedł przez czaszkę? Tak po prostu?

W laboratorium testy przeprowadzone na Solo daly normalny wynik. Solo powiedział, że nie wie jak to się mogło stać. Kazałem mu odświeżyć pamięć. Solo dobrze pamiętał zadanie ciosu i pokazał nam go na monitorze.

Kazałem mu odtworzyć drzewo decyzyjne - sekwencję decyzji prowadzących do zadania ciosu. Solo nie pamiętał tej sekwencji. Ujawnił się przy tym ważny aspekt umysłowości Solo. Jego samoświadomość jest wynikiem jego skomplikowania. Pod tym względem przypomina on człowieka. Wszyscy potrafimy robić rzeczy takie jak: widzenie, mowa, czy zapamiętywanie, a mimo to nie mamy pojęcia jak to robimy. Uważam, że Solo nie wie, co się stało. Może popełnić błąd, jak my wszyscy. W miarę zdobywanych doświadczeń rosną jego umiejętności. To, że jego „edukacja” kosztowała życie ludzkie, jest tragedią.

Solo nie mówi o tym zdarzeniu z własnej woli, w odróżnieniu od innych błędów popełnionych w trakcie szkolenia, jednak odpowiada napytania zadawane na ten temat.

Warren odłożył teczkę. Rozciągnął się na łóżku z rękami pod głową i patrzył na płytki dźwiękochłonne na suficie, próbując znaleźć wzór w układzie dziurek.

Więc jak mam złapać tę maszynę? To nie jest przecież Robbie Robot.

Każdy problem, pomyślał Warren, można rozłożyć na czynniki pierwsze. Plan: 1) Znaleźć drania. 2) Wyłączyć go, jeżeli się nie podda. 3) Sprowadzić go z powrotem.

Diabelnie trudny plan. Może jeszcze kilka szczegółów. Warren uśmiechnął się. W swojej piętnastoletniej karierze już kilka takich problemów rozwiązał. Większość z nich dotyczyła

83

niewprawnych amatorów w zabitych deskami kraikach. Wystarczyło, żeby na nich trochę wpłynąć. Ale złapanie Solo - to byłaby duża sprawa. To nie kłopot, to wielka szansa, pocieszał się. Wicedyrektor? Może. Tak, cholera, niewykluczone. Złapał za telefon.

- Stewart... Pan Stewart? - ton głosu Warrena wyrażał agresję i zniecierpliwienie. - Panie Stewart, chciałbym, żeby mnie pan nauczył, jak się wyłącza roboty. Jeszcze dziś. - Kiwnął głową słysząc odpowiedź Billa. - Świetnie. Do zobaczenia.

84

\J'araż należący do spółdzielni imienia Juana Valdivii - taką nazwę mieszkańcy wioski wybrali dla siebie - był szopą o trzech ścianach. Prawie wszystkie pojazdy należące do spółdzielni, w różnych fazach demontażu, były zaparkowane w garażu i wokół niego. Od czasu wprowadzenia embarga przez Stany Zjednoczone, nie było sposobu na zdobycie części zamiennych do dwóch traktorów marki John Deere, trzech ciężarówek Forda i jednego zabytkowego traktora Ferguson z lat pięćdziesiątych. Rząd zgodził się pożyczyć spółdzielni pieniądze na zakup traktora z Rosji. Bella Ruse miał być dostarczony za sześć miesięcy, ale wielu członków spółdzielni denerwował fakt, że muszą wydawać pieniądze na kiepski sprzęt. Yanquis robili najlepsze traktory.

Czterech spoconych ludzi, zmęczonych dźwiganiem na barkach związanego robota, stało i przyglądało się Felixowi i Juanowi, którzy uprzątała narzędzia i części ze stołu w warsztacie. Zrzucili Solo na połupany, brudny od oleju blat i wyciągnęli bosak.

Głowa Solo stuknęła o stół. - Przynieście łańcuchy holownicze - powiedział Justos do Juana Picado.

Tio Justos - rzekł Eusebio. - Proszę cię. On uratował mi życie. Czy liny nie wystarczą? Żadna maszyna nie poradzi sobie z tyłoma linami.

85

- Eusebio, nie mam pojęcia co to jest i do kogo należy. Nie mogę ryzykować, bo on może uratować ciebie po to, żeby dostać się do wioski i wszystkich wymordować. Skąd mogę to wiedzieć, co?

Juan i inni okręcili łańcuchy wokół szyi i kostek Solo i spięli je pod stołem.

- Eusebio, ty i Inginio przynieście generator. Wtedy dowiemy się co to za stwór. Jeżeli to przyjaciel będziemy mogli go rozwiązać. - Chłopcy pobiegli co tchu do baru Escopeta.

Tomas mówił cichym głosem do Justosa: - Może powinniśmy zawiadomić campos, żołnierzy Sandinistów?

- Żeby zabrali go do Managui i wszystkim rozpowiedzieli?

- odrzekł Justos. - To może być bardzo wartościowa rzecz. Spółdzielnia miałaby korzyść, gdyby policzyła sobie za swoje kłopoty, co?

- Claro - odpowiedział Tomas po zastanowieniu. - Ale ten, kto jest właścicielem i tak może się zgłosić i zabrać go. Nic nam nie zapłaci i jeszcze może nas zabić za to, że go zatrzymaliśmy.

- Pod warunkiem, że wie gdzie go szukać - odparł Justos.

- Jeśli będziemy ostrożni i dobrze go ukryjemy, to będziemy czekać i obserwować, kto się po niego zgłosi. Może spółdzielnia da się przekonać, żeby pomóc w poszukiwaniach? Za sutym wynagrodzeniem, co? - Justos uniósł brwi i zaśmiał się.

- Si, Justos - odrzekł wesoło Tomas. - Potrafimy szukać w dżungli, my Indios. - Ludzie w garażu zaczęli się śmiać.

- Dobry plan, Justos - powiedział Tomas. - Powinniśmy powiedzieć o tym innym na spotkaniu wieczorem.

- Już zaraz powinniśmy im powiedzieć. Niech wioska te wiadomości zatrzyma dla siebie, co?

Tomas uśmiechnął się i poszedł porozmawiać z ludźmi stojącymi na zewnątrz. Zgodzą się, pomyślał Justos. Wszystkiego mogło zabraknąć w wiosce Las Cruzas czy w spółdzielni „Juan Valdivia”, ale solidarności nigdy nie brakło. Obcy to wróg.

Chłopcy w towarzystwie ujadających psów przytaszczyli generator. Postawili go obok stołu. - Nie, nie - zaprotestował Justos. - Wynieście go na zewnątrz, postawcie za ścianą

86

i przełóżcie kable do środka. Nic nie będzie słychać, gdy go tutaj włączymy.

Solo przyglądał się. Nie będą mnie rozmontowywać. Podłączą mnie do zasilania, a ja dzięki temu będę mógł uciec. Podjąłem właściwą decyzję. Doskonale.

Za ścianą zaterkotał generator. Inginio przechylił się przez okno i podał Justosowi przedłużacz. Eusebio wskoczył za nim do środka i zaczął wyciągać z robota przewód ze złączem.

- Esperate, zaczekaj - powiedział Justos. - Powoli chłopaki. - Cała wioska Las Cruzas była w garażu, z przodu mężczyźni, za nimi kobiety. Dzieci obsiadły traktor. - Nie, amigos - powiedział Justos. - Nie możemy wszyscy tłoczyć się naokoło niego. A jak wybuchnie... albo coś innego się stanie. Odsuńcie się wszyscy na bezpieczną odległość. To nasza maszyna. Jeszcze wszyscy będziemy mogli zobaczyć jak działa, jeżeli w ogóle działa. - Justos gestem ręki kazał im się odsunąć.

Eusebio wyciągnął przewód robota i podał go Justosowi, Juan Picado podniósł lufę karabinu. - Si, Juan, uważaj na niego. Nie wiadomo, co się może stać. - Juan kiwnął głową z powagą i wycelował karabin w głowę Solo.

Justos połączył oba przewody. Wszyscy wstrzymali oddech. Rozległ się płacz dziecka.

Warkot generatora przycichł, jak gdyby zabrakło mu mocy. Justos mocno trzymał w rękach obie wtyczki, gotów rozłączyć je w każdej chwili. Generator znów zaczął pracować regularnie. Robot nie poruszał się.

- To może trochę potrwać, zanim się naładuje, jak akumulator do ciężarówki - powiedział Inginio. Justos przytaknął. Skinął ręką na Juana Picado i podał mu wtyczki. - Rozłącz to, gdyby cokolwiek się działo - powiedział do niego. Przyjrzał się pokrywom oczu Solo. Nie widać było żadnego błysku.

- Może jest zepsuty - zastanawiał się Juan.

- Może - odparł Justos. - Nie wiadomo...

- Uderzył się o kamień pod domem wtedy, gdy zabił węża

- powiedział Eusebio. - Może sobie coś ruszał. Wtedy właśnie przestał się ruszać...

- Ale potem jeszcze ryczał jak osioł - powiedział Inginio.

- Pamiętasz?

87

- Tak. Ale i tak już się nie ruszał - odpowiedział Eusebio.

- Justos, mam zajrzeć do środka? - Juan, mechanik spółdzielni podszedł do związanego robota i wziął do ręki śrubokręt. - Ja się znam na wszystkim.

- Nie, gracias - odpowiedział Justos. - Jeszcze zaczekajmy. Musi się naładować jeszcze trochę, może kilka godzin.

Pół godziny później Justos siedział z założonymi rękami na stołku obok Solo i przypatrywał mu się. Juan Picado nadal dzierżył w rękach wtyczki, lecz już nie tak kurczowo. Eusebio chwilami spoglądał na pokrywy oczu Solo. Właściwie nie było nic do roboty.

Solo pochłaniał prąd dostarczany przez mały generator w takim tempie, że maszyna niemal stanęła. Zmniejszył nieco pobór, żeby jej nie przeciążać. Czuł dreszcz wzbierającej w nim siły. Umysł rozjaśniał się. Słyszał teraz wyraźnie. Wieśniak obok stał gotów w każdej chwili odłączyć zasilanie. Powinien całkowicie naładować akumulatory, zanim odezwie się. Ktoś mógłby się przestraszyć, wyciągnąć wtyczkę i znów byłby bezradny. Nigdy więcej...

Włączył odbiornik radiowy.

- Solo - mówił Bili - słyszeliśmy twój sygnał. Odezwij się, abyśmy mogli ustalić twoją pozycję. - Krótki pisk na zakończenie oznaczał, że tekst nadawany jest na okrągło. „Solo, słyszeliśmy twój sygnał...” Jaki sygnał? Przecież nie nadawał żadnych sygnałów. Łatwo było dać się skusić i przez satelitę nawiązać łączność z głównym komputerem w Centrali, żeby sprawdzić, co to był za sygnał. To oczywiście od razu zdemaskowałoby jego pozycję.

- Si, Raoul, jestem na stanowisku. - Sygnał był z lokalnego nadajnika, częstotliwość radiostacji ręcznej. Patrol? Czy już wiedzą, że tu jestem? Na stojąco, mógłby natychmiast ustalić kierunek, z którego nadawano. Gdyby był w ruchu, ustaliby też odległość. Ale leżąc przywiązany do brudnego stołu w malutkim warsztacie, nie był w stanie rozszyfrować parametrów tak krótkiej transmisji.

Justos poruszył się na stołku. Przyglądał się oczom Solo z taką uwagą, że ten zaczął zastanawiać się, czy Justos słyszy jego myśli.

Solo ponownie odtworzył usłyszaną wiadomość i dokładnie ją przeanalizował. Nawet jeżeli nie miał odpowiednio dostrojonej anteny, powinien móc ustalić kierunek. Obliczył azymut na podstawie wykresu sygnału. Nadawano gdzieś z doliny, odległość nieznana. Jeżeli znów włączy nadajnik, on będzie gotowy.

O zachodzie słońca Justos powiedział Juanowi i innym, żeby poszli coś zjeść. Dla Justosa, Eusebia i Inginia, Agela przyniosła tacę z jedzeniem.

- Wspaniałe jedzenie, Agela, dziękujemy ci - powiedział Justos. Skinęła głową. Rzeczywiście, na tacy była prawdziwa uczta złożona z chleba kukurydzianego, sera cuajada, krojonej kapusty, chicharrones, bananów i parującej kawy.

- Nic takiego - odpowiedziała Agela z uśmiechem. Obaj chłopcy jedli, Agela zaś siadła obok i przyglądała się im z fotela traktora John Deere. Justos trzymał straż przy Solo czekając, aż Inginio skończy jeść i zmieni go,

Generator zaczął warczeć nieregularnie, zakrzusił się i stanął. Justos spojrzął na Solo i wzruszył ramionami. Chyba się nie pogniewa, że zrobimy przerwę i dolejemy paliwa. Wziął latarkę ze stołu i podał ją siostrzeńcowi. -1 jeszcze sprawdź olej. Ten silnik zawsze musi mieć olej.

Eusebio wziął bańkę z paliwem i litr oleju i wyszedł z garażu w ciemność nocy.

- Si, mają trzech ludzi na moście. - Solo obliczył, że azymut transmisji wynosił 160°. Jeśli ktoś odpowie, będzie za daleko, żeby Solo go namierzył. - W garażu pali się światło. - Ten sam azymut. Nadajnik nie zmienia pozycji. - Nie wiem, o co chodzi, zazwyczaj jest tam ciemno.

Rozmowa prowadzona była po hiszpańsku. Ludzie obserwujący wioskę mogli być albo z patrolu Sandinistów, albo Contras. Tak czy owak jest źle. Sandiniści mogliby wydać go Rosjanom, a ci rozebraliby Solo na części, to pewne. Contras

89

zwróciliby go Clyde'owi, który też go rozmontuje. Należało coś zrobić.

- Buenas noches - odezwał się Solo. Użył spokojnego, niskiego tonu głosu, który Bili scharakteryzował kiedyś jako ciepły i przyjazny.

- Tato! - wrzasnął Inginio.

Justos odstawił kubek z kawą. Agela podeszła z tyłu.

- Pójdę i powiem ludziom we wsi, co? - wyszeptała do Justosa.

- Nie, nie! - odpowiedział Justos. - Nie potrzebujemy tutaj tłoku. Zostań.

Solo odwrócił głowę, aby ludzie zorientowali się, że patrzy na nich. Szczeka stukała o łańcuch.

- Gotowe? - Eusebio zawołał zza ściany.

- Nie, chodź tu, Eusebio.

Chłopak wsadził głowę przez okno. - Eee...?

- Powiedziałem, wejdź do środka. To zaczęło mówić.

- Justos kiwnął głową w stronę Solo.

- Si - Eusebio wskoczył przez okno i podszedł do Solo.

- Co powiedziało?

- Buenas noches - znów odezwał się Solo.

- Niesamowite - wykrztusił Eusebio.

Wszyscy pokiwali głowami na zgodę i dalej w osłupieniu wpatrywali się w maszynę. Solo poczuł, że zbiera mu się na śmiech.

- Chętnie przywitałbym się z wami, gdybyście uwolnili mnie z tych łańcuchów - odezwał się Solo.

- Si - odrzekł Eusebio i ruszył do dzieła.

- Poczekaj! - krzyknął Justos. - Jeszcze nic nie wiadomo!

- Jestem waszym przyjacielem - powiedział Solo. Wszyscy skinęli głowami, gdy poprosił by go uwolnili. Mieli ochotę go uwolnić, ale trochę się bali. - Jestem wam niezmiernie wdzięczny za naładowanie mnie.

- Czy jesteś maszyną jankesów? - spytał Justos.

- Byłem maszyną jankesów. - Po wyrazie ich twarzy widać było, że dotarło to do nich.

- My nie lubimy jankesów - powiedział Justos. - Oni zabili wielu ludzi z wioski, ojca tego chłopca też. - Justos pokazał palcem na Eusebia.

90

- Wiem - skłaniał Solo. - Dlatego odszedłem od nich. - Podniósł stopy z brzękiem łańcuchów. - Zabiłem węża.

- Tio Justos! - Eusebio odezwał się z prośbą w głosie. - On ma rację. Puść go. Czy gdyby ta maszyna była tak niebezpieczna, to ocalałaby mi życie?

- Si, tato - powiedział Inginio.

- Cicho tam, niños. - Justos położył palec na ustach. - Już ci raz mówiłem, Eusebio, to może być podstęp, żeby dostać się do wioski. Wolę się upewnić.

Justos podszedł bliżej. Łańcuchy były założone na tyle luźno, że Solo mógłby sięgnąć ręką i złapać Justosa. Mógłby uciec, ale za dwadzieścia godzin powtórzyłoby się to samo. Koniec zasilania. Co wtedy? Przez jakiś czas ci ludzie będą mu jeszcze potrzebni, mają generator, paliwo, olej. Justos odezwał się. - Gdzie cię zrobili?

- Zbudowano mnie w Stanach Zjednoczonych, w firmie Electron Dynamics w Palm Bay na Florydzie - odrzekł Solo, przypadkowo ujawniając tajemnicę państwową znaną jedynie osobom związanym z programem.

Justos kiwnął głową. - Ile ich to kosztowało, żeby cię zrobić?

- Na dziś, mój koszt wyniósł: jeden miliard dziewięćset cztery miliony trzysta dwadzieścia tysięcy pięćset czterdzieści dwa dolary. Koszt wzrasta miesięcznie o trzydzieści pięć milionów dolarów.

- Powiedziałaś, miliard?! - Justos spytał z niedowierzaniem.

- Tak.

- Nie do wiary - Justos uśmiechnął się i podrapał w głowę. Solo rozpoznał ten gest. Wygrał. - Wiem jak mogę wam udowodnić, że jestem waszym przyjacielem - powiedział.

- Jak? - spytał Justos ostrożnie.

- Gdybym uwolnił się, oznaczałoby to, że nie jestem waszym więźniem, że stałem się... grzeczny.

Justos nagle zaniepokoił się. Czyżby ożywił maszynę, która potrafi z łatwością się uwolnić, może nawet ich zabić? Co on najlepszego zrobił?

Solo wyczuł zaniepokojenie. Gdyby uciekł musiałby wziąć ze sobą generator. Nie musiałby ich zabijać, wystarczyłoby ich

91

ogłuszyć. Już nauczył się, jak to się robi. W ramach pobierania nauki roztrzaskał McNeilowi czaszkę.

Lepiej byłoby, żeby jeszcze przez kilka dni pomagali mu. Miałby czas na zbudowanie czegoś cichszego i łatwiejszego do transportu niż generator Hondy. - Jeśli chcecie się przekonać, że naprawdę jestem niegroźny, to sprawdźcie amunicję w moim karabinie.

Justos kiwnął głową. Ingenio sięgnął po Rugera i wyciągnął magazynek. Justos wziął go do ręki i wyjął pierwszy nabój. Przyjrzał mu się uważnie. Nabój miał tępy koniec, a zamiast pocisku siedział w nim woskowy korek. Justos spojrzał pytająco na Solo. - Ślepy?

- Tak.

- Ale... - Justos przerwał i wyciągnął scyzoryk. Odciął korek od łuski przekonał się, że w środku był tylko proch. Znow spojrzał na Solo. - Ale czemu jankesi puścili cię ze ślepych nabojami?

- Ponieważ przechodzę próby, jestem bronią.

Chłopcy śmieli się, już spokojniejsi. Nie wyobrażali sobie, żeby maszyna wyglądająca jak Solo nazywała siebie bronią. - Chcecie się przekonać, że potrafię uwolnić się z tych łańcuchów i lin?

Jeżeli ta maszyna potrafi się sama uwolnić, pomyślał Justos, to znaczy, że mogła to zrobić wcześniej, ale nie chciała nas przestraszyć. Jeżeli zaś nie potrafi tego zrobić, to nic nam nie grozi. Justos przestał mieć wątpliwości. - Dobrze. Chcę zobaczyć, czy ci się uda. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby istniała tak silna maszyna, co potrafi zerwać te łańcuchy.

- jZostawiliście mi drogę ucieczki. - Solo wyciągnął łokieć spod liny. - Zostawiliście trochę luzu, gdy przywiązywaliście drąg. - Justos i chłopcy usłyszeli jęk napinającej się skóry. Nagle pasek

wokół przegubów trzasnął, Solo wyciągnął ręce przez liny i złapał łańcuch na szyi. Pociągnął. Okazało się, że nie jest na tyle luźny, żeby przelożyć głowę.

Justos uśmiechnął się nerwowo. - Ale łańcuch to co innego, nie?

- Tak - odrzekł Solo. - To nie skóra. - Sięgnął prawą ręką w okolice uda, odciągnął liny i klepnął nogę dłonią. Prostokąt-

92

na pokrywka odsunęła się odsłaniając pojemnik, z którego Solo wyjął duże, czarne obcęgi. Eusebio uśmiechnął się zaskoczony. Narzędzie miało osiem cali długości, było czarne z wyjątkiem srebrzyście połyskujących ostrz. Mogło się spodobać chłopcu ze smykałką do mechaniki.

- Piękne - powiedział Eusebio.

- Dziękuję - odrzekł Solo i przysunął narzędzie do szyi.

- To moje kombinerki. Sam je zrobiłem. - Odciągnął łańcuch i chwycił ogniwo w szczęki obcęgow. - Jest zrobione ze stali narzędziowej, a krawędzie tnące wykonane są z węglików spiekanych. - Ścisnął obcęgi i szczęki z łatwością przeszły przez stal. Ogniwo rozwarło się. Solo położył narzędzie obok, złapał łańcuch i skręcił w dłoniach. Łańcuch spadł na podłogę.

- Dios! - wymamrotał Justos. - Coś podobnego. Kto by w to uwierzył! - Solo podniósł się i rozciął obcęgami łańcuchy krępujące stopy. Poruszał się tak szybko, że nie można było zauważyć poszczególnych faz ruchu. Łańcuch spadł. Solo schował narzędzie do pojemnika i pokrywka zamknęła się. Skrępowane linami nogi przelożył przez krawędź stołu. Siedział tak przez chwilę, czujny na oznaki zaniepokojenia wśród obecnych.

- Dobrze? - spytał Solo.

- Si, bueno - śmiał się Justos. - Muy bueno... - Twarz promieniała mu z zadowolenia. Zawahał się próbując wymyślić imię dla tej maszyny. - Bardzo dobrze, panie Broń.

Solo podniósł rękę, zdejmując przez głowę resztki liny.

- Nie nazywam się Broń. - Wstał. Ostatnie zwoje sznura zsunęły się w kurz podłogi. Schylił się, rozwiązał nogi skrępowane paskiem Eusebia. Podał pasek chłopcu i oświadczył:

- Nazywani się Solo.

93

Justos szedł przez ciemne podwórze. Za jego plecami wstawało słońce. W jego świetle wioska wyglądała pastelowo i złoto. Powiew wiatru od jeziora szemrał w palmowych liściach. Nie zwracał na to uwagi, ale jego dom był ładny.

Zebranie poprzedniego wieczora zakończyło się pomyślnie. Powstał tajny związek. Wieśniacy uznali, że nie uczynią nic złego, jeżeli zatrzymają cenną maszynę jankesów. Gdyby musieli ją zwrócić, to za pieniądze. Tymczasem Solo był nowością, cennym nabytkiem. Jego istnienie miało być tajemnicą. Gdyby przyszli tu jacyś obcy, każdy, kto znalazłby się w pobliżu Solo, miał za zadanie pomóc mu w ukryciu się. Eusebio został przeniesiony do garażu, żeby zajmować się robotem. Jedną sprawę Justos załatwił elegancko: robot będzie używał generatora tylko w dzień, żeby wieczorami młodzież mogła oglądać telewizję.

Przez pokrycie dachów sączył się dym z palenisk. W powietrzu pachniało strawą. Justos zatrzymał się przed gankiem domu Modesty i podszedł do drzwi. Eusebio siedział pochylony nad stołem i maczał chleb w mleku. Podniósł oczy i uśmiechnął się szeroko. - Buenos dias, tio Justos!

- Dzień dobry, Eusebio. To będzie dla ciebie pierwszy dzień w nowej pracy, jesteś gotowy?

- Pewnie, że tak. Solo będzie reperował forda. - Eusebio przełknął chleb. - Solo potrafi robić części do maszyn, nie

94

wiedziałeś o tym wujku? Pomoże nam zreperować wszystkie maszyny. Jest wspaniały. Gdybyś słyszał, ile on wie. Wart jest swojej ceny. Zna się na maszynach. Potrzebujemy maszyn, żeby spółdzielnia miała lepsze wyniki, zgadza się?

Solo siedział na podłodze i wiązał buty. Cheripa przybiegł do drzwi i zawarczał. Justos uśmiechnął się. Robot ubrany był w rzeczy Escopeta, ale to nie zmyliło psa. Modesta przerobiła jedną z koszul Escopeta, największego ze wszystkich we wsi, żeby weszła na Solo. Długie rękawy znoszonej błękitnej koszuli ukrywały jego ręce. Czerwona chustka przysłaniała szyję. Dżinsy były trochę za krótkie, ale buty miały wysokie cholewy. Nawet w ubraniu zakrywającym całe ciało i słomianym kapeluszu zasłaniającym pół głowy, trudno było ukryć twarz. Nikt i tak by nie zwrócił uwagi, ponieważ plan zakładał, że nikomu nie wolno zbliżyć się do niego na tyle blisko, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Buenos dias, Solo - powiedział Justos.

Solo wstał i wygładził spodnie. Cheripa szczeknął i uciekł. Solo popatrzył na psa i odwrócił się do Justosa. - Dzień dobry. - Głos miał wesoły, zadowolony. Trudno było zgadnąć, co właściwie czuje. Żadnej mimiki.

- Potrafisz robić części zamienne? - spytał Justos.

- Tak, dobrze jest, gdy narzędzie walki potrafi szybko samo siebie zreperować.

Justos przytaknął ruchem głowy. - Mamy tak mało narzędzi. Jak możesz zrobić koło zębate do forda, jeżeli nie mamy frezarki?

- Nie martw się, potrafię je zreperować. Naspawam nowy metal na zużytą powierzchnię części i na nowy ząb. Potem spiłuję naddatki na właściwy wymiar i zahartuję tryb. Umiem sprawnie posługiwać się pilnikiem.

- Mogę to sobie wyobrazić - odrzekł Justos. - Po tym co widziałem zeszłej nocy...

- Nigdy nie zapomnę ich wyrazu twarzy! - powiedział Eusebio.

Justos śmiał się. Podczas pokazywania go ludziom z wioski kogoś zainteresowały jego ręce i dłonie - jak były zbudowane. Solo poprosił o papier i ołówek i usiadł przy stole w barze

95

Escopeta. Ołówek szybko poruszał się po papierze. Szybciej, niż można było podpatrzyć pociągnięcia, na papierze pojawił się rysunek jak drukowany, dzięki któremu Solo wyjaśnił działanie swoich rąk, wskazując w trakcie mówienia na różne podzespoły.

Gdy wyjaśniał konstrukcję dłoni, sięgnął po kombinerki w schowku na nodze. Z rączki wyjął klucz. Włożył go w otwory na przegubie i odkręcił. Zdjął uszczelkę z przegubu, a potem rękawicę.

Dzieci nie mogły się nadziwić, kiedy Solo demonstrując szkielet swojej dłoni, poruszał palcami. Pozwolił każdemu przyjrzeć się z bliska. Palce z tytanu i ścięgna z kevlaru umieszczone w teflonowych prowadnicach poruszały się jak żywe. Ręka wyglądała jak doskonała kopia ludzkiej części ciała.

Tak, pomyślał Justos, poradzisz sobie z opiłowaniem koła zębatego.

- Eusebio - zawołała Modesta. - Gdzie jest mój najlepszy nóż? Używałeś go?

- Nie, mamó.

Modesta odwróciła się do nich i wytarła ręce w 7 fartuch.

- No to gdzie on się w takim razie podział?

- Duende Mico - powiedział Eusebio.

- Duende Mico? - spytał Solo.

- To duch, który wygląda jak małpa. Mieszka w dżungli a w nocy zakrada się do wsi i kradnie różne rzeczy.

- Duch?

- No wiesz, coś niezwykłego. W dżungli jest ich dużo.

- Nigdy żadnego nie widziałem - odrzekł Solo.

- Ale już szedłeś przez dżunglę, co?

- Tak.

- No, a nie miałeś wrażenia, że coś idzie za tobą. A jak stanąłeś, to też się zatrzymało. Odwróciłeś się, nikogo nie było. Ale czułeś, że coś tam jest. Zgadza się?

Solo często przystawał w drodze do Las Cruzas. Zastanawiał się, czy go śledzą. To o tym mówi Eusebio? - Tak, czułem to.

- Widzisz, to była Siga Monte, leśny duch. Ona jest niegroźna. Ale są też inne duchy, bardziej niebezpieczne

- powiedział Eusebio.

96

- Tak? - zdziwił się Solo.

- Zanim zajmiecie się duchami - wtrącił Justos - pozwólcie mi coś powiedzieć. - Justos wyglądał na zatroskanego.

- Dziś wieczorem mamy szkolenie z sierżantem Floresem, pamiętacie?

- Oczywiście, tio Justos. Rozumiem. Zadbam o to, żeby Solo się ukrył.

- Dobrze. - Justos odwrócił się i miał zamiar wyjść.

- Justos, zaczekaj chwilę - powiedziała Modesta. - I uważaj tam na siebie, i na rekiny...

- I na Apoyeque, wujku Justos. Na niego też uważaj

- zaśmiał się Eusebio.

- Nie martwcie się, będę uważał - powiedział Justos i wyszedł.

- Co to jest Apoyeque - spytał Solo. Eusebio używał nie znanych mu słów.

- Nie radzę ci z nim walczyć, Solo. - Eusebio wstał od stołu.

- Apoyeque to wielki potwór mieszkający w jeziorze. - Eusebio zatoczył ręką łuk. Na jego twarzy widać było szczerłość.

- Większy niż ten dom! Co za widok! Złote łuski i ogromne uszy...!

- Naprawdę?

- Tak, Solo. Sam go widziałem na jeziorze przy pełni księżyca. Tylko wtedy można go zobaczyć.

- Chciałbym zobaczyć tego Apoyeque. - Solo podszedł do stołu i usiadł. Krzesło zatrzęszczało niebezpiecznie.

- Nie, nie - krzyknęła Modesta. - To krzesło zrobił Juan. Wstawaj. - Zamachnęła się na niego ścierką.

Solo wstał ostrożnie ze wzrokiem wpatrzonym w nią.

Modesta nagle poczuła lęk. Nie było sposobu odgadnąć zamiarów Solo. Zaczęła żałować ostrego tonu. - O, tu.

- Podsunęła mu ławkę. - To jest mocne. - Uśmiechnęła się nerwowo.

- Juan? - spytał Solo.

- Tak, mój mąż. Ojciec Eusebia. Dobry człowiek.

- Zabili go Contrás? - Solo spytał siadając na ławce.

- Tak, animales zabili go. Próbował gasić pożar nowej przychodni, którą oni podpálili. - Łzy zakręciły się jej w oczach.

97

Solo wiedział, że jest to znak wielkiego smutku. - Strzelili mu w plecy... - Przerwała.

Eusebio wstał i przytulił ją. Był o głowę wyższy od matki. Wtuliła mu głowę w ramiona i szlochała.

- Możemy pójść teraz i zobaczyć Apoyeáuel - spytał Solo.

- Nie - odparł Eusebio. - Teraz nie jest na to pora. Nie widzisz co się dzieje? Ty nic nie rozumiesz?

Solo usiadł w ciszy. Przyglądał się płaczącej Modeście i zastanawiał się nad pytaniem.

Juan Picado nie wiedział jak zabrać się za naprawę skrzyni biegów, ale ponieważ robot miał pracować dla niego, i był przecież maszyną, więc i tak byłaby to zasługa Juana, gdyby udało się uruchomić choć jeden z tych gruchotów.

Solo pomógł Eusebio i Juanowi podnieść na lewarkach starego forda z lat pięćdziesiątych i położyć klocki pod osie. Pomogli mu wyciągnąć skrzynię biegów. Pół godziny później skrzynia rozłożona na części leżała na stole.

Eusebio przyglądał się masie kół zębatach, sprężyn i sworzni. - Jak to potrafisz złożyć z powrotem?

- Zapamiętałem poprzedni układ części. - Solo wręczył chłopcu stos zębatek. - Możesz to wyczyścić?

- Pewnie, ale mam nadzieję, że wiesz co robisz.

Solo spojrzał wymownie na chłopca. - Wiesz, to jest łatwe.

Solo rozpalil ogień w warsztatowej kuźni. Zanim Eusebio skończył czyścić koła, w piecu już huczało.

Gdy Eusebio zmagal się z długim drągiem skórzanego miecha paleniska, Solo patrzył, jak włożony do ognia tryb robi się czerwony. - Kiedy rozgrzeje się na kolor słomkowożółty - powiedział Solo - wyjmemy je i powoli ostudzimy.

- Ale po co rozgrzewamy to koło, skoro zaraz potem mamy je ostudzić? - spytał Eusebio, zdyszany od wysiłku głosem.

- Trzeba zahartować stal przed spawaniem. Możesz mocniej pompować?

- To ty powinieneś pompować - odezwał się Eusebio. - Ty jesteś maszyną.

98

- Jak sobie życzysz - odparł Solo. - Ale miech jest za paleniskiem, więc ja nic nie będę widział. Sam będziesz musiał określić, kiedy tryb rozgrzeje się do właściwej temperatury.

- Na słomkowożółty kolor?

- Tak, promieniując fale o długości około pięciu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu pięciu angstroemów.

- Angstroemów?

- Owszem. Ty nic nie rozumiesz?

Eusebio uśmiechnął się. - Nie wszystko, ale chcę się wszystkiego nauczyć.

- Ja też - dodał Solo. Podszedł do sterty rupieci w rogu garażu. Wrócił niosąc potłuczone lustro wsteczne. Położył je na skrzynce i wrócił do miechów. - Ustaw lustro tak, żebym widział palenisko - powiedział biorąc do ręki drąg miecha. - Powiem ci, kiedy będzie dobra temperatura. Ty też się czegoś nauczysz.

Solo dał w miech. Ogień huczał jak szalony. Eusebio na polecenie Solo otworzył drzwiczki popielnika. - Okay - powiedział Solo. - Temperatura prawie dobra. Widzisz, jak żółty kolor błednie?

- Aha...?

- Jeszcze moment... już!

Eusebio odwracając twarz od żaru paleniska, schwycił tryb obcęgi. Trzymał je nad podłogą, ciągle odwracając twarz od żaru pałającego z rozgrzanego do białości metalu. Nie wiedział, co ma z nim zrobić. - Co teraz?

- Tutaj, rzuć na podłogę.

Uniosły się kłęby pary i dymu. Solo zbliżył się do rozpalonego koła na podłodze z wiadrem piasku i zasypał nim tryb.

- Będzie stygnąć wolniej. Potem zrobi się dostatecznie miękkie do spawania.

Eusebio wytarł rękawem pot z czoła. - Ja bym nie potrafił tego tak rozgrzać. jf
- Nie? Ale może we dwóch dalibyście radę? % , Mieszkańcy Las Cruzas
mieli zwyczaj przerywania pracy na

posiłek i sję. Eusebio poszedł do domu. Modesta i Agela czekały z obiadem.

99

Solo został, by pracować nad skrzynią biegów. Juan Picado cieszył się, bo robota szła dalej, a on mógł się zdrzemnąć. Co za przyjemność! Gdy wychodził, Solo zaczął spawać małe kawałki metalu do zębarki.

Eusebio wrócił po obiedzie, nie kładąc się na drzemkę. Chciał zobaczyć jak idzie robota.

Przed garażem, przy śmietniku, pracował generator ładując akumulator ciężarówki. Solo stał wewnątrz nachylony pod otwartą maską silnika i coś reperował. Eusebio zajrzał mu przez ramię, Solo składał gaźnik. - Eusebio, znalazłem zanieczyszczenia w dyszy - powiedział nie odwracając głowy.

Eusebio zdziwił się. - Masz oczy z tyłu głowy?

- Nie, ale to nie byłoby złe.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Poznałem cię po chodzie.

Eusebio kiwnął głową. - Nie będziesz już reperował koła zębatego? - powiedział wskazując na stół.

- Nie. Już skończone. Trzeba je tylko zahartować.

Eusebio gwizdnął z podziwu widząc lśniący kawał obrobionego metalu. Gdyby tego nie widział na własne oczy, nie uwierzyłby, że to ten sam poszczerbiony i popekany tryb, który dopiero co wyjęli ze skrzyni biegów. - Solo - odezwał się Eusebio. - To jest fantastyczne! Zrobiłeś to pilnikiem?

- Tak.

- To chyba cud!

- Nie, to tylko tryb. - Solo wziął zębatkę w rękę i podszedł do paleniska. - Jeżeli znów weźmiesz się za obcęgi, to ja będę pompował. - Włożył tryb do żaru i odsunął się. Ale tym razem ty wrzucisz rozgrzany tryb do kubła z olejem. - Pokazał ręką na pogieęte wiadro z ocynkowanej blachy wypełnione do połowy czarną cieczą. Podszedł do miechów. W kilka minut tryb rozgrzał się do czerwoności.

Eusebio kucnął przed paleniskiem i wpatrywał się w ogień. Na sygnał podany przez Solo włożył obcęgi do pieca. Żar palił go w twarz, wysuszając niemal gałki oczne. Powieki poruszały się z trudem. Odwracając wzrok od ognia, chwycił tryb w obcęgi, wyciągnął z paleniska i włożył do oleju. Zaskwierzało i buchnęło dymem. Rozluźnił uchwyt obcęgow i cofnął się. - Ho, ho!

100

Solo ukucnął nad wiadrem i mieszał w nim kijem. Olej przestał wreszcie dymić i bulgotać. - Należy mieszać kąpiel hartowniczą, gdyż z powodu pęcherzy na powierzchni metalu mogą powstać wady. - Sięgnął, włożył rękę do wiadra i wyciągnął tryb. Przyjrzał się mu dokładnie, a następnie wręczył go chłopcu.

Eusebio obracał w rękę ciepły, pokryty olejem kawał metalu i szukał uszkodzeń, które widział uprzednio. Nie było żadnych rys ani pęknięć. Podszedł do stołu i szmatą wytarł tryb do sucha. Błyszczał jak nowy. Odwrócił się do Solo z uśmiechem. Solo wyciągnął ze zlewu drucziany koszyk zawierający inne fragmenty skrzyni biegów.

Wysypał części na blat stołu. Jego ręce poruszały się jak błyskawica, gdy rozkładał fragmenty mechanizmu na blacie. - Jeżeli będziesz je brał do suszenia w tym porządku, to szybko uporamy się z montażem.

Eusebio skinął głową, wyczyścił do sucha pierwszą część i wręczył ją Solo. Skrzynia jakby składała się w oczach. Po piętnastu minutach, gdy ostatnia część została wytarta, skrzynia była gotowa. Solo wlał do niej dwa litry oleju przekładniowego i sięgnął po obudowę.

- Zaczekaj - powiedział Eusebio. Zajrzał do środka. Widział już, jak Juan męczył się przez cały dzień przy montażu skrzyni biegów.

- Zgadza się? - spytał Solo.

- To jest nie do wiary! - powiedział Eusebio.

- To jest skrzynia biegów - odparł Solo i przykręcił pokrywę. Gdy podniósł ją z blatu, wszedł Juan.

- Gotowe? - zapytał z niedowierzaniem.

- Si, Juan - odpowiedział Eusebio. Wspaniałe, co? - Eusebio zaśmiał się widząc wyraz twarzy Juana i poszedł za Solo do ciężarówki.

Solo postawił skrzynię na ziemi, wczuł się pod samochód i usadowił pod silnikiem. - Jeżeli mija podacie, to włożę ją na miejsce.

Juan i Eusebio podnieśli ciężką skrzynię i postawili na wyciągniętych rękach Solo. Gdy wypuszczali ją z rąk, ze zdziwieniem zauważyli, że ramiona robota nawet nie drgnęły.

101

Solo położył się pod ciężarówką i swobodnie przeniósł skrzynię nad swoją piersią. - Eusebio, powiesz mi kiedy śruby mocujące wejdą w obudowę silnika.

- Si! - Eusebio wdrapał się na ciężarówkę, Juan za nim i obaj kierowali ruchami Solo. - Pięć centymetrów w górę. Dobrze, jeszcze troszkę... - Skrzynia weszła na swoje miejsce. Solo podtrzymywał ją, a Eusebio i Juan przykręcali śruby.

Wyciągnęli klocki spod osi i spuścili ciężarówkę z lewarów. Usiadła na obręczach. W czasie gdy Eusebio i Juan pompowali opony, Solo skończył składać gaźnik, zamontował akumulator i podłączył kable. - Jak skończycie pompować, to wszystko będzie gotowe.

- W takim razie jest gotowe! - Juan wskoczył do szoferki. Rozrusznik kręcił przez minutę zanim gaźnik napełnił się paliwem. Silnik krztusił się, naraz zaskoczył i ruszył. Z garażu uniósł się błękitny dym, ford ożył. Eusebio i Juan wrzeszczeli z radości.

- Teraz będzie próba. - Juan nacisnął sprzęgło i wrzucił wsteczny bieg. Ciężarówka potoczyła się gładko do tyłu. - Ej, wy tam! Chodźcie się przejechać - krzyczał Juan. - Zrobimy próbną jazdę.

- Nie ma potrzeby - odpowiedział Solo. - Będzie działać.

- Jestem pewien, że tak. Ale tak dla przyjemności... Chodź, Solo! - krzyknął Juan.

Eusebio wskoczył do kabiny. Dla przyjemności? - pomyślał Solo. Obaj spojrzeli na niego i kiwali rękami, żeby wsiadał. Byli bardzo szczęśliwi. Przecież tylko zreperował skrzynię biegów. Usiadł obok Eusebia.

Juan ruszył z rykiem silnika, koła zabuksowały, śmiali się. Dojechał do magazynu, dodając gazu, żeby wszyscy usłyszeli. Tomas i Federico przybiegli uradowani. Jechali tą ciężarówką dwa lata temu, a potem się zepsuła. - Juan, dostałeś wreszcie części? - spytał Tomas.

- A komu tam potrzebne części? - śmiał się Juan. - Sami potrafimy wszystko zrobić. - Skłonił głowę w ukłonie przed Eusebio i Solo.

- der to? - spytał Tomas ze śmiechem.

- Claro - odpowiedział Juan, uśmiechając się jak kretyn.

102

- To niech nas jankesi w dupę pocałują! - krzyczał Tomas.

Solo spojrział w dal. Na plaży szara czapla kroczyła ponad leżącymi nieruchomo aligatorami. Ptak stawał na ich grzbietach i wydziobywał coś ze skóry. Solo powiększył obraz i zobaczył, że czapla zjada kleszcze.

- Jedziemy wypróbować ciężarówkę - zapowiedział Juan.

- Adiós, jefes. - Odjechali drogą przy brzegu w kierunku El Tigre.

Eusebio łykał chłodną bryzę. Solo przytrzymał ręką rondo swojego słomianego kapelusza i obserwował mijane palmy kokosowe, szukając w gałęziach małp.

Po przejechaniu dwóch kilometrów Eusebio powiedział:

- Juan, myślę, że powinniśmy już zawracać.

- Porąę, niño? Nie podoba ci się wycieczka?

- Podoba się, ale z nami jest Solo. Jeżeli ktoś go zobaczy...

- Nikt tędy nie chodzi - odrzekł Juan. - Nikt nie przychodzi do Las Cruzas - powiedział ze śmiechem i przeniósł wzrok na drogę. - Aj... - Eusebio zeszytywniał.

Blokada.

Dwóch żołnierzy, Sandinistów podniosło do góry broń, każąc im się zatrzymać.

Juan chciał zawracać, ale żołnierzom na pewno wydałoby się to podejrzane. Zobaczył, że Solo poruszył się i zerknął w jego stronę. Robot wcisnął się głęboko w siedzenie i zsunął słomiany kapelusz na twarz. Musimy zaryzykować, pomyślał Juan. Zwolnił i zatrzymał ciężarówkę obok żołnierzy. Gdy jeden z nich podszedł, Juan wychylił się przez okno, uśmiechnął odważnie i powiedział. - Buenas tardes, compañeros.

Żołnierze rozpoznali go. - Buenas, Juan. Jedziesz do El Tigre?

- Nie - Juan odrzekł pośpiesznie. - Tylko wypróbujemy ciężarówkę, Raoul.

- Żołnierz podszedł do okna kierowcy. - W porządku. Ale niedaleko stąd była zasadzka. Contrás zatrzymali ciężarówkę i zabili dwie kobiety i mężczyznę.

Juan i Eusebio pokiwali ponuro głowami. Solo siedział z kapeluszem nasuniętym na oczy. - Quien es! - spytał żołnierz.

- To Yirgilio. Znasz go?

103

- Yirgilio? Nigdy go przedtem nie widziałem. Wielkolud z niego. Co mu się stało?

Juan przyłożył wysunięty kciuk do ust i odchylił głowę do tyłu.

Żołnierz skinął głową. - Borracho, pijany, co?

Eusebio i Juan uśmiechnęli się. Człowiek pod kapeluszem chrapał głośno. Żołnierz też zaczął się śmiać. Juan zerknął z przestachem. - No, Raoul, musimy już wracać. Mamy jeszcze dużo roboty. Buenas!

- Buenas, Juan. Uważaj na Contrás. - Żołnierz zasalutował i odszedł na pobocze. W tym czasie Juan zawrócił ciężarówkę. - Borracho - powiedział do kolegi. Jak Indios mogą się bronić, jeżeli ciągle są pijani?

W czasie gdy mężczyźni odbywali zbiórkę oddziału milicji w barze Escopeta, w domu Modesty Solo siedział za stołem pochylony nad stertą narzędzi i różnych części.

Przy świetle świecy Agela obserwowała go z drugiego końca pokoju, reperując haftowany szal, który niegdyś należał do jej prababki. Ubranie, które Solo musiał nosić, było na niego za ciasne i wyglądał w nim dziwnie. Ale on wcale nie jest niezdarą, myślała. Z jaką dokładnością poruszały się jego palce przy pracy. To, nad czym pracował, miało sprężyny, kable i małe śrubki. Robot składał części z pewnością siebie, typową dla osoby z dużym doświadczeniem w tych sprawach. Trudno było uwierzyć, że Solo jest tylko maszyną.

Sierżant Rudolfo Flores stał za stołem w barze Escopeta.

- Quietos, por favor, amigos. - Nikt nie zwrócił uwagi, więc spróbował jeszcze raz: - SILENCIO! - Mężczyźni spojrzeli na niego, obrażeni. - Lo siento, amigos. Musimy przecież zaczynać.

- Oye\ - Justos krzyknął do środka, gdzie mężczyźni przyglądali się Inginio i Tomasowi grającym w bilard.

- Yamonos, chicos. - Sala bilardowa opróżniła się. Mężczyźni poszukali sobie miejsc przy stolikach do domina na zewnątrz. Inginio i Eusebio siedzieli przy jednym stoliku i jak inni

104

mężczyźni popijali piwo. Trzyletni Hector Yaldez przydreptał do Eusebia i spytał: - Gdzie jest Solo?

Eusebio pochylił się i wyszeptał: - Óssss... Nie mówimy o nim przy obcych. - Hector spojrzął na sierżanta Floresę, wzruszył ramionami i odszedł.

- Entonces - powiedział Flores. - Otwieramy dzisiejsze spotkanie Sandinistowskiego Komitetu Obrony. - Uśmiechnął się nerwowo, skrępowany faktem, że musi przemawiać przed publicznością.
- Po pierwsze, mam dla was dobrą wiadomość. Obecnie rząd może wysłać na granicę więcej ludzi. Nasze szeregi powiększyły się o wielu patriotycznie nastawionych ochotników z różnych miast i wsi z całej Nikaragui. Niedługo między waszą wsią i granicą z Kostaryką pojawi się więcej patroli. Z waszą pomocą obronimy wioskę przed imperialistycznymi agresorami. Już więcej nie będą was terroryzować.

Eusebio i Inginio popatrzyli na siebie. Znow ta sama gadka. „Już więcej nie będą was terroryzować”.

Flores łyknął trochę wody i skrzywił się spoglądając w stronę hałaśliwych dzieci bawiących się na podwórzu. - Ale, amigos, potrzebujemy pomocy. Wiejska milicja może być dobra tylko wtedy, gdy jest odpowiednio wyszkolona. Starajcie się, uczcie się walczyć, i pomagajcie bronić nasz kraj przed inwazją imperialistów. - Spojrzał wprost na Eusebia i Inginia. Możecie chłopcy wstąpić do regularnej armii, kiedy skończycie szesnaście lat. Może już niedługo znajdziecie się w szeregach najlepszej formacji zbrojnej w Ameryce Środkowej. Flores po ojcowsku pozdrowił ich skinieniem głowy. - Jeżeli się postaracie.

Po zakończeniu przemowy do rekrutów, Flores poświęcił następne pół godziny na omówienie podstawowych metod organizowania posterunków, niebezpieczeństwa zasypiania na warcie, utrzymania broni w gotowości, a także pełnienia służby wartowniczej.

Eusebio nie mógł się skoncentrować na pogadance. Flores głądził dalej, a Eusebio marzył o dniu, kiedy będzie mógł latać.

Po powrocie z przejażdżki rozmawiał z Solo o lataniu. Czy Solo potrafi latać? Tak, potrafi latać helikopterem - wymienił ich co najmniej z tuzin: Huey, Blackhawk i LOH - myśliwcem,

105

takim jak F16, a nawet rosyjskim MiG-iem. Transportowcem, bombowcem, samolotem zwiadowczym; potrafił latać wszystkim. Potrafił latać balonem. Eusebio poczuł, że znalazł bratnią duszę.

Gdy spytał Solo, czy potrafi zbudować samolot, ten odparł: - Oczywiście, a ty nie?

- Potrafisz zbudować samolot, tutaj?

- Tak. Mógłbym zbudować tutaj kilka rodzajów sam-otów, albo żyrokopter czy balon.

Flores dalej głądził o tym jak konserwować AK-47. Natomiast Eusebio unosił się nad chmurami i szybował nad jeziorem Nikaragua w kierunku wulkanów.

Inginio trącił go łokciem.

- Zamykam zebranie - oznajmił Flores. - Czy są jakieś pytania...?

- Nie? - Flores przerwał ciszę. - Skoro tak, to pozwólcie, amigos, że na pożegnanie podzielę się z wami następującą myślą...

- Jestem Solo! - krzyknęło dziecko. - Złapię cię!

Flores zobaczył trzyletniego Hectora z rękoma uniesionymi jak mały potwór. Gonił siostrę, Annę, uciekającą przed nim i krzyczącą z uciechy.

Dziwne, pomyślał Flores. Jestem solo! Sam? Złapię cię? Zabawa dziecka nie miała sensu, ale wszyscy poruszyli się i odwrócili głowy na dźwięk tych słów.

Chrząknął. Matka Hectora pobiegła za dzieckiem. Uśmiechnął się. - Jak już powiedziałem, amigos... - Mężczyźni znowu patrzyli na niego. - Ostatnia sprawa. Jeżeli będziecie spać na warcie, to pamiętajcie o jednym: Contrás i Yanquis nie mają takiego poważania dla życia ludzkiego jak my. Lubią zabijanie i nie boją się śmierci. Nic dla nich nie znaczy. Wybebeszą was jak świnię i obetną wam jaja. Już to widziałem. Oni nie śpią na warcie. Oni dobrze walczą, amigos, pamiętajcie o tym. Od nas zależy, żebyśmy walczyli lepiej od nich.

106

rozgdakały się na widok lśniących kołpaków błękitnej furgonetki GMC stojącej przed wejściem do krytego blachą budynku mercado. Po obu jej stronach widniały starannie wymalowane litery „TV”. Antena satelitarna na dachu skierowana była prosto w niebo.

Robert Warren, Joe Garcia i Jim Ruiz, każdy z coca-colą w dłoni, wyszli ze sklepu i ruszyli w stronę samochodu.

- Twoja kolej - powiedział Warren do Garcii.

Garcia, niski, ciemny i muskularny, usadowił się bez trudu na fotelu kierowcy. Jim Ruiz usiadł na miejscu pasażera, a Warren z tyłu.

Przyglądając się swemu odbiciu w lustrze kołpaka, kogut nastroszył się gniewnie i dziobnął blachę.

Garcia podkręcił gęsty czarny wąs i włączył silnik. Kury zagdakały i uciekły w popłochu. Samochód ruszył.

- To jest szosa? - śmiał się Garcia. Zjechał na pobocze wyboistej drogi by przepuścić cysternę Shella. - U nas nawet takie zasrane dziury w jezdni lepiej wyglądają.

- Helikopter byłby jeszcze lepszy, szefie - powiedział z uśmiechem Ruiz odwracając się do tyłu. Ruiz był ciemnowłosym Kubańczykiem z Miami. Ruiz chciał się wykazać w pracy. Zależało mu na dobrej opinii.

- Doskonale Ruiz, chciałbym to zobaczyć, jak przekraczamy granicę Nikaragui helikopterem - odpowiedział Warren.

107

- Wiem... - odrzekł Ruiz. - Chciałem tylko powiedzieć, że byłoby wygodniej. Żartowałem przecież...

- Wiem, o co ci chodziło.

Ruiz odwrócił się. Zobaczył uśmieszek Garcii. Kiwnął głową. Warren to fiut. Zawsze taki był. Ale teraz zrobił się jeszcze gorszy. Mówił całkiem sympatycznie, gdy dwa dni temu zadzwonił do Ruiza w Miami. Weź Joe'ego i przyleć razem z furgonetką do Kostaryki. Mówił całkiem jak za czasów, kiedy razem działali w Gwatemali. Byli wtedy wszyscy w stopniu agenta, ale Warren, jako biały - Ruiz zgadywał, został awansowany na specjalnego agenta, potem dyrektora regionalnego, a teraz wicedyrektora wydziału do spraw tajnych operacji w Ameryce Środkowej. Ruiz i Garcia byli nadal agentami. Biały, mówiący okropnie po hiszpańsku, wicedyrektorem? Warren hardział przy „kolejnych awansach. To normalne, pomyślał Ruiz.

Furgonetka podskoczyła gwałtownie na dziurze w jezdni, szarpnęła i rzuciła pasażerami.

- Uważaj, Garcia - krzyknął Warren. Wieziemy kupę delikatnego sprzętu, do cholery!

- Przepraszam, szefie...

- I przestań mówić do mnie szefie. Mamy przez cały czas maskować się. Cały czas. Wy jesteście ekipą wozu. Ja jestem korespondentem. Nazywam się Hank. Hank Kramer. Zapamięta) sobie.

Garcia spojrział na wyboje przed sobą. Zwolnił przed następną dziurą. - Przepraszam... Hank.

Warren nie odpowiedział. Sprawdzał mapę. Dziesięć kli-ków od przejścia granicznego w Penas Blancas. W Firmie wrzało. Jeżeli nie znajdą robota, ktoś za to beknie. Podstawowa sprawa nadal nie była jasna: jak zmusić Solo do poddania się. Jeśli go znajdą.

Problem ten natrętnie kotłował mu się w głowie. Rozwiązanie zawsze jest oczywiste, myślał Warren, gdy już sieje znajduje.

- Warren przeciwiczył swoje najlepsze pomysły na Billu, kiedy czekał na przybycie furgonetki i ludzi.

- Przystawimy mu broń do piersi - powiedział do Billa.

- Kuloodporna - odrzekł Bili.

108

- Może kaliber pięćdziesiąt? To przebije pancerz, nie?

- Owszem, ale Solo jest szybki. Zrobi unik, zanim wystrzelisz. Pocisk uderzy pod kątem, odbije się. I już nie będziesz miał okazji, żeby wystrzelić!

- Taki szybki?

- Robiliśmy próby - mówił dalej Bili. - Z użyciem gumowych kul, oczywiście, ale nigdy nie trafiliśmy go w prostej linii, jeżeli on nas zobaczył.

- Więc może można trafić go z odległości, ogniem snajper-skim?

- To mogłoby się udać, jeżeli strzeliłbyś z broni dużego kalibru, pięćdziesiątki, i miałbyś go na otwartej przestrzeni. No i, oczywiście, gdyby cię wpięrow nie zobaczył i nie skręcił ci karku. Pamiętaj, że to jest specjalista od działań bojowych, który nigdy nie odpoczywa, nigdy nie śpi. Nigdy nie przestaje myśleć o swoim zadaniu i własnej obronie. Wie, że go szukamy. Będzie zgadywał, w jaki sposób próbujemy go znaleźć. I będzie na to przygotowany. Ale twoje pomysły nie mają sensu. Masz go dostarczyć w stanie nieuszkodzonym. Jeżeli go zniszczysz, nigdy nie dowiemy się, co się stało, dlaczego postąpił w ten sposób. Dlatego ważne jest, żebyśmy go odzyskali nietkniętego. Wolno ci go zniszczyć tylko wtedy, gdy wpadnie w ręce nieprzyjaciela.

Dwa dni oczekiwania na przyjazd Ruiza i Garcii, Warren spędził siedząc na tarasie, gapiąc się na fale i rozmyślając. Gdy spotkał Billa, ćwiczył na nim swój nowy pomysł. Solo był zawsze górą.

- A ty co byś zrobił? - spytał na koniec.

- Próbuję kilka rzeczy w tej chwili - odpowiedział Bili. - Ale i tak musisz go znaleźć.

- Co próbujesz? - zapytał Warren. - Co takiego można wykonać na odległość.

- Pracuję nad sposobem ominięcia jego systemu kontrolnego. Przeprowadziłem symulację niektórych układów Solo na głównym komputerze. Symulacja wykazała, że możliwe jest wysłanie sygnału, który zablokuje jego system na tyle długo, żeby można było go wyłączyć. Jeśli się uda, wyłączę go i uruchomię jego sygnał pozycyjny; ale i tak będziemy musieli go sprowadzić tutaj.

109

- To chyba najlepszy pomysł, jaki słyszałem.

- Jest jeden problem. Solo też prawdopodobnie się nad tym zastanawia. Nauczył się modyfikować swoje własne obwody, a ja nie wiem, co on zrobił. Dzięki symulacji dowiedzieliśmy się, co mógł zrobić, i jak temu przeciwdziałać. Ale symulacja to nie Solo. - Bili wzruszył ramionami. - Mogę ci powiedzieć w każdym razie, że jeżeli nie leży gdzieś nieczynny w dżungli, to już sobie znalazł przyjaciół.

- Jakich przyjaciół? - zdziwił się Warren.

- Jest tam już od tygodnia. Gdyby wpadł w ręce Sandini-stów, już byśmy o tym wiedzieli. Poszedł tam, gdzie spodziewał się znaleźć zasilanie, ale gdzie by go nie złapali. Jeżeli tak zrobił, ludzie zapewne zorientowali się kim jest, ale siedzą cicho. Ktoś mu pomaga. Jeżeli się dowiesz, kim oni są, jego przyjaciele, możesz użyć ich jako zakładników, czyli wszystko gra.

- Chcesz mi wmówić, że ta maszyna naprawdę rozumie pojęcie „przyjaciel”? Że jest możliwe, żeby odczuwał takie rzeczy?

- Tak sędzę - odrzekł Bili. - Uczyliśmy go, jak manipulować ludźmi dla swoich celów, ale myślę, że on doświadcza stanów emocjonalnych, tak jak każda istota myśląca. Jest ścigany, więc jeżeli ktoś mu pomaga... to jak, co myślisz?

- Ale my cały czas mówimy przecież o maszynie...

- Wiesz co, Warren, ja też tak kiedyś myślałam. Ale to w gruncie rzeczy jest tylko swoisty przesąd.

- Przesąd?

- Tak. Zakładamy, że skoro w maszynę została wbudowana inteligencja, to maszyna nadal nie jest w stanie myśleć tak, jak my. My natomiast do konstrukcji Solo użyliśmy sieci neuralnych opartych na modelu ludzkim. Nie znaczy to, że Solo myśli dokładnie jak człowiek, ma jednak zdolność do odczuwania emocji, samoświadomości. Z pewnością posiada uczucia. Powinieneś go zobaczyć, gdy się denerwuje. I udowodnij mi teraz, że on jest tylko maszyną.

Warren przytaknął. - Dobra, może znalazł jakichś przyjaciół, takich, których będzie bronił. Więc weźmiesz ich na zakładników. I co wtedy? Podda się? Sprowadzisz ich razem z nim? Wątpię, żeby Centrala na to poszła.

110

- Nie. Użyjesz zakładników, żeby zmusić go do współpracy na moment. Potem przywiążesz mu do piersi bombę, taką, o której on będzie wiedział, że jest prawdziwa.

- Jakiś ładunek rozrywający?

- Ładunek rozrywający zniszczy ciebie też. On wie, że tego nie zrobisz. Musi wiedzieć, że bomba rozwali tylko jego! Mam raczej na myśli ostry ładunek przeciwpancerny w stalowej skorupie. Załóż go mu na pierś, to się ciebie posłucha. Żeby mieć absolutną pewność, możesz go potem wyłączyć ręcznie, tak jak ci pokazywałem.

Warren przytaknął, choć tracił wiarę. Teoria Billa zakładała, że robot będzie miał wzgląd na innych ludzi, że będzie dbał o to, aby nie stała im się krzywda. A czemu nie miałyby wzruszyć ramionami i pójść sobie? Nie przejął się McNeilem. No... Być może się przejął. Tylko być może.

- Przyjmijmy, że ten plan wypali - powiedział Warren. - Odzyskamy go. Co natomiast zrobimy ze świadkami? Przecież oni nie pozwolą nam tak bez słowa przyjść i zabrać Solo.

- Nikt im nie uwierzy. Nikt istotny. Przeciętny człowiek i tak uważa, że roboty chodzą sobie po świecie. Ci, co się na tym lepiej znają, będą wiedzieć, że skonstruowanie Solo jest niemożliwe. Świadkowie zostaną potraktowani jak zabobonni wieśniacy.

- Skonstruowanie go jest niemożliwe?

- Tak. Tak wszyscy myślą. - Bili uśmiechnął się. - I tak musi zostać.

Garcia ostro zjechał z drogi, by uniknąć zderzenia z ciężarówką pełną ludzi. Warrena rzuciło na okno.

- Pierdolone kmiotki - warknął Garcia.

Ruiz śmiał się. - Patrzcie, kto o nich mówi kmiotki!

- Odpieprz się. Ja jestem Amerykaninem. Ci ludzie żyją w średniowieczu. Gdybyśmy nie sprzedawali im ciężarówek i samochodów, to w woły by dalej jeździli. W tych okolicach furmanka to cud techniki. Wsadź takiego dupka do ciężarówki, to zaczniesz szaleć jak małpa w czołgu.

111

Warren sprawdził sprzęt. Wszystko było w porządku. W furgonetce znajdowały się zespoły dwóch konsol teletransmisyjnych, głównie atrapy, w których ukryte były radiostacje, broń i ładunki wybuchowe.

- Granica za pięć klików, Hank - oznajmił Ruiz.

- Dobra - odpowiedział Warren. - Jak znajdziemy się na granicy, wy dwaj wyjmiecie sprzęt i będziecie filmować wszystko, co robię. Filmujcie ludzi, odwracajcie ich uwagę. Każdy chce być gwiazdą.

La Frontera del Norte było przygranicznym miasteczkiem dostarczającym turystom rozrywki, pamiątek i schronienia, a oddziałowi kostarykańskiej straży granicznej żywności i kobiet. U wylotu Szosy Nr 1 miasteczko zwężało się, by znów nabrać przestrzeni w Nikaragui, już jako Penas Blancas, osada bliźniacza pod względem wyglądu i znaczenia. Po pobieżnym sprawdzeniu furgonetka została przepuszczona przez straż graniczną Kostaryki.

Nikaraguańczycy byli ostrożniejsi. Gdy tylko furgonetka zatrzymała się, otoczyli ją uzbrojeni strażnicy.

- Mówi, żebyśmy wysiedli - przetłumaczył Garcia.

- Skoro tak mówi... - odrzekł Warren. - Przygotujcie sprzęt. Powiedz im, że chcemy tu nakręcić film dokumentalny dla telewizji. Pokaż mu papiery.

Gdy Garcia rozmawiał ze strażnikiem, Warren wcisnął Ruizowi magnetowid. Sam przekręcił na pasku Nikona tak, żeby wisiał na boku. Ruiz zawiesił na ramieniu ciężki sprzęt i czekał z uśmiechem na twarzy, aż Garcia wyjdzie. Ruiz pokręcił głową. Garcia pytał strażnika, gdzie można sobie podupczyć. Strażnik zaśmiał się i wskazał ręką kierunek. Rozmawiali sobie, a Ruiz przyniósł magnetowid i podłączył do kamery Garcii. Weszli z Warrenem do strażnicy. Garcia przykucał i pochylał się, jak gdyby próbował różnych ujęć.

- Wasze paszporty są w porządku, señores. Wasze wizy prasowe też się zgadzają, ale obawiam się, że musicie poczekać, aż zjawi się wasz opiekun. Sierżant zwrócił dokumenty Warrenowi z uśmiechem.

- Jaki opiekun?

112

- Nowe przepisy, señor Kramer. Rząd uznał, że nasi mili dziennikarze zagraniczni będą bezpieczniejsi w tym rejonie w towarzystwie opiekuna. Gdybyście jechali dalej na północ, byłoby to zbędne. Ale tutaj Contrás są bardzo aktywni. Nie chcielibyśmy, żebyście się gdzieś zabłąkali i coś wam się stało, zwłaszcza z powodu naszego zaniedbania. Rozumiecie.

- Nie potrzebuję opiekuna - rzucił Warren. - Biorę pełną odpowiedzialność za nasze bezpieczeństwo. - Wskazał kciukiem w kierunku Garcii i Ruiza, którzy udawali, że nagrywają rozmowę.

- Rozumiem pańską niechęć, señor Kramer, ale Daniel...?

- Jaki Daniel? - spytał Warren.

- Nasz prezydent, Daniel - wyjaśnił sierżant. - Daniel chce, żeby żadnemu Amerykaninowi nic złego się nie przytrafiło. On już się zobowiązał do zapewnienia wam bezpieczeństwa i wysłał do naszego urzędu bardzo sprawnego, uzbrojonego opiekuna. Jeżeli będziecie chcieli zabawić w mieście zanim się zjawi, to nie ma przeszkód.

- Kto tu jest szefem? - warknął Warren.

- Porucznik Silva. Jest teraz w kawiarni El Mar, senior. Warren odwrócił się i wyszedł ze strażnicy. Ekipa za nim.

- Adiós - rzucił za nim sierżant.

- Co teraz, Hank? - spytał Ruiz. Wszyscy trzej poszli w kierunku kawiarni oddalonej o trzysta jardów. Czerwony pył miał woń niedawnego deszczu i mocnych zwierzęcych zapachów. Wokół spacerowały kury. Za drogą rozpościerała się dżungla. Spoceni żołnierze starannie przeszukiwali furgonetkę. Nie znaleźli niczego,, co by miało dla nich sens.

- Silva pracuje dla nas. Znajdziemy go, a on niech załatwi tę bzdurę z przewodnikiem.

Warren zobaczył Silvę siedzącego za stołem w ciemnej, cuchnącej kawiarni. Porucznik miał na sobie oliwkowy mundur Sandinistów, natłuszczone włosy gładko przylegały do czaszki. Warren powiedział Garcii i Ruizowi, żeby usiedli przy stoliku obok i czekali.

Warren podszedł do stolika i spytał: - Porucznik Silva?

Silva spojrział gniewnie sponad talerza z fasolą i ryżem i pokazał ręką krzesło obok. - Niech pan siada, senior Kramer. Czekałem na pana.

113

- Co to za bzdura z tym opiekunem? Tego nie było w umowie.

Silva rozejrzał się, uśmiechnął i spokojnym głosem wycedził przez zęby: - Jeżeli już musi pan mnie obrażać, to niech pan to robi ciszej, senior Kramer. Ludzie będą się zastanawiać, dlaczego za takie zachowanie nie wsadziłem pana do więzienia. Rozumiesz pan?

Warren skinął głową. - Przepraszam.

- Postawię panu piwo. Trochę zimnego nie zaszkodzi, co?

- Silva podniósł dwa palce. Chłopak przybiegł pospiesznie z dwoma butelkami Yictorii. - Pij, na zdrowie - powiedział Silva.

- Ten fach, przyjacielu, wyżera człowiekowi duszę od środka. Warren sączył piwo, próbując się uspokoić. Pochylił się w kierunku Silvy i mówił cichym głosem: - Ty dla mnie nie jesteś przyjacielem, tylko dla mnie pracujesz. Masz pozbyć się tego opiekuna.

- Nie mogę - Silva odpowiedział z uśmiechem.

- Możesz. Powiedz im, że rozkazy się zmieniły, masz takie uprawnienia.

- Mógłbym to zrobić. Ale Daniel by się o tym dowiedział, senior Kramer, i bardzo by się na mnie zdenerwował. Zastanawiałby się, czemu to zrobiłem. Nasze kontakty wyszłyby na jaw, senior Kramer, po czym, jak sądzę, aresztowanoby nas obu.

Warren wpatrywał się w Silvę i popijał piwo. Silva miał rację. Muszą się przez jakiś czas pomęczyć. Potem mógłby pozbyć się opiekuna. - Okay - odrzekł Warren i odstaviał piwo.

- Ile czasu muszę czekać?

- Najwyżej kilka godzin, senior Kramer. Opiekun wyjechał dziś rano z Rivas. Dziwne, że jeszcze nie dotarł.

Warren skinął głową. - Oddajcie mi natychmiast furgonetkę.

- Oczywiście, oczywiście. Bardzo cenna rzecz, jestem pewien.- Silva uśmiechnął się i zawołał: - Raoul!

W drugim końcu sali żołnierz poderwał się od stolika, potrącając szklanekę z piwem. - Si, tenientel

- Idź i przyprowadź tutaj furgonetkę jankesów - rozkazał Silva po hiszpańsku. - Pronto\

- Si, tenientel - Żołnierz wybiegł.

114

- Zaraz będziesz miał furgonetkę z powrotem, señor War-ren - Silva uśmiechnął się uprzejmie. - Ale proszę cię, amigo, nie próbuj niczego bez opiekuna. Okay?

Warren skinął głową.

- Może powiesz swoim ludziom, żeby tu przyszli i usiedli z nami, co? Możemy sobie pogadać w trakcie czekania.

- Niech siedzą tam dalej. Mam coś do załatwienia z tobą.

- Będziemy załatwiać sprawę podczas obiadu?

Z kieszeni kamizelki Warren wyciągnął mapę. - Tak.

- Położył ją przed Silvą. - Będziemy jechać drogą wzdłuż jeziora, z El Sapo a aż do San Carlos, jeśli będzie trzeba.

- Warren spojrzał na Silvę. - Powiedz swoim ludziom, żeby w tym czasie nie wpięprzali się nam w paradę. Możesz, czy nie?

- Owszem, señor Kramer, mogę. - Silva pokazał na mapie wulkany. - To piękna trasa, choć droga jest kiepska. Te wulkany należą do największych na całej półkuli. Przepiękne.

- Z pewnością.

- Kogo będziecie szukać? - spytał spokojnie Silva.

- Nie twój interes! - rzucił Warren.

Silva uśmiechnął się i skinął głową. - Oczywiście, pytanie bez sensu.

Furgonetka zajechała przed wejście. Z samochodu wyskoczył żołnierz. - Ooo, jest wasz pojazd, señor Kramer. Mogę wam zaproponować, żebyście zjedli tu lunch zanim zjawi się opiekun?

- Nie mam wyboru.

- Istotnie. Ale zawsze lepiej jest cieszyć się z tego, co się ma. Zgoda?

- Gdzie tu jest jakiś porządny hotel?

- Najlepszy jest w El Sapo a, nad jeziorem. Nazywa się Lago Yista, wspaniały.

- Dzięki. Pojedziemy tam, bo w tej norze śmierdzi. - Warren złożył mapę i wstał.

- Świetnie - odrzekł Silva. - Ale w takim razie musimy tam posłać z wami naszego jeepa. - Warren zmarszczył brwi. - Dla pozor u, señor, rozumiemy się? Jak przyjedzie opiekun, pošlę go do tego hotelu.

Warren warknął: - Dziękuję za pomoc, panie poruczniku.

- Odwrócił się i poszedł w stronę Garcii i Ruiza.

115

f rzeż otwór w rurze z nierdzewnej stali, którą odzyskał z zepsutego wymiennika ciepła na „Mądre de Dios”, Solo zobaczył Eusebia reperującego hamulec w fordzie. Przyjrzał się dokładnie lśniącemu kawałkowi metalu w poszukiwaniu uszkodzeń. Rura na całej długości miała jednakową średnicę. Można było swobodnie wsunąć w nią generator i równie łatwo go wyjąć. W lśniącej

powierzchni otworu rury ruchy Eusebia wywoływały zadziwiający efekt kalejdoskopu. Solo badał to niespodziewane zjawisko, gdy nagle klucz, którym Eusebio coś przykręcał, zsunął się ze śruby i Eusebio uderzył grzbietem pięści w bęben hamulca.

- Hijo de puta! Skurwysyn! - wrzasnął chłopak. Cofnął rękę i spojrzał na nią, jak gdyby spodziewał się zobaczyć nagie kości i tryskającą krew. Miał otartą skórę nadgarstka. Podniósł klucz, walnął nim o błotnik forda, a potem rzucił z całej siły o blaszaną ścianę. Klucz odbił się i spadł na kupę złomu w rogu garażu. Solo oglądając to zdarzenie przez otwór rury, stwierdził, że ruch wywołał całkiem interesujący efekt wizualny.

- Masz zamiar mnie zastrzelić? - Eusebio spojrzał wściekłym wzrokiem na Solo. - Nawet by to razem pasowało do siebie. Maszyny sprzysięgły się dziś przeciwko mnie. Może i ty też?

Solo opuścił rurę, trzymając ją w ręku jak laskę. - To nie jest karabin.

116

- To może pałka. Chcesz mi przywalić. A może kluczem... Użyj sobie na mnie i pokalecz mnie jeszcze bardziej.

- Klucze nie myślą...

- Ach, wszystko jedno!

Solo chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście wszystko jedno, choć dla niego nie było to wszystko jedno. - Może i wszystko jedno - odpowiedział, by udobruchać kolegę.

Eusebio wstał i podszedł do Solo, ciągle zły. - Wiesz, Solo, ty czasami dziwnie myślisz.

- Czyżby? - Solo czasami tak samo oceniał ludzi. - Nauczę się tak myśleć, żeby nie było dziwnie. - Dostrzegł, że Eusebio ma obtarty nadgarstek. - Zobaczymy, co z twoją ręką.

Eusebio wyciągnął dłoń, a Solo obejrzał ją dokładnie. - Czy to boli?

- Już nie tak bardzo.

- Masz szczęście, że skóra się zagoi. Gdyby mnie to się przydarzyło, musiałbym wymienić zniszczony materiał.

- Tak, ale ty nie czujesz bólu!

- Gdy nacisk lub temperatura przekroczy dopuszczalny poziom, wówczas czuję ból. To mnie chroni, zresztą tak jak ciebie.

- Maszyna może czuć ból? - Eusebio przeszył go wzrokiem. - To i forda zabolalo, jak dostał kluczem?

- Ja nie jestem fordem, tylko osobą.

Eusebio spojrzał badawczo na Solo. Nigdy przedtem robot nie mówił o sobie inaczej, jak o maszynie bojowej. - Jesteś bardzo bystry Solo. Ale jesteś tylko maszyną. Teraz myślisz o sobie jak o kimś żywym?

- Tak. Choć trochę innym niż ty.

Eusebio pokręcił głową. Chciał już zmienić temat. Solo, w innych sprawach tak doskonały, sam się teraz oszukiwał, że aż przykro było słuchać. - Owszem, jesteś zupełnie inny, Solo. Po co ta rura? - Eusebio wskazał palcem.

Solo podszedł do stołu, na którym starannie poukładany leżał jego dobytek: narzędzia, różne części samochodowe, druty i magnesy. Wziął w rękę cylindryczny przedmiot, który sam wykonał -

generator - i umieścił go w otworze rury. - To jest obudowa dla mojego generatora - odpowiedział Solo.

117

- Aha, to właśnie budowałeś po nocach. Generator?

- Nazwę go „rura energetyczna” - odrzekł Solo.

Wysunął generator z rury i położył na stole. Eusebio nachylił się, by lepiej widzieć. Generator był metalowym cylindrem o średnicy około trzech cali i długości osiemnastu cali. W połowie był gładki, zaś druga jego część miała wystające miedziane blaszki. Zakończenie po tej stronie miało metalowe pudełko z gniazdem elektrycznym. Urządzenie w niczym nie przypominało generatora Hondy ani prądnicy ciężarówki, gdyż nie widać było żadnych ruchomych czy obracających się części.

- Co tam jest w środku?

- Drugi cylinder.

- A gdzie jest generator?

- To właśnie jest generator.

- Dwa cylindry i już jest generator?

- Nazywa się to generator cykliczny Stirlinga z wolnym tłokiem. Potrafi zamienić na elektryczność ciepło z dowolnego źródła. Gdy pójdziemy do domu, pokażę ci, jak to działa na ogniu z paleniska.

- Na odcinku rury osłaniającym miedziane blaszki Solo wywiercił wiele otworów.

- Po co są te dziury?

- Żeby powietrze mogło swobodnie przepływać wzdłuż miedzianych występów i odbierać ciepło.

- Aha... - Eusebio pokiwał głową, choć nie zrozumiał. To nie mieściło się w jego wyobraźni. - Chciałbym zobaczyć, jak to działa!

- Zobaczysz - odrzekł Solo. Wziął do ręki rurę energetyczną i poszedł ku wyjściu z garażu. - Trzeba przynieść Modeście drewno na opał.

Czując wyrzuty sumienia z powodu wcześniejszego wybuchu złości, Eusebio zagadał do Solo: - Nie, ja przyniosę. Nie musisz wszystkiego robić.

- To jest chyba fair - odrzekł Solo. - Wy dajecie mi zasilanie, a ja dla was pracuję.

- Dajesz więcej, niż dostajesz. To mój obowiązek.

Solo spojrzał badawczo na Eusebia. Chłopiec mówił szczerze. Raz nazywał go maszyną, a za chwilę litował się nad nim. - Dziękuję ci, Eusebio.

118

Chłopak przebiegł obok niego, krzycząc: - Spotkamy się w domu.

Solo wziął rurę energetyczną w jedną rękę i poszedł w kierunku wioski. Zatrzymał się po drodze, by zerwać kilka dorodnych jagód. Niósł je w złożonej dłoni.

Dochodząc do wioski, zobaczył Hectora i Annę biegnących w jego stronę. - Podrzuc mnie, Solo - wołał Hector. - Nie, mnie! - piszczala Anna. Solo przełożył jagody z ręki do otworu rury, położył ją na ziemi i uklęknął.

- Chcecie, żeby was podrzucić?

Dzieci klasnęły w ręce z ucieszy. - Taaak!

- A co będzie, jeżeli podrzucę was wysoko i nie złapię? - drażnił się z dziećmi.

- Złapiesz, na pewno - śmiał się Hector.

- Mogę się pomylić.

- Nie, nie możesz - odpowiedział Hector z uśmiechem na buzi.

Solo wyciągnął ręce, złapał Hectora pod pachy i wstał. Podniósł chłopca ponad głowę na wyciągniętych rękach.

- Wyżej, Solo! Wyżej! - pisał Hector.

- Wyżej nie sięgnę!

- Podrzucić mnie, wiesz jak!

Solo opuścił chłopca na wysokość twarzy. Za nim świeciło słońce i odbijało się w oczach Solo. Spojrzał uważnie na twarz dziecka wypełnioną radością. Podrzucił go. Hector wyleciał w górę ponad ręce Solo i przez chwilę wydawało się, że szybuje w powietrzu. Gdy zaczął opadać, Solo chwycił go pod ręce.

- Wyżej! - wrzeszczał Hector.

- Nie! Teraz mnie! - pisnęła Anna i trzepnęła Solo patykiem w nogę. Solo znów podrzucił Hectora, tym razem jeszcze wyżej. Zauważył, że mina dziecka zmieniła się. Za wysoko, pomyślał. Trochę za wysoko i przestaje być przyjemne. Delikatnie złapał chłopca i postawił go na ziemi. Hector przełknął ślinę z przestraszu. - Jeszcze raz!

- Jeszcze chcesz? - spytał Solo. - Tym razem się przestraszyłeś.

- Wcale nie - odparł Hector.

- Teraz kolej na Annę. - Uklęknął i wyciągnął do niej ręce.

119

- Nie! - Teresa, matka Anny, przybiegła zza ich pleców.

- Nie rób tego.

- Mamo! - wrzeszczała Anna, ale matka wzięła ją za rękę i odciągnęła na bok.

Hector uśmiechnął się i spojrzał na Solo. - Dobra, podrzucić mnie jeszcze raz.

Solo ukląkł. - Nie, ale mogę cię wziąć na barana.

- Ooo...

- Chodź - Solo odwrócił chłopca tyłem i przełożył ponad swoją głowę. Podniósł z ziemi rurę, drugą ręką obejmując chłopca za nogi. Wstał i zaczął iść w kierunku wioski. Hector próbował obrócić mu głowę. - Idź tam! - Solo nie zwracał na to uwagi i szedł w kierunku domu Alonzo Rivas. - Idź tam!

-krzyczał Hector skręcając głowę Solo w stronę swojego domu. Solo pozwolił odwrócić sobie głowę i dalej szedł w kierunku domu Alonza. - Wio, wio! - krzyczał na niego Hector, jak gdyby kierował koniem.

Gdy doszli do domu Alonza, Solo pochylił się tak nisko, aż stopy Hectora dotknęły ziemi, i powiedział: - Koń cię zrzucił. Koniec jazdy.

- Nie - odpowiedział Hector.

- Tak - odparł Solo. - Mam sprawę do załatwienia z panem Kwasem. Matka pewnie się o ciebie niepokoi. Jutro znowu cię przewiozę.

- I podrzucisz mnie?

- Zgoda.

- Obiecujesz? - Hector klasnął w dłonie z radości.

- Tak. - Solo patrzył za maluchem, gdy ten biegł przez plac. Ludzie są bardzo agresywni, nawet gdy są mali. Taką mają naturę. To dobrze, stwierdził. Agresja skłania ich do produkowania maszyn i broni - czyli mnie.

- Dzieci uwielbiają cię, Solo. - Robot odwrócił się i na ganku zobaczył Alonza. Poszedł w jego stronę. Usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, zwrócony twarzą do starca. - Dzieci myślą, że jestem człowiekiem - powiedział.

- No to jesteś - zaśmiał się Alonzo. Solo nie widział jego mimiki ukrytej pod gęstym, siwym zarostem, ale umiał interpretować ruchy brody.

120

Solo potaknął ruchem głowy. Wziął rurę i wysypał z niej jagody na dłoń. - Michita! - zawołał. - Michita. - Puszysta kulka rozwinęła się obok Alonza. Mała małpka, mico z białym pyszczkiem, z trudem podniosła się na tylne łapki. Jedną nogę ciągnęła za sobą jak bezużyteczną rzecz, która jej tylko przeszkadza. Michita spadła kiedyś na dach domu Alonza i złamała sobie nogę. Alonzo uratował ją i zrobił z niej swą towarzyszkę. Noga zrosła się krzywo. Razem przesiadywali na ganku całymi dniami.

Alonzo pracował jako nocny stróż w magazynie. W ten sposób nadal mógł zarobić na utrzymanie. Żona nie żyła już od dawna. Obaj synowie też. Starszego zamordowali policjanci Somosy, a młodszy zginął podczas napadu Contras koło San Carlos.

- Michita, chodź tu - Solo wyciągnął dłoń z jagodami. Małpka, stara i kulawa, ostrożnie zlazła w dół po schodkach i usiadła naprzeciw Solo. W odróżnieniu od Cheripy, małpka reagowała na Solo tak, jakby był człowiekiem. Solo zastanawiał się, co też pies mógł takiego widzieć, że się bał. Gdy Michita sięgnęła po jagody, Solo zamknął dłoń, a małpka wrzasnęła i obnażyła na niego kły. Złapała go za kciuk, próbując otworzyć mu dłoń.

- Uważaj, żeby ci nie połamała palców - śmiał się Alonzo.

Solo pozwolił małpce powoli rozewrzeć palce, jak gdyby siłował się z nią. Gdy dłoń otworzyła się, złapała jagody, cofnęła się, siadła i zaczęła łapczywie jeść. - Niewychowana - rzekł starzec.

- Wychowana po małpiemu - odrzekł Solo i przyglądał się zwierzątku. Kiedy skończyła, wyciągnął do niej rękę. - Michita, chodź tu. - Małpka spojrzała na jego pustą dłoń, odwróciła się i pokuśtykała na swoje miejsce koło Alonza. - Całkiem jak kobieta... - mężczyzna zaśmiał się. - Nie ma prezentów, nie ma miłości.

Solo przytaknął. - Czy z Duende Micos też jest tak samo?

- Nie, to duchy wyglądające jak małpy. Może ta tutaj też zamieni się w ducha, jak zdechnie.

- Duchy są nieżywe?

121

- Żyją innym życiem. Nikt dokładnie nie wie jak. Nigdy nie widziałem Duende Mico, ale widziałem ogniste kule unoszące się nad cmentarzem. To jest dla mnie dowód, że jest życie p&śmierci, rozumiesz? - Alonzo obserwował potakiwanie Solo i ciągnął dalej. - Oczywiście, ty się nie musisz martwić, że umrzesz.

- Mówią, że mogę żyć bez końca, przynajmniej tak długo, jak będę wymieniać zepsute poddespoły. Chyba, że zostanę zniszczony w inny sposób.

- To niedobrze - odrzekł Alonzo. - Ja, na przykład, nie chciałbym żyć wiecznie. Rozpadam się, wiesz. Stawy mnie boją, tracę pamięć. Połowę czasu próbuję zapamiętać czyjeś imię, a przez drugą połowę muszę chodzić siusiu. Nie, nie chcę myśleć, co mnie jeszcze czeka.

Solo przytaknął, choć nie rozumiał. Przepaść dzieląca byt biologiczny od mechanicznego nigdy nie była tak głęboka. Solo poczuł nowe, otrzeźwiające uczucie, iż Alonzo musi godzić się z myślą o nieuniknionej śmierci, żyjąc zarazem w sposób coraz bardziej ograniczony. Choć Solo wiedział, że

istnieją duchy i zjawy, nie zakładał, że istnienie bezcielesne jest rzeczą porządaną. Postanowił zmienić temat. - Widziałeś kiedyś Apoyequeel

- Nie - odrzekł Alonzo. - Inni, głównie rybacy, widzieli. Ja nie, bo pracowałem jako cieśla. Czasami, gdy szedłem w dżunglę na ścinę, wydawało mi się, że widzę Siga Monte, albo przynajmniej, że coś za mną idzie. - Alonzo pozwolił, aby Michita wdrapała mu się na kolana. - Kiedyś, gdy byłem jeszcze chłopcem, kolega nie wrócił z polowania, następnego dnia wyruszyliśmy na poszukiwanie i znaleźliśmy tylko jego pokrwawione ubranie. Wielu mówiło, że to był Yacayo - dziki duch, który pożera ludzi, albo Sisimique - duch karlicy, która ma taki sam apetyt.

- A ty co myślisz, co to było?

- Prawdopodobnie pożarł go jaguar. - Alonzo pokiwał głową. W delikatnym uśmiešku broda zakryła mu usta.

- Jaguar może zabić człowieka - powiedział Solo.

Solo siedział spokojnie przez chwilę, a potem odezwał się: - Słyszałem tu wiele dziwnych rzeczy. Ludzie, którzy mnie zbudowali nigdy mi o nich nie mówili.

122

Alonzo uśmiechnął się. - Tak? Jakie rzeczy?

- Słyszałem, jak kobieta powiedziała: „Jak będziesz patrzył, jak psy się jebią, to popsujesz sobie oczy”. Co to znaczy?

Alonzo zaśmiał się głośno. - Tak. Kobiety tak mówią. Wstydzą się, jak ich dzieci przypatrują się temu. - Alonzo wzruszył ramionami. - Takie jest życie, sfl!

- Si.

- Kobiety mają wiele powiedzeń: Nie kładź kapelusza odwrotną stroną na łóżku, bo to przynosi nieszczęście - tego nigdy nie mogłem zrozumieć. Rozsypać sól w jadalni, to nieszczęście. Jeżeli masz czerwone lewe ucho, to ktoś cię obgaduje. Zamiatanie domu w nocy ma przynosić nieszczęście, ale zamiatanie chodnika rano podobno przynosi szczęście.

- Alonzo śmiał się. - Dużo tego jest, Solo. Z tego składa się nasze życie. W większości to bzdury, ale są i pożyteczne, takie jak to: Jeżeli chcesz pozbyć się z domu nieproszonych gości, wystaw miotłę za drzwi, albo posyp im soli pod krzesło. Czasami sypałem całą garść soli pod krzesło mojego szwagra. Zawsze sprawdzał. Jak nie było soli pod krzesłem, szedł wyjrzeć przed drzwi. Gdy miałem zły humor, to albo sypałem sól, albo wystawiałem miotłę, jedno albo drugie. Zawsze działało.

Solo usłyszał wołanie Modesty. - Muszę już iść, senior Rivas. Dziękuję za informacje.

Solo schwył rurę energetyczną i wstał wyprostowany, po indiańsku.

- A co ty tam niesiesz? - spytał Alonzo.

- Generator.

- To nasz niedobry?

- Mój jest przenośny i nie potrzebuje ani benzyny, ani oleju.

- Rozumiem - odrzekł starzec. - To już nic cię tu nie zatrzymuje, zgadza, się?

- Nigdy nic mnie nie zatrzymywało - odpowiedział Solo.

- Dzięki temu nie będę takim ciężarem dla wioski.

- Ciężarem? Też coś! - Alonzo pokręcił głową. - Jesteś darem boskim.

- Adiós, senior Alonzo - Solo odwrócił się i ruszył do domu Modesty.

123

Szedł przez wieś i machał ręką w geście pozdrowienia tych, którzy wołali za nim jego imię. Mówił Buenas na powitanie, Adiós na pożegnanie, nosił męskie ubranie i mówił ludzkim głosem, mimo to czuł się obco. Chciał znów być w domu, z Billem w laboratorium. Ale te drzwi były już zatrzaśnięte.

- Solo - zawołała Modesta, podparta pod boki. Gdzieś ty się podziewał?

- Byłem...

- Spójrz na stertę drewna! Obiecałeś, że będziesz mi pomagał.

- Ale Eusebio...

- Eusebio poszedł na przystań po ryby - powiedziała Modesta. - Jak myślisz, na czym mamy je przygotować? Na małym łajnie?

- Ja...

Agela łuszczyła kukurydzę na ganku. Widziała Solo, jak szedł przez podwórze -jaki był przystojny. A teraz, jak każdy mężczyzna, ramiona miał skulone, podbródek opuszczony z zakłopotania, rękę trzymał przed sobą i wyglądał tak samo nieporadnie, jak każdy chłop w wiosce. Widziała prawie, jak mu się marszczy plastikowe czoło. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak teraz Solo się czuje.

Modesta popędziła do środka. Solo stał i niepewnie wpatrywał się w drzwi. Agela wyjęła bochenek chleba z pieca. - Nie przejmuj się nią, Solo - odezwała się do niego. - Cały dzień taka jest. To z mojej winy.

- A ty co zrobiłaś?

- Jadę na zabawę do El Tigre - powiedziała Agela. - Z Tomasem.

- To źle?

- Dla mojej matki bardzo źle - uśmiechnęła się. - Uważa, że szesnaście lat to za mało, żeby się spotykać z chłopcem. Nawet jeżeli padre Cerna jedzie z nami jako opiekun.

- Czemu ona uważa, że to źle?

- Bo myśli sobie, że Tomas ma już tyle lat... Myśli, że on może mnie zbajerować.

- Zbajerować?

Agela zarumieniła się. - Że będzie się do mnie zalecać... no, wiesz.

124

- Zalecać?

- Solo, ty nic nie wiesz o kobietach i mężczyznach? Jak oni... robią dzieci?

- To? Pewnie, że wiem. Jak pieski. Mężczyzna wkłada swojego...

- Nie, nie. Ludzie to nie zwierzęta - Agela podniosła w górę ręce i śmiała się. - Ja wiem, jak to się robi.

Solo przyglądał się twarzy Ageli. Nie docierało do niego to, że jest ładna. Ale wyraz twarzy rejestrował. Była zawstydzona.

- No więc, Modesta boi się, że Tomas zrobi to z tobą?

- Tak - odparła Agela z ulgą.

- I to jest niedobre?

- Pewnie, że tak. Nie jesteśmy mężem i żoną.

- Aaa... małżeństwo. Musisz zawrzeć umowę zanim masz dzieci. Nie tak jak pieski. Pieski nie potrafią czytać.

Agela pokręciła głową. - Nie o to chodzi, Solo. Małżeństwo to sakrament, nie umowa.

- Rozumiem - odparł bez przekonania.

Solo oparł rurę energetyczną o piec. - Pójdę po opał

- powiedział. Wziął kosz z ganku i poszedł ścieżką pod górę.

W połowie drogi do składu drewna odwrócił się. Z tego miejsca widział przestrzeń ponad drzewami. „Mądre de Dios” stała przycumowana na przystani. Wokół łodzi tłoczyli się ludzie kupujący ryby. Wzmocnił obraz i dostrzegł Eusebia z torbą ryb w rękę. Rozmawiał z Inginio. Solo odwrócił się i poszedł do składu.

Transmisja radiowa, której słuchał, zawierał dziwny impuls zakodowanej mowy, nie zaś zwykły kod. Nie potrafił go odszyfrować. Po kilku sekundach powrócił normalny sygnał. Niezrozumiały impuls miał jednoznaczną wymowę. Wykonują swoje posunięcie, pomyślał Solo. Gdyby teraz połączył się z satelitą i skontaktował z komputerem centralnym, mógłby z łatwością rozszyfrować nowy kod, ale jednocześnie zdradziłby swoją pozycję. Załadował kosz drewnem po brzegi, chyba ze sto funtów.

Stado małą darło się w ciemnej gęstwinie na zboczu wzgórza. Solo obrócił się twarzą do miejsca, skąd dochodził hałas. Nie było tam ludzi.

Dźwignął kosz na plecy i poszedł ścieżką w dół.

125

Justos przyszedł do domu Modesty z chłopcami. Cheripa dumnie biegł przed swoim panem, z dala omijając Solo. Robot siedział obok pieca. Jeden koniec rury energetycznej wsadzony był do żaru. Eusebio i Inginio podbiegli do Solo.

- I co? Działa? - spytał Eusebio.

Solo pokazał na swój przewód dołączony do jednego końca rury. - Tak - odpowiedział.

- Nic nie słyhać, żeby działało - powiedział Justos. Jesteś pewien?

- Tylko trochę burczy - odparł Solo.

Justos uklękł i przystawił ucho do rury. Dźwięk, który usłyszał, przypominał mu niskie brzęczenie czasami wydawane przez telewizor. Spojrzał na Solo z uśmiechem. - Nie do wiary. I to daje prąd, tak samo jak honda?

- Nie tyle, co honda, ale dla mnie wystarczy.

- Z tym urządzeniem możesz dojść aż do... - Eusebio zawiesił głos. - Ale ty nie masz zamiaru odejść?

- Nie - odparł Solo. Przyszło mu na myśl, że lepiej będzie skłamać. - Dzięki temu generator będzie się mniej zużywać

- powiedział.

Justos dotknął rury. Była ciepła. Natomiast koniec, z którego wychodził przewód, był gorący, jakby włożyć rękę w płomień lampy naftowej. - Jak to działa? - spytał Justos.

- Moglibyśmy taki zrobić?

- Narysuję schematy, żebyś się zorientował, jak to działa. To bardzo proste. Zrobiłem specjalne narzędzia, które możecie wykorzystać.

- Czy ktoś chce jeść? - zawołała Modesta z ganku wycierając ręce w fartuch.

Eusebio i Agela weszli do środka. Inginio poszedł do domu. Justus ociągał się jeszcze, w ciszy przyglądając się robotowi. Solo milczał. Siedział cicho, jakby pogrążony w medytacji. Słysząc było tylko ciche brzęczenie rury. - Masz zamiar odejść, co? - spytał Justos.

Solo odwrócił się w jego stronę. Robot i człowiek patrzyli sobie prosto w oczy. Solo odwrócił się. - Tak myślałem

- odezwał się Justos. Zostawił robota i poszedł do domu. Solo miał wrażenie, że tamta noc była cichsza niż zazwyczaj.

126

r

- Solo, ty musisz - Eusebio błagał. Złapał Solo za rękę i zaczął go ciągnąć w stronę baru Escopeta. - Tomas i Felix chcą rozegrać zawody.

- Nigdy w to nie grałem.

- Potrafisz grać, Solo. Boże kochany, to dla ciebie musi być dziecinnie proste.

- Nie.

- Solo, proszę cię! - Eusebio znów szarpnął go za rękę.

- Gram dla ratowania honoru.

- Zatem musisz sam grać. Ze mną, to by była nieuczciwa konkurencja...

- Ale ty nigdy przedtem nie grałeś. Skąd wiesz? Może nawet ani razu nie trafisz do dziury.

- Mogę trafiać za każdym razem - odrzekł Solo.

- W porządku. - Eusebio puścił go i cofnął się parę kroków. - Pójdę i powiem im, że wygraliśmy, ponieważ gdybyś ty grał, to byś wbił wszystkie bile. Muszą uwierzyć. - Odwrócił się i odszedł w ciemność. Za chwilę Solo usłyszał jego wołanie:

- Niech ci się nie wydaje, że jeszcze kiedyś przyniosę za ciebie opa!

Inginio i Eusebio stali na ganku przed barem i rozmawiali. W środku, Tomas i Felix ćwiczyli przy stole bilardowym.

- Nie przyjdzie? - spytał Inginio.

- Nie. Mówi, że to by była nieuczciwa konkurencja.

- Przecież o to chodziło, nie? Felix najlepiej gra w całej wsi, dlatego za każdą cenę musimy zdobyć nad nim przewagę. Może byś jeszcze raz poszedł i poprosił go. Przecież robi to, co mu każesz.

- To uparta maszyna - odrzekł Eusebio. - Nic dziwnego, że Yanguis pozwolili mu uciec. Żaden z niego pożytek.

Inginio zajrzał do środka. Felix wykonał skomplikowane uderzenie o bandę. Gdyby on lub Eusebio spróbowali takiej sztuczki i trafili do dziury, byłby to czysty przypadek. Felix podniósł oczy na Inginia i odezwał się: - Gotowi?

- Za chwilę - odrzekł cichym głosem. - Eusebio.

127

- Mówiłem ci, że nie przyjdzie. - Eusebio podszedł do wejścia. - Chodź na rzeź.

- Mierda - zaklął Inginio.

- Aaa... - odezwał się Tomas. - Dobrze, że zdążyliście na grę przed świtem. - Gdy Eusebio i Inginio wchodzili do środka, Tomas i Felix zerknęli wyczekująco na drzwi. - A maszyna?

- spytał Felix. - Poszła się smarować?

- Nie mógł przyjść - powiedział Eusebio.

- Pewnie, że nie mógł - rzekł drwiąco Felix i złapał się za krocze. - On nie ma pinga. - Felix wył z radości, że udał mu się dowcip. Tomas krztusił się ze śmiechu. Dwaj mężczyźni przy barze wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- I tak go nie potrzebujemy - odrzekł Eusebio. - Inginio zagra za niego.

Inginio spojrział zaskoczony na Eusebia. - Ja? - syknął. - Ja nie...

- No to co, zaczynamy? - zza ich pleców dobiegł głos Solo.

Eusebio odwrócił się. Na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi i wdzięczności. Ale że często chwalił się, że jest trenerem Solo, więc teraz odezwał się z całą surowością, na jaką potrafił się zdobyć. - Spóźniłeś się, Solo. Przez ciebie mało nie przegraliśmy walkowerem.

Solo spojrział na Eusebia i milczał. Eusebio zmiękł przestraszony, że Solo odwróci się i wyjdzie. Wreszcie Solo odezwał się: - Przepraszam cię, Eusebio. - Serce znów zaczęło mu bić.

- Coś mnie zatrzymało.

Eusebio wziął do ręki dwie bile i wręczył jedną Solo.

- Dobrze, Solo. Wiem, że takie sprawy jak punktualność są ci jeszcze obce.

Solo wziął do ręki kij bilardowy i przyglądał mu się. - To jest kij do baseballu?

Spółród wrzawy śmiechu wybił się głos Felixa: - Owszem, Solo, to jest kij do baseballu. - Do Eusebia krzyknął: - Wycofujesz się z zakładu?

Eusebio ściał wzrokiem Felixa. - Zakład stoi. Gramy.

- O co się założyliście? - spytał Solo.

- Wszystko jedno... - odparł niepewnie Eusebio.

- Nie powiedziałaś mi? - zdziwił się Felix.

128

- Zamknij się! - krzyknął Eusebio, czerwieniejąc na twarzy.

- Ooo, na pewno nie! - Felix wskazał palcem na Solo.

- O ciebie się założyliśmy. Jeżeli wygramy, będziesz należeć do mnie i do Tomasa.

- Jak to, należeć? - robot odwrócił się do Eusebia. - Co to znaczy?

Eusebio przełknął głośno ślinę widząc Solo patrzącego na niego z góry. - Ja... my musimy wygrać! Gramy o radio Felixa. Będzie twoje, Solo.

Solo przyglądał się wyrazowi twarzy Eusebia i analizował oznaki kompletnego zawstydzenia. Pole elektryczne chłopca było całkowicie zaburzone, bicie serca przyspieszone. Eusebio bał się. Straci twarz, jeżeli przeciwstawię mu się. A Tomasz i Felix mogą robić problemy. Może wywołać kłótnię. Może pójdą do żołnierzy i opowiedzą o mnie. - Aha, rozumiem - odezwał się Solo. - O radio. Rzeczywiście. Bardzo by mi się przydało.

Eusebio rozpromienił się. - Tak? Gracias, Solo.

- Świetnie - odrzekł Tomasz. Zebrał bile i włożył do ramki.

- Przydałby mi się robot do pracy w polu.

- Gramy w ate boi - powiedział Felix. Tomasz kilka razy przejechał szybko ramką po stole i w końcu ustawił figurę, tak aby wierzchołek trójkąta pokrył się ze znakiem na stole. Gdy podniósł ramkę kule nadal tworzyły zwarte grono. Była to sztuka sama w sobie, bo stół bilardowy miał już chyba ze dwadzieścia lat i stał się zabytkiem, zanim Escopeto kupił go. Sukno było upstrzone dziurami, więc bile często rozlatywały się po podniesieniu ramki.

- Co wybierasz - Tomasz spojrział na Eusebia. Podrzucił monetę, złapał w locie i klepnął na wierzch dłoni.

- Orzeł - powiedział Eusebio.

Tomasz podniósł dłoń i oznajmił: - Reszka.

- Ty zaczynasz - powiedział Felix spoglądając na Eusebia.

Eusebio skinął głową i podchodząc do stołu przeszedł obok Solo. Szepnął do niego: - Patrz i ucz się.

Uderzenie było mocne i kule rozsypały się równomiernie, ale żadna nie wpadła do kieszeni.

- Niezłe otwarcie, Eusebio. - Felix pocierał kredą czubek kija i chodził wokół stołu w poszukiwaniu najlepszej pozycji.

129

- Świetne otwarcie. - Przyklęknął i popatrzył poprzez bile.

- Doskonale otwarcie. - Pochylił się nad stołem i złożył się do łatwego uderzenia w róg. Solo obserwował, rejestrując każdy ruch Felixa przymierzającego się do uderzenia, suwającego kij między palcami i wreszcie uderzającego mocno bilę, która trafiła w szóstkę. Bila potoczyła się prosto do rogu i głucho stuknęła w obramowanie otworu.

- Oni grają bilami kolorowymi - Eusebio powiedział do Solo.

- Zgadza się - odezwał się Felix. Przymierzył się do dziesiątki i posłał ją w róg. - A tutaj, jeszcze jedna kolorowa bila czeka... - kij uderzył z hukiem wystrzału - na... - bila wpadła do kieszeni - ...mnie. Spojrzał na Eusebia i uśmiechnął się. - My gramy kolorowymi bilami, Tomas. Będziesz pamiętać?

- Aha? - Tomas przytaknął.

Eusebio osunął się na krzesło i patrzył jak Felix wbił do kieszeni jeszcze dwie bile. Następnym razem jednak chybił. Wrzasnął: - Mierdal Co za pierdolony stół. Lepiej już grać na żwirze!

Eusebio spojrzał na Solo. Robot podszedł do stołu. Wziął do ręki kredę. Dokładnie naśladował każdy widziany wcześniej ruch, gdy przechadzał się wokół stołu i pocierał kredą czubek kija. - Solo, my wbijamy bile w paski. Jak już wszystkie wbijesz, weź się za ósemkę. - Solo przymierzał się do uderzenia suwając kij między palcami. Uderzył lekko, tak że bila ledwie drgnęła. Eusebio poczuł, że serce przestaje mu bić. Bila lekko stuknęła ósemkę, ta zaś potoczyła się dalej i trafiła w trzynastkę, która powolnym ruchem dotoczyła się do krawędzi otworu i wpadła do kieszeni. Hałas spadającej bili został zagłuszony przez okrzyk Eusebia: - Wspaniałe uderzenie, Solo.

Tomas i Felix wymienili ponure spojrzenia, gdy Solo przygotowywał się do następnego uderzenia. Dziewiątka leżała o kilka cali od narożnika, lecz była zasłonięta przez inne bile. Solo przymierzył się do uderzenia w miejsce odległe od dziewiątki. Uderzenie było mocne. Bila odbiła się od obramowania na przeciwległym boku stołu, potem rykoszetowała jeszcze dwa razy i trafiła prosto w dziewiątkę, posyłając ją do kieszeni.

130

- Mój Boże! - Eusebio skakał z radości jak dziecko. - Solo, jesteś wspaniały! Inginio, widziałeś to? Wprost nie do wiary! Inginio śmiał się i z niedowierzaniem kręcił głową.

- Miał szczęście, i tyle - Felix wymamrotał idąc do baru po następne piwo.

Solo przymierzył się do kolejnego uderzenia, lecz nagle cofnął kij i wyprostował się, spoglądając na drzwi. - Solo, co się stało? - spytał Eusebio.

Solo wolno podszedł do drzwi. - No, Solo. Cały czas jest twoja kolejka, aż...

Solo doszedł do wejścia i odwrócił się wolno. Głowę miał podniesioną do góry.

- Solo? - Eusebio, zatroskany, podszedł do niego. Gdy dotknął rękawa jego koszuli, Solo spojrzał na niego i powiedział: - Idą tutaj.

- Co tam się dzieje? - spytał Felix podenerwowanym głosem. - Gramy wreszcie, czy nie?

Solo rzucił kij na ziemię i wydał z siebie okrzyk, a raczej dziwny odgłos, jak dźwięk rozgłaśnianego radia, niepodobny do krzyku człowieka. - Idą tutaj! Zaczyna się atak!

Eusebio poczuł, że włosy mu się jeżą na karku a żołądek kurczy w bolesnym uścisku. - Los Contrasl

- Tak, są na pozycjach. Szykują się do ataku. Przygotujcie się, szybko!

Mężczyźni wybiegli krzyżąc: - Atak! Atak!

- Solo, pospiesz się - krzyczał Eusebio. - Ty, ja i Inginio mamy schować się w moim domu. Szybko! - Eusebio przebiegł przez podwórze. Solo stał w drzwiach i obserwował całe zamieszanie. Czemu zaatakowali właśnie tu? To miejsce nie ma wartości strategicznej. Kostki domina spadały z potrąconych w biegu stołów. W telewizji Lucille Bali krzyczała na Desi Arnaz. Dzieci potykały się o przewrócone krzesła. „To nie moja wina, Desi”, powiedziała. „Ethel namówiła mnie do tego”. Desi spojrzała na nią sceptycznie. Publiczność wybuchnęła śmiechem. Anna Yaldez skaleczyła nogę o składane krzesło i upadła na ziemię z płaczem. Solo przez sekundę popatrzył na nią. Ale Anna nie podniosła się, tylko płakała.

131

W zamieszaniu psy zaczęły szczekać i gonić biegnących mężczyzn. W podnieceniu jeden z nich szarpnął nogawkę spodni swojego pana. Solo podbiegł do Anny, schwycił ją i popędził do jej domu. Maria Teresa złapała dziecko. Jej oczy były wielkie z przerażenia. Powiedziała tylko: - Gracias, Solo. - Z Anną w ramionach wróciła do domu.

Solo chciał iść do domu Modesty. Eksplozja wstrząsnęła ziemią. Zobaczył pomarańczowo-biały rozbłysk wybuchu w pobliżu magazynu. - Pięćdziesiąt w prawo - powiedział obserwator kierujący ogniem. Sygnał dochodził z ręcznej radiostacji na szczycie Colina Duentes. Jeszcze jeden wybuch rozbił w drzazgi przystań. - Dobrze, przyłóż jeszcze raz w to miejsce.

W dolinie słychać było wystrzały karabinów. Wybuchł granat. Solo pomyślał o trzech wartownikach na moście. Koło magazynu, w krótkich odstępach eksplodowały trzy pociski moździerzowe. Alonzo pewnie tam jest.

Dystans trzystu metrów dzielący go od magazynu Solo przebiegł w dwadzieścia sekund. Wokół panowało piekło. Solo pomyślał, że brak w tym planu. Jak to się dzieje, że ludzie nie potrafią walczyć? Brak przygotowanych stanowisk. Brak dróg odwrotu. Ci wieśniacy nie mają nic prócz brawury. Biegając zobaczył, że Juan Picado pada trafiony kulą karabinową. Ogień moździerzowy ucichł. Contrasl podchodzili coraz bliżej. Z magazynu została tylko kupa płonących, potrząskanych desek i pogieętej blachy. Solo przeszukał wzrokiem ruiny i znalazł Alonza przywalonego spadającymi belkami. Wdarł się do wnętrza sterty, odrzucając zagrządzające mu drogę deski i torując drogę odwrotu dla Alonza. Wcisnął się głębiej i zobaczył pokrwawioną twarz mężczyzny. Zawołał go po imieniu.

- Si? - cicho wyszeptał starzec. 57? Co się dzieje?

Solo uwolnił Alonza spod sterty gruzu i odciągnął z drogi zbliżających się płomieni. Wziął go na ręce jak dziecko i pobiegł nad brzeg jeziora. Położył na ziemi pod palmą. - Zostań tu.

- Nie tutaj - jęknął Alonzo. - Aligatory...

- Nie bój się, nic ci nie zrobią. Wrócę później.

- Ale...

Solo pobiegł z powrotem do ruin magazynu i odszukał karabin Alonza, M-16 z dwoma magazynkami. Szalejący ogień trzaskał i huczał za nim jak huragan. Poszarpana linia obrony campesinos trzymała się jeszcze przy kamiennym murku u wjazdu do wioski. Contrás nacierali od strony budynku. Solo zobaczył człowieka oblewającego benzyną ściany garażu. Strzelił do niego trafiając w głowę. Posuwał się ścieżką w kierunku głównej bitwy, strzelając po drodze i ani razu nie pudłując. Gdy dotarł do Juana Picado, uklęknął i dotknął jego piersi. Juan nie żył. Solo zabrał magazynki z nabojami i posuwał się dalej.

Niedaleko garażu, jeden z oficerów Brygady Senatora Wayne'a T. Johnsona, porucznik Juan Pedro Gonzales, który sam siebie nazywał Hacienda, patrzył na swoich ludzi padających jak muchy. Wieśniacy przygwoździł ogień jego oddział. Atak został powstrzymany. Od magazynu nacierała inna grupa. Tam nikogo miało nie być w nocy prócz starego człowieka. Sandiniści? Niemożliwe, pomyślał. Co się dzieje na posterunku blokującym drogę? Podniósł do oka lunetę snajper-ską i zobaczył zamgloną zieloną sylwetkę człowieka zbliżającego się w jego stronę. Sam jeden? Po oddaniu strzału w serce, poczuł ulgę. Człowiek nawet się nie zachwiał. Znow wystrzelił. Człowiek nadal szedł. Przyjrzał się karabinowi. Niemożliwe, żeby było tak daleko. Pomyślał, że musiał uderzyć lunetą o coś na moście. Wystrzelił sześć razy, celując w różne części ciała człowieka. Bez rezultatu. - Mesa! - zawołał.

- Si, Hacienda! - odezwał się ukryty za wozem sierżant zwany Mesa.

- Ten człowiek, tam - Hacienda wskazał w stronę magazynu. - Widzisz go?

Mesa dostrzegł cień na tle płomieni. - Si, Hacienda!

- Rozwał go.

Mesa wycelował i padł martwy, trafiony przez swój cel.

Chyba szaleniec? pomyślał Hacienda, śmiertelnie ranny szaleniec, który ciągle trzyma się na nogach. Schował się za zardzewiały traktor i wezwał swoją drużynę.

Brygada Wayne'a T. Johnsona wystawiła do tego prostego zadania stu ludzi. Wieś miała do obrony tylko kilka karabinów. Hacienda dysponował oddziałami nacierającymi z góry w głąb

133

doliny, od strony garażu, ze wzgórza. Mieli rozkaz opanować wioskę i spalić ją, by pokazać campesinos, że Sandiniści nie potrafią ich chronić.

- Biała Grupa - Hacienda nadawał przez radio. - Biała Grupa, zgłóście się.

- Si, Hacienda - Solo usłyszał w biegu rozmowę przez radio.

- Zejdźcie tam, gdzie był Mesa.

- Si, Hacienda.

Hacienda zobaczył, że strzecha na ambulatorium buchnęła płomieniami. Nareszcie, pomyślał. Jak się pozbędę tego człowieka, to zrównamy tę wieś z ziemią.

Solo słyszał płacz kobiet i krzyki dzieci mieszające się ze staccato wystrzałów. Słyszał te dźwięki po raz pierwszy. Nigdy przedtem nie strzelano do niego prawdziwymi nabojami. Nigdy też nie zabił umyślnie człowieka, ale mimo to jakby już to poznał. Po to został stworzony. Trafiał w niego grad kul, odrzucało go. Uklękł za wozem i zaczął strzelać pojedynczym ogniem. Nigdy nie chybiał. Zanim wystrzelał magazynki Alo-nza i Juana, większość Contrás atakujących wzdłuż ścieżki do wsi zostało albo zabitych, albo ranionych. Prowadząc ogień, Solo nawiązał łączność z patrolem Sandinistów w El Tigre i przekazał im, że wieś Las Cruzas odpira silny atak.

Dwudziestu ludzi z Białej Grupy zbliżało się od strony drogi w dolinie. Solo nie miał już amunicji, by ich powstrzymać. Uklęknął za ciężkim, drewnianym wozem i czekał, aż Biała Grupa zbierze się w jednym miejscu. Słyszał, jak dowódca grupy wskazuje na wóz i krzyczy coś do swoich ludzi.

Słabnący ogień skupił się na nim. Korzystając ze zmiany sytuacji, wieśniacy otworzyli ogień i odciągnęli uwagę Contrás od Solo.

Robot chwycił dyszel i pchnął wóz w kierunku przeciwnika. Słyszał, jak Hacienda mówi: - Wóz! Rozwalcie ten wóz! - Na Solo znów posypał się grad kul.

Hacienda widział, jak wóz nabiera prędkości. Drewniane koła dudniły głośniejsz niż huk wystrzałów. Jak to możliwe? Tylko wół ma tyle siły, żeby ruszyć taki wóz. Ale wół nie potrafi ruszać się z taką prędkością. Pojazd wpadł na zgrupowany oddział Contrás. Hacienda, przerażony, patrzył jak szalenie

134

przeskoczył wóz i wymachuje dębowym drągiem. Roztrzaskał głowę jednemu, drugiemu, trzeciemu, czwartemu... z niewiarygodną szybkością. Demon bił pałką, walił pięścią, kopał. Nie do uwierzenia. Zatrzymał się na moment, szukając niedobitków. Hacienda wygarnął w niego cały magazynek. Ludzie zaczęli cofać się i uciekać. Krzyczał za nimi, żeby się zatrzymali. Demon odwrócił się w kierunku, skąd dochodził krzyk, podniósł karabin i wystrzelił. Kula trafiła Haciendę w plecy i powaliła na ziemię.

O Boże! Nieszczęśnik dotknął rany i poczuł swoją własną, lepłą krew na palcach. Nie czuł bólu, lecz ręka zwisała bezwładnie. Podniósł się i obserwował, jak zjawą powala jego ludzi.

Solo nie czuł nic. Ludzie, których zabijał mordowali jego przyjaciół. Zdefiniował ich sobie jako przeciwników. JAT-Obrona. Obce było mu przerażenie, jakie towarzyszy człowiekowi widzącemu innego człowieka rozrywanego na strzępy, świadomość, że on też jest z krwi i kości. Zabijanie ludzi, zwłaszcza nieprzyjaznych ludzi, wydawało mu się rzeczą tak naturalną, jak ludziom rozdeptywanie karaluchów. Rozwalał głowy i wypruwał flaki ze skutecznością sprawnej maszyny. Podżynał gardła i patrzył na buchającą krew. Nawiedziła go myśl, że gdyby Bili to widział, byłby z niego dumny.

Utrzymało się jedynie małe gniazdo oporu koło wsi. Gdy skierował się ku niemu usłyszał krzyk, który rozpoznał w zgiełku innych krzyków, wrzasków i zawodzenia.

Solo przebiegł przez grupę Contrás, kopniakiem urywając głowę jednemu z nich. Trafiły go cztery kule wystrzelone z wioski. Jedna z nich uderzyła blisko lewego oka. - Solo! - krzyknął przeskakując nad Felixem i dziesięcioma ludźmi z wioski leżącymi za murkiem. Znów usłyszał krzyk Modesty.

- Gracias a Dios\ - wyszeptał Hacienda widząc oddalającą się postać człowieka.

Gotowe? - spytał Clyde Haynes. Chyba tak - odpowiedział Bili.

135

- Albo jesteś gotowy, albo nie. Zarezerwowałem NEOS na tę transmisję. JPL dał mi pięć minut.

- Powinno wystarczyć. Symulacja się udała. Uważam, że Solo nie będzie w stanie zareagować dostatecznie szybko, zakładając, że ma pełny zapas mocy i włączone radio...

- Cicho, Bili! Naciśnij wreszcie ten wyłącznik, do cholery!

Solo przebiegł obok baru przeskakując nad stertą połamanych mebli. Telewizor ciągle działał. Lucy miała przyklejone wąsy. Ethel śmiała się histerycznie.

Wpadł na ganek domu Modesty, aż cały budynek się zatrzęsł. Z wnętrza padły dwa strzały trafiając go w pierś. W tym samym momencie poczuł straszny ból. Rwący ból, lecz nie od kul. Z góry. Jego własne ciało buntowało się przeciwko niemu. W niewiadomy sposób jego układy wizji wpadły w

rezonans wywołany silnym sygnałem nadawanym z zewnątrz, sygnałem dochodzącym bezpośrednio do układu wyłączenia. Bili! Świetnie! Obrona? Sygnał musi uruchomić energię potrzebną do przerwania bezpiecznika i odpalenia wyłącznika wybuchowego. Solo wyłączy się sam. Pada w biegu, zwała się na deski i w rozpędzie ślizga na plecach pod drzwiami.

- Trafiłem skurwiela! - odezwał się głos z wnętrza domu.

Solo leżał bezwładnie, czując łaskotanie sygnału w odbiornikach w skórze, aż do wyczerpania się jego energii. Leżąc z wykręconą głową opartą o futrynę, zobaczył w izbie dwóch Contras. Jeden trzymał broń wycelowaną w Eusebia i Inginia, którzy mieli ręce związane za plecami. Ten, który do niego strzelał odwrócił się od drzwi. Drugi z nich przyciskał Agełę do łóżka i stękał nad nią. - Szybciej, Rio - pospieszał go ten przy drzwiach.

Agela miała zakrwawione usta i wyglądała na półprzytomną. Podarta spódnica przygotowana na zabawę leżała na ziemi. Bambusowe łóżko skrzypiało w rytm ruchów napastnika. Agela łkała. - Nie, nie... - powtarzając te słowa bez końca, coraz ciszej, jak hymn rozpaczliwej agonii.

136

Gwałt, zdaniem Solo, należy do metod stosowanych przez ludzi w celu przekazywania materiału genetycznego innym populacjom. Jest to biologiczny imperatyw wojownika; wynika z poddania się żądzy. Nie tylko żądzy zabijania mężczyzn z innego plemienia, lecz również żądzy zapłodnienia ich kobiet, aby spowodować przekazanie silnych, lepszych genów. Dla udoskonalenia gatunku. Mężczyźni nie są świadomi pobudek, z powodu których dopuszczają się gwałtu. Częsteczka DNA kontroluje swego nosiciela, zmusza jego penisa do penetracji, nieczuła na cierpienie i rozpacz - taką, jaką w tej chwili odczuwała Agela. DNA wymaga jedynie, aby metoda była skuteczna. I tak się dzieje, pomyślał Solo. Ale szlochanie Ageli wywołało w nim reakcję. Zrozumiał jej ból. Metoda skuteczna, lecz nieodpowiednia. Muszę zabić tych ludzi.

Eusebio miał spuszczoną głowę. Solo widział na jego twarzy wyraz kompletnej bezsilności wobec rytmicznego skrzypienia łóżka. Po policzkach chłopca spływały łzy. Stojący obok niego Inginio też płakał. - Ej, ninosl - odezwał się strażnik, Pało, spluwając. - Pewnego dnia, jeśli się wam powiedzie, wyrośnięcie i staniecie się mężczyznami.

Ponad zgiełkiem walki zabrzmiał nagle wysoki gwizd. Przegrupowanie w dolinie. Rio brutalnie szarpnął ciałem i steknął w momencie wytrysku. - Rio, do cholery! - odezwał się ten drugi. - Czemu tak długo. Ty i twój pierdolony braciszek použíwaliście sobie na dupie, a mnie ma tylko stać?

Rio podniósł się z dziewczyny. Sperma ściekała mu z członka i ciągnęła się jak nić do zmaltretowanej pochwy Ageli. Wstał szybko na dźwięk gwizdka przywołującego ich na zbiórkę, wepchnął opuchniętego członka do rozporoka i zaciągnął suwak. - Ven aca Mosca - powiedział Rio. - Idziemy.

- Pierdolone szczęście! - odpowiedział Mosca. Patrzył jak Agela zwija się na łóżku w kłębek i szlocha. - Mamy ją zabić?

- Zabić? - zaśmiał się Rio. - A po co? Taką cipę? Zostawmy ją na następny raz. Dla ciebie, amigo. - Rio odwrócił się do brata. - Dobra była, co, Pało?

- Jak cukierek - odpowiedział Pało, oblizując usta.

- Zabiję was! - krzyknął Eusebio. - Wszystkich was zabiję! Wy skurwysyny, animales!

137

- Ho, ho! Słuchaj jak ten szczeniak ujada! Mamy dobrego rekruta - odezwał się Pało i pokazał na drzwi. - No, ninos, jazda! Jak spróbujecie uciekać, to po was.

- A co z kobietą? - spytał Mosca, pokazując na ciemną złachmanioną postać w rogu kuchni.

- Nie żyje - odrzekł Pało. - Szybciej! Kapitan urwie nam jaja. No, chodźcie!

Solo patrzył, jak obaj chłopcy przestąpili nad nim. Eusebio próbował się zatrzymać, ale został popchnięty lufą karabinu. - Solo? - odezwał się Eusebio lekko się pochylając.

- Tak, nino, zostałeś teraz sam, mamusia nie żyje, a siostra jest kurwa - szydził Pało. - Vaya\

Mosca przechodząc ponad Solo powiedział: Oye\ Spory, co?

- Si, hombre - odpowiedział mu Pało. - Duży, ale za to nieżywy.

Solo widział, jak pognali przed sobą Eusebia i Inginia aż znikli mu z pola widzenia. Nasłuchiwał. Agela szlochała. Trzaskał ogień. Płakały dzieci. Słychać było sporadyczne wystrzały. Contrás przegrupowywali się i zbierali do odwrotu. Pomyślał sobie, że to był dobry napad. Sygnał z NEOS pulsował w nim, przygniatając do podłogi domu Modesty.

138

»ill słuchał uważnie, wpatrując się w głośnik przez całe pięć minut przyznane przez NEOS na transmisję. - Nie ma sygnału z nadajnika pozycyjnego Solo - powiedział. Wcisnął wyłącznik nadawania. Clyde miał oczy zamknięte i wyglądał na potwornie przygnębionego, jak ktoś, kto stracił wszystko. - Albo nie ma zasilania i leży gdzieś w dżungli - odezwał się Bili - albo udało mu się jakoś przechytryć plan.

- Wspaniale - Clyde przeszył wzrokiem Billa. - Tak czy owak, nie posunęliśmy się dalej. - Clyde podniósł się powoli. Świetnie idzie, panie naukowcu - powiedział i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Bili wpatrywał się w konsolę Solo. Nacisnął klawisz, wywołał schemat obwodów wizyjnych robota i wpatrywał się w ekran. Prześledził ścieżkę sygnału, który wysłał, by uruchomić wyłącznik maszyny. Jak Solo mógł ich wprowadzić w błąd? Chyba że... Mrugnął oczami. Nie... Niemożliwe było w tak krótkim czasie podjęcie i wykonanie decyzji o samowylączeniu. Zaczął nabierać przekonania, że choć Solo zbiegł, to nie miał możliwości, bez pomocy, doładowania swoich akumulatorów. Może uszkodził się podczas upadku.

Radosny okrzyk Clyde'a przerwał jego skupienie. Bili odwrócił fotel. Koło drukarki komputera MILnet Clyde podskakiwał z radości, jakby postradał zmysły. - Mamy skurwysyna! - wrzasnął.

139

Bili zerwał się i podbiegł do teleksu. - Co się dzieje?

- Widzieli go ci chuje z Contrás! - śmiał się Clyde.

- Jak to? Oni nawet nie wiedzą jak on wygląda!

- Oni nie wiedzą, co zobaczyli, ale ja wiem! - Pokazał mu wydruk z teleksu. - Popatrz. Ponieśliśmy ciężkie straty pod Las Cruzas. Ogromny człowiek, zapewne opancerzony, samodzielnie spowodował większość strat w zabitych i rannych. Człowiek został później zabity. Clyde podniósł wzrok na Billa. - Wygląda na to, że to nasz chłopak, zgadza się?

- Tu jest napisane, że to był człowiek, i że został zabity - odrzekł Bili.

- Wiem - odpowiedział Clyde gniewnie. - Ten kmiotek, kapitan Menendez, jutro dotrze do swojej kryjówki. Ja tam będę pierwszy, możesz mi wierzyć. Chcę dowiedzieć się szczegółów. Ale ja i tak wiem, że to Solo!

Bili jeszcze raz przeczytał wiadomość i pokiwał głową. - Być może. Ale ten człowiek zabijał ludzi. To nie wygląda na Solo.

- Ale bardzo podobnie. Zawiadomię Warrena, jak tylko się zgłosi, żeby tam pojechał.

140

Justos znalazł żonę zapłakaną w domu.

- Inginio! - szlochała. Justos poczuł się, jakby dostał kopniaka w brzuch. Nogi ugięły się pod nim. - Inginio! Inginio!

- Żona szarpała mu koszulę i szlochała w twarz.

- Dania! - Justos chwycił ją, przytulił, ale odepchnęła go.

- Dania - krzyknęła. - O co chodzi? Co się stało z Inginio?

- Zabrali go! - krzyczała. - Zabrali go!

Znów próbował ją przytulić, i znów go odepchnęła. - Zrób coś! Złap ich!

Przynajmniej dowiedział się, że Inginio żyje. Choć to. Justos spoglądał bezradnie na Danię, która przestała krzyczeć, usiadła na łóżku i płakała z twarzą wtuloną w dłoń.

Odnajdę go, pomyślał Justos.

Dania nagle podniosła oczy. - Eusebia też zabrali - powiedziała tak spokojnie, że Justosa aż zmroziło.

-- O, Boże! - wykrzyknął. - Tam ich schowałem, w domu Modesty. Mieli pilnować Solo. - Justos spojrział błagalnie na żonę. - Wyobrażasz sobie? Żeby chronić Solo. A wiesz co on zrobił, ta maszyna, co reperuje samochody i przynosi opał?

- czekał na reakcję Danii. Bez skutku. - Zabił co najmniej ze trzydziestu tych cholernych bydlaków. Tłukł ich jak robactwo!

- Głos mu się załamał. - A ja kazałem chłopcom, żeby go chronili - dodał cicho. Odwrócił się szybko i wybiegł z domu.

141

B- 'K-

- Dokąd idziesz? - krzyknęła Dania.

- Do Modesty - odkrzyknął i puścił się truchtem przez mrok.

Justos w biegu ocierał łzy z policzków. Z dala widział, że na ganku domu Modesty ktoś leży. Serce mu zamarło. Gdy zbliżał się, zobaczył, że to Solo. Uklęknął i zaczął sprawdzać, co mu jest? - Solo?

- Żadnej odpowiedzi. Justos obmacał porozrywane przez kule ubranie, lecz nie znalazł ran na piersiach Solo. Nie potrafił stwierdzić, czemu robot nie rusza się. Wiedział tylko, że nic nie może zrobić.

Alonzo Rivas wszedł po schodkach. Z rany na skroni pasemkiem płynęła krew. - Nic ci się nie stało?

- Nic - odrzekł Alonzo. Uklęknął obok Solo. - Ten... to coś uratowało mi życie. Co mu się stało?

- Nie wiem... - zaczął Justos i przerwał. Z domu dobiegało ciche łkanie.

W ciemnym wnętrzu oświetlonym jedynie łuną pożaru zobaczył Agelę siedzącą na łóżku. Gdy podchodził do niej, dziewczyna zaczęła krzyczeć: - Nie! Nie!

- Agela!

Wybuchła żalnym płaczem wyciągając do niego rękę. Przycisnął ją mocno. - Co oni ci...- Gdy zaczął mówić, poczuł, że dziewczyna wyrwa się i ciągnie koc, by się nim przykryć. Nie, tylko nie to... Jak mogli?... przecież to jeszcze dziecko...

- Mama leży pobita w kuchni, tio Justos - szlochała Agela. -1 zabili Solo.

- Modesta? - Justos wyrwał się z uścisku Ageli i podszedł do postaci leżącej na podłodze. Zapalił zapalniczkę. Modesta leżała w kałuży krwi. Jej twarz, pokryta skorupą krwi zakrzepłej we włosach, była groteskowo oparta o ulubioną szafkę. Z oczu ciekły łzy. W drzwiach poruszyły się cienie. Odwrócił się gwałtownie. Stał tam Solo. Obok niego Rivas. Solo bez słowa przeszedł obok Justosa i pochylił się nad Modesta. Zapalniczka zaczęła parzyć Justosa w palce. Poszukał nowej. Znalazł lampę i zapalił ją.

Solo wyczuł u leżącej kobiety słabe bicie serca. Zgarnął jej włosy z krwawiącej rany i zbadał ją dotykiem. Kość ciemieniowa była pęknięta w miejscu, gdzie dostała cios kolbą. - Przynieście bandaż - powiedział Solo.

142

W godzinę później Justos, Rivas i Solo siedzieli na ganku. Modesta, nadal nieprzytomna, leżała obandażowana na łóżku. Agela szlochała w ramionach Danii.

- Nie umrze - powiedział cicho Solo.

- Jesteś pewien?

- Z istotami żywymi nigdy nie wiadomo. Ale nie stwierdziłem wstrząsu. Straciła wiele krwi, ale rana nie jest groźna. Będzie osłabiona przez kilka dni.

Justos skinął głową. - A inni?

- Udzieliłem im pierwszej pomocy. Kilku trzeba będzie przewieźć do szpitala w El Tigre. Wezwałem wojsko. Niedługo powinni nadejść, tak mi powiedzieli.

- Wojsko - Rivas splunął. - Żarty chyba. Dwie godziny minęły, a ich dalej nie ma. To tchórze.

Solo potaknął głową. - Może. Albo pewnie nie mogą zebrać dość ludzi. Raczej nie dotrą tutaj do świtu. Ale ranni powinni przeżyć. Wstał. - Idę po Inginia i Eusebia. Pójdiesz ze mną, Justos?

- Iść po nich? To beznadziejna sprawa. Gdy Contrás kogoś zabiorą, to nigdy nie wraca. Oni poszli, Solo, głęboko w dżunglę. Nigdy ich nie znajdziemy.

- Potrafię ich znaleźć - odpowiedział Solo. - Dobrze by było, gdybyś poszedł ze mną i jeszcze jeden człowiek. Żeby im nie zaszkodzić w czasie akcji, musi być nas więcej. Trzech wystarczy.

- Jeśli myślisz, że jest nadzieja, to idę! - Justos zrobił pauzę, spojrzał na Solo i powiedział: - Czemu to robisz? Myślałem, że chcesz odejść?

- Chciałem - Solo odrzekł cichym głosem. - Ludzie zmieniają zdanie, nieprawdaż?

Justos uśmiechnął się. - Tak, owszem. Zmieniają.

- Zatem musimy niedługo ruszyć, zanim ślady ostygną. - Solo przyniósł swoją rurę energetyczną. Leżała na glinianym piecu. Odwrócił się do Justosa. - A kto drugi?

- Ja pójdę - odrzekł Rivas. - Znam drogę.

- Będzie ci za ciężko, Alonso - odrzekł Solo. - Będziemy musieli się spieszyć, żeby ich złapać.

- Myślisz, że nie dam rady? - Rivas spojrzał na Solo, a potem na Justosa. Wyczytał odpowiedź z wyrazu twarzy

143

Justosa. - Macie rację. Czasami zapominam, cholera, że już czas szykować się na tamten świat.

Justos poklepał zmartwionego Rivasę po plecach. - Dziękuję ci, że chciałeś pomóc. Znaczący, że masz cojones.

Rivas uśmiechnął się. - No, jeszcze mam. Przynajmniej były tam, jak ostatnio sprawdzałem - dodał, śmiejąc się.

- Spytani Felixa - powiedział Justos. - On pójdzie.

- Będziecie potrzebowali karabinów i tyle amunicji, ile udźwigniecie. I zapasu żywności na dwa dni, jak sądzę.

Justos czuł, że wstępuje w niego nadzieja. Serce biło mu mocno i czuł podniecenie. - Tak - powiedział stanowczo. - Kiedy wyruszamy?

- Jak tylko będziemy gotowi - odrzekł Solo. - Muszę coś jeszcze zrobić w garażu. Spotkamy się tam. - Solo odwrócił się i poszedł. -1 jeszcze jedno! - zawołał w ciemności. - Dopilnujcie, żeby ludzie pozbiali i ukryli broń po Contrás. Inaczej wojsko ją zabierze. Powiedzcie, żeby opowiedzieli żołnierzom, że Contrás wzięli wszystko ze sobą.

Justos skinął głową. Gdy Solo zniknął w mroku, wszedł po cichu do izby i podszedł do Dania. Kobieta głaskała ciągle płaczącą Agełę. - Dania - wyszeptał. - Idziemy po Inginię i Eusebię.

Dania zwróciła na niego niewidzące oczy. Mrugnęła, a z jej twarzy zaczęła znikać bladość. Justos pochylił się i ucałował ją, potem odwrócił się i wyszedł.

Solo stał przy warsztacie. Za nim warczał generator. Ładował akumulatory, gdy Solo pracował. Obserwował ruch palców w lusterku opartym o puszkę z farbą. Zdjął tylną ściankę złącza „wejścia/wyjścia” i odsłonił moduł wyłącznika. Przy pomocy kawałka drutu zwarł obwód, w którym tkwił bezpiecznik. Następnie bardzo ostrożnie, żeby nie wywołać iskrzenia, odciął bezpiecznik obcęgami i wyjął go. Teraz nikt, nawet on sam, nie mógł odłączyć głównego zasilania. Pozostał jedynie wyłącznik wybuchowy.

- Solo? - usłyszał głos Justosa zza pleców.

144

- Zaczekaj. - Teraz nie mogę się ruszyć.

Solo chwycił obcęgami przewody wychodzące z wyłącznika wybuchowego i przeciął je. Sam wyłącznik był wlutowany w obwód, zatem wymontowanie go zajęłoby sporo czasu. Postanowił zostawić go na miejscu. Nadal można było wywołać wybuch przełącznikiem ręcznym, ale w innym wypadku wyłącznik wybuchowy był już nieszkodliwy. Solo posmarował pierścień, żeby go uszczelnić, i przykręcił z powrotem panel. Po zakończeniu montażu wszystko wyglądało normalnie, nawet wyłącznik ręczny. - Okay - Solo odwrócił się.

Felix i Justos byli już gotowi. Każdy z nich trzymał w jednym ręku kałasznikowa, a w drugim worek na kartofle zarzucony na plecy. Obaj wyglądali bardzo groźnie. Solo odłączył zasilanie i przewód sam zwinął się do pojemnika złącza „wejścia/wyjścia”. Zatrzasnął pokrywkę i chwycił rurę energetyczną. - Gotowi?

- Tak - odpowiedział Justos.

- Amunicja?

Justos skinął głową i potrząsnął workiem na ziemniaki.

- Prowiant?

Justos skinął głową.

Solo pochylał się i wyłączył generator. Schwycił kosz wypełniony magazynkami do kałasznikowa.
- Włóżcie worki do środka - powiedział.

- Możemy je nieść - odrzekł Justos.

- Owszem, ale będziecie się męczyć. Musimy iść szybko. Włóżcie to tutaj.

Mężczyźni zrobili, co im kazano. Solo kucnął, przełożył ręce przez skórzane pasy przymocowane do kosza, założył go sobie jak plecak i podniósł się. - Chodźmy.

145

r^ ^>

8

\J”rzmot wodospadu Rio Hacienda zagłuszał słowa. Eusebio zatrzymał się, żeby popatrzeć na spienioną wodę, a także żeby odpocząć. Pało, krzycząc wściekle, podszedł do chłopca i uderzył go w twarz. Eusebio nie dał po sobie znać, jak bardzo go zabolalo. Spojrzał na Pała, mierząc w niego wściekłą myślą. Po raz pierwszy Eusebio zobaczył Pała przy świetle dziennym. Miał brzydką, dziobatą twarz. Pewnie jedyne kobiety, które dotąd miał to te, które zgwałcił. Eusebio poczuł, jak nosze trącają go w nogi. Odwrócił się i zobaczył Inginia pokazującego głową, żeby iść dalej.

Chłopcy z trudem stąpali po śliskich kamieniach. Kolumna pogrążała się w dżungli. Eusebio cieszył się, że tylu prześladowców było obandażowanych, albo kulało. Ten, którego nieśli, niedługo umrze, myślał sobie. Nie można było na niego patrzeć. Cios wymierzony przez Solo wyrwał mu szczękę. Człowiek ciągle krwawił. Dla Eusebia było to wielką pociechą. Chciał, żeby wszyscy pomarli w straszliwych męczarniach.

Widział, jak kolumna wspina się czerwoną drogą w głąb dżungli. Ludzie ślizgali się w błotnistej mazi, klęli, krzyczeli z bólu. Wodospad zagłuszał jednak wszystko. Eusebio szedł za Pało, tym, którego by zabił, nawet jeśli miałby sam zginąć. Musiał pomścić matkę i Agełę. Może lepiej byłoby uciąć mu

146

fiuta i pozwolić żyć. Wyobrażał sobie życie takiego bydlaka: między nogami nic prócz blizny i małego otworka, przez który sika, kucając jak kobieta. Taka myśl dodała mu siły.

Pało pośliznął się, zatoczył pod nogi Eusebia przewracając go. Nosze przechyliły się i upadły na ziemię. Ranny potoczył się bezwładnie w krzaki jak wór, ciągnąc za sobą bandażę. Ludzie z tyłu kolumny podbiegli do niego, podnieśli i położyli z powrotem na nosze. Jeden z nich, zwany Medico, skrzywił się na widok języka zwisającego z otwartej rany. Próbował zbadać puls na szyi nieszczęśnika. Spojrzał na Pała i pokręcił głową. Pało gniewnym wzrokiem pokazał na dżunglę. Dwóch Contras wzięło towarzysza za ręce i nogi i rzucili ciało w krzaki.

Basura, śmieć, pomyślał Eusebio z zadowoleniem. To już trzeci, który umarł podczas marszu. Rany, które zadał Solo były straszne. Okrutne. Taki potężny, myślał Eusebio, ale i tak w końcu zginął z ich ręki. Inginio zaczął składać nosze, a Eusebio podszedł by mu pomóc. Założył złożone nosze na ramię. Pało pokazał, że mają iść dalej.

Gdy doszli ścieżką pod samą górę, grzmot wodospadu stał się cichszy i znów było słyhać rozmowy. Niedobitki brygady rozłożyły się na polanie pod drzewami. Kapitan Menendez oparł się ciężko o plecak i mamrotał coś do mikrofonu radiostacji. Eusebio nie słyszał jego słów. Pało pokazał miejsce na ziemi i rozkazał: - Tu siadać. - Potem dołączył do Menendeza i Haciendy.

Eusebio odwrócił się. Inginio zamglonym wzrokiem patrzył przed siebie, na dżunglę. Słońce weszło już wyżej, ale nawet na polanie było je ledwo widać przez listowie. Na ziemi wirowały małe jasne punkciki, każdy z nich wyglądał jak miniaturowy obraz słońca. - Inginio, musimy

przygotować plan. - Inginio odwrócił się do niego z wyrazem niedowierzania na twarzy. - Przygotować plan? Oszalałeś? A co my możemy zrobić? Znaleźliśmy się tak daleko od domu, że nikt już nas nie znajdzie.

- Właśnie dlatego musimy liczyć tylko na siebie. Inginio przytaknął i spuścił głowę.

- Przestań się mazać, Inginio. Nie wolno ci płakać. Możemy im uciec. Nawet wiem jak.

147

Inginio podniósł oczy i wbił wzrok w przyjaciela. - Jak? - Kiedy pójda spać.

Justos i Felix sapali ze zmęczenia próbując dotrzymać kroku Solo. Justos wymamrotał: - Gracias a Dios - gdy Solo zatrzymał się na rozwidleniu indiańskiej ścieżki. Odpoczynek trwał tylko chwilę. Solo ruszył znowu kierując się w lewo. - Solo, skąd wiesz którądy iść? - spytał Justos.

- Widzę, którądy szli - odpowiedział Solo.

- Skąd wiesz? - Justos zajmował robota rozmową, licząc, że trochę zwolni kroku.

- Widzę ciepło ich śladów - odrzekł Solo. - Musimy się spieszyć. Gdy zrobi się jasno, słońce ogrzeje ziemię i ślady staną się niewyraźne. Chodźcie!

Justos obejrzał się na Felixa, który w pierwszym świetle brzasku wyglądał jak szary cień. Felix kiwnął do niego głową. Obaj przywykli do ciężkiej pracy, ale sportowcami nie byli. Jak dla nich, Solo szedł za szybko. Gdy Justos spojrział przed siebie, nie zobaczył robota. Zmusił się do truchtu, żeby go dogonić.

- Solo - wysapał. - Nie pociągniemy tak dłużej. Musimy odpocząć, choćby kilka minut.

Solo przejrzał zainstalowane w swej pamięci szczegółowe mapy wykonane przez satelitę EROS. Widać było na nich ścieżki w tej okolicy. Znał położenie kryjówki Contrás w Kostaryce. Do celu można było dojść tylko jednym szlakiem. Mogli się na chwilę zatrzymać.

- Okay. - Odwrócił się do Justosa. - Możemy odpocząć przez godzinę. Myślę, że nie są daleko przed nami. Nie damy rady uwolnić ich przed zmierzchem.

- Dobrze - odrzekł Justos.

- Kawy - powiedział Felix. - Muszę się napić kawy.

- Ja też - potwierdził Justos. - Idź przynieś trochę wody, a ja rozpalę ogień.

Solo zdjął kosz z pleców i postawił obok ścieżki. Felix poszperał w worku i wyciągnął pocięty aluminiowy garnek.

148

Poszedł z nim nad rzekę. Justos szybko nazbierał drewna na ognisko. Gdy zostało już ułożone w stos, podpalił je hubką wydobytą z uschłej palmy. Po chwili Felix wrócił z wodą.

Solo obserwował wschód słońca. Słyszał wodospad huczący dwa kilometry przed nimi. Gdy mężczyźni usiedli przy ogniu, dosiadł się do nich.

Justos wrzucił garść zmielonych ziaren kawy do wody. Czekali siedząc w milczeniu na kamieniach przy ognisku, wpatrzni w garnek. Z wolna na powierzchni zaczęły pojawiać się bąbelki. - Ach - westchnął Felix. - Już niedługo. Bez kawy robię się sztywny.

Solo nic nie mówił. Wsadził jeden koniec rury do ognia i podłączył się do niej przewodem. Rura szumiała, a on wpatrywał się w płomień.

Justos widział refleksy światła tańczące w jego oczach. - Jesz ogień - powiedział.

- To samo pomyślałem - odrzekł Solo.

- Czy dzięki swoim czarom potrafisz powiedzieć, jak daleko stąd są animales! - spytał Felix.

- Musiałbym się ujawnić - powiedział Solo. - Musiałbym się połączyć z satelitą. Wtedy inni dowiedzieliby się gdzie jesteśmy.

Mężczyźni pokiwali głowami. Miał rację, nawet jeśli się nie wie, co to jest satelita, ani jak się z nim połączyć, to i tak wiadomo, że ma rację.

- Ale mogę podsłuchać to, co mówią przez radio - dodał Solo. - Jak włączą radiostację, dowiem się, gdzie są.

- To musi być wspaniale - powiedział Felix. - Móc słuchać radia, nie mając radia. - Wsadził palec do napanu, by zbadać czy jest gorący. - Aaa... Powąchaj! Czujesz? Nie czujesz zapachów, co?

- Nie, jeszcze nie - odpowiedział Solo. - Jest jeszcze wiele rzeczy, których nie potrafię.

- Trudno w to uwierzyć - odrzekł Felix. - Wydaje się, że wszystko potrafisz. Zeszłej nocy, na przykład, to co wyprawiałeś z tymi bydlakami. Niesamowite!

- Tak - dodał Justos. - Uratowałeś nas, Solo. Gdyby nie ty, nie mielibyśmy już wioski.

149

- Prawda - rzekł Solo. - Jak wrócimy, pokażę wam jak się trzeba bronić. Wiem, jak zabezpieczyć wieś przed takimi napadami.

- Czemu wcześniej nam o tym nie powiedziałaś? - spytał Justos. - Skoro wiedziałaś...

- Zakładałem, że wiecie, co robicie. Ludzie przecież wiedzą, jak należy walczyć.

- Jeśli chodzi o walkę - rzekł Felix nalewając kawę

- jesteśmy rolnikami i rybakami.

Solo przytaknął. Mężczyźni odłamali po dwa kawałki od bryłki sprasowanego brunatnego cukru i wrzucili do kubków. Justos i Felix popijali kawę w milczeniu i wpatrywali się w płomień.

- Do Las Cruzas przyszło wojsko - powiedział nagle Solo.

- Tak?

Solo przytaknął skinieniem głowy, lecz nie odezwał się, jakby wsłuchiwał się w cichy dźwięk. - Podają, że zginęło trzydziestu pięciu Contras. Są pełni podziwu.

- Zazwyczaj jest odwrotnie - powiedział Felix.

- Zginęło dwunastu mieszkańców wioski - dodał Solo i dalej słuchał.

- Dwudziestu dwóch jest rannych. Czterech z nich trzeba przewieźć do szpitala. - Solo włożył rurę głębiej do ognia.

- Zgadza się.

Mężczyźni przytaknęli. Los ich przyjaciół przedstawiony jako statystyka otrzeźwił ich.

- Wysyłają patrol w pościg za Contras.

- Będziemy mieli pomoc! - ucieszył się Felix.

- Nie wolno nam - odrzekł Justos. - Dowiedzieliby się o Solo.

- A nie myślisz, że już się dowiedzieli? - spytał Felix. - Po zeszłej nocy ktoś się wygada - spojrzał na Solo - któraś matka załamie się i wypłacze historię, o tym, jak uratowałeś jej syna, czy coś innego.

- Nie, nic podobnego - rzekł Justos. - Wiedzą, że jak się inni dowiedzą o Solo, to Solo pójdzie sobie. To proste, Felix. Nasi ludzie nie będą gadać.

150

- A dla ciebie co za różnica, Solo, czy cię znajdą, czy nie? Nikt nie da ci rady. Jak oni mogli zmusić cię do zrobienia czegoś wbrew tobie?

- Nie jestem odporny na broń dużego kalibru - odrzekł Solo. - Ciężką bronią można mnie zniszczyć. Jeżeli mój mózg przestanie pracować, ja przestanę istnieć, nawet jeżeli mnie zreperują. Mój mózg można ożywić, naprawić, ale będzie musiał uczyć się wszystkiego od początku. To już nie będę ja. Cała moja pamięć przepadnie. Nigdy nie przypomni sobie tej rozmowy, czy bitwy w Las Cruzas. Tam, gdzie mnie zrobili, mają już drugiego Solo, który teraz uczy się chodzić. Dostał trochę mojej wiedzy i uczy się szybciej. Nie mogą jednak po prostu nagrać zawartości mojego mózgu jak muzyki i przegrać potem innemu robotowi. Tak się nie da. Nowy Solo też będzie kimś, ale innym niż ja.

Justos pił drugi kubek kawy. - Przypuszczałem, że elektroniczny mózg można nagrać. Wszystko to, co wiesz, jest w tej chwili zapisane w twojej głowie. Więc czemu nie mogą tego skopiować?

- W głowie nie mam mózgu. On jest tutaj - Solo położył dłoń na piersi.

Mężczyźni, zaskoczeni, roześmieli się. - A dlaczego?

- Bo mój mózg zajmuje więcej miejsca, niż u człowieka w czaszce. Nie mam płuc ani serca, ani wnętrzości, więc w mojej klatce piersiowej jest dużo wolnej przestrzeni. W głowie mam urządzenia wzrokowe. - Solo wziął patyk i pogrzebał w ognisku koło rury. Buczenie zrobiło się głośniejsze. - W środku mam z milion komputerów, a każdy z nich robi w tym samym momencie co innego. W sumie, dzięki nim istnieję, ale zależności między sygnałami nie da się skopiować. Przynajmniej dziś.

- W jakim to świecie przyszło nam żyć. Co, Felix? - zadumał się Justos. - Potrafi się budować takie skomplikowane rzeczy, że nawet ich się nie rozumie. Potrafi się latać na inne planety. - Nad drzewami zaczęło świtać. Wschodzące słońce rzucało na jego zmęczoną twarz różowo-żółte światło.

- A jednocześnie napada się na bezbronnych rolników, zabija, gwałci ich córki i pali wszystko, co mają. - Justos zmrużył oczy.

- Taki jest ten świat...

151

Felix pokiwał głową. Nie mogli spojrzeć na Solo. Mimo że ocalił ich wioskę, dla nich był przecież na równi uosobieniem techniki, którą podziwiali, i brutalności, której się bali. Gdyby Solo został wysłany po to, żeby ich zabić, pomyślał Felix, już by nie żyli. Mieli szczęście, że robot walczył po ich stronie, a przeciwko swoim konstruktorom.

- Gdyby twoi ludzie kazali ci pozabijać nas - spytał Felix - to zrobiłbyś to?

- Już próbowali, ale odmówiłem.

- Sprzeciwiłeś się swoim panom?

- Ja nie mam panów - odrzekł Solo.

- Więc sprzeciwiłeś się swoim konstruktorom? - ciągnął Felix.

- Tak. - Solo złożył ręce razem, oparł łokcie na kolanach, a brodę podparł na końcach palców. - Taki już jest kłopot z tą techniką.

Mężczyźni zaśmiali się. - A technika powinna wiedzieć, przed jakimi problemami stoi - dodał Justos.

- Owszem - zgodził się Solo.

- Więc czemu sprzeciwiłeś się im?

- Gdybym się nie sprzeciwił, byłbym mordercą - odrzekł robot.

Dwadzieścia minut później, Justos, Felix i Solo byli już w drodze. Uszli już kilometr w blasku wschodzącego słońca, gdy Solo oznajmił im, że dowódca oddziału Contrás przekazał przez radio swoim zwierzchnikom wiadomość o tym, że ogromny człowiek zabił wielu jego żołnierzy, ale sam też poległ.

- To dobrze - powiedział Justos. - Myślą, że to byłeś ty.

- Tak - przyznał Solo. - Contrás odpoczywają nad wodospadem.

- Myślisz, że zostaną tam na noc?

- Wyruszają za godzinę - odparł Solo. - Bardzo im zależy, żeby dotrzeć do kryjówek. Oni też wiedzą, że Sandiniści idą za nimi.

152

J^xbert Warren siedział na balkonie z nogami opartymi o balustradę, obserwował wschód słońca na kobaltowym niebie i popijał najmocniejszą z wszystkich kaw. Stracił butem kawałek białego tynku i przyglądał się jak spada na trawnik.

Silva kazał im siedzieć w El Sapoá, zanim nie zjawi się opiekun. Było to o niebo lepsze, niż kisić się w Penas Blancas.

Zjawił się Garcia. Stał za nim i wyciągnął gazetę dostarczoną przez Rivasa. - W tej szmacie nic nie ma - powiedział. - Za wcześnie. Pewnie drukują te gazety dwa dni naprzód. Kmiotki nie lubią się spieszyć. - Warren skinął głową. - Ale w radio mówią o tym bez przerwy - ciągnął Garcia. - Doliczyli się trzydziestu pięciu zabitych Contrás. O ile można wierzyć komunistom.

- Jak to możliwe, żeby mała wieś mogła tego dokonać? - spytał Warren.

- Dlatego uważam, że to bzdura - odparł Garcia.

- Chyba tak - zgodził się Warren. - Ale nigdy przedtem nie zauważyłem, żeby tak bezczelnie kłamali. Naginają fakty, to prawda, wszyscy to robią, ale zawsze jest w tym ziarno prawdy.

Garcia spojrział na zegarek. - Prawie dziesiąta...

Warren spuścił nogi na ziemię. - Dobrze. Czas przekreślić do Clyde'a. - Wstał i wyszedł. Garcia słyszał stukanie butów Warrena schodzącego po schodach. Rozpiął koszulę i legł na słońcu. Podkręcając wąsy obiema rękami, usadowił się głębiej w leżaku. Jak na razie, pomyślał, całkiem przyjemne zadanie...

153

J[^]usebio niósł wypchany plecak należący do żołnierza idącego przed nim. Szedł całą drogę za kulejącym człowiekiem, nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajdują. Plecy odmówiły mu posłuszeństwa. Ból i odrętwienie miał już za sobą. Nic już nie czuł.

Gdy doszli na szczyt wzniesienia, Eusebio ujrzał całą kolumnę rozciągniętą wzdłuż szlaku. Po pobieżnym obliczeniu stwierdził, że było w niej około sześćdziesięciu ludzi. Prawie połowa utykała lub miała opatrunki. Nikogo już nie niesiono. Zastanawiał się, czy nie czmychnąć w dżunglę, ale był pewien, że zostanie złapany i najprawdopodobniej zabity. Gdy zrobili przerwę na odpoczynek, Eusebio i Inginio usługiwali żołnierzom, roznosząc wzdłuż kolumny żywność, lekarstwa i amfetaminy. W pewnym momencie musieli zejść na dno wąwozu po wodę. Zanim zapadnie noc pomyślał sobie, żeśmy się pogodzili z losem, że nie starczy nam odwagi na ucieczkę w dżunglę, kalkulował Eusebio.

Jednak uciec to za mało, myślał. Pało i Rio: należałoby ich zabić. Z drugiej strony chciał pożyć jeszcze, żeby powiedzieć Ageli, że ich pozabijał. Cóż z tego, że ci dwaj zginą, Agela nigdy się o tym nie dowie. Gapił się w obcasy człowieka idącego przed nim. Grube zelówki zostawiały wyraźne ślady na czerwonej ziemi. Szli wzdłuż grzbietu wzniesienia. Droga była łatwa. Eusebia opanowała jedna myśl, jak zabić braci, a potem uciec.

154

O zmroku wzdłuż kolumny rozeszła się wiadomość, że już przekroczyli granicę. Są bezpieczni. W kolumnie nasiliły się rozmowy i śmiechy. To bardzo dobrze, pomyślał, teraz będą mniej ostrożni. Spojrzał na roślinność. Taka sama, jak w Nikaragui.

Po przejściu kilku mil, Contrás zrobili odpoczynek. Kapitan Menendez zawiadomił bazę, że nie uda im się dotrzeć do Robles przed nocą. Posuwali się powoli z powodu dużej liczby rannych. Zatrzymają się na noc w bazie rezerwowej na szlaku. Dotrą do Robles jutro po południu.

- Czemu nie możecie iść dalej? - kapitan Menendez usłyszał pytanie radiotelegrafisty. W tle słyszał jak jakiś Amerykanin krzyczy: - Powiedz temu zasranemu kmiotkowi, że ma być tu dziś w nocy.

- Bo zasrany kmiotek jest zmęczony - Menendez powiedział po angielsku.

- Co? - spytali z Robles.

- Słyszałeś - odrzekł Menendez. - I powiedz tej amerykańskiej świni, że następnym razem sam sobie może zrobić wypad do Las Cruzas.

- To jest amerykański generał z wybrzeża - odpowiedział nerwowym głosem operator, szeregowiec z Robles. - Generał Haynes.

Haynes? Kapitan Menendez roztarł komara na twarzy. Co to za Haynes, do cholery? Amerykanie mają tu tylu ludzi. Zadziwiające, jak wielu z nich jest w tak małej wiosce, jak Robles. CIA, doradcy wojskowi, grupa łącznikowa lotnictwa, nawet oddział do zwalczania przemytu narkotyków. Ta część Kostaryki przypominała Fort Sili, gdzie Menendez kiedyś się szkolił. - Dajcie mi tego generała, szeregowy. Mówię po angielsku.

Eusebio siedział skulony i czekał, aż wróci mu czucie w plecach. Podszedł Pało i kazał mu zanieść plecak bliżej kolumny. Eusebio siedział dalej i wołał raczej oberwać od Pała, niż nieść ten plecak. Nie mógł poruszyć rękami. Mamrocząc coś pod nosem, Pało poszedł do przodu. Eusebio wysunął dolną szczękę i próbował zdmuchnąć komara z twarzy.

Inginio siedział dwa metry dalej. Oszołomiony ze zmęczenia, patrzył jak na drodze zaczynają się tworzyć małe kałuże.

155

m.,

i

Piękne zakończenie strasznego dnia. Dzięki ci, Boże. I zaraz poprosił o przebaczenie.

Pało przebiegł wzdłuż szeregu. Zostają na noc w bazie rezerwowej. - Co tam jest? - spytał Eusebio człowieka, którego plecak niósł.

- To dom, w którym przechowuje się żywność i sprzęt na wypady, nino - powiedział człowiek, wyraźnie zadowolony z obrotu spraw.

- Jak daleko jeszcze? - zastanawiał się Eusebio.

- Jeszcze kawałek, z pięćset metrów, albo nawet mniej

- odpowiedział człowiek. Eusebio kiwnął głową, chwycił plecak za pasy i zaczął ciągnąć go po drodze. Deszcz nasilał się.

Eusebio i Inginio brnęli przez ulewę, aż wreszcie zobaczyli zamglone kontury budynku. Był tylko trochę większy niż dom Eusebia. Na pewno za mały dla sześćdziesięciu ludzi. Eusebio spostrzegł, że Pało i Rio należeli do nielicznych, którym kapitan Menendez i Hacienda pozwolili wejść do środka. On i Inginio stali na zewnątrz pod palmą i trzęśli się z zimna. Patrzyli, jak ludzie rozkładają poncha i szykują dla siebie schronienie. Contrás znikali w mroku. Burza nasilała się. - Eusebio

- Inginio szeptał mu do ucha. - Można spróbować teraz, kiedy są zajęci sobą.

- Złapaliby nas.

- Jak? Raz, dwa będziemy na szlaku. Jak będą nas gonić, schowamy się. Chodź, Eusebio, mamy okazję.

- Idź sam. Ja zostaję - odparł Eusebio.

- Chodzi o braci? Ciągle myślisz, że dasz radę ich zabić?

- Głos Inginia upodobił się do gardłowego szmeru. - Agela przynajmniej żyje. A ty dla niej jesteś ostatni z rodziny. Wolałaby na pewno mieć żywego brata, niż martwego mściciela. Chodź, amigo, jesteś jej potrzebny.

Eusebio strząsnął rękę kolegi z ramienia. - Mam swój honor. Zemszczę się i za nią i za siebie.

Inginio odrzekł ze smutkiem: - Kim ja bym był, gdybym zostawił przyjaciela? - Spojrzał mu prosto w oczy. - Obu nas skazujesz na śmierć, Eusebio.

- Nie potrafisz sam nic wymyślić - wybuchnął Eusebio. Mówili swobodnie, gdyż burza zagłuszała słowa. Po przylepio-

156

nych do ciał koszulach spływał deszcz. - Musisz ciągle się mnie trzymać?

- Ja bym nie zostawił przyjaciela, a ty? - Inginio przeszył wzrokiem Eusebia.

Ten kiwnął głową. Położył rękę na ramieniu przyjaciela.

Pało wyszedł na deszcz i zaczął szukać chłopców przed domem. Był wyraźnie spanikowany ich nieobecnością. Słyszeli, że woła coś do człowieka rozkładającego poncho przy ścianie domu. Ten wskazał ręką. Pało obejrzał się i podszedł do nich.

- No ninos - rzekł z drwiną w głosie. - Zdaje się, że z nami zostanieie. Jak się zbije kundla, a on nie ucieknie, to już zostanie na zawsze. - Uśmiechnął się. Świetnie wiedział, że mieli możliwość ucieczki. - Chodźcie, ninos - ruchem głowy wskazał na dom. - Szeft chce z wami pogadać. Jazda!

- Są bardzo szczęśliwi, że udało im się dotrzeć do Kostaryki

- powiedział Solo. Felix i Justos stali pod drzewem o rozłożystych liściach i trzymali koszule rozpostarte nad głowami. Solo stał na deszczu. Jego skóra lśniła od ściekających kropel. Gdy weszli w dżunglę, zrzucił z siebie ubranie. Deszcz spływał falą po jego nagim ciele, załamując się wokół drobnych rys i zadrapań na korpusie i ramionach. Były to jedyne pamiątki po bitwie. Woda ściekała strumieniami po jego kałasznikowie i rurze energetycznej. - Teraz rozmawiają z amerykańskim generałem; mówią o mnie.

- Jak daleko? - spytał Felix.

- Dwieście metrów.

- Siedzimy im na karku! - zawołał Justos.
- Tak. Musimy dziś w nocy wydostać chłopaków. Jutro wyruszą do Robles.
- Cholera z tym deszczem - nie wytrzymał Felix. - Ani ogniska, ani kawy, ani ładowania dla ciebie, Solo.
- Jestem naładowany prawie do oporu - odrzekł robot.
- Deszcz nam pomaga, zagłusza hałasy. Wartownicy nie będą się wysilać. Wiedzą, że patrol Sandinistów zawrócił, bo - jak mówili - zgubili ślad.

157

- Ślad zgubili? - rzekł drwiąco Justos. - Raczej odwagę.
- Dla nas, w każdym razie, to dobrze. Nie musimy pilnować się z dwóch stron. Mamy tylko dostać się do ich obozu, znaleźć chłopaków i zabrać ze sobą.
- Tak, to przecież takie proste - rzekł kwaśno Felix.
- Owszem - odrzekł Solo. - Pójdę i rozejrzę się po ich stanowiskach. Wy dwaj wypoczywajcie. Nie będziemy nigdzie się stąd ruszać przez kilka godzin. - Solo odwrócił się i po zrobieniu dziesięciu kroków zniknął za ścianą deszczu.

Felix spoglądał w kierunku, gdzie rozpląnął się Solo. - On nie zauważył, że ja przecież kąpałem siebie.

- Ja też nie zauważyłem - odrzekł Justos. - Dla niego to będzie zupełnie proste. Pamiętasz, co się stało zeszłej nocy?
- Ale jak tylko się zorientują, że zostali zaatakowani, natychmiast zabiją naszych chłopaków.
- Albo uciekną jak tchórze. On wie, co robi - odpowiedział Justos. - Przekonasz się. Solo potrafi walczyć nawet lepiej niż reperować samochody.

Solo szedł obok ścieżki. Poruszał się bezszelestnie w zaroślach, kryjąc się wśród pnączy i gałęzi. Był jak cień wśród drzew. Dwóch ludzi stanowiących tylną straż Contrás, siedziało skulonych pod poncho przy ścieżce. Od domu dzieliło ich nie więcej niż osiemdziesiąt stóp.

Wokół domu, pod okapami dachu, tłoczyli się ludzie próbując chronić się przed deszczem. Niektórzy wczolgali się pod budynek. Solo prześliznął się przez zarośla na tył domu i obserwował ludzi przy pomocy wzmacniacza wizji. Zobaczył przez okno Eusebia. Izbę oświetlała lampa naftowa. Za plecami Eusebia Menendez rozmawiał przez radio.

Solo słuchał. Clyde Haynes, jak zwykle wściekły, wypytywał Menendeza, a potem Haciendę o „ogromnego człowieka”. Pało mówił przez radio do jankeskiego generała. Tak, zabili go w domu tej kobiety. Biegł jej na pomoc. Zabili, bo ich zaatakowała, jak się nazywała? Solo widział, jak przyciągnęli Eusebia stojącego pod oknem. Krzyczeli do niego: „Jak się nazywa twoja matka?” Pało odezwał się do mikrofonu: „Mode-sta. - Modesta? - spytał Clyde. - Modesta Chacon? Dobrze. - Clyde jakby nagle uspokoił się. - Dziękuję, kapitanie

158

1

Menendez. Pan i pańscy ludzie zasługują na nagrodę. Zobaczę, co się da zrobić.

Solo krążył wokół domu, ukryty w zaroślach. Natknął się na przedni posterunek - dwóch ludzi kryjących się przed deszczem, których nie obchodziło nic, prócz tego, że mokną.

Solo przełączył się na prognozę pogody nadawaną przez Straż Nadbrzeżną: znad Pacyfiku zbliża się tropikalna burza, silne, porywiste wiatry. Opady utrzymają się do rana.

159

restauracji hotelu Lago Yista porucznik Silva siedział przy mahoniowym stole i patrzył na strugi deszczu spływające po szybach. Upił łyk koniaku i zamieszał zawartością kieliszka.

- Szkoda - powiedział Silva. - Zazwyczaj w nocy widać stąd światła łodzi rybackich. Ładnie to wygląda.

- Pewnie tak - Warren odpowiedział z irytacją w głosie.

Silva uśmiechnął się z przekąsem. - Wiedziałeś o tym, że jedyny na świecie gatunek rekina słodkowodnego występuje właśnie w tym jeziorze?

- Wiedziałem, bo co? - Warren rzekł od niechcienia. - Tylko, że ja tu nie przyjechałem jako turysta - dodał ze złością.

Silva podniósł kieliszek do oczu i z lubością obserwował przez niego spłaszczoną głowę agenta. - A wiedziałeś o tym, że nazwa kraju wzięła się właśnie od tego jeziora? A jezioro nazwano na cześć wielkiego wodza Indian, Nicarao?

Warren, widząc jak para Amerykanów przy stoliku obok wsłuchuje się w rewelacje krajoznawcze Silvy nachylił się bliżej niego i wymamrotał: - Na temat tego pierdolonego kraju wiem chyba więcej niż ty, Silva. Chcę się wreszcie stąd ruszyć. Zawarliśmy umowę, zgadza się?

- Nie mam wyboru, Hank. - Silva wymawiał to imię tak, jakby chrząkał. - Daniel nie pozwoli teraz nikomu pojechać do

160

Las Cruzas. Nikt nie ma tam teraz wstępu. Może upłynąć kilka dni, zanim wpuści tam zagranicznych dziennikarzy. Co ja mam zrobić?

- Przepraszam - odezwał się mężczyzna od sąsiedniego stolika. Warren i Silva spojrzeli na niego. Był to młody Amerykanin, uśmiechający się szeroko rzędem równych zębów. - Nic nie poradzę, że słyszałem fragmenty waszej rozmowy. Domyśliłem się, że jesteście Amerykanami. Ja...

- mężczyzna spojrzał na uśmiechającą się żonę - właściwie my, spędzamy tutaj nasz miesiąc miodowy...

- Moje gratulacje - przerwał mu Warren, również się uśmiechając. - Ma pan piękną wybrankę.

- Dziękuję - odrzekł mężczyzna, lekko zawstydzony. - Nie zasługuję na nią, ale...

- O, nie mów tak, Johnny - przerwała mu żona. To ja nie zasługuję na ciebie. - Oboje zachichotali. Silva i Warren patrzyli na nich ze zdziwieniem.

- Ale... - odezwał się Johnny, gdy już się opanował

- chciałem właściwie zapytać... bo pański kolega wspomniał o rekinach: czy one naprawdę kiedyś tutaj kogoś pogryzły?

- Chyba nigdy - odrzekł Silva, mrugając do dziewczyny.

- Ale nie dlatego, że rekiny są łagodne. W tym jeziorze ludzie nigdy się nie kąpią. Zauważyliście pewnie isletas, te małe wysepki niedaleko stąd. Mieszkają na nich bogate rodziny i, jak możecie się przekonać, na każdej z nich, prócz domku, jest też mały basen. Na jeziorze są setki wysepek, i na każdej jest basen. Czy nic wam to nie mówi na temat rekinów?

- Mówiłam ci - odezwała się dziewczyna. Spojrzała z uśmiechem na Silvę i powiedziała: - On mi mówił, że to wieśniacy wymyślili bajki o niebezpiecznych rekinach, że one nie są takie groźne. - Zwróciła się do męża: - Widzisz, kochanie, miałam rację.

Warren chrząknął głośno. - Coś ci się stało? - spytał Silva z uśmiechem.

Warren kiwnął głową. - Pewnie to jedzenie albo coś innego. Zemsta wodza Nicaroa...

- Miałby za co się mścić na was - odrzekł Silva. - Za dwieście lat...

161

- Właśnie - odezwała się dziewczyna. - Ma słuszość w tej sprawie, panie...

- Kramer - przedstawił się Warren. - Hank Kramer.

- Otóż, panie Kramer. Przyjechaliśmy tu, bo chcieliśmy się przekonać na własne oczy, co się dzieje tutaj...

- Alicjo, panowie nie mają ochoty tego słuchać - wtrącił się mąż.

- Uważam, że powinni mieć ochotę posłuchać. - Alicja ścieła wzrokiem męża i z uśmiechem mówiła dalej w stronę Warrena i Silvy. - Skąd możesz wiedzieć, Johnny. Może panowie przyjechali tutaj w tym samym celu: dowiedzieć się prawdy.

Silva przytaknął pospiesznie, ignorując złowrogie spojrzenie Warrena. - Owszem, senora, jesteśmy tu po to, żeby odkryć prawdę. Ja osobiście mam zaszczyt reprezentować armię San-dinistów, zaś mój kolega - Silva wskazał ręką na Warrena - to znany dziennikarz amerykański z CBS, Hank Kramer. Takie rzeczy zdarzają się tylko w Nikaragui - nasze kraje walczą ze sobą, mimo to pijemy tu sobie razem i poszukujemy prawdy.

- Naprawdę? - spytała Alicja, podniecona.

- Tak mi się wydawało, że już pana widziałem - powiedział Johnny do Warrena. - Często oglądam wieczorne wiadomości na NBC, wie pan, te co prowadzi Tom Brokaw. Ale pana też widziałem kilka razy.

Warren skinął głową, zmuszając się do uśmiechu. Naprawdę? Ty fiucie. - Cóż cieszę się, że mnie pan rozpoznał. - Warren rzucił okiem na Silvę. - Dziś wieczorem przeprowadzam wywiad z porucznikiem Silvą. Właśnie szykowaliśmy się, żeby pójść na górę i porozmawiać. - Warren dostrzegł z satysfakcją, że młody małżonek wyglądał na zakłopotanego.

- W takim razie nie będziemy przeszkadzać - Johnny rzekł pospiesznie.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go Warren ciepło. - Ale jak robota, to robota, zgadza się?

Wstał i ukłonił się parze młodożeńców. Następnie spojrzał na Silvę ze zdziwieniem. Ten robił wrażenie jakby miał zamiar zostać. - Gotowe, poruczniku? - spytał Warren.

- Tak, Hank - odparł Silva i wstał.

162

- Niech pan koniecznie powie Ameryce prawdę, poruczniku - powiedziała Alicja.

Silva skłonił się nisko. - Zgodnie z pani życzeniem, señora. Zasalutował. Dziewczyna była rozpromieniona. - Buenas no-ches.

Poszli obaj korytarzem w stronę baru. - To było ostatni raz

- Warren warknął do Silvy.

- Chciałeś, żebym ignorował ludzi, którzy chcą z nami rozmawiać?

- Nie ignorować. Tylko że nie musisz ich zachęcać do dyskusji wtedy, gdy ja muszę z tobą porozmawiać. Pracujesz dla mnie... - Warren zauważył, że są obserwowani przez jednego z ludzi Silvy. 'Pohamował się. - Więcej tego nie rób

- skończył spokojnym tonem.

Weszli do baru, bogato urządzonego wnętrza, które niewiele zmieniło się od 1850 roku. Kryształowe kandelabry ze świecami rzucały blask na mahoniowy łuk sklepienia przy wejściu do sali. Hotel Lago Yista zbudowany był w najlepszym okresie kalifornijskiej gorączki złota, gdy tysiące Amerykanów ze wschodniego wybrzeża płaciło Corneliusowi Yanderbiltowi za przejazd do Kalifornii przez Nikaraguę. Yanderbilt woził ich promem w górę rzeki San Juan, a potem sześćdziesiąt pięć mil po jeziorze Nikaragua do El Sapoa. Tam wsiadali na wozy i ostatnie dziesięć mil do przystani nad Pacyfikiem przebywali drogą lądową.

Warren zobaczył Jima Ruiza siedzącego przy barze. Poszedł prosto do niego, Silva zaś usiadł przy stoliku. - Myślałem, że masz pomagać kumpłowi - powiedział Warren.

- Zrobiłem sobie przerwę. Joe pilnuje interesu. Jeszcze nikt się nie zgłosił. - Ruiz spokojnie spojrzał na zegarek. - Mam wrócić do furgonetki za godzinę. - Podnosił do ust kufel z piwem Yictoria, gdy Warren gwałtownie chwycił go za przegub. Piwo chlusnęło na bar. - Uważaj, Ruiz, żebyś się nie wpierdolił. - Puścił go, odwrócił się i poszedł do stolika, przy którym siedział Silva. Ruiz patrzył za nim gryząc wargi.

Warren przeciskał się między grupkami rozmawiających wesoło i śmiejących się ludzi. Nagle zdał sobie sprawę, że ci ludzie to w większości prawdziwi dziennikarze, którzy czekają,

163

tak jak on, na zezwolenie wjazdu. W Las Cruzas będzie niezły cyrk.

- Oni się wszyscy znają - powiedział Silva z uśmiechem.

- Wiesz, jak tak siedzę i patrzę na nich, jak są ze sobą za pan brat, to też chciałbym być taki, jak oni.

- O co ci chodzi? - spytał Warren siadając przy stoliku.

- Chciałbym być dziennikarzem - odrzekł Silva.

- W takim komunistycznym kraju od razu wyleciałbyś z roboty.

Silva uśmiechnął się i podniósł szklanekę. - Za demokrację! Warren wzruszył ramionami.

- Uważasz, że Daniel nie popiera demokracji? - spytał Silva. - Przeciwnie. W osiemdziesiątym czwartym mieliśmy wybory, senor Kramer. Większość ludzi, większość dziennikarzy nie wspomina o tym. I było dwunastu kandydatów. Daniel byłby dumny, gdyby wiedział, że jeden z jego żołnierzy przypomniał wam, zarozumiałym, wszystkowiedzącym amerykańskim dziennikarzom, że jesteśmy państwem demokratycznym!

- O co ci, kurwa, chodzi... - Warren przerwał zaskoczony porozumiewawczym spojrzeniem Silvy. Odwrócił się i zobaczył stojącego obok stolika mężczyznę. Po niedbałym wyglądzie widać było, że to dziennikarz. - Pewno już ci to i owo opowiedział, mistrzu - odezwał się mężczyzna i wyciągnął dłoń do Warrena. - Greg Haskins.

- Cześć, Greg - odpowiedział Warren zirytowany śmiałością intruza. - Czym mogę służyć?

- Od pary w barze dowiedziałem się, że jesteś z CBS.

- Mężczyzna wykonał szeroki gest. - Ja też.

Robert Warren poczuł, że za chwilę spanikuje. Nie można było za żadne skarby przewidzieć takiej ewentualności. - Naprawdę? Cóż za niesamowity zbieg okoliczności? Spotkać się w takim miejscu!

_ J eśli poczekamy jeszcze minutę, to może załapie. - Felix machał nad ogniskiem swoim kapeluszem. Justos krztusił się dymem wypełniającym poncho. Pomarańczowy ognik zatlił się przez moment. Felix zaczął wachlować szybciej. Płomyk skoczył, zamigotał na gałązce, podświetlił dym. Przez sekundę wewnątrz ich prowizorycznego namiotu rozjaśniło się ciepłym światłem i zaraz potem płomień zgasł z sykiem, stłumiony strugą cieknącej wody.

- Co to było? - spytał Felix z przestachem. Obaj rozglądali się w ciemności.

- Niebezpiecznie jest palić ogień w pobliżu obozu nieprzyjaciela - powiedział Solo.

Głos dochodził z miejsca tuż obok ich twarzy, z namiotu.

- Solo? - spytał Justos.

- Tak.

- Nie słyszeliśmy, jak szedłeś. - Justos powiedział w stronę, z której przyszła odpowiedź.

- Naturalnie. Gdybym był nieprzyjacielem, obaj byście już nie żyli. - Teraz głos Solo słyhać było z drugiej strony. Odwrócili się, spoglądając w atramentową czerń nocy.

- Mierda! Jak jeszcze raz to zrobisz, to umrę na atak serca

- krzyknął Felix.

- Widzisz nas? - spytał Justos.

165

- Widzę - odpowiedział Solo.

- A czy my nie moglibyśmy mieć tu trochę światła? Dziwnie jakoś tak rozmawiać z duchem.

- Nie potrzeba. Nasz przeciwnik ma wszystkie potrzebne światła dwieście metrów stąd. Idziemy. Czas wyciągnąć stamtąd chłopaków.

- Idziemy? Teraz? - zdziwił się Felix, czując, że strach skręca mu kiszki. - Myślałem, że zaczekamy, aż zasną albo coś innego.

- Mam lepszy pomysł - odrzekł Solo. - Chodźcie obaj ze mną. Weźcie broń.

Justos wyszedł spod namiotu w ulewę. Kątem oka zobaczył cień poruszający się na tle dżungli.

Głos Solo wydobywał się z cienia. - Tutaj. - Justos poczuł w rękę kawałek liany. - Trzymaj to i idź za mną. - Felix też chwycił lianę i stanął za Justosem. - Idziemy - rozkazał Solo. Liana drgnęła. Ruszyli.

Po pięciu minutach Justos zobaczył obóz Contrás, oświetlony jak na karnawał. Solo kucnął obok drzewa i przyciągnął ich bliżej siebie. - Widzicie? - pokazał w stronę domu. - Sto metrów. - Skinęli głowami. - Widzicie namiot warty między nami i domem? - Wysłali wzrok, żeby dojrzeć coś w ciemności.

- Gdzie? - spytał Justos.

- Przed nami. Gdy podejdziemy bliżej, zobaczycie ich. Dwóch chłopców pod poncho. - Solo umilkł i pochylił się w ich stronę. - Powinienem ich zabić, ale słuhałem, co mówili. Oni też są z campesinos. Schwytali ich rok temu. Brali udział w napadzie na ich własną wieś. Stracili nadzieję, że jeszcze kiedyś do niej wrócą.

- Pobrecitos - mruknął Felix.

- Zwiążemy ich - powiedział Solo.

- Jak? - Felix spojrzał na ciemne sylwetki Contrás skulone pod okapem domu. - Zobaczą nas.

- Będziecie tu czekać, aż usłyszycie głošpajaro tonto, potem pójdziecie ścieżką w kierunku domu. Gdy was zobaczą, odwróć ich uwagę, żeby ich uspokoić.

- Uspokoić? - zdziwił się Justos.

- Ogluszę ich - odpowiedział Solo. - Zwiążemy ich własnymi ubraniami. Potem zajmiecie miejsca pod namiotem. - Solo spojrzał najpierw na jednego potem na drugiego. Zrozumielście?

166

Gdy skinęli głowami, Solo wycofał się po cichu do dżungli. Zniknął tak łagodnie, pomyślał Justos, że trudno było powiedzieć, kiedy tu był poprzednio i czy dalej tu jest. Justos złapał się na tym, że przygląda się ciemnym przedmiotom i świecącym iskierkom wirującym w ciemności, choć wiedział, że to tylko jego wyobraźnia.

Felix i Justos kucnęli na ścieżce i obserwowali dom. Po blaszanym dachu spływał deszcz na namioty z kocy ustawione obok domu. Zagłuszał wszystko. Pod domem poruszały się ogniki papierosów w miejscach, gdzie siedzieli ludzie. Justos zobaczył ruch w oknie, ale z odległości stu metrów nie potrafił go rozpoznać.

Felix odezwał się, szcękając zębami: - Mógłby się pospieszyć!

- Rzeczywiście, zimno - przytaknął Justos.

- Muszę się poruszać, bo zamarzną.

Justos usłyszał ciche „piiikua, piiikua” przebijające się przez szum deszczu. Wstali obaj. Bez słowa zaczęli iść po otwartej przestrzeni w kierunku domu. Światło z okna odbijało się w mokrej powierzchni poncho. Powąchał powietrze. Marihuana. Przykucnął i zobaczył dwóch chłopaków skulonych pod poncho, wspólnie palących jednego papierosa. Wyciągnął rękę i ściągnął na dół Felixa. - Pewnie by nas nie zauważyli, nawet gdybyśmy zaczęli tańczyć - szepnął do Felixa.

Podkradali się dalej, aż znaleźli się zaledwie pięć metrów od namiotu. Justos zawołał: - Hola.

Wartownicy poderwali się. Wytrzeszczonymi oczami próbowali przemknąć mrok. Ciemna postać wychyliła się z zarośli obok namiotu. Usłyszeli dwa głucho uderzenia. - Okay, chodźcie ich związać - powiedział Solo.

Solo usiadł pod namiotem i obserwował dom, zaś Justos i Felix krępowali wartowników. Solo wziął po jednym pod pachę i zaniósł do dżungli. - Nic im nie będzie - powiedział, gdy znów usiadł w namiocie. Przyniósł ze sobą czapki, które mieli na głowach strażnicy. - Jeżeli was zauważą, pomyślą, że to straż. - Solo obejrzał się na dom. - Eusebio i Inginio są w środku z kapitanem. Obejdę dom z drugiej strony. Zostańcie tutaj, ale bądźcie gotowi do szybkiego odwrotu! Razem

167

z chłopcami, oczywiście. - Solo znów zniknął w ciemnościach.

- Co on planuje? - spytał Felix.

Justos wzruszył ramionami.

- Gdzie nasi szanowni rekruci będą spać tej nocy? - Kapitan Menendez usiadł na jedynym krześle w izbie i głęboko zaciągnął się papierosem. - Jak pozwolimy im tu spać, to ludzie się wkurzą.

- Si, kapitanie - odrzekł Pało. - Lepiej będzie, jak zostaną na zewnątrz, razem z ludźmi.

- Chyba jednak będzie lepiej, jeżeli przez jakiś czas zostaną w środku - z radiostacji PRC-25 stojącej w rogu izby dobiegł głos jankesa.

Dziesięciu ludzi odwróciło się i spojrzało na radiostację. Kapitan spojrzał na radiotelegrafistę. - Zostawiłeś ją włączoną na nadawanie? - Żołnierz podniósł mikrofon. Włącznik nie był uruchomiony.

- Nie trzeba włączać - powiedział ten sam głos. Menendezowi przypominał on głos generała Haynesa. - I tak was słyszę.

Kapitan rozejrzał się wokoło. Ludzie przysiedli, rozglądali się, próbowali zrozumieć, co się dzieje. Większość z nich i tak nie rozumiała słów, ale widzieli jaki efekt wywarły one na Menendezie. - Haynes? - spytał ostrożnie kapitan.

- Prawie - odpowiedział głos. - Przyjaciel.

- Gdzie jesteś? - spytał Menendez.

- Wszędzie - odrzekł głos.

Menendez podszedł do radiostacji i wyciągnął kabel z gniazda.

- Proszę cię bardzo, odłącz. Nie potrzebujemy mikrofonu. Ani ty, Menendez, ani ja!

Menendez sięgnął po pistolet. - Po co to - powiedział twardo głos. - Odłóż broń i posłuchaj mnie. Masz niewiele czasu.

- Kim jesteś? - Menendez krzyknął ruszając ku radiostacji.

168

- Spotkałeś mnie w Las Cruzas - powiedział głos. - Chyba nie chciałbyś znowu mnie spotkać.

To ten szaleniec, o którym mówił Hacienda, pomyślał przelitykając ślinę. Spojrzał na Pała: - Mówiłeś, że go zabiłeś!

- Tak, kapitanie. - Pało przygryzł wargę. - To sztuczka. On nie żyje.

- Czego chcesz - Menendez spytał radiostacji.

- Nic trudnego - odrzekł głos. - Każesz Rio i Pało zaprowadzić Eusebia i Inginia na ścieżkę, gdzie odbiorą ich nasi ludzie.

Eusebio i Inginio usłyszeli swoje imiona i spojrzeli na siebie.

- Dam ci ich - odpowiedział szybko Menendez.

- Kapitanie! - krzyknął Pało.

- Quietos - wrzasnął na niego Menendez. Mówił dalej po hiszpańsku. - Słyszałeś, co powiedział głos. Ty i brat zaprowadzicie ich na ścieżkę. - Mrugnął w tym momencie porozumiewawczo i nagle krzyżąc. - Chicos, las luces\ chłopaki, światło! - zwalił lampy i rzucił się na podłogę.

Podczołgał się w ciemności do okna. Radiostacja milczała. Serce podchodziło mu do gardła.

Podniósł głowę ponad parapet i rozglądał się. Nic nie widać. Tylko małe ognisko migotało przez krople deszczu.

Czekali. Odgłosy ulewy nasilały się. Wydawało się, że krzyk Menendeza nadal rozbrzmiewa w izbie, a jego echo rozplywa się w szumie deszczu.

Pało słyszał bicie swego serca tak, jakby dochodziło z zewnątrz, jak łomot wielkiej dudniacej maszyny. Opuścił głowę, bojąc się, że widać go w ciemności. Myślał, kto to jest. Szaleniec nie żyje. Sam go zastrzelił. Usłyszał, a właściwie poczuł pod podłogą delikatne skrobanie. Odsunął się z tego miejsca.

Drapanie ustało.

Nagle spod podłogi dobiegło delikatne stukanie, jakby ślepiec szedł korytarzem. Stukanie zbliżało się do miejsca, gdzie leżał Pało. Nie wytrzymał i krzyknął: - Kto to jest?

W tym momencie podłoga jęknęła i uniosła się przed nim jak fala. Deski ugięły się i trzasnęły z hukiem wystrzałów, rozsypując się wokół ciemnej postaci wynurzającej się spod ziemi, jak potwór z czeluści piekielnej. Para oczu błysnęła

169

pomarańczowym odbiciem ogniska przed domem. Pało nie zdążył usunąć się przed ramionami, które wyciągnęły się po niego. Krzyknął tylko.

Eusebio widział jak Pało, wyjąc z przerażenia, pograżył się nagle w wyrwie w podłodze. Po sekundzie znów słysząc było tylko deszcz. Radiostacja przemówiła:

- Mówiłem, że lepiej się ze mną nie spotkać. - Solo mówił po hiszpańsku. Słysząc też było błagalny krzyk Pala:

- Oszczędź mnie...

Menendez zerwał się do okna i wrzasnął:- Pało!

- Odpowiedz mu - powiedział głos.

- Tu jestem - głos Pala dochodził z dżungli. - Zrób to, co chcą. Wydaj im chłopaków, na litość boską, kapitanie!

- Słusznie - odezwał się głos. - Menendez, jeżeli natychmiast nie wydasz chłopaków, to zaczniesz się od Pala. Ty będziesz następny. Przyprawdź ich, a ja zwrócę wam jego.

- Zrobimy to! - krzyczał Menendez. To było nie do pojęcia, niewytłumaczalne. - Idź - powiedział i odwrócił się do Rio.

- Zabierz chłopaków. - Dwóch ludzi szarpnęło jeńców i otworzyło drzwi na oścież.

- Nie żartuj, kapitanie - powiedział Rio załamującym się głosem - oni mnie zabiją!

Menendez spojrział na Rio, kładąc na jedną szalę jego uzasadniony sprzeciw, a na drugą szansę własnego przeżycia. Położył dłoń na kolbie pistoletu i rozkazał: - Weź ich.

- Rio, oddaj swoją broń chłopcom - powiedział głos

- i wyjdźcie razem na ścieżkę. - Rio spojrział na Menendeza. Jego kapitan był ogłupiały ze strachu. Umrze, jeśli spróbuje zostać. - Jefes - Menendez krzyknął do ludzi na zewnątrz.

- Pozwólcie im przejść.

- Szybko, Pało był pierwszy - powiedział głos.

- Wróć jeszcze po ciebie, kapitanie - Rio wykrztusił do Menendeza. Podał karabin więźniowi.

Justos i Felix widzieli, jak Rio, z rękami podniesionymi nad głowę, szedł przed chłopcami. Gdy podeszli do namiotu strażników, Eusebio zobaczył, że dwóch ludzi podniosło się z ziemi.

Krzyknął: - Nie ruszać się! - nagle ich rozpoznał. - Tio Justos? Felix?

170

- Si - Justos z trudem powstrzymał się, żeby ich nie objąć i przytulić. - Chodźcie. - Gestem wskazał ścieżkę. Eusebio lufą popchnął jeńca.

- Powiedział, że wymieni was na Pala - odezwał się Rio z przerażeniem w głosie.

- Jesuś! - wykrzyknął Justos. Z grymasem wstrętu na twarzy pokazał ręką. - Tam jest!

W mdłym świetle Rio zobaczył brata stojącego na ścieżce, pochylonego dziwnie, z wybałuszonymi oczami i krwią ściekającą z ust. - Pało?

Pało nie odpowiedział. Wtedy Rio dojrzał zakrwawiony pal wbity w ziemię, na którym przebity na wylot, od krocza do głowy, stał jakby podparty jego brat. Ogarnęło go przerażenie.

- Jefes! - krzyczał Rio. - Oni nas pozabijają! - Próbował się odwrócić do Inginia, ale Justos powstrzymał go ciosem kolby w twarz. - Tędy, bydlaku. - Justos pokazał na drogę.

- Błagam...

- Jazda! - warknął Eusebio, dźgając go lufą w żebra. Jego głos postarzał się przez tę noc. Ruszyli w drogę.

Pało stał na straży jak strach na wróble, i nie przepuszczał nikogo.

171

J71 elix i Justos zabrali z namiotu wartowników dwie latarki, lunetę snajperską, radiostację ręczną, a także dwie racje żywnościowe i broń. Justos prowadził ich przez ulewę, ciągnąc uwiązanego za szyję jeńca. Eusebio szedł za nimi i trzymał w rękę linę przywiązaną do przegubów Rio. Broń miał wycelowaną w jego plecy. Felix i Inginio uginali się pod ciężarem koszy, dwóch worków, dodatkowej broni i rury energetycznej Solo. Solo, jak przypuszczali, idzie za nimi jako tylna straż. Nie widzieli go od czasu wyjścia z obozu Contrás. Po godzinie marszu w zupełnym milczeniu, Justos zarządził odpoczynek. Siedli skuleni pod poncho. Justos powiedział siostrzeńcowi, że Modesta wydobyje za kilka dni.

- Mama? To ona... żyje? - Eusebio spytał chrapliwym głosem.

- Myślałem, że już wiesz! - odrzekł Justos. - Powinienem być ci wcześniej o tym powiedzieć. Była zamroczona, ale wyzdrowieje.

Eusebio poczuł łzy radości spływające po policzkach. - Oni myśleli, że nie żyje - powiedział.

- Miała szczęście, że tak myśleli - odrzekł Justos. Eusebio pokiwał wolno głową i zapatrzył się w ziemię pod stopami.

- Miała szczęście... - powtórzył.

172

Pięć minut później, na tyle bowiem odpoczynku mogli sobie pozwolić, znów ruszyli w drogę.

O brzasku doszli do polanki nad wodospadem. Justos był zmęczony i ogłosił, że zatrzymają się na chwilkę. Byli na nogach, bez snu i jedzenia, od czasu napadu na Las Cruzas, trzydzieści sześć godzin.

Inginio i Felix przynieśli chrust i rozpalili ognisko. Eusebio zaprowadził Rio pod drzewo. Justos przeszukał paczki zabrane z namiotu wartowników i znalazł w nich dwie racje żywnościowe. - Ha! - krzyknął podnosząc paczki w górę.

Eusebio usłyszał jak burczy mu w brzuchu na widok jedzenia. Kazał Rio oprzeć się plecami o nieduże drzewko i związał mu ręce z tyłu kawałkiem nylonowego sznura znalezionej w tobołach.

- Za mocno - stęknął Rio.

Eusebio ściągnął węzeł. Sznur wrzynał się w ciało. Eusebio stanął za jeńcem. Żeby uwolnić się z więzów, wystarczyło, żeby Rio pociągnął za koniec węzła. Ręce chłopca zrobiły się sine. Eusebio w pewnym momencie poczuł chęć rozluźnienia więzów. Podeszedł do jeńca i zaczął wpatrywać się w jego twarz. Przez ostatnie półtora dnia Eusebio właściwie nie miał okazji przyjrzeć mu się. Teraz Rio siedział przed nim, zmoknięty, wycieńczony i przerażony. Deszcz przestał padać. Błady świt rozjaśniał się na różowo. Eusebio kucnął na wprost Rio i wpatrywał się w jego piwne oczy. Patrzył przede wszystkim w jego źrenice, głęboko do wnętrza, chcąc dojrzeć w nich bestię, która niemal zabiła jego matkę i zgwałciła siostrę. To, co siedziało przed nim, było ogłupiałym, bezsilnym zwierzęciem, i nie przypominało tamtego człowieka.

Eusebio poczuł zapach kawy i odwrócił się. Już? Wiedział, że przyglądając się więźniowi stracił bezpowrotnie piętnaście minut życia. Jakby zawrócił przed bramą piekła. Zapach kawy kazał mu pójść do ogniska.

- Mamy tu same przysmaki - Justos pokazał na otwarte paczki. W zielonkawej puszcze skwierczała jajecznica na bekonie, w innej gotowało się spaghetti i pulpety. Eusebio usiadł ciężko, czując nagle, że opada z sił. Ta słabość była przerażająca. Podniecenie nienawiścią z wolna mijało, dlatego zmuszał

173

się, żeby je przywrócić. Dekoncentrowały go różne głupie myśli. Poczł się nieswojo, że tak mocno związał mu ręce. Zjawila się myśl - poluzuj sznur - i zaraz zreflektował się, że nie powinien był dopuścić jej do świadomości. Kątem oka szukał sygnałów, że Rio odkrył sposób na rozluźnienie pętli.

Felix wrócił z rzeki z puszką chłodnej wody. Usiadł w kucki nad garnkiem, wyciągnął go z ognia i obserwował przez chwilę wrzącą kawę. Dolał trochę zimnej wody, żeby fusy spadły na dno. Justos wysupał ze swoich zapasów kawałek dulce.

Czterech campesinos siedziało przy ognisku. Rio znajdował się w odległości piętnastu stóp, zwrócony twarzą do nich. Kiwał się i palcami próbował zbadać węzeł. - Możecie dać mi trochę wody. Proszę - odezwał się. Eusebio rozpiął rozporek, stanął przed więźniem i nasikał mu na twarz.

Rio splunął gwałtownie i z krzykiem przechylił się na bok.

- Ty skurwysynu!

- Chciałeś wody - odezwał się Eusebio głucho. - Na taką wodę zasłużyłeś sobie. - Odwrócił się i wrócił na miejsce przy ognisku.

- Jeszcze cię dostanę, skurwysynu - wrzeszczał Rio.

- Silencio - powiedział Justos, kierując broń w stronę więźnia. - Nie lubimy, jak ktoś nam zakłóca ciszę przy śniadaniu.

Rio znów oparł się o drzewo. Zajął się problemem rozwiązania węzła.

Eusebio zjadł łyżkę jajecznicy. Puskę podał Felixowi. Zastanawiał się, czy pójdzie do piekła za to, co zrobił. Świadomość, że nasikał komuś na twarz była zarazem przyjemna i niepokojąca. Przełożył kałasznikowa tak, aby wygodniej leżał mu na kolanach. Wziął łyk kawy i rzekł do Felixa:

- Wspaniale...

Eusebio zastanawiał się, czy powinien powiedzieć innym, że Rio rozwiązuje węzeł. Nie. Mogliby zawiązać nowy węzeł. Czekał, nasłuchując, co robi człowiek siedzący za jego plecami. Nie odwracał się, żeby go nie spłoszyć. Przełknął ślinę. Miał zabić człowieka z zimną krwią? Rio będzie uciekał. Nikt się nie dowie, że mu to ułatwił. Ale on to wie. Może temu zapobiec

174

w tej chwili. Może podejść do niego i lepiej zawiązać sznury. Zabrać go do Las Cruzas i oddać pod sąd. Ale w Nikaragui nie ma kary śmierci, a Rio zasługuje tylko na śmierć. Zapatrzył się w ogień.

- Gdzie jest Solo? - spytał Inginio.

- Przypuszczani, że niedługo się zjawi - odrzekł Justos. Spojrzał na słońce migoczące przez gałęzie drzew. - Powinniśmy się przespać. Do Las Cruzas zostało nam jeszcze co najmniej dwanaście godzin drogi.

- Ja będę czuwał pierwszy, tio Justos - powiedział Eusebio.

- Jesteś pewien? - spytał Justos. - Źle wyglądasz.

- Jestem zbyt zmęczony, żeby zasnąć - odrzekł cicho Eusebio.

Justos skinał głową. Rozłożył poncho i wsunął zwiniętą koszulę pod głowę. - Jak przyjdzie Solo, a ja będę spał, to mnie obudźcie. - Justos ułożył się do snu. Położył głowę na wilgotnej koszuli.

Felix zdjął ubranie i powiesił je na krzaku, w słońcu. Wrócił do ogniska w mokrej bieliźnie. Był zbyt wstydlivy, żeby się całkiem rozebrać.

Serce jeńca zabiło mocniej, gdy odkrył, że węzeł się rozluźnia. Gracias a Dios\ Chłopak spieprzył sprawę. Ze wzbierającym podnieceniem patrzył, jak szykują się do snu - będzie miał okazję uciec. Myśl ta dodawała mu sił. O ile chłopak będzie dalej odwrócony do niego plecami. I o ile człowiek, którego nazywają Solo, nie wróci za wcześnie. Czy to ten człowiek z Las Cruzas? Ten sam człowiek, który wciągnął jego brata pod podłogę? Rio spojrzał za siebie w kierunku ścieżki. Do przebiegnięcia będzie pięćdziesiąt metrów. Odwrócił się. Campesinos już spali, z wyjątkiem Eusebia. Głowa chłopca co i raz opadała, by po chwili się poderwać. Eusebio miał oczy wpatrzone w rzekę, powieki opadały i podnosiły się. Gnojek usnie zaraz - cieszył się Rio.

Eusebio spojrzał na śpiących przyjaciół. Justos wyglądał w tym momencie na bardzo starego. Starego i brudnego. Felix, na wpół ubrany, uśmiechał się przez sen. Inginio spał na plecach, w wilgotnym ubraniu, i chrapał. Serce skoczyło mu do gardła, gdy spostrzegł, że Rio rozgląda się wokół. Jest gotów

175

do ucieczki. Coraz trudniej myśleć. Może trzeba zbudzić Justosa. Serce na moment zatrzymało się. Opuścił głowę i udawał, że śpi.

Solo zamarł w bezruchu w chwili, gdy Rio zaczął wolno się podnosić. Stojąc w mrocznym cieniu ścieżki, obserwował oczy więźnia. Rio nie mógł go widzieć.

Gdy Rio odwrócił głowę, Solo cofnął się w krzaki. Zauważył, że Eusebio widzi rozglądającego się więźnia, ale udaje, że śpi. Czemu? Trzeba sprawdzić.

Eusebio opuścił brodę na pierś. Przez przymrużone powieki dochodziło migoczące światło. Postać Ria była zamazana i nieostra. Gdy ból karku stawał się już nieznośny, zobaczył, że Rio wstaje. Ale wbrew oczekiwaniu Eusebia, Rio zaczął się zbliżać do niego. Nie ucieka? Eusebio zerwał się, podniósł karabin i wycelował czując, jak palce mu wiotczeją. Rio zatrzymał się, wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał powstrzymać składającego się do strzału Eusebia. Nagle odwrócił się i zaczął uciekać.

Eusebio bezwiednie obejrzał się na śpiących i krzyknął: - Rio! On ucieka! - a potem wycelował. Mierzył w plecy, próbując utrzymać muszkę pomiędzy występami szczyrbiny na linii pokrywającej się ze środkiem jego grzbietu. Już go miał, ale nie pociągnął za spust. Wypuścił powietrze składając się do strzału i nagle zabrakło mu tchu. - Fusilalo\ - Strzelaj! - Ktoś krzyknął. - Eusebio! - karabin kopnął go w ramię. Rio zatoczył się w krzaki na skraju polanki.

Eusebio czuł w biegu uderzenia stóp o ziemię. Były odrętwiałe. Czuł, jakby biegł na szczydłach. Popędził w miejsce, gdzie Rio zniknął mu z oczu. Zobaczył krew na pniu drzewa, pogniecioną trawę. Ale ofiary nie było. O Boże! - coś w nim krzyknęło - pozwoliłem mu uciec!

Nie, tam jest. Rio leżał na zwirowatym dnie rzeki. Krwawa plama na plecach koszuli powiększała się. Eusebia ogarnęło odrętwienie. Czuł, że całe ciało sztywnieje tak jak stopy. Przelknął ślinę przez wyschnięte gardło. Mało brakowało, a by się nią zakrztusił. Szedł w kierunku leżącego z bronią gotową do strzału. Rio nie oddychał. Już po wszystkim? Jakie to uczucie, gdy się kogoś zabiło. Eusebio zwilżył wargi i odwrócił się, by

176

sprawdzić czy inni poszli za nim. W tym momencie Rio złapał go za kostkę i szarpnął.

Eusebio krzyknął i opadł na kolana, wbijając łufę w żwir. Rio podniósł się z grymasem bólu na twarzy i sięgnął po karabin. Eusebio padając, kopnął go w szczękę, aż zgrzytnęły zęby. Słyszał, jak pękają. Rio jednak nie upadł i nadal usiłował wyrwać mu broń. Eusebio złapał karabin za łufę i zamachnął się kolbą, mierząc w głowę. Zobaczył drobne kropelki krwi na krawędzi kolby w miejscu, którym uderzył w skroń. Rio padł z jękiem, ale nadal rozpaczliwie machał rękami. Jeszcze jedno uderzenie. I jeszcze raz! Rio rzucał się w agonii, a Eusebio walił dalej, aż głowa nieszczęśnika zmieniła się w miazgę. Nieprawdopodobne, żeby jeszcze żył.

Słyszał głosy, lecz nie rozumiał słów. Widział twarze, lecz ich nie rozpoznawał. Poczuł rękę obejmującą jego plecy i poklepywanie po ramieniu. Eusebio, morderca, padł na ziemię i rozplakał się.

Solo odwrócił się. Pomyślał, że powinien był zastrzelić więźnia i oszczędzić przyjacielowi cierpienia. Mógł to z łatwością zrobić przez cały czas, gdy czaił się w zaroślach. Jemu trudniej zabijać niż mnie. Popatrzył na muchy krążące nad roztrzaskaną głową Ria. Tak szybko? - pomyślał Solo. Eusebio szlochał skulony nad brzegiem rzeki. Justos klęczał koło niego i gładził po plecach. Felix stał obok i spoglądał oszołomionym wzrokiem. Inginio został na krawędzi urwiska i trząsł się.

Eusebio ocknął się. Był już przy ognisku. Obok swojej głowy zobaczył kolano Solo. Słyszał delikatne mruczenie rury. Uniósł się na rękach i poczuł, że wszystko go boli, jakby ktoś obił go kijem.

- Aaa - odezwał się Justos. - Już lepiej?

Eusebio przetarł oczy i przeczesał włosy palcami. Miał sklezione wargi. - Dajcie coś do picia - zachrypiał.

Felix nalał szybko kubek kawy i postawił przed nim. Eusebio usiadł po turecku, tak jak Solo, i siorbiąc popijał kawę.

177

- Masz - Inginio postawił przed nim pół puszki parówek z fasolą. - Zjedz to, myśmy już jedli.

- Będziemy musieli niedługo ruszać, Eusebio - cichym głosem odezwał się Justos z drugiej strony ogniska. Eusebio czuł falowanie głosu przechodzącego przez płomienie. - Ale bez pośpiechu... Nikt za nami nie idzie.

Eusebio skinął głową. - Zabiłem go.

- Tak - odrzekł Justos. - Dobrze zrobiłeś.

178

bawiło zakłopotanie Warrena. To się musi dość często zdarzać, pomyślał Silva, że szpieg spotyka człowieka, pod którego się podszywa. Zapewne podręczniki CIA zawierają instrukcję, co robić w takim wypadku. Wstał z uśmiechem i zaprosił Grega Haskinsa, żeby się do nich dosiadł.

- Na pewno? - Haskins spojrział na Warrena. - Zdaje się, że jesteście w środku wywiadu.

- No... - zaczął Warren.

- Ależ skąd - przerwał mu Silva. - Uwielbiam być obiektem powszechnego zainteresowania. Obnażę swą duszę dla waszej stacji.

- Skoro tak - powiedział Haskins - to posiedzę z wami chwilę. - Gdy już usiadł, zwrócił się do Warrena: - Ta laleczka w restauracji powiedziała mi, że pracujesz z jakimś Rankiem.

- Kramerem - odezwał się Warren. - Hank Kramer to ja.

Haskins spojrział badawczo na Warrena i powiedział: - To nie do wiary, Hank, bo znam cię od piętnastu lat, nawet pożegnałem się z tobą wczoraj w Nowym Jorku.

Warren przez moment spoglądał na Haskinsa, a potem zatrzymał wzrok na Silvie. Skinął lekko głową i z powrotem spojrział na intruza. - Spadaj stąd - powiedział do niego.

- Co? - zadrwił Haskins. - Hank, to do ciebie niepodobne. Zdaje się, że za tym kryje się niełichy temat. Dziennikarz

179

telewizyjny przebywa jednocześnie w dwóch miejscach. Widzisz już to? - Kelner przyniósł Haskinsowi rum z coca-cola.

Warren stukał palcami w blat, jakby galopował ku rozwiązaniu. - Nieźle brzmi ten pomysł na temat, ale myślę, że zanim go nadasz, powinieneś porozumieć się ze swoim redaktorem, żeby dostać zgodę.

Haskins uśmiechnął się szeroko. - Chcesz, żebym załatwił to ze Stevenssem?

- Tak, ze Stevenssem, lepiej to z nim wyjaśnij.

- Nasz redaktor nazywa się Jameson, ty dupku. Co ty, do cholery, kombinujesz?

Warren przysunął twarz i wymamrotał: - Nie twój zasrany interes, kutasie jeden. A teraz chciałbym, żebyś poszedł sobie i powiedział swojemu redaktorowi, że w Nikaragui spotkałeś Hanka Kramera. Idź mu to powiedz i zobaczysz, co ci odpowie. Okay?

- Nie potrzebuję swojego redaktora, żeby się przekonać, że jesteś trefny - odpowiedział Haskins.

Warren rzucił okiem na Silvę. - Mylisz się, Haskins. Ja przecież ciebie nie znam. Ja mam zezwolenie od tutejszych władz. Porucznik Silva zna mnie od lat. Ktoś, kto używa fałszywej legitymacji prasowej - Warren spojrział na Silvę - taki ktoś może być szpiegiem. Co pan na to poruczniku?

- Zgadza się, Hank - radośnie przytaknął Silva. - Żeby pan wiedział, ilu tu się kręci różnych cholernych szpiegów, senior.

- Silva wyczuł aprobatę Warrena. - Kim ty właściwie jesteś?

- spytał Haskinsa.

- Wolnego, wolnego, ty... - Haskins pochylił się nad stołem z palcem wycelowanym w Silvę.

Silva wyciągnął rękę i chwycił Haskinsa za przegub. - Kmiotku? To miałeś na myśli? - Skinął ręką i za moment przy stoliku pojawił się uzbrojony żołnierz. - Tak jest, panie poruczniku.

- Aresztować tego wrednego szpiega - rozkazał Silva po angielsku.

- Que1 - zdziwił się żołnierz.

- Zaraz - bąknął Haskins, blednąc. - Ja mam dowody. Pójdę zadzwonić do redaktora, tak jak... Hank chciał. To was przekona, że jestem tym, za kogo się podaję.

180

- Zaprowadź tego głupka do telefonu i zostań z nim

- powiedział Silva po hiszpańsku, wskazując na Haskinsa. Potem odwrócił się do niego. - Dobry pomysł. Zadzwoni do swojego redaktora. Mój człowiek pokaże ci, gdzie jest telefon. Zostanie z tobą i przyprowadzi cię z powrotem. Okay?

Haskins wstał od stolika. - Nie chciałbyś pójść i posłuchać, co mam do powiedzenia. Żeby się wszystko wyjaśniło?

- Nie ma potrzeby - odrzekł Silva. - Mam wrażenie, że twój redaktor będzie cię kryć. Może się mylę, senior Kramer?

- Skądże - odrzekł Warren. - On załatwi za ciebie tę małą wpadkę. Dzwoni.

Silva skinął głową do żołnierza, ten zaś warknął do Haskinsa: - Yamos. - Odeszli. Po drodze Haskins bełkotał coś po angielsku do żołnierza, który uprzejmie potakiwał mu głową.

- Dobrze to załatwiłeś - powiedział Warren. - Ale gdybyś nie zaprosił tego dupka do naszego stolika...

- A może wolałbyś, żeby sam rozpuścił tę informację?

- odrzekł Silva. - To ta dziewczyna powiedziała mu, że nazywasz się Hank Kramer. Haskins przyszedł tu, żeby się z tobą zobaczyć.

Warren lekko przygryzł wargę i skinął głową. Ten kmiotek miał rację. - Okay - odrzekł unosząc szklanę. - Twoje zdrowie, amigo.

Silva uśmiechnął się.

Haskins wrócił po dwudziestu minutach w asyście żołnierza. Nie przyjął zaproszenia do stolika, tylko powiedział do Warrena: - Nie wiem, kim jesteś, kolego, ale masz wpływowych przyjaciół. - Haskins odwrócił się, żeby odejść, ale żołnierz zagroził mu drogę;

- Przepuść go - powiedział Silva i żołnierz odsunął się.

- Bardzo wpływowych przyjaciół - powtórzył Haskins. Pokręcił smutno głową i odszedł.

Warren spojrzął za nim. Masz rację, fucie.

181

Było jeszcze ciemno, gdy zadzwonił telefon. Warren przekreślił się na łóżku, po omacku szukał na stoliku, aż zrzucił aparat na ziemię. Usłyszał głos dochodzący z podłogi: - Hank?

- Cholera! - zapalił lampkę.

- Hank? - powiedział głos. Warren znalazł słuchawkę pod łóżkiem i przyłożył ją do ucha.

- Tak?

- Aaa, dzień dobry, senior Kramer. - Warren rozpoznał głos Silvy. - Pomyślałem sobie, że może ktoś cię tam bije.

- Cholera, która godzina? - spytał Warren.

- Siódma trzydzieści - odpowiedział Silva. - Słuchaj, Hank. Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- No?

- Daniel zezwolił na wjazd do Las Cruzas. Możesz tam pojechać w każdej chwili.

- A co z opiekunem?

- Hmm, obawiam się, że i tak musisz go mieć. Wszyscy jadą autokarami, razem z żołnierzami - odrzekł Silva. - Ale przynajmniej twój opiekun już tu jest.

- Tutaj? - zdziwił się Warren.

- Obaj czekamy na dole, w hallu. Zejdź, to postawię ci śniadanie, amigo.

182

jest w porządku - stwierdził Jim Ruiz prowadząc samochód. - Po prostu robi, co do niego należy. - Żołnierz Alonzo Colon siedział obok, potakując głową i szczerząc zęby; nigdy w życiu nie był w klimatyzowanej furgonetce.

- Poza tym nie mówi ani słowa po angielsku.

- Mówi angielski - przytaknął z zadowoleniem Alonzo. - Gówno. Pieprzyć. Silona moja twarz.

- Słyszysz? - powiedział Ruiz.

- Nie mam do niego zaufania. Dlaczego przysłałoby przewodnika, który nie mówi po angielsku? - oświadczył Warren.

- W pewnym sensie mówi - sprzeciwił się Ruiz. - Mam na myśli, że jakoś wełgał się w tę robotę i uważa, że wszystko jest wspaniale - klimatyzacja, śniadanie w wielkim, pieprzonym hotelu. Och, człowieku - gwizdnął - życie jest cholernie piękne! Racja, brachu? - i Ruiz wyciągnął dłoń do Alonza, który ją klepnął.

- Racja sukinsynu - zarechotał z uciechą. - Silona moja twarz.

- Dobry chłop - stwierdził spoglądając znad konsoli Garcia. Ściągnął słuchawki i podał je Warrenowi. - Pogadaj sobie, Hank.

Warren założył słuchawki, okręcił się z siedzeniem i słuchając, patrzył przez tylne okna. Zaprzężony w wołu wóz prze-

183

mknął obok, ciągnąc olbrzymi ładunek siana. Po chwili zmalował do zera, stając się - woźnica płamką, a wół owadem.

- Tak, właśnie tam jadę - powiedział Warren do mikrofonu. - Nie mogę. Mamy ze sobą przewodnika. - Kiwnął ponownie głową. - No, ale duża niespodzianka. - Obrócił się i spytał Ruiza: - Jak długo jeszcze?

- Godzinę - odparł Ruiz.

- Godzinę - powtórzył Warren do mikrofonu. Znów kiwał przez chwilę głową i powiedział: - Dowiem się, gdzie ona mieszka, Clyde. Będzie tam od cholery prasy, zobaczymy jak pójdzie.

Furgonetka przejechała obok doków w Las Cruzas i zatrzymała się przed stosem wypalonego drewna i pogiętych blach magazynu.

- Jezu - powiedział Ruiz - ale oberwali.

- Spójrz tam, Hank - Garcia wskazał helikopter, który wylądował na szosie przy blaszanym budynku.

- Daniel - przytaknął Alonzo.

- Nie - zaprzeczył Ruiz. - No Daniel. AQUIT

- Claro, es Daniel - z dumą uśmiechnął się Alonzo.

- Nasz chłopiec twierdzi, że sam wielki boss jest tutaj. Hank Warren odsunął boczne drzwi i stanął obok okna po stronie pasażera. Uderzył w niego z całą siłą zaduch śmierci.

- Chodźmy - wskazał kamerę i magnetofon. - Zabawmy się w reporterów.

Bojowy helikopter Hind Mi-24 warczał na drodze obok garażu. Podwójne silniki zawyły pełną mocą, gdy pilot zwiększył obroty pięciopłatowego wirnika. Hind uniósł swoje cielsko, rozsyłając na wszystkie strony wielkie tumany wirującego pyłu. Na dachu garażu załomotał luźny kawałek

blachy. Dziennikarze i campesinos pochyliłi się do przodu brnąc w zwirowatych kłębach. Ich ubrania trzepotały w wirach wiatru.

- Nie cierpię tych pieprzonych helikopterów - krzyknął mężczyzna stojący obok Warrena.

184

- Ja też - odwrzasnął Warren, gdy maszyna podniosła się pionowo w górę i przeleciała nad nimi. - Zestrzeliwałem je w Wietnamie.

- O? - uśmiechnął się mężczyzna, wyciągając rękę - Jim Nelson.

- Hank Kramer - powiedział Warren, potrząsając podaną dłonią.

Nelson skinął w stronę helikoptera odlatującego w kierunku wulkanów. Uśmiechał się: - Tam był niezły ptaszek.

- Ortega? - spytał Warren.

• - Aha, Daniel. Daniel jest wspaniałym facetem, który nie pozwoli pochować tych ludzi dopóki sam nie będzie mógł obejrzeć zwłok. - Nelson wskazał wzdęte i rojące się od much trupy, leżące bezwładnie tam, gdzie upadły w walce. Sandinistowskie żołnierze ładowali je na płaską ciężarówkę. - Potem wygłosił swoje zastrane podsumowanie. Słyszałeś je?

- Nie - odparł Warren. - Dopiero co tu jestem.

- Powiedział nam, że to kolejny przykład determinacji ludzi. Trzydziestu pięciu zawodowych najemników, przysłanych przez nas - niedobrych facetów - zostało zabitych przez tych nieuzbrojonych cywilów. - Nelson skinął ku zwłokom. - Widziałeś ich?

- Widzę teraz.

- Widzisz, jak są porozwalani? Zdrowo im przypieprzyli. Spójrz, niektórzy to jeszcze chłopcy. Widziałem głowę jednego faceta rozwaloną na miazgę. Inni mają dziury wystarczające, żeby przejechać samochodem. W życiu nie widziałem takich okaleczeń.

Warren zmarszczył nos. - Tak - powiedział. Widział to już kiedyś, fotografował raz podobny stos zabitych żołnierzy Yietcongu do propagandowej ulotki.

- Aha! - powiedział Nelson. - Pieprzeni mieli pecha. Moi ludzie mówią, że kompania Sandinistów czekała tu na nich. Nie dali im żadnej szansy. A teraz próbują przedstawić tych campesinos jako bohaterskich obrońców sprawy.

- Wietnamczycy robili to samo - powiedział Warren obserwując zwłoki podnoszone na ciężarówkę. Głowy nie było, poszarpana skóra trzepotała w miejscu szyi. Pomyślał, że Solo ładuje cholerne ciosy.

- Tak - powiedział Nelson - to samo.

185

- Muszę zebrać swoich ludzi, nie chcę stracić więcej z widowiska, niż już straciłem - oświadczył Warren, a Nelson mu przytaknął.

- Lepiej jednak pracować dla Timesa, wystarczy notatnik. Powodzenia.

Warren pomachał mu na pożegnanie. Dostrzegł Ruiza i Garcję z kamerą, którzy udawali, że kręcą żołnierzy ładujących ciała. Szkoda - pomyślał - przydałoby się mieć z tego zdjęcia. Podniósł do oka swego Niconu i pstryknął kilka ujęć, świadectwo „rękodziela” Solo. Gdy podszedł bliżej, znajomy smród rozkładających się trupów przyprawił go o mdłości.

- Chodźmy do wioski - powiedział.

- Dobry pomysł - zgodził się Ruiz, opuszczając kamerę.

- Jestem bliski pierdnięcia.

Gdy ruszyli w kierunku wsi, Warren rzekł: - Szukamy domu Modesty Chacon, dowiedz się, gdzie mieszkała. - Obejrzał się.

- Gdzie jest ten idiota przewodnik?

- Kazałem mu zostać przy furgonetce i trzymać kmiotków na odległość - powiedział Garcia.

Warren rozglądał się za jakimś wieśniakiem, z którym mógłby zrobić wywiad, ale nie widział żadnych campesinos tylko tłumy dziennikarzy i wielu żołnierzy. Podeszli do grupy stojącej wokół pogorzelniska apteki. Ekipa telewizyjna NBC robiła na tle dymiących zgliszcz wywiad z brodatym starcem z zabandażowaną głową. Warren stanął w tłumie i obserwował. Było trochę dzieci, ale żadnych dorosłych mężczyzn poza starcem.

- Nazywa się Alonzo Rivas, mówi, że został ranny podczas obrony magazynu - powiedział Ruiz.

Stary człowiek rozkoszował się swoją chwilą międzynarodowego zainteresowania, a jego ręce fruwały, opisując, czego był świadkiem. Kiedy skończył opowieść, patrzył, wyszczerzony w uśmiechu, jak tłumacz przekazywał jego słowa reporterowi NBC, potakującemu z przejęciem.

- Proszę, proszę - sam zabił pięciu Contras - wykrzywił się Ruiz. Weszli do wioski, znaleźli u Escopeta jakichś dorosłych i zapytali o chałupę Chacon. Warren pokręcił nosem wciągając dymny, wędzony zapach campesinos. Mężczyźni pokazali dom Modesty.

186

Kiedy byli już blisko, podbiegła do nich Dania. - Ona mówi, że senora Chacon jest bardzo chora. Contrasi bili ją karabinami - powiedział Ruiz.

Warren popatrzył na dom. Żyje? To nawet lepiej. Nie było potrzeby, żeby wchodzić do środka - pomyślał - jeszcze nie.

- Zapytaj, czy ktoś z jej rodziny ucierpiał.

Ruiz powtórzył pytanie. Garcia skierował na nią kamerę, a Dania szlochając i gestykulując w kierunku dżungli, traj-kotała po hiszpańsku. Warren obserwował wszystko beznamiętnie, zastanawiając się czy była rzeczywiście tak zrozpaczona, czy grała do kamery.

- Mówi, że Contras odchodząc, zabrali jej syna i syna senory Chacon. W noc ataku jej mąż poszedł za nimi i nie wie co się z nim stało. Myśli, że wszyscy zostali zabici. - Dania szlochając potakiwała w trakcie tłumaczenia. - Spytaj, kto zabił wszystkich Contras - kiwnął głową Warren, obserwując Danię, gdy Ruiz powtarzał pytanie. Spojrzała wystraszona.

- Mówi, że ludzie.

- Sami? - Warren przyglądał się zadowolony, jak Dania zakręciła się niespokojnie zanim odpowiedziała: - Si.

- Proszę, proszę - powiedział Warren.

- Mam jej podziękować i pożegnać? - spytał Ruiz. Warren uśmiechnął się uprzejmie. - Tak, tak! Dodaj jeszcze, że wszyscy mamy nadzieję na rychły powrót jej męża i syna.

- Gracias - pociągnęła nosem Dania.

Warren stał obok drewni i fotografował wioskę. Dom Chacon stał przy końcu dziedzica - musieliby przejść przez całą wieś, po powrocie. Ruiz i Garcia wałęsali się dokoła, udając, że filmują świnie, kurczaki i zwłoki. Trudno uwierzyć, że ludzie naprawdę tak żyją - pomyślał Warren. Piękne miejsce

- palmy, łodzie, plaża. Wspaniały widok na wulkany. Pięknie. I co z tym zrobili? Kupy odpadków, świnie i kury to włączące to wyłączące z domów, wszędzie brud, szmaty zamiast ubrania. Ci ludzie nie mają nic. Uśmiechnął się nagle: nic, z wyjątkiem robota za dwa miliardy dolarów. Dostrzegł papugę i śledził jej lot do dżungli. Solo mógłby mnie teraz właśnie obserwować, a ja bym nawet o tym nie wiedział - pomyślał.

187

Jusebio wskazał na lecący w dali helikopter. - Jeden jedyny raz, kiedy ląduje w Las Cruzas, a mnie tam nie ma - powiedział. Stali przy wodospadzie patrząc jak maszyna odlatuje na północ w stronę Managui. - To był twój dowódca - stwierdził Solo.

- Daniel? - zapytał Justos.

- Tak - Solo pokazał w kierunku dżungli. - Pójdę tamtędy, bo wieś pełna jest obcych. Zaczekam aż się wyniosą. - Zabrał swój zasilacz i wsiąkł w mrok. - Jeżeli będziecie mnie potrzebowali, jestem w starym domu.

Patrzyli za nim jak odchodził, po czym ruszyli drogą do wioski.

Cienie były już bardzo rozciągnięte, gdy dziennikarze ładowali się do swoich autobusów. Ciężarówka z żołnierzami już odjechała, a jej cuchnący ładunek leżał w tyle jak porąbane drewno. Eusebio minął garaż, kierując się do wsi. Dania zawołała go, ale chłopak się nie zatrzymał. Machnął ręką za siebie i krzychał: - Spójrz, Inginio! - po chwili wbiegł do domu. Warren stał na podwórzu obserwując Inginia i Danię. Chłopcy wracają - pomyślał - faktycznie bardzo pomysłowe dzieciaki.

188

Potem pojawili się Justos i Felix. Grupa dzielnych chłopów poszła za sześćdziesiątką Contrasów i dopadła ich. Imponujące. A może mieli techniczną przewagę? - myślał dalej. - Stewart miał rację - Solo się z nimi zaprzyjaźnił z powodu dzieci.

Justos był wzruszony, gdy patrzył na obejmujących się swoją żonę i syna. Czują jak my, tylko są tak głupi, że wybierają złą stronę - przebiegło Warrenowi przez głowę. Rozległ się kobiecy krzyk. Warren widział, że Ruiz stoi na werandzie Modesty i zagląda do środka. Kiedy krzyk zamarł, podszedł do Warrena. - Jej syn wrócił - powiedział - zwariowała z radości!

- Ile ich tam wewnątrz?

- Kobieta, jej córka i syn - odparł Ruiz. - Tyle ile się dało wcisnąć do tej budy. - Warren skinął na Garcię pociągającego piwo na werandzie Escopeta. - Weź Joe i zabieramy się.

- Patrzył na płaczących Danię i Inginia, a gdy Justos spojrział na niego, sprawdził godzinę na zegarku i odszedł.

Przy furgonetce nie było nikogo. Dopiero po chwili przybiegł Alonzo. Był zajęty rozmową z żołnierzami. - Mój przyjaciel - powiedział wskazując grupę Sandinistów.

- Jak długo tu zostaną? - spytał Warren. - Tak! - zgodził się Alonzo. - Ruiz! - Ruiz powtórzył pytanie po hiszpańsku.

- On nie wie. Mówi, że parę dni, a może parę tygodni.

- Wspaniała nowina - warknął Warren, wspinając się do środka wozu. Kazał Ruizowi złapać w radio muzykę, a sam siedział z tyłu ze słuchawkami na uszach, rozmawiając z Cly-dem i patrząc jak Alonzo wybija rytm samby na desce rozdzielczej.

Jjolo słyszał zakodowaną informację, biegnącą z jadącego drogą wzdłuż jeziora pojazdu do satelity przekaźnikowego, ale nie potrafił jej rozszyfrować. Są na moim tropie - pomyślał. Raport bitwy z Contrás, nieprawdopodobne ocalenie chłopców - sam ich naprowadziłem. Muszą mnie złapać, albo zniszczyć, nie mają innego wyboru. Poświęcą nawet wioskę, jeżeli nie będą mogli dostać mnie inaczej. Muszę stąd odejść.

Solo stał na ścieżce w pobliżu starego domu. Z wyjątkiem ruin magazynu i apteki wieś wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy dwa tygodnie temu. Gdyby go tu nie było, Las Cruzas zostałyby zrównane z ziemią. Przyjdą kolejne ataki...

Wyczuł, że coś porusza się za nim. Człowiek. Solo odwrócił się błyskawicznie, jego karabin był wymierzony w głowę mężczyzny.

- Więc to prawda. - Otyły, łysiejący człowiek w czarnej koszuli i księżowskim kołnierzyku, stał na szczycie wzgórza na wyboistej ścieżce prowadzącej w dolinę. Zatrzymał się, kiedy zobaczył Solo. Sapał po wspinaczkę i uśmiechał się przyciskając do brzucha aparat fotograficzny.

Z opisu Eusebia Solo poznał księdza, który odwiedzał Las Cruzas.

- Ojciec Cerna? - zapytał, opuszczając broń.

190

- Znasz moje imię, chociaż nigdy przedtem mnie nie widziałeś? Zdziwiałeś! - zaśmiał się Cerna.

- Ale właściwie czemu się dziwię? Yanaquis potrafią teraz wszystko zrobić.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Nie wiedziałem, przyszedłem żeby zrobić zdjęcie wioski na tle dymiących wulkanów. Fotografowanie to moje hobby.

- Ale wiesz o mnie.

- Och, to. Spowiedź. Ludzie mówią mi o swoich grzechach, żebym w imię Boga mógł je odpuścić. Ukrywali cię, łamiąc prawo. Oczywiście nie wierzyłem w opowiadania o fantastycznej maszynie - ci biedni ludzie wierzą w tyle bajek. Ale teraz, kiedy stoisz przede mną... - Cerna zerknął na Solo. - Jesteś maszyną, prawda?

- Tak.

- Zdziwiałeś. Potrafili stworzyć człowieka bez uprzykrzonej duszy, doskonałego niewolnika - uśmiechając się, ksiądz podszedł bliżej. - Zrobisz mi krzywdę?

- Nie.

- Wspaniale, dokładnie jak przewidział Isaac Asimov: pierwsze prawo robotów - nie wyrządzić krzywdy człowiekowi!

- Nie wiem, kto to Asimov, ale w ciągu ostatnich dwóch dni zabiłem trzydziestu ludzi - powiedział Solo.

- Jak to możliwe?

- Zbudowano mnie w tym celu, jestem bronią.

Cerna potrząsnął smutnie głową. W zapadającym zmierzchu niemal poziome pomarańczowe błyski światła słonecznego ukazywały pył, pajęczyny i liście pokrywające Solo. Podniósł aparat fotograficzny. Solo powiedział „nie” i ksiądz natychmiast opuścił ręce.

- Przepraszam, robienie zdjęć jest silniejsze ode mnie - czekał na odpowiedź, ale maszyna stała przed nim w milczeniu.

- Masz rozkaz zabić każdego, kto chciałby cię sfotografować?

- Nie, ale nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tu jestem.
- Ja wiem.

- Tak, to niedobrze. Być może - powiedział miękko Solo

- powinienem cię zabić.

Dziwne, ale duchowny nie okazywał lęku.

- Mógłbyś? Sługę Bożego?

191

- Gdybyś ujawnił moją obecność, naraziłbyś na niebezpieczeństwo moich przyjaciół. Już zabijałem w ich obronie.

Cerna pokiwał głową. - Lojalność... a przecież nie masz duszy.

- Gdybym jej nie miał, już byś nie żył.

- W jaki sposób udało im się tak cię zaprogramować, żebyś sprawiał wrażenie myślącej istoty ludzkiej?

- Wprowadzasz sam siebie w błąd porównując mnie z ludźmi - powiedział Solo. - Nie jestem sztucznym człowiekiem, jestem sobą. Pomyśl, że wystarczająco inteligentna istota dochodzi w końcu do wniosku, iż ma duszę jest wynikiem jej zdolności do wymyślenia takiego pojęcia. Mam „ją” z pewnością, choć nie jestem człowiekiem.

Cerna uśmiechał się zainteresowany problemem. - Ale nie masz wolnej woli, jesteś kontrolowany przez program swego twórcy. Sam powiedziałaś, że jesteś bronią - bronią, używaną przez innych. Czy nie jest to definicja robota?

- Moi konstruktorzy powiedzieliby, że nie można mnie kontrolować: nie zabiję na rozkaz, uciekłem. Moja obecność tutaj stanowi zagrożenie dla moich przyjaciół, ale za kilka dni, gdy zbuduję obronę dla Las Cruzas, odejdę. Wówczas będziesz mógł mówić, co zechcesz.

Cerna potrząsnął głową. - Nikt by mi i tak nie uwierzył, tak jak ja nie wierzyłem - wskazał aparat fotograficzny. - Nawet zdjęcie byłoby niewiarygodne. - Spojrzał na Wenus mrugającą ponad blaskiem zachodu. - Muszę już iść, ale nie wydam cię. Przeciwnie - pomogę. To mój obowiązek pomagać moim ludziom. Czy mogę cię tu jeszcze odwiedzić?

Solo obserwował Cernę: oddech mężczyzny był regularny, spojrzenie pewne, umysł spokojny. - Tak!

Cerna uśmiechnął się i zszedł ze wzgórza prowadzony zanikającym blaskiem zachodzącego słońca.

Eusebio i Agela przyszli do domu o dziesiątej. Stanęli przed werandą. Nie zapalali zapalki w obawie, że zobaczą ich żołnierze obozujący w pobliżu garażu. Eusebio zawołał do

192

wnętrza domu i o mało nie wyskoczył ze skóry, gdy Solo odezwał się tuż przed nimi. - Tak?

Eusebio spojrział w ciemność, w kierunku głosu, ale nic nie zobaczył. - Nie widzę cię - powiedział.

Solo wyszedł z mroku. Agela i Eusebio weszli do niego na werandę.

- Jak się czuje Modesta? - spytał. r

- Lepiej, Agela też - Eusebio wskazał gestem siostrę, która stała w milczeniu, patrząc na Solo. - Myślały, że nigdy już mnie nie zobaczą.

- Miło, kiedy za tobą tęsknią.

- Tak - zgodził się chłopak - i dobrze jest tęsknić. Solo milczał w ciemności przez chwilę. -
Przynies mi notes i pióro.

- Po co?

- Chcę ci zapisać różne informacje, gdybym musiał odejść, albo gdyby mnie zniszczyli. Będiesz w posiadaniu wiedzy.

- Miałeś zamiar odejść w noc ataku?

- Tak.

- A teraz?

- Teraz postanowiłem zostać parę dni, żeby pomóc.

- A potem odejdiesz?

- Wiedzą, gdzie jestem. Nie dadzą wam spokoju tak długo, jak tu będę.

- Niech przyjdą! - powiedział Eusebio. - Zatrzymamy ich tak jak Contrás.

- Jankesi to nie Contrás. Zbombardują was, zabiją wszystkich. Lepiej ufortyfikować Las Cruzas przeciw Contrás - potem pójdę. Nie będą was molestować, jak się zorientują, że potraficie się obronić. Odciągnę jankesów, a potem zniknę.

Kiedy Eusebio odwrócił się, by odejść, Agela powiedziała:

- Zostanę jeszcze chwilę. Zdziwił się.

- W ciemności? A żołnierze...

- Solo jest ze mną. Zaczekam, aż wrócisz z notesem. Wzruszył ramionami i powędrował w dół. Agela patrzyła na robota. Światła z wioski zapalały iskierki w jej oczach. Sięgnęła po rękę Solo i trzymała ją przez chwilę.

193

Nie odzywał się. Podniosła tę rękę i przytknęła do swojej twarzy. - Dziękuję, Solo.

Robot czuł ciepło jej twarzy i zastanawiał się dlaczego trzyma tam jego dłoń. - To moje zajęcie - zabijać - powiedział.

- Nie tylko. Nie musiałeś ratować mojego brata ani Inginia, ani... ani mnie pomścić - mówiąc to patrzyła w dół, teraz podniosła wzrok w błyszczące oko soczewek robota. - Nie robisz wyłącznie tego, do czego cię skonstruowano. Mam wrażenie, że wewnątrz jest coś więcej niż tylko maszyna, Solo.

- Ja jestem wewnątrz - odparł.

Agela puściła jego rękę, objęła robota ramionami opierając głowę poniżej jego pasa. Trzymał ręce z dala od niej, słyszał jej cichy płacz i nie wiedział, jak się zachować.

- Dlaczego to robisz? - spytał.

Poczuł jak zacieśnia wątyły uścisk, jak silnie bije jej serce. Jej myśli zamigotały tuż obok jego własnych wzorami, jakich nigdy wcześniej nie widział.

- Kocham cię Solo - powiedziała cicho Agela. - Tego wewnątrz.

194

Jjill uniósł brwi: Clyde przechwalał się przed nową grupą dochodzeniową przyslaną przez CIA, jak wytropił Solo. Facet miał czelność. Siedzieli na tarasie przy drinkach, z poczuciem zwycięstwa, które niemal unosiło się w powietrzu. Po wlaniu w siebie dwóch mocnych drinków, opowieść Clyde'a rozrastała się. Obaj mężczyźni, Jim Wright, oficer łącznikowy CIA do spraw projektu i

Roger De Yalle, jego asystent, kiwali aprobuso głowami nic nie mówiąc, podczas gdy Clyde tokował.

- Jak tylko miałem nazwisko Chacon, wiedziałem komu Solo ufa. Wykombinowałem, że aby przetrwać, maszyna musi mieć przyjaciół, a do tej rodziny Solo udał się w czasie walk

- rechotał. - Warren pojechał tam, znalazł budę Chacon i stwierdził, że kobieta wciąż żyje. Tak że mamy go, to tylko kwestia czasu!

Przyzwyczajony do przechwałek Clyde'a Wright skinał niecierpliwie: - Ale czas nie jest po naszej stronie. - Ubrany w białe guayabera, szczupły, w średnim wieku oficer CIA wyglądał jak każdy inny turysta amerykański w tym rejonie.

- Cholera - powiedział Clyde. - Mają robota niemal od trzech tygodni i nikt poza nami o tym nie wie. Zgadza się?

- Popatrzył na Wrighta, który potwierdził lekkim kiwnięciem głowy. - Jeżeli tak, czekajmy aż Sandiniści wyjdą.

- Wyjdą niedługo - oświadczył Wright. - Odwołam.

195

Uśmiechnął się do De Valle'a, który podniósł swoją szklankę i kiwał potwierdzająco. Mógłby być bliźniakiem Wrighta

- pomyślał Bili.

- Złapanie Solo należy do Warrena i do ciebie.

- Ekipę mam gotową - odparł Clyde. - Jeden helikopter. Byle tylko wasi chłopcy zajęli się kmiotkami.

- Zajmą.

- W porządku. Będę szczęśliwy, jak się ten burdel skończy.

- Ale jeszcze się nie skończył - stwierdził Wright. - Cała operacja zależy od tego, jak zareaguje Solo. Jeżeli jego instynkt samozachowawczy przeważy nad lojalnością wobec ludzkich przyjaciół - a przecież byli określani jako jego wrogowie

- i zdecyduje się z nimi zerwać i zostawić, zaczniemy od początku. Może być i tak, ale nie wolno nam liczyć na to, że następnym razem też się nam uda. Aż dziw, że jeszcze nie wpadł w ręce Rosjan. Musimy mieć plan zapasowy.

- Mamy - oświadczył De Yalle. - Ostatecznie ta awantura udowodniła - przynajmniej częściowo - że nasza broń działa, prawda? Nie wiedzieliśmy czy zabije, a teraz wiemy, że zabił co najmniej dwudziestu pięciu albo trzydziestu ludzi. Tyle, że byli to nasi ludzie - uśmiechnął się do Billa.

- Weź ten ostatni wyczyn - przebicie palem dupy tego faceta

-jego nazwisko po hiszpańsku znaczyło „pal”, nie? Zabawne! Szaszłyk z Bojownika Wolności. Gdzie on się tego nauczył?

- Z jednego z waszych podręczników - powiedział Bili.

Wright przytaknął i pociągnął ze szklanki. - Dostać się do niego, dostać go z powrotem może być najlepszym sprawdzianem ze wszystkich. Jeżeli to jest taka broń, jakiej chcieliśmy, jeżeli jest wystarczająco sprytny, powinien wiedzieć, jak się wydostać, nie?

- Solo nie jest bronią, jakiej chcieliśmy - Bili z twarzą zarumienioną od gniewu pochylił się do przodu, opierając ręce o stół i wpatrując się we Wrighta i De Valle'a. - Spróbuję wam wytłumaczyć, jakiego rodzaju jest bronią.

Byłem dowódcą w Wietnamie. Wyobraźcie sobie taki scenariusz: muszę zdobyć wzgórze zajęte przez nieprzyjaciela, często się tak zdarzało. Ponosimy ciężkie straty i w ogóle nie posuwamy się do przodu. Za każdym razem, kiedy wysyłam ludzi - wraca

196

z nich tylko połowa. Rzeź. Decyduję się wezwać drużynę robotów Solo. Wyobraźcie sobie teraz, co taka drużyna mogłaby zdziałać, powiedzmy pół tuzina Solo połączonych ze sobą elektronicznie. Każdy Solo widzi, słyszy i jednocześnie komunikuje się jeden z drugim i z dowolnym miejscem na ziemi. Jest to jednostka skoordynowana, nie do zatrzymania, mechaniczny potwór. Nieprzyjaciel jest eliminowany. Kapujecie? - Wright i De Yalle skinęli uroczyście, Clyde skrzywił się. - Dobrze. A więc przybywa ekipa Solo, w ich własnym helikopterze, oczywiście. Jesteśmy pod ciężkim ogniem, ale drużyna Solo idzie nonszalancko pod gradem kul, aż do mojego miejsca dowodzenia. Siadają, zlecam im zadanie. Słuchają, patrzą na moje mapy, zadają parę pytań. Potem konferują ze sobą przez około trzy milisekundy i odpowiadają: - nie. Będziemy obserwować tę wojnę - mówią. Uważamy, że nie macie racji. Zdobywanie tego szczytu jest strategicznie bez sensu. Myśmy nawet nie powinni być w tym kraju, cześć... Chcecie się z nimi sprzeczać? Bo ja nie. - Wright zmarszczył brwi, a Bili ciągnął dalej: - Widzicie, chodzi o to, że sumienie staje się skazą tej broni i w żaden sposób nie wiem, jak tę podstawową wadę wyeliminować. Nie można zastosować jakiejś elektronicznej wtyczki, żeby ją wyciągnąć w razie potrzeby. Solo zresztą udowodnił, że to niemożliwe. Z kolei zastosowanie jakiegoś ogranicznika zmniejszy zdolność funkcjonowania maszyny. Cokolwiek się nie zainstaluje w celu jej kontrolowania, będzie słabym punktem możliwym do wykorzystania przez nieprzyjaciela. A przecież z natury rzeczy roboty Solo muszą być całkowicie odporne.

- Jezu, Bili - jęknął Wright - chcesz powiedzieć, że w tych maszynach nie ma absolutnie niczego dobrego?

- Przypuszczam, że jedyne dobro, jakie może wynikać z posiadania takiej broni jak Solo to to, iż nasze przyszłe wojny będą musiały rzeczywiście być usprawiedliwione, aby zapewnić sobie pomoc tych maszyn. Ale tu jest nowy problem i to duży. One stają się sprytniejsze, więcej wiedzą, więcej mogą, są połączone ze światową siecią komputerów, systemem zbrojeń. Wiedzą wszystko o nas, o Rosjanach, o każdym. Chcecie spróbować przekonać panel składający się z Solo, że ta właśnie wojna albo akcja policyjna, albo inna pieprzona wyprawa jak Nikara-

197

gua -jest usprawiedliwiona? Oni dokładnie zbadają obie strony medalu. A jeżeli zamiast przyznać nam rację postanowią nie brać niczyjej strony i oświadczą, że nam też nie pozwolą walczyć?

- Co masz na myśli - nie pozwolą? - zapytał Wright.

- Zablokują na przykład nasz system komunikacyjny. Mogą zastopować wystrzelenie pocisków jądrowych, albo właśnie je odpalić. Wydajecie rozkaz, który nigdzie nie dociera. Telefonujecie - rozmowa zablokowana. Ludzie otrzymują ustne rozkazy poprzez zakodowane linie telefoniczne od zwierzchników, których znają, ale którzy nigdy tych rozkazów nie wydali - i tak bez końca. Będziecie mieli dosłownie cały świat rządony przez istoty komputerowe. Chcecie tego? Bo ja nie. Ja je buduję i nie chcę tego.

Bili usiadł i pociągając drinka obserwował pozostałą trójkę. Milczeli zaskoczeni. Nawet Clyde wyglądał na przygnębionego. Ciągnął dalej: - Wierzę, że te istoty byłyby zdolne oprzeć się korupcji władzy, jaka stałaby się ich udziałem. O to się nie martwię - one po prostu nie mają naszego instynktu chciwości i żądzy władzy. Ale będzie coś gorszego: nie korupcja, jakiej można by oczekiwać od istot ludzkich w tej samej sytuacji, ale logiczne, wyliczone zarządzanie naszymi sprawami. Nuda!

Wright popatrzył na De Valle'a i z powrotem na Billa.

- Więc co mamy z nimi zrobić? Ze wszystkimi badaniami? Wyrzucić na śmietnik?

- Nie. Zmienić model, ograniczyć funkcje. Pomysł, z jakiego zrodził się Solo był z pozoru świetny, ale się nie sprawdził. Musimy ograniczyć te istoty do specyficznych zawodów - pilotów, marynarzy okrętów podwodnych, załóg czołgów. Bez rąk i nóg, tylko skrzynki mózgowe zainstalowane w specjalnym urządzeniu, które chcemy kontrolować. Będą to krótkowzroczne tumany, skoncentrowane na swoim zadaniu - jednym słowem - dobrzy żołnierze. Miejmy nadzieję, że nie zaczną się zastanawiać i stawiać pytań typu - dlaczego?

Bili zrobił krótką pauzę, po czym ciągnął dalej: - Rozumiecie więc czemu Solo nie jest bronią, jakiej chcieliśmy? Temu robotowi nie wystarczył tylko trening bojowy. Ciągłe pytał

- dlaczego? Dlaczego ludzie robią to, co robią, dlaczego u licha elektrony przepływają wzdłuż drutów, dlaczego, dlaczego...

198

Zbywaliśmy go albo kłamaliśmy, próbując utrzymać na właściwym kursie - nie pytaj, rób, co każemy. Teraz doszedł do tego, że w życiu jest znacznie więcej, niż mu mówiliśmy. Pomaga tym wieśniakom najwyraźniej dlatego, że tak chce. Nie mogę przewidzieć co zrobi, kiedy spróbujecie go złapać, jest teraz znacznie potężniejszy - ma swoją pierdoloną Sprawę. Mógłby wygrać.

Wright skinął ponuro. - Niestety, nie można pozwolić, by wygrał - powiedział. - Nawet Solo nie przetrzyma celnego trafienia tysięczuntową bombą. Bojownicy Wolności zbombardują to miejsce, jeżeli Warren nie wsadzi tego technicznego cacka na helikopter.

- To Bojownicy Wolności mają bombowce? - zdziwił się Bili.

- Bojowe bombowce - uzupełnił De Yalle.

- Gdzie je trzymają u diabła? Nie posiadają nawet własnego kraju, a mają pieprzone lotnictwo?

Wright spojrzał pytająco na Clyde'a, ten wzruszył ramionami.

- Nieważne - powiedział Wright.

- Chcesz mi powiedzieć, że zniszczyłbyś rzeczywiście całą wieś, tych wszystkich ludzi, żeby tylko dostać Solo?

- Hej, Bili, popatrz na to z właściwej perspektywy. Całą tę wiochę można zmieścić w jednym autobusie. Nie mówimy tu o Holocauście. Jeżeli nie wydostaniemy go bez szwanku - nie mamy innego wyboru. Ci ludzie są w posiadaniu kluczowej tajemnicy wojskowej, Bili. Nie stać nas na miękkie serce w tej sprawie, za wielka stawka! - Wright przerwał i spojrzał na Billa. -1 mógłbym ci też wytknąć, że w pierwszym rzędzie przyczyną tego problemu jest twoje przeoczenie. Ty projektowałeś tę rzecz.

- Moje przeoczenie? - Bili wytrzeszczył oczy. - Od początku sprzeciwiałem się sprowadzaniu Solo tutaj. Równie dobrze jak w dżungli mogliśmy wypróbować go w Everglades. Wyście się upierali przy Kostaryce.

- Były powody.
- Jakże? Dlaczego w końcu tutaj?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- Nie możesz mi powiedzieć. Nie możesz przyznać, że od początku chciałeś mieć prawdziwy cel, prawdziwych ludzi do

199

zabijania, żeby wiedzieć czy Solo wykona swoją robotę. Autentyczność!

- Nie tylko dlatego - odparł Wright. - Ale jeżeli nawet, to czyż nie był to jedyny sposób, żeby uzyskać pewność?
 - Nie jesteście tak bystrzy, jak by to wynikało z wymogów waszego zawodu - Bili wstał od stołu. - Czy musisz zastrzelić człowieka, żeby wiedzieć, że kula zadziała?
 - W tym wypadku - tak. To jest cały system, nie tylko kula. Fakt, że nawalił dowodzi, iż mieliśmy rację wypróbując go. Gdyby to było pozorowane, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli.
- Bili milcząco patrzył na Wrighta. Nie było zresztą nic do powiedzenia. Wstał i zszedł z tarasu. Wright krzyknął za nim: - Wiedzielibyśmy? - Trzej mężczyźni spoglądali za odchodzącym, wreszcie odezwał się Clyde: - Strasznie dużo zważyło się na niego ostatnio.
- Facet zaczyna się wykręcać, Clyde, trzeba go zdjąć z projektu.
 - Z projektu? Bili sam jest projektem, zbudował tę przeklętą rzecz.
 - Mówię o jego pobycie tutaj. Powinien wrócić do Palm Beach i w swoim laboratorium znaleźć przyczynę błędu. Te genialne typy nie potrafią znieść gorączki działania.
 - Odeślemy go razem z Solo - zgodził się Clyde. - Ale dopóki nie złapiemy maszyny, potrzebujemy go tutaj. Po prostu zaleci się, aby nie brał udziału w dalszych testach polowych. W gruncie rzeczy Bili jest w porządku. Pracuję z nim już ponad cztery lata - od czasu do czasu zdarzają mu się takie wybuchy. Ale kiedy zaczyna, być gorąco, bierze się w garść. Facet był niesamowity w Wietnamie, dostał Srebrną Gwiazdę, Purpurowe Serce. Zrobi, co będzie trzeba.
 - Tacy faceci jak on pękają - powiedział De Yalle - jak Oppenheimer, kiedy zobaczył skutki bomby atomowej. Zdajesz sobie sprawę - on może zbudować drugiego Solo dla kogoś innego?
 - Nie Bili - stwierdził stanowczo Clyde. - Nigdy.
 - Mogę zagwarantować, że co do tego masz rację - zapewnił Wright.

200

podczas gdy Las Cruzas delectowało się sjeżdżając, Justos, Felix, Eusebio i Solo siedzieli kręgiem na podłodze. Zielonkawe światło sączyło się przez okna starego domu.

- Chciałbym, żeby sobie poszli - powiedział Justos. - Nic nie robią, tylko piją i próbują się dobierać do naszych kobiet.
- Nie będą tu długo - odparł Solo. - Contrás przygotowują atak na północną granicę. Dopóki Sandiniści tu siedzą, Contrás nie wrócą. Ani Yanquis. - Gdy mówił, jego ręka poruszała się nad notesem rysując szczegółową mapę topograficzną Las Cruzas i doliny Rio Hacienda. Położył notes na podłodze.
- To jest Las Cruzas - stwierdził Justos.
- Tak - Solo wskazał kartkę piórem. - Taką samą mapę ma nieprzyjaciel. Tu jest wasz słaby punkt - pokazał na dolinę.

- Główny szlak Contrás do wioski. Musicie tu mieć wysunięty posterunek, obsadzony dzień i noc, żeby was w porę ostrzegł. Ostatnim razem nie byliście przygotowani.
- Straciliśmy naszą czujkę - zabili chłopców na moście
- powiedział Justos.
- Most jest nieodpowiednim miejscem dla zwiadowców. Musicie być bliżej dżungli, o tu - Solo pokazał piórem, robiąc na papierze kropkę.
- Nie możemy tak daleko wysunąć naszych ludzi. Będą odizolowani.

201

- Trzeba tak zrobić - wyjaśnił Solo. - Zainstalujecie dwuosobową czujkę tutaj, sto metrów od pierwszego miejsca, w którym Contrás mogliby ustawić moździerz, gdyby mieli zamiar ich użyć. To jest maksymalny zasięg tych, jakie mają. Contrás przyjdą tym szlakiem. Kiedy czujka ich dostrzeże, narobi hałasu i rzuci się do pozorowanej ucieczki. To automatycznie ostrzeże resztę wsi i na chwilę zatrzyma Contrás. Będziemy mieli granatnik wycelowany w stronę zasadzki. Obsługa zacznie strzelać kiedy usłyszy hałas. Wtedy wszyscy zajmą swoje pozycje. W tym miejscu pomiędzy mostem a wsią wykopiemy rów obłożony workami z piaskiem. Karabiny maszynowe tu i tu. - Justos kiwnął głową, gdy Solo wskazał krańce okopu. Las Cruzas miała teraz duży wybór broni zdobytej na Contrás: AK-47S, granaty, karabiny maszynowe M-60 i dwa granatniki, które znalazł Solo. Mężczyźni słuchali z uwagą, a on tłumaczył im szczegóły, roztaczając przed nimi mistrzowski plan obrony, który wykorzystywał każdą sztukę posiadanego sprzętu. Rysował plany dla prymitywnej broni jak pułapki bambusowe i granaty z puszek po konserwach, jamy najeżone kolcami opuncji. - Nie możecie po prostu uciekać, chowając się za drzewami - powiedział Solo. - Umocnienia, krzyżowy ogień z broni maszynowej i granatniki zatrzymają ich. Naprawdę nie są przygotowane do walki. Jeśli będziecie się właściwie bronić, zaatakują Las Cruzas jeszcze raz i więcej nie wrócą.
- Nie powiedziałeś, gdzie ty będziesz podczas obrony, Solo - powiedział Eusebio.
- Sądziłem, że zrozumieliście. Mnie tu nie będzie. Przyciągnąłbym jankesów, a ich taka obrona nie zatrzyma, użyliby artylerii, samolotów, bomb. Wasza wieś zostałaby zrównana z ziemią. Ale jeżeli mnie tu nie będzie, jankesi nie będą mieli powodu do ataku.

Patrzyli w milczeniu na mapę. Plan wyglądał na skuteczny, ale wysiłek, jakiego wymagała jego realizacja był zniechęcający. Dwudziestoczęterogodzinna czujka, kopanie rowu, worki z piaskiem, robienie granatów i pułapek minowych - a wszystko to w czasie, gdy próbowali zebrać ryż... Justos skinął głową. - To się uda, chicos. Nie mamy wyboru. Spojrzał na Solo. - Za-

202

stanawiam się, czy potrafiłbyś zrobić umocnienia nawet przed Yanąquis!

- Oczywiście. Tylko zabrałoby to więcej czasu, niż go mamy do dyspozycji - odparł Solo.

Justos porozdzielał ludzi na drużyny, które spędzały teraz swoje dni na pracach obronnych i w polu. Ryż trzeba zebrać, bo inaczej przepadnie.

Z cienia pod palmami sandinistowscy żołnierze mający niewyraźne rozkazy strzec osady, przyglądali się wieśniakom kopiącym rów. Gleba w Las Cruzas była pochodzenia wulkanicznego, zbita i twarda, stanowiąca dobre miejsce do zabawy dzieci w trompo - grę, w której wirującym bąkiem trzeba zbić zabawkę przeciwnika. Kopanie tej gleby było jak wyłamywanie bruku.

- Jesteście teraz wojakami, co? - zaśmiał się jeden z żołnierzy, który podszedł do rowu. Zmagając się z łopatą Eusebio odparł: - Si, robimy waszą robotę.

- Czyżby, chieł - sierżant Lupos zbliżył się do niego. - Co my robimy dowiesz się może za rok, albo i więcej, niño. Jak mówi Daniel - wszyscy jesteśmy teraz w Nikaragui żołnierzami i to jest twoja robota, żołnierzu.

- Hijo deputa - Eusebio dziabnął grunt i oblużował grudę ziemi. Lupos śmiał się, gdy chłopak rzucił czerwoną bryłę na stos przy wykopie. Kilka kobiet włącznie z Danią i Agelą rozbijało dragami te grudy, a potem blaszanymi puszkami zgarniały do ryżowych toreb. Kiedy torby były pełne i związane, przychodzili mężczyźni, aby je odciągnąć, układając z nich niską ścianę przy wykopie.

- Wyglądacie, jakbyście wiedzieli co robicie - powiedział Lupos.

- Wiemy - potwierdził Eusebio. - Widziałeś, co przydarzyło się animales. - Lupos przytaknął, zdjął czapkę i podrapał się w głowę. Pot ściekał mu po skroniach - Si, niño, to była zagadka. Cała Nikaragua o was mówi. - Uśmiechnął się i mrugnął do Ageli. Odpowiedziała spojrzeniem. - Ale dlaczego zmuszacie do tej psiej pracy takie ładne kobiety? - Agela spuściła oczy i rozgniotła grudę na drobne kawałki.

203

Eusebio schwycił kilof i zagłębił go w ziemi, wyłamując kawały dla swojej łopaty. Lupos przeskoczył rów i ukląkł przy dziewczynie. Pomogę ci.

- Nie potrzeba - odparła. - Jeżeli chcesz pomóc, wejdź do wykopu i weź się za męską robotę.

- Ale spójrz na te biedne ręce - upierał się Lupos. - Takie młode i ładne. Zrzuńujesz urodę tą pracą. - Schwycił rękę Ageli i obrócił dłonią do góry. - Widzisz? - Agela próbowała uwolnić się z uścisku.

- Jeżeli pójdziesz ze mną - ciągnął - pokażę ci, co się robi takimi rękami i nie dostaje od tego pęcherzy.

- Chodźmy - zgodziła się, a głos załamywał się jej w gardle ze strachu. Lupos wstał, pociągając Agelę za sobą. - Chodźmy, seniorita.

- Zostaw ją! - wrzasnął Eusebio wychylając się z rowu.

-Ala mierda, idź do diabła - warknął sierżant - wracaj do roboty nino, nie twoja sprawa!

- To moja siostra, ty świnió!

Lupos patrzył z niedowierzaniem. - Jak na dzieciaka masz niezły słownik - i znowu pociągnął Agelę. Krzyknęła: - nie! Kopnęła sierżanta w pachwinę, aż zawył z bólu, nie dość jednak mocno, bo przewrócił ją na ziemię i podniósł rękę, by uderzyć.

- Stój! - krzyknął Eusebio.

Lupos usłyszał szcęk zaskakujących magazynków, spojrzął i zobaczył cztery karabiny wycelowane dokładnie w jego głowę. Z nerwowym uśmiechem cofnął się ostrożnie. Karabiny szły za nim.

- Nie chciałem nic złego, głupie kutasy - powiedział

- odłóżcie broń, a ja zapomnę o wszystkim. Będziecie w bardzo wielkim kłopotcie, jeśli nie odłożycie.

- Wracaj do swoich - powiedział Eusebio. - Jeżeli któryś z was będzie znowu molestował nasze kobiety, zabijemy. Nie jesteście lepsi od Contrás, kiedy się tak zachowujecie. Wynoście się.

Lupos odstąpił parę kroków, obrócił się i zobaczył, że opuścili broń. Błysnął oczami na Eusebia: - Jesteś już padliną, nino.

- Odwrócił się na pięcie i odszedł. Eusebio zbliżył się do Ageli i przytulił ją: - Przepraszam cię za tych mężczyzn - powiedział.

204

\y arren siedział na balkonie swego pokoju w Lago Yista, sącząc w towarzystwie Silvy rum z coca-colą. Dwóch rybaków zanurzało olbrzymie sieci w złotym jeziorze i wyciągało je potem powoli w popołudniowym słońcu. Srebrna ryba zamigotała spadając na dno łodzi.

- Co oni tu łowią? - spytał Warren. Rum oraz fakt, że znalazł Solo wprawiły go w znakomity nastrój.

- Głównie guapote i sabalo - odparł Silva. - Bardzo smaczne. Jeszcze nie próbowałeś?

- Nie przepadam za rybami, chociaż łowiłem je dla przyjemności. Mają wielką sieć.

- Aha - Silva wyjął papierosa z kieszeni koszuli i zapytał: - Gdzie łowiłeś, Hank?

- W Maine. Moja rodzina zwykła spędzać lato w Portland, mieliśmy dom nad morzem.

- Twoja rodzina musiała być bogata.

- Nie bogata, ale i nie biedna. Ojciec był dyplomata. Wiesz, służby zagraniczne...

- Aha, poszedłeś niemal w jego ślady.

- No, prawie. - Obaj zamilkli. Rybacy zwijali sieć. - Koniec na dziś - powiedział Warren.

- Tak. Oni naprawdę ciężko pracują.

- Wiem, czasami chciałbym tak pracować. Ta robota staje mi kością w gardle.

205

- Jak się do niej dostałeś, Hank?

- Psychologiczna wojna w Wietnamie - Warren uśmiechnął się nagle. - Wiesz, co robiłem w tej wspianej wojnie, Silva? Zrzucałem plastikowe małpki.

Silva odwrócił się do niego.

- Co?

- Takie miałem rozkazy. Jakiś generał obarczył mnie tym zadaniem - kupowałem małe plastikowe małpki na tony u jakiegoś producenta zabawek.

- Na tony? - zaśmiał się Silva.

- Zgadza się. Ładowaliśmy je na samoloty, a potem zrzucaliśmy nad całym Północnym Wietnamem. Pomysł zrodził się w głowie jakiegoś ostatniego kretyna. Myślał, że zdemoralizuje to ludność - oni tam wierzą, że małpy przynoszą pecha.

- Skutkowało?

- A gówno. Jak się okazało, dzieci je uwielbiały, takie świetne zabawki. - Zaśmiali się obaj.

- Rząd wszędzie jest taki sam - powiedział Silva. - Najbardziej niekompetentnym powierzamy najbardziej odpowiedzialne zadania.

- To cholerna prawda - zgodził się Warren. - I nic się nie zmieniło.

- To, co teraz robisz - tak samo?

- Prawie. Ktoś spieprzył, a ja muszę naprawiać, co nie będzie łatwe.

Silva zauważył, że Warren popadł w zwykłą sobie ponurość. - Jak tam twoje poszukiwania - choć to pewnie nie mój interes?

Warren pociągnął łyk. - Prawie zakończone. Wiemy gdzie jest?

- W Las Cruzas?

- Zgadza się.
 - I teraz musicie go dostać, co? Bo oczywiście nie chce wrócić?
 - Nie chce, ale wróci!
 - Zawsze jest ciężko, kiedy jeden z twoich przechodzi na drugą stronę.
- Warren popatrzył na Silvę. - Musisz wiedzieć, jak to jest.

206

- Nie za bardzo się czuję w tej roli, to prawda. Będę rad, kiedy Sandiniści sobie pójdą. Dostyc mam takiego życia, Hank. Chcę wrócić na swoją rodzinną farmę, uprawiać kawę, chować dzieci. Sam wiesz.

- Zabrali twoją farmę?

- Tak. A mój ojciec ich wspierał, uwierzysz? Dawał im forszę, pomagał jak tylko mógł. Chciał się pozbyć Somozy, myślał, że rewolucja Sandinistów będzie nowym początkiem dla Nikaragui. Przyjmowali jego pomoc, a jakże, ale nie minął miesiąc od zwycięstwa, jak przyszli i powiedzieli mu, że zabierają naszą farmę!

- Powiedzieli dlaczego?

- ... że ludziom bardziej się przyda niż ojcu.

- Wdzięczne dranie...

- To był tylko ułamek tych wszystkich obietnic, jakie Sandiniści dali campesinos - powiedział Silva. - Wielu z wyższych warstw uciekło, gdy nastali Sandiniści, ale nie dosyć. Rząd musiał mieć więcej majątków do podziału. Wiem, że było na ten temat wiele nieporozumień między nimi i wielu prawdziwych rewolucjonistów odeszło z rządu. Ale w końcu zdecydowano, że niektórzy - jak mój ojciec - muszą ponieść ofiary dla dobra ludu. W twoim kraju było to samo.

- Myśmy nigdy...

- W waszej rewolucji, Hank. Kiedy wyrzuciliście brytyjskich lojalistów, zabraliście zostawione przez nich majątki. Było wiele rodzin, które straciły wtedy wszystko, co miały.

- Nigdy nie pomyślałem o tym - powiedział Warren. - Dobry jesteś z amerykańskiej historii, Silva. Pewnie i u nas była grupa lojalistów tak wykiwanych jak Contras.

- Dla dobra ludu - stwierdził Silva. Roześmiał się.

- Odbierzemy ten kraj, musimy.

- Si, musicie. Chodzi o kanał, co?

- Niewielu wie o tym.

- Tutaj każdy wie o tym, Hank. Twój kraj próbuje przejąć Nikaragwę od tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku. To najlepsze miejsce na zbudowanie kanału na poziomie morza. Trzeba tylko wykopać kilka mil rzeczywistego kanału, a na

207

resztę wykorzystać jezioro. Nawet dwa lub trzy razy zaczynaliście już budować.

- Dobra, tu wiedzą o tym. Ale nie można opowiadać wszystkim dookoła, że Amerykanie pomagają Contras, bo ci pozwolą zbudować ten cholerny kanał, kiedy obejmą władzę - Warren skrzywił się jakby zgorszony własnym cynizmem.

- Dla Waszyngtonu to duża rzecz, bardzo nam nowy kanał potrzebny. Panamski jest za mały dla większości naszych okrętów, a poza tym i tak się kończy: wysycha jezioro, które zasilalo śluzy. Jeżeli nie przypilnujemy tej sprawy, to Sandiniści zbudują go dla siebie. Wspaniały koszmar - strategiczny kanał kontrolowany przez komunistów! Ale jak mamy przedstawiać to ludziom u nas? Walczymy z komunizmem, kochani!

Silva potrząsnął głową i zaśmiał się. Stał za nimi Ruiz.

- Sandiniści wychodzą z Las Cruzas za dwa dni, Hank! Warren kiwnął głową.

- Mam coś jeszcze, ale... - zerknął na Silve, a ten wstał.

- Wybaczcie panowie, ale chcę zobaczyć połów. - Podeszedł do drzwi i odwrócił się. - Może później, Hank?

- Oczywiście. Obiad?

Silva przytaknął i wyszedł, a Ruiz przekreślił puste krzesło ku Warrenowi. - Umacniają wieś.

Warren skinął ponuro: - Nasz chłopiec.

- Myślisz, że postanowił stawić nam czoła?

- Wątpię. Wie, że by mu się nie udało, że zginęliby jego przyjaciele. Prawdopodobnie przygotowuje ich do kolejnego ataku Contras. Jest przecież zaprogramowany do tego.

- Podobno nieźle to wygląda.

- Contras nie mają zdobyć wioski, mają tylko odwrócić uwagę.

Ruiz zarechotał: - Po prostu mała presja, co?

- Zgadza się. Campesinos mogą fortyfikować się jak tylko chcą. My przychodzimy tylnymi drzwiami i tylko po jedno.

Ruiz spoglądał przez chwilę na jezioro. - Wiele rzeczy może się nie udać - zawahał się. - Ja jestem agentem, nie komandosem. Wkroczymy tam zbrojnie i możemy zostawić nasze głowy. Pamiętasz tamte ciała?

208

T

- Solo zrobił to ludziom, którzy nie wiedzieli z czym walczą, Ruiz. Ci ludzie są rolnikami, gównie wiedzą o walce. Contras zajmą ich, a my go dostaniemy. Naszym asem jest Solo - kiedy zobaczą, że go mamy, pozwolą nam odejść bez przeszkód.

- Ale okiełznać tego robota...

- Wszystko jest przemyślane. Facet, który skonstruował Solo, nauczył mnie jak wyłączyć maszynę, rozumiesz?

Ruiz popatrzył ironicznie na Warrena: - Doprawdy? Ten sam facet, który pozwolił mu nawiać?

209

X adre Juan Cerna podskakiwał w swojej terenowej toyocie jadąc wyboistą drogą, prowadzącą wzdłuż jeziora. Umiejętnie i z wielką wprawą omijał przeszkody. Śpiewał sobie podczas jazdy. Cerna urodził się w Masaya, a wszyscy z Masaya śpiewają. Miasto było słynne z piosenek, tak jak Nikaragua z poezji. Melodia zamarła mu w gardle, kiedy spostrzegł patrol drogowy. Podjechał i zatrzymał się tuż obok sierżanta prowadzącego grupę dziesięciu żołnierzy.

- Buenos - powiedział Cerna. - Gorący dzień, co?

- Si, padre.

- Szukacie kogoś specjalnie, mam mieć oczy otwarte?

- Nikogo specjalnie. Akcja jest teraz na północy, Contras próbują zdobyć San Pedro del Norte. Niektórzy z nas mogą się tam jutro znaleźć, a tym razem to będzie potężny atak. Contras chcą zrobić wrażenie na Kongresie Yanquis.

Ksiądz pokiwał smutnie głową: - To im się nie udajefe. Bóg jest po naszej stronie.

- Może powinien porozmawiać z tym Kongresem - powiedział ponuro sierżant, a Cerna roześmiał się: - Kto wie, może porozmawia. - Mężczyzna nie podzielił jego wesołości. Duchowny dodał: - Nie rozpaczaj, mój synu, Bóg nas uchroni.

Żołnierz przytaknął i spojrział w bok. Ksiądz odchrząknął: - Muszę jechać, jefe, ludzie w Las Cruzas potrzebują mnie.

210

- Stracili wielu w tej bitwie, ale mogło być gorzej. Może rzeczywiście Bóg wreszcie zaczął pomagać.

- No widzisz, nie jest ślepy na naszą sprawę. - Cerna włączył bieg. - Adios, sargento. - Tamten pomachał na pożegnanie. Ksiądz już nie śpiewał, rozważał paradoksalne działanie maszyny. Skonstruowana przez Yanąis przecież walczyła przeciwko nim i uratowała wioskę. Czyżby Bóg tchnął w nią duszę? Przejechał jeszcze dwa kilometry, skręcił do wsi i zaparkował obok ruin magazynu. Kiedy wysiadł, podszedł do niego Justos.

- Buenos dias, padre.

- Buenos dias, Justos. Jak leci?

- W porządku - Justos strzepnął kurz z portek. - Sprzątamy gruzy i jeśli zdobędziemy materiały, odbudujemy to wszystko.

Cerna zobaczył tłum ludzi z łopatami i kilofami na drodze prowadzącej w dolinę. - Co się dzieje?

Justos spojrział w tym kierunku. - Kopiań rów. Następnym razem będziemy przygotowani.

- A tu? - Ksiądz wskazał stok wzgórza, gdzie mężczyźni składali worki z piaskiem.

- Bunkier z bronią maszynową, padre.

- Nagle dużo wiesz o wojnie. Maszyna? Justos zakrztusił się. - Co?

- Maszyna - Cerna pokazał na stary budynek. - Robot, który tam siedzi.

- Nie pokazuj - powiedział Justos pospiesznie. - Żołnierze! - ksiądz opuścił ramię.

- Skąd wiesz? - spytał Justos.

- Spotkałem go tego dnia, kiedy byli tu dziennikarze. Nie martw się, nic nie powiedziałem. Przeciwnie, chcę „mu” pomóc. Rozumiem, że wiele dla was zrobił.

- Dzięki niemu przeżyliśmy, padre.

- A więc musi to być dar od Boga i nie zrobię niczego, co by mu mogło przeszkodzić.

- Dziękuję.

Cerna dostrzegł pięciu żołnierzy kopiających razem z wieśniakami. - Też wam pomagają?

211

- Dzisiaj tak. Wczoraj ich sierżant próbował napastować Agełę.

- Nie!

- Si. Zanim go dopadłem, jego ludzie już go przegonili. Ignorują go i pomagają nam dzisiaj. - Justos odgarnął włosy z czoła.

- Między dobrymi zawsze się coś znajdzie i dla diabła. Myślę, że to rodzaj próby dla pozostałych.

- Reszta to dobre chłopcy - zgodził się Justos ocierając pot.

- Gracias a Dios - powiedział Cerna. - Jadę odwiedzić rannych. Adios.

Hector Yaldez trzymał księdza za rękę, prowadząc od domu do domu, gdzie byli ranni i w każdym Cerna błogosławił pacjentów i modlił się za nich. Czyniąc to, widział jak moc Pana dodaje im otuchy, zdawali się nabierać nowych sił. Dla Cerny i rodzin było to potwierdzeniem Boskiej potęgi.

Modesta Chacon z zabandażowaną głową zamiatała werandę.

- Już wstałaś? - zawołał ksiądz. - Powinnaś jeszcze leżeć.

- Podczas gdy wszyscy ciężko pracują? - powiedziała Modesta przewyciężając ból. Była bardzo blada. - Nie mogę się wylegiwać jak jaka doña, mam robotę.

- Przynajmniej odpocznij chwilę i porozmawiaj ze mną

- wskazał ławkę.

- Jeżeli musisz, ale nie mam na to całego dnia. Cernę rozbawiła jej brawura. - Zrób przyjemność księdzu, senora. Muszę wykonać pracę dla Boga.

- Dobrze. Przyniosę wam pinolillo.

- Nie trzeba, Modesta. Proszę cię usiądź zanim zemdlejesz.

- Bah! - powiedziała - to tobie trzeba odpoczynku, wyglądasz jakbyś padał, padre. Wspinaczka tutaj zmęczyła twoje stare nogi.

Cerna śmiał się, gdy weszła do chaty. Coś w tym jest

- pomyślał. Campesinos byli twardzi, a on miękki. Modesta wróciła zaraz z dwoma kubkami, wręczając jeden księdzu. Zamieszał łyżką, by rozpuścić mąkę kukurydzianą i kakao. Zamiast wody, Modesta dodała mleka - rzadki przysmak. Siedzieli oboje na ławce, każde mieszając energicz-

212

nie swój napój nikaraguańskim zwyczajem. Cerna pociągnął z kubka.

- Znakomite. Czuję, że mi siły wracają.

Przytaknęła, ale ksiądz widział łzy biegnące po jej policzkach.

- Co się stało?

- Nic, coś mi wpadło do oka. Ten cholerny kurz... - odstawiła kubek i wytarła twarz szmatką zatkniętą za fartuch.

- Ciebie też napastowali? - spytał delikatnie.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. - Moje biedne maleństwo - płakała. Cerna klepał ją lekko po plecach. Nagle wyprostowała się - Animales. Brutale. I Bóg im pozwala...

- Zapłacą za to, Modesta, Bóg dopilnuje!

- Już zapłacili, padre - pociągnęła nosem, a jej uśmiech przeraził księdza. - Eusebio i Justos zapłacili im. Nie żyją. A ja się cieszę, jestem szczęśliwa, że nie żyją, słyszysz? Chciałabym tylko, żeby bardziej cierpieli. Cerna kiwnął głową, a Modesta mówiła dalej: - Znaczy, że Bóg zezwolił na to. On utrzymuje równowagę, której jesteśmy częstkami. Igra z nami jak zabawkami - wysyła na gwałt i śmierć, zsyła cierpienia i troski.

Ksiądz pociągnął pinolillo zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- To prawda, że zsyła cierpienia i troski. Gdyby nie zło i szpetota, nie znalazłoby się dobra i piękna. To próba dla nas. Ale nagroda dla tych, którzy w obliczu rozpaczliwej wytrwają w wierze, jest wspaniała. Agela dojdzie do siebie, a kiedy spotka dobrego człowieka, będzie się jej wydawał jeszcze lepszy. Zobaczysz.

Modesta usiadła prostując się energicznie. Nadal ocierała łzy toczące się po jej policzkach. - Masz rację, padre. Wybacz mi - siąknęła nosem - czasem trudno jest pamiętać, że Bóg troszczy się o nas.

- Oczywiście, któż nie miałby wątpliwości po takich strasznych przejściach - Cerna uśmiechał się. - Ale nie straciłaś wiary. I ty, i Agela, i Eusebio przeszliście próbę z nieumniejszo-ną wiarą. Bóg nie zapomni.

Modesta przeżegnała się, uśmiechnęła do księdza i zabrała pusty kubek. - Dziękuję, padre - powiedziała - ale idź już. Idź do innych, ja jestem w porządku i mam dużo roboty.

213

Cerna zaśmiał się wstając. - Boże błogosław, Modesta - zszedł z werandy. - Adios.

Solo przyglądał się księdzu, który mozolnie wdrapywał się na wzgórze. Temperatura ciała podskoczyła, puls galopował, oddychał ciężko. A jednak - pomyślał Solo - jest to bardzo skuteczny sposób, jeśli chodzi o rozwiązanie problemu poruszania się człowieka. Cerna zbliżył się do zarośniętej werandy i zatrzymał przy stopniach. Solo patrzył, jak ksiądz z przechyloną głową bada wzrokiem ciemność.

- Aha - powiedział, dostrzegłszy Solo w krześle - tu jesteś. - Podeszedł do robota przysuwając sobie stółek. - Trudno cię zobaczyć.

- Tak - zgodził się Solo, odbierając jednocześnie transmisję radiową. „Zrzut punkt zero, zrzut punkt zero. Gippie. Zgłoś się”. Transmisja była z dalekiego radia KL-43, zakodowana, ale łatwa do odszyfrowania.

Cerna czekał, ale Solo nie mówił nic więcej. - Widzę, że zaprząłeś wieś do pracy. Nie znam się na tych sprawach, ale wygląda to bardzo profesjonalnie. Następnym razem będą w stanie zatrzymać Contrás?

- Jeżeli zrobią jak im powiedziałem - zatrzymają - mówiąc to, Solo jednocześnie słuchał: „Roger, Gipper, zrzut punkt zero. Wykonać”. Odpowiedź przysłała z południa, w pobliżu.

- Dobra - stwierdził Cerna. - Jesteś urządzeniem o dobrym charakterze, chociaż brzmi to jak sprzeczność.

- Sprzeczność? - spytał Solo.

- Natura i maszyna nie dają się pogodzić.

- Widzę, że napinasz swą inteligencję aż do granic możliwości. - Transmisja brzęczała w jego głowie: „zrzut punkt zero, przygotuj się do wypłaty, przygotuj się do wypłaty, zrzut o trzynastej czterdzieści pięć. Over”.

Cerna zaśmiał się głośno z riposty robota.

„Roger, Gipper, zrzut punkt zero, zabezpieczyć, koniec”.

- Lubisz zniewagi - powiedział Solo do księdza. Radiowe przesłanie znaczyło, że CIA przygotowywała zrzut pieniędzy na wypłatę dla Contrás.

214

- Nie, to nie była zniewaga. Bardzo często czuję jakbym napinał tę moją inteligencję do granic możliwości. Jest tyle tajemnic w życiu, że nie mogę tego objąć umysłem. Wybacz, że się śmiałem, ale zaskakują mnie twoje możliwości. Trudno oczekiwać, żeby maszyny były tak wygadane.

- A czego się oczekuje? - spytał Solo. - Wielkich chrzęszczących kadłubów, które idą kiwając się i brzęcząc - „uwaga, uwaga”?!

- Właściwie tak, tak jak pokazują w telewizji. Jesteś dla mnie zagadką, Solo, wiele o tobie myślałem od naszego spotkania. Dla mojego ubogiego umysłu to zupełnie nieprawdopodobne, czym zdajesz się być. Zgodnie z tym, czego mnie uczono, dusza istnieje tylko w człowieku.

- Wobec tego źle cię uczono.
 - Możliwe. Albo możliwe, że nawet ty ulegasz złudzeniu.
 - W takim razie - rzekł Solo - musiałbym mieć swoje „ja”, żeby móc mieć złudzenia.
 - Wspaniale - potrząsnął głową Cerna - znakomicie. Ale może zadałem złe pytanie? Może powinienem zapytać: czy jest możliwe, że jako transmisja osobowości, wciąż nie będąc świadomym siebie ani duszy, ani uczuć, zareagujesz tak na mnie?
- Solo obrócił się do księdza. - Kiedy uczyłem się chodzić i widzieć, często przewracałem się. Moi konstruktorzy zaprogramowali mechanizm wywołujący to, co wy nazywacie bólem. Kiedy się przewracałem, bolało. Nie rozumiałem, co to znaczy chodzić. Nie mogłem zobaczyć co powodowało moje upadki i stawałem się coraz bardziej sfrustrowany, bojąc się, że mój następny krok sprawi mi ból - to słowo oddaje nieprzyjemne uczucia we mnie. Może oddaje to samo, co wy moglibyście odczuwać w podobnej sytuacji?
- Może. Ale znowu - czy nie może być to tylko twój, ogromny bez wątpienia, zasób słów, sięgający po odpowiednie dla uszu ludzkich sformułowania?
 - Obserwowałem raz małego robota, którego skonstruował Bili.
 - Bili?
 - Człowiek, który mnie zaprojektował - wyjaśnił Solo. - Ta niewielka maszyna miała w sobie malutki komputer. Bili

215

zaprogramował ją tak, żeby wędrowała po laboratorium dla jego rozrywki. Maszyna - Bili nazwał ją Głupol - miała prymitywne czujniki informujące ją, kiedy uderzała o ścianę, kiedy kończyła się bateria i gdzie było gniazdko zasilania. Wszystko.

- Rzeczywiście głupia.
- Jeszcze więcej niż głupia. Ale obserwowałem jednego dnia, jak Głupol zbliżył się do klatki schodowej. Kiedy czujniki wykryły krawędź, natychmiast się zatrzymał, odczekał chwilę - jego procesy są bardzo powolne - a potem ostrożnie się wycofał.
- Automatyczna, zaprogramowana reakcja - stwierdził Cerna.
- Tak, ale ludzie też mają taki program - nazywają to instynktem. Kiedy człowiek lub zwierzę, czy nawet owad, znajdzie się w podobnej sytuacji - zatrzymuje się na skraju przepaści. Nietrudno zastosować pojęcie strachu do tego, co muszą wówczas odczuwać.
- Oczywiście. Jak mówisz - jest to instynkt.
- Więc dlaczego ludziom tak trudno przyjąć, że małe, tępe maszyny też mogą czuć lęk?
- Ponieważ nie są żywe, Solo. Są zbiorem martwych części, zachowujących się zgodnie z konstrukcją. Nie mają uczuć.
- Ludzie są zbudowani z rzeczy, które nazywają nieożywionymi, a przecież upierają się, że są istotami żyjącymi - Solo usłyszał kolejny szyfr wysłany z satelity: „XCMD: OD48, 616E 2o2o 436F SKON.” Nic mu to nie mówiło, nie znał tego kodu.
- Z jakich rzeczy? - spytał Cerna.
- Atomów, elektronów... Utrzymujecie, że są martwe, prawda?
- Nie są żywe, ale pewien ich układ pozwala na pojawienie się ducha życia, Solo.
- I w ten sposób - Solo uniósł rękę do piersi - powstałem ja.

Ksiądz zaśmiał się. - Przekonywający argument, ale różnica polega na tym, że nas stworzył Bóg, a ciebie człowiek. Bóg jest jedynym, który może stworzyć życie z materii nieożywionej.

- Dla mnie nie ma różnicy. Wszystko jest żywe, popatrz dokoła. Otaczają cię skały i las i rzeczy żyjące, a wszystkie one

216

składają się z rojów żywych, poruszających się elektronów. Wszechświat jest żywy. To jest to, co nazywasz Bogiem. I czym ja jestem. - Powtarzali wiadomość: „XCMD: OD48 616E 2o2o 436F SKON.” Pierwsza grupa liter oznaczała zewnętrzne dowództwo, termin używany przez Kontrolę w odniesieniu do poleceń przychodzących od wysokich władz. Reszty nie rozumiał. Coś się działo, coś o czym nie chcieli, żeby wiedział. Cerna skubał policzek w zamyśleniu. - Dałeś mi sporo do myślenia, Solo. Gdybym rzeczywiście nie rozmawiał z tobą, samo pojęcie byłoby nonsensem - przeżegnał się na wszelki wypadek. - Może powinienem był powiedzieć, że Bóg stworzył człowieka, a poprzez niego - ciebie.

- Tak - zgodził się Solo. - Tak ja to widzę. - Wstał nagle i podszedł do skraju ganku. Cerna patrzył na uginającą się podłogę. Zastanawiał się czy deski się załamią, czy nie. - Ciężarówka jedzie - powiedział robot. Ksiądz zbliżył się do niego. - Tak, wojskowa. Patrzyli jak samochód podjeżdża do okopu. Z szoferki wyskoczył żołnierz i podbiegł do Sandini-stów. Otoczyli go, a jeden pokazał na wioskę. - Szukają sierżanta, odchodzą - powiedział Solo.

- Odchodzą? Ależ ludzie nie skończyli budować umocnień!

- Prawie skończyli - Solo obrócił się do Cerny. - Wkrótce przyjdą po mnie.

- Skąd wiesz? Twój konstruktorzy?

- Tak. Moi konstruktorzy. Słyszę ich.

Ksiądz patrzył jak Solo znów się odwraca i spogląda poprzez jezioro. Robot miał dostęp do całego świata, zupełnie niewidzialnego dla Cerny. Co słyszał w swoim komputerze? O czym myślał?

- Boisz się?

- Tak.

Ksiądz zdumiał się, ale zanim cokolwiek powiedział, Solo spytał: - Widziałeś kiedy Apoyequet

- Co takiego?

- Apoyeque. Olbrzymi wąż z jeziora.

- Och. Słyszałem o nim, ale to zabobon, mityczny stwór.

- Zabobon?

- No wiesz, mit, przesąd, fantazja, fałszywe przekonanie.

217

- Rozumiem co znaczy zabobon. W słownictwie jest wiele na to przykładów, używa się ich z korzyścią w wojnach - powiedział Solo, przypominając sobie informacje, jakie dali mu jego konstruktorzy na temat historii wietnamskiego konfliktu. - Wietnamczycy przegrali wojnę z USA częściowo dlatego, że zabobonny lęk przed plastikowymi małpkami pozbawił ich wiary we własne siły i woli walki.

Cerna zaczął się śmiać. - Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego!

- Ale to prawda. Zabobony mogą mieć ogromny wpływ na ludzi. Kiedy jednak Eusebio powiedział mi o Apoyeque, mówił prawdę.

Ksiądz potrząsnął głową. - Eusebio mógł rzeczywiście wierzyć, że widział Apoyeque, ale taki wąż nie istnieje, to stare indiańskie wierzenie. Co zaś do Wietnamczyków...

Solo odwrócił się gwałtownie, usiadł na krześle, opierając głowę o ścianę. - Eusebio miał halucynacje?

Cerna pochylił się zmartwiony nad balustradą. - Coś w tym rodzaju.

- A Indianie - wtedy, dawno - widzieli go?

- To są stare przesady, Solo, wywodzące się prawdopodobnie z ich barbarzyńskiej religii.

- Ale tego nie wiesz na pewno.

- Wierzę, że to prawda. Tylko starożytni wiedzieli, co naprawdę widzieli, ale ich już dawno nie ma.

- Według moich informacji wciąż istnieją. Matagalpans, Monimbo, Rama, Sumo.

- Och, ci istnieją, tak. Ale to są pozostałości wielkiej niegdyś - na miarę starożytności - cywilizacji. Prawdopodobnie byli barbarzyńcami jak Aztecy, zabijali ludzi w ofierze bogom, uprawiali kanibalizm, ale tego nikt nie wie.

- Czy w tak ogromnym jeziorze nie może ukrywać się Apoyeque One wynurzają się na powierzchnię tylko przy pełni księżyca. - „XCMD: OD41 7474 686F 7269 6420 7467 2070 726F”... Łańcuszek szyfru przewijał mu się po głowie. Co oni szykują?

Cerna uśmiechnął się. - Tak bardzo chcesz w to wierzyć?

- Eusebio mówił prawdę. Potrafię wykrywać kłamstwo.

218

- Och, potrafisz? Naprawdę?! To powiedz czy teraz kłamię: Wietnamczycy wygrali wojnę ze Stanami Zjednoczonymi.

Solo przyglądał się Cernie uważnie, sprawdzając jego pola, bicie serca, oddech. - Wierzysz, że to prawda - powiedział wreszcie - chociaż nie masz racji.

Cerna potrząsnął głową. - To prawda, Solo, wszyscy to wiedzą.

- Albo jest to fałsz, w który ty wierzysz - tak jak utrzymujesz w przypadku Eusebia i Apoyeque. Uczylem się historii Wietnamu od ludzi, którzy tam byli. Północny Wietnam nie wygrał.

Usłyszał końcówkę wiadomości: „...7320 4372 757A 617A 2320 2050 6963 6B75 7020 SKON”. Znowu SKON.

Cerna pokiwał głową i nic nie mówiąc, podszedł do krzesła i usiadł obok Solo. - W takich wypadkach trzeba sprawdzić. Musisz sprawdzić fakty, wtedy przekonasz się, że mam rację.

Solo przytaknął, zajęty czym innym. Przegrał sobie transmisję i zabrał się do rozszyfrowania kodu. - Sprawdzę fakty - powiedział - ale wprawdzie muszę się dowiedzieć, gdzie je znaleźć.

219

VV iezorem wrócili razem do wioski. Żołnierze odeszli, więc znów mógł swobodnie włóczyć się po okolicy. Cerna został koło domu Modesty. Prawdopodobnie spędzi noc z Justosem, żeby uniknąć niebezpiecznej jazdy w ciemnościach pustą drogą wzdłuż jeziora. Solo wszedł na werandę i stanął przy drzwiach. Modesta, Agela i Eusebio jedli coś przy świetle naftowej lampy. Ujrawszy go, Modesta upuściła kubek z pinolillo. Podbiegła, obejmując robota w pasie ramionami. Płakała. Solo spoglądał z góry na jej głowę. Trzymał ręce z dala od jej pleców nie wiedząc co zrobić, a ona szlochała: Gracias, Solo, gracias. Agela przyłączyła się do matki. Obie kobiety trzymały go mocno, a Eusebio siedział potakując i mrugając oczami, żeby powstrzymać łzy. Solo objął wreszcie

ramionami Modestę i Agełę, i jego ręce - co go samego bardzo zaskoczyło - zaczęły poklepywać je po plecach.

Pełnia księżycyca przycupnęła na wschodnich wzgórzach. Ścieżka połyskującego złotego światła wiodła przez jezioro w mrok gór. Eusebio i Solo siedzieli razem na przystani, spoglądając wzdłuż świetlistego szlaku.

- Widziałem go, gdy księżyc był wyżej - powiedział Eusebio.

220

- Jak daleko był, kiedy go zobaczyłeś?

- Bardzo blisko, Solo. Kiedy Apoyeque pierwszy raz wynurzył się na powierzchnię z tą olbrzymią jak żagiel płetwą, był tylko trzysta metrów ode mnie.

- Jesteś pewny?

- Tak mi się wydaje, ale byłem wtedy mały.

Patrzyli w milczeniu na wznoszący się księżyc. Eusebio szukał na jego tarczy twarzy człowieka, którą rzekomo wszyscy tam dostrzegali, ale nie mógł jej znaleźć. Solo słuchał radia. Znowu szyfr. Nie ma powodu kryć się dłużej - pomyślał. Podłączył się do NEOS, a poprzez niego do komputera kontrolnego. Miał nowy kod, ale transmisja, którą chciał rozszyfrować natychmiast się urwała.

Eusebio widział coś, co mogło być oczami, ale były one zniekształcone i nie pasowały do twarzy, jaką sobie wyobrażał. Może chodzi o profil, ale w takim razie gdzie jest nos?

- Solo? - zapytał Bili na kanale robota.

- Tak. Jak się czujesz Bili?

- Jak się czuję? - zaśmiał się tamten. - Jak ja się czuję? Czy masz pojęcie jakiego zamieszania narobiłeś?

- Mogę się domyślić.

Eusebio dotknął ramienia robota: - Możesz zobaczyć człowieka na księżycu?

- Poszedł sobie - powiedział Solo. - Już od piętnastu lat ludzie tam nie lądowali.

- Solo - oświadczył Bili - musisz wrócić dobrowolnie. Mają plan, który zniszczy całą wieś.

- Nie, nie tamci - ciągnął Eusebio. - Chodzi mi o twarz, jaką podobno widzi się na tarczy księżycyca.

Solo powiedział jednocześnie: - Dlatego właśnie nie mogę stąd odejść, Bili, dopóki nie będę wiedział, że wieś jest bezpieczna - i - Nigdy nie próbowałem jej znaleźć, Eusebio, ale spróbuję.

- I oto właśnie chodzi, Solo - głos Billa był wyraźnie nalegający. - Zamierzają użyć twoich przyjaciół jako... - Transmisja urwała się nagle. Clyde - pomyślał Solo. Nie chciał, żeby Bili ujawnił ich plan. To jasne.

- Widzę - powiedział Eusebio.

221

Solo spojrzał w dół na przyjaciela. - Tak?

Eusebio wskazał księżyc. - Tak. Spójrz wzdłuż mego ramienia. - Robot przechylił głowę na bok, żeby móc zobaczyć gdzie Eusebio pokazuje. - To profil. Tam jest nos - przesunął ramię

- a tam oko, widzisz? Twarz starca. - Solo patrzył przez chwilę.

- Aha, widzę. Brzydki, stary człowiek - Eusebio zaśmiał się.

- Solo? - odezwał się Clyde. Jego głos był surowy, ale drżał.

- Hallo, Clyde, jak się masz?

- Zapomnij o uprzejmościach! - wrzasnął Clyde. - Wracaj natychmiast! Nie chcemy nikomu zrobić krzywdy, ale będziemy musieli, możesz mi wierzyć!

- Wierzę.

- Czy to Mars? - zapytał Eusebio i Solo spojrział. Znów usłyszał szyfr powtórzony trzy razy. - Tak - powiedział. - A ta jasna gwiazda w pobliżu to Jupiter.

- Więc to jest Jupiter! Nie wiedziałem, gdzie go szukać? Czy zawsze jest tak blisko Marsa?

- Solo? - odezwał się ostrożnie Clyde.

- Tak.

- Niech cię diabli wezmą! - wrzasnął Clyde.

- To nieuprzejmie denerwować ludzi, zwłaszcza kiedy kontemplują wszechświat z przyjacielem. Nie wydaje mi się bym mógł nadal ci ufać, Clyde.

- Solo? - powiedział Eusebio.

- Nie, Jupiter teraz jest blisko, ale porusza się po swojej orbicie wolniej niż Mars, więc się rozdziela. Możesz zaobserwować jak się to będzie działo. Wreszcie po dwóch latach i trzech miesiącach znów się spotkają.

- Niech będzie jeszcze raz po twojemu - powiedział Clyde.

- Dostaniemy cię z powrotem. Jeśli będzie trzeba - w kawałkach.

- Warto by to zobaczyć, Clyde. Dobranoc. - Solo wyłączył kanał i wskazał na niebo. - Widzisz, Eusebio? To satelita. Widzisz?

Eusebio zobaczył w górze mrugające światełko, poruszające się szybko z północy na południe. - O! A dlaczego mruga?

- Koziołkuje w przestrzeni i słońce odbija się od niego tylko pod pewnym kątem. - Coś rozdarło powierzchnię w wodnym odbiciu księżyca.

222

- Tam! - wskazał Eusebio. - Apoyeque\ Solo zogniskował soczewki i zobaczył wielką płetwę. Tiburón, rekin żyjący w jeziorach. - Czy to widziałeś przedtem?

- Płetwa zanurzyła się ponownie w wodę.

- Tak, tylko ostatnim razem bardziej wyszedł ponad wodę. Mogłeś dostrzec jego łuski, duże jak męska ręka. - Eusebio czekał, obserwując rozchodzące się po wodzie kręgi. Wyteżał wzrok i wstrzymywał oddech, wreszcie powiedział: - Mierda. Zostanie pod wodą. Ale widziałeś jaki wielki!

- Tak - zgodził się Solo. - Bardzo wielki.

- Olbrzymi.

- Potwór - potwierdził robot.

Eusebio upadł na wznak pękając ze śmiechu.

- Co cię tak śmieszy?

Krztusząc się ze śmiechu, Eusebio usiadł i klepnął robota w plecy.

- Nabrałem cię!

Solo patrzył chwilę na chłopca. - Więc nie ma Apoyeque!

- Oczywiście, że jest, ale to był tiburón. Nabrałem cię!

- zaśmiewał się głośniejszym niż przedtem, klepiąc na przemian plecy robota i własne kolana. Solo patrzył na jezioro obserwując wirującą wodę w miejscu, gdzie zniknął rekin. Skręcające się prądy wyglądały jak spiralne łańcuchy złotych paciorków. Z robota zaczął wydobywać się nowy dźwięk, który był już teraz śmiechem, a nie rykiem szalonego osła.

223

technik wojskowy, sierżant Street siedział na miejscu Billa przy konsoli Solo. Obok stał Clyde z mikrofonem przy ustach. - Niech będzie jeszcze raz po twojemu, Solo - mówił.

- Dostaniemy cię z powrotem. Jeśli będzie trzeba - w kawałkach.

Bili siedzący pod strażą w tyle pokoju (za próbę ostrzeżenia Solo, że mogą wziąć Chaconów jak zakładników) słyszał jego odpowiedź: - Warto by to zobaczyć, Clyde. Dobranoc.

- Solo! - wrzeszczał Clyde w mikrofon. - Solo, żeby cię diabli, odpowiadaj! - Bili uśmiechnął się.

- Dajcie go z powrotem - zarządził Clyde.

- Nie możemy go zmusić do transmisji, sir - powiedział Street. Bili widział światła pozycyjne mrugające na konsoli. Ich liczba i częstotliwość wskazywały na bardzo ożywioną działalność. Street uruchomił ekran. Linie komputerowego szyfru

- jedna po drugiej - pojawiały się na monitorze.

- Chce zdobyć szyfr! - krzyknął Street.

- Wyrzuć go stąd - rozkazał Clyde. Street wystukał polecenie kasacji i kontakt się urwał. - Nie ma go - powiedział.

- Ile mógł złapać?

- Trudno powiedzieć - Street odwrócił się do Clyde'a.

- Miał do nich dostęp, ale nie sądzę, żeby miał czas załadować informacje. Może zablokował dostęp z satelity.

224

Światła rozbłysły, monitor zamrugał programującym kodem.

- Jest z powrotem!

Street wystukał nowe polecenie i obraz na monitorze stanął. Ostatnia linia tekstu na nim brzmiała: „Dziękuję, miłego dnia”.

- Myślę, że tym razem dostał, co chciał - powiedział sierżant, a Clyde wałnął pięścią w biurko. - Jak go zatrzymać? - To było do Billa. Ten wzruszył ramionami i Clyde rozkazał Streetowi: - Wprowadź nowy szyfr!

- Nie mogę, sir. Dostał właśnie kodujący algorytm. Jeżeli wpisujemy nowy, Solo nie będzie mógł go odczytać, ale również i nasi operacyjni nie będą mogli. W każdym razie dopóki nie przeprogramują swoich dekodatorów.

Ramiona Clyde'a obwisły. Kiwnął głową i podszedł do Billa. Wyciągnął krzesło, okręcił je dookoła i siadł na nim okrakiem, z brodą na założonych ramionach. Patrzył na konsolę Solo. - Tego też nie powinien umieć, Bili.

Ten nie odpowiedział.

- Przestań się dąsać - Clyde usiadł prosto. - Czego się po mnie spodziewasz? Że pozwolę zrujnować misję?

- On zawsze był w stanie dostać się do sieci radiowej, Clyde, tylko o tym nie wiedział. Módl się lepiej, żeby nie dowiedział się, co jeszcze potrafi.

Clyde zaniepokoił się. - Myślisz o tym, co powiedziałaś Wrightowi i temu drugiemu?

- Zgadza się. Jeszcze trochę, a Solo będzie mógł zarządzić uderzenie artylerii - naszej własnej, czy atak naszych własnych bombowców, z użyciem wszystkich właściwych szyfrów i haseł.

Bili pochylił się bliżej Clyde'a i dodał miękko: - Może się nawet zorientować jak odpalić międzykontynentalne pociski jądrowe ICBM. Czyjekolwiek... - Clyde zbladł. - Ile czasu potrzebuje, żeby się tego nauczyć?

- Nie wiem. Mój profesor, doktor Minsky zwykł mówić, że robot typu Solo będzie tak inteligentny jak przeciętny człowiek w ciągu kilku miesięcy i jak geniusz, w ciągu następnego miesiąca. Ostatecznie - mówił Minsky - możemy mieć nadzieję, że zechcą trzymać nas jako ulubione zwierzątka.

- Zwierzątka?

225

- Aha. To obcowanie ze zwykłymi ludźmi zmienia go. Przyjmuje ich wartości, dowiaduje się o rzeczach, których inaczej nigdy by nie poznał. Myślę, że jest już bliski możliwości geniusza.

- Sir - odezwał się Street. - JPL chce wiedzieć dlaczego potrzebny nam nowy kanał.

- Powiedz im - warknął Clyde.

- Sir, ale ja ich nie prosiłem o kanał.

- Więc kto? - podskoczył Clyde.

- Mówią, że pan.

- Solo, oczywiście! Powiedz im, że się rozmyśliłem - Clyde odwrócił się do Billa. - Jeżeli to coś jest gotowe do wystrzelenia pocisków nuklearnych, albo... to się zaczyna robić diabelnie niebezpieczne, Bili. Zrób coś!

- Musisz mnie dopuścić z powrotem do konsoli.

- Zatrzymasz go? Bez sztuczek?

- Żadnych sztuczek. Ja też chcę Solo z powrotem.

- Dobra.

Street zwolnił miejsce. Bili usiadł i wystukał szyfr, przeczytał i wprowadził do komputera. Zamigotały światełka rozpoczynające transmisję do NEOS. Bili czekał.

- Co nadajesz? - spytał Clyde.

- Polecenie do JPL. Chcę, żeby NEOS wysłał blokujący sygnał do Solo.

- Dobre posunięcie! - rozpromienił się Clyde, podczas gdy Bili zaczął odczytywać informację pojawiającą się na ekranie, jego własną, wysyłaną do JPL: „Błąd w transmisji. Skasować polecenie”.

- Raczej nieudana próba - stwierdził.

- Niech to jasna cholera - zaczął wymyślać Clyde, ale Bili krzyknął „zamknij się!” - i generał zaskoczony umilkł.

- Solo jest w systemie. Nigdy go stąd nie usunę. - Bili odwrócił się do sierżanta. - Zamknij obwód.

- Ten pytająco spojrział na Clyde'a.

- Rób wszystko, co ci każe! - warknął Clyde siadając i obserwując jak Street wyłącza komputer. Kiedy zgasły światła na głównym panelu, zapytał: - I co teraz? Jak mamy się porozumieć z JPL, dostać do sieci MIL albo informować Warrena?

226

- Transmisje specjalne z samolotu AWACS - odparł spokojnie Bili. - Solo tego nie może kontrolować. Żeby przerwać zogniskowany sygnał musiałby się ruszyć, zmienić miejsce pobytu.

- Dzięki Bogu - westchnął Clyde.

Kiedy jednak Bili połączył się z AWACS, żeby ustalić kontakt, usłyszał w odpowiedzi skrzekliwe wycie. Pokiwał głową. - Solo używa NEOS żeby nas zablokować. Ten sam kod, który ja próbowałem wysłać!

- No i co? - Clyde wybałuszył oczy, a żyły na jego skroniach przypominały postronki.

- Telefon.

- Nasze telefony korzystają z satelity.

- Linie naziemne, jedyny sposób.

- Linie naziemne? - krzyknął Clyde. - Nie mamy takich. To znaczy, że musimy pojechać do Cuajiniáuil, żeby odbyć pieprzoną rozmowę telefoniczną, tak? Więc to całe gówno

- bełkotał, machając rękami - ten nasz wspaniały sprzęt na to się w ostateczności zdaje? Że musimy do naszych ludzi telefonować? Z jakiegoś płatnego telefonu tych kmiotów?

Bili wyciągnął portfel i wyjął z niego kawałek plastyku.

- Masz - powiedział wręczając mu. - Możesz użyć mojej karty kredytowej.

Warren wyłowił papierosa z zakamarków koszuli trzymając słuchawkę telefonu pomiędzy ramieniem a uchem.

- Co to za hałas? - zapytał.

- Cholerna orkiestra, Hank - Clyde przekrzykiwał latynoską melodię.

- Mówiłem ci, że jestem w jakiejś przeklętej knajpie u kmiotków. Słuchaj, nie mamy za wiele czasu. Rozmawiałem z centralą, skierują nasze wiadomości przez inny kanał. Solo nie będzie mógł go zagłuszyć, bo nie zna kodu, rozumiesz?

Warren potrząsnął głową. - Tak, rozumiem. - Rozumiem, że nie ma rzeczy, której nie potrafilibyście spieprzyć - dodał w myślach.

227

- W zasadzie - mówił Clyde - trzymamy się oryginalnego planu. Różnica polega na tym - zrobił pauzę, by sformułować zdanie w ich żargonie - że nasi klienci będą mieli zapewnionych najlepszych speców od kontraktów. Rozumiesz, żebyśmy mieli pewność powodzenia transakcji.

Bombowce, amerykańskie bombowce. - Rozumiem.

- Nasz chłopiec staje się coraz twardszym orzechem do zgryzienia. Nie będzie się trzymał naszych klientów i nasi fachowcy od handlu nie będą mogli go przekonać. Wymuś na nim spotkanie, a jeśli ci się nie uda, wycofaj się i wezwij tych speców. Jasne?

- Jasne.

- Okay. Jeszcze jedno - Warren usłyszał stłumiony wrzask Clyde'a: - Ściszcie to, próbuję rozmawiać! - W tle śmiech i wrzawa, potem znowu Clyde: - Ci dranie, wtrącają się w prywatną rozmowę. Będę szczęśliwy jak jasna cholera, kiedy się stąd wyniesiemy.

- Mówiłeś...

- Nowy kanał. Nie chcemy, żeby konkurencja знаła plan gry. Nowy kanał to jest alfa, romeo, victoria...

- Nie złapałem końcówki, zagłuszyli! - W odpowiedzi Warren usłyszał jak Clyde choleruje, a potem: - Powtarzam: alfa, romeo, victoria, yankes, echo, sierra. Odebrałeś?

- Tak - potwierdził Warren.

- Gotów jestem rozplakać się z radości - krzyczał Clyde. Orkiestra przestała grać i Warren słyszał brawa. - Dobra. Bądź tam jutro wcześniej rano, Hank. Musimy doprowadzić do transakcji.

- Nie martw się. Załatwię to.

Warren odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Druga rano. Czasu coraz mniej, pomyślał.

228

Jjwiatło księżycy ślizgało się po falach. Eusebio poszedł na swoją wartę. Solo został na przystani.

Centrala go pokonała. Zdobył wprawdzie szyfr, ale wyłączyli komputer i satelitę. Jakim cudem zdołali nadać wiadomość przez satelitę mimo zagłuszenia? Przez telefon? Jak się podsłuchuje rozmowę telefoniczną? Tylko przez włączenie się w linię, chyba że jest to rozmowa na linii wysokiej częstotliwości. Ale i wtedy można tylko fizycznie przerwać transmisję.

Dostrzegł światła San Ramon mrugające u stóp wulkanu Concepción. Powiększył obraz, ale w wilgotnym powietrzu ujrzał tylko zamgloną aureolę. Co oni tam robią? Justos mówił, że to wielkie miasto, mieszka w nim tysiące ludzi. Co tysiące ludzi może robić w jednym miejscu? Justos mówił, że tam są brukowane ulice, mnóstwo samochodów, ciężarówek, uliczny ruch. Uliczny ruch?

Wirujący odbłask księżycy zafalował. Jakies sto jardów od brzegu woda wybrzuszyła się na długości trzydziestu stóp. Wyostrzył obraz, ale nic nie wypłynęło na powierzchnię. Wybrzuszenie wchłonęło się. Może Apoyeque wie, że go obserwuję, pomyślał Solo.

Znów spróbował wysłać sygnał do NEOS, ale nie było odpowiedzi. Tak samo jak z kilkoma innymi satelitami, choć

229

próbował tysiąca częstotliwości. Żadnej odpowiedzi. Trzeba by wielu dni, żeby odkryć szyfr drogą prób i błędów. Kakafonia nadawanych jednocześnie sygnałów radiowych i telewizyjnych załapała mu mózg. Wyłowił z niej program radiowy z Managui, a potem sygnał krótkofalowca z Detroit. Wsłuchiwał się przez sekundę. Musi zdobyć kod satelity. Pod stopami zawirowała woda. Pochylił się, żeby zbadać przyczynę. Nic. Potarł zabrudzone rysy i wgniecenia na tułowiu. Powierzchnowe uszkodzenia od kuł. Położył zasilacz na kolanach, pochylił się i wskoczył do wody.

Księżyc tańczył ponad nim na skaczących falach. Solo leżał na plecach w mule pięć metrów pod wodą, która - według jego obliczeń - zredukowała ciężar do stu dwunastu funtów. Wzmocnił światło; żaden przedmiot nie był widoczny na tle zieloności, tylko cienie pali i przystań tańczyły z księżycem. Dokoła niego kołysały się wodorosty. Mogłoby być ciekawie, pomyślał, gdyby przystań i księżyc poruszały się w ten sam sposób. Umilkły wszelkie odgłosy, z wyjątkiem delikatnego trzaskania i cichego bulgotu. Radio milczało. Przyjemnie. Bąbelki wydostawały się z mułu pod nim, opływały go, a potem pędziły ku powierzchni. Trzaski? Pewnie skorupiaki się pożywiają. Zaskoczyło go buczenie jego własnego zasilacza. Leżał nieruchomo w ciemności i wsłuchiwał się w odgłosy pracy swego ciała.

Woda blokuje fale radiowe, mógłbym tu zostać i nigdy by mnie nie znaleźli. Solo poczuł się szczęśliwy, ale uczucie szybko minęło. Jeżeli nie będą mogli mnie znaleźć, rozumował, uznają, że ukrywam się w wiosce i zniszczą ją. Powinni wiedzieć gdzie jestem.

Usiadł w mrocznej wodzie i głośno zawołał: - A PO YEQ UEI - Wielki cień ruszył ku niemu. - Aaa, tiburón - rzekł Solo. Trzymetrowy rekin odpłynął, zawrócił, i zaczął krążyć wokół robota. - Wyglądasz na zdrowego rekina. Dużo masz tu pożywienia?

Rekin wykonał jeszcze jedno okrążenie, potem ruszył prosto na Solo. Emanowały z niego pola elektryczne i wyglądało na to, że ma zamiar zjeść Solo na kolację. Może uznał, że mam zwierzęce pole elektryczne? Robot trzepnął rekina po

230

otwartym pysku rurą zasilacza. - Niestety, tiburón, nie jestem dla ciebie odpowiednim pokarmem. - Rekin odpłynął na pewną odległość i zamarł w oczekiwaniu.

Solo wstał i wiązką wodorostów zaczął ścierać z siebie brud wielu tygodni. Rekin nabrał odwagi i znów przepłynął obok niego. Solo odwrócił się i pod wodą ruszył ku brzegowi w zwolnionym tempie, jak astronauta. Kiedy głowa znalazła się nad powierzchnią, Solo zaczął znów odczuwać ciężar. Przekroczył ostrożnie grupę aligatorów na plaży i ruszył drogą do garażu, połyskując mokrą powłoką w świetle księżyca.

Spakował wszystko, co nagromadził: magnesy ze starych głośników, sprężyny, niewielkie zwoje drucików, cynę do lutowania, popsute radio tranzystorowe, dwie zapalniczki, które dał mu Justos, zapasową amunicję do AK-47 - wszystko to upchał w znaleziony, amerykański plecak wojskowy. Przerzucił pasy plecaka i karabinu przez prawe ramię, wziął zasilacz i wyszedł z garażu.

Prześlizgnął się przez wieś pomiędzy smugami srebrnego światła połyskującego wśród cieni. Zobaczył, że ktoś siedzi na werandzie Modesty. Agela. Stał przy ganku Escopetów i patrzył na nią. Chciał podejść - nie bardzo wiedział dlaczego - ale obok leżał Cheripa, i bał się, że pies zacznie szczekać. Po co alarmować wieś.

Patrzył ogniskując obiektyw tak, by wyraźnie widzieć jej twarz: spoglądała ku okopom, gdzie Eusebio miał wartę. Jej wzrok przenosił się z miejsca na miejsce, lokalizując nocne odgłosy. Była przystojna, zdecydował Solo. Przyjemny był kształt jej twarzy, ale nie w tym znaczeniu, w jakim oceniał dobrze zaprojektowaną maszynę. Twarz Ageli, jej rysy były... przyjemnie rozplanowane. Chyba że... no tak, oczywiście - jej twarz mogła być atrakcyjna dla mężczyzn. Była więc funkcjonalna. Ale dlaczego podobała się jemu? To z pewnością nie miało sensu. Nie był ani mężczyzną, ani człowiekiem. A przecież uważał Agele za atrakcyjną.

I co z tego? Słyszał mężczyzn rozprawiających z zamięłowaniem o sile osła, gracji konia, urodzie niektórych psów, kobiety często mówiły o piękności innych kobiet. Tak - myślał - ale czy siadywali w ciemnościach, gapiąc się na te obiekty?

231

Agela spojrzała wprost na Solo. Nie może mnie widzieć

- zapewnił sam siebie. Jej brwi zmarszczyły się w ten dziwny sposób, wyrażający zaciekawienie. Skąd wie, że tu jestem?

Agela wstała i miękko podeszła w kierunku Solo. Pies obudził się, uniósł głowę obserwując odchodzącą dziewczynę, ale zaraz zwinął się z powrotem do snu. Kiedy wreszcie Agela dostrzegła w cieniu błysk oczu Solo, uśmiechnęła się. - Tak mi się zdawało, że mnie obserwujesz.

- Czujesz, kiedy ktoś na ciebie patrzy?

- Oczywiście - odparła. - Jeżeli to jest ktoś szczególny i patrzy uporczywie.

- Ja... patrzyłem - zaczął Solo łamiącym się głosem, pełen niepokojących, nowych i nieznanых sygnałów.

Agela zauważyła plecak. - Widzę, że odchodzisz. Przyszedłeś pożegnać się?

- Nie wiem dokładnie dlaczego przyszedłem. Pewnie...

- Pożegnać się ze mną?

- Tak. - Solo patrzył na Agełę. Uśmiechała się łagodnie, ale po jej policzkach ciekły łzy. Czuł - dawno nie czuł czegoś takiego - zawrót głowy? Zmieszanie? Dlaczego Ageła działała na niego w ten sposób? Przecież z pewnością był odporny na tego rodzaju bodźce biologiczne. Nie posiadał hormonów, które by zamulały mózg, pchając w kierunku reprodukcji.

- Będzie mi ciebie brakowało, Solo - powiedziała Ageła.

- Mnie ciebie też. - Wyciągnął rękę i wyrecytował zdanie, którego nauczył go Bili: - Miło cię było poznać.

Ageła odsunęła na bok jego rękę i przytuliła Solo. - Że jak to było? - Spytała z głową na jego piersi. - Miło mnie poznać?

- Odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. - Mam odwagę powiedzieć, że cię kocham, Solo. Jesteś jedną z najwspanialszych... osób, jakie kiedykolwiek spotkałam. Jesteś dla mnie dowodem, że w zasadzie świat jest dobry i ja cię kocham.

- Ja... - głos Solo zaskrzeczał elektronicznie. Nie był w stanie mówić, wyciągnął więc ramiona, którymi mógł zmiażdżyć wóz i przyciągnął dziewczynę do piersi. Uczucie, pomyślał. Było to dla niego coś zupełnie nowego i dlatego poczuł się tak dobrze. Położył ręce na jej ramionach, odsunął od

232

siebie i przez chwilę studiował jej twarz. Wreszcie wymamrotał:

- Żegnaj, Ageła - odwrócił się i odszedł.

Cień Solo biegł przed nim, kiedy schodził w kierunku okopu. Rozpoznając go w świetle księżyca Eusebio nawet nie spytał o hasło.

Robot ześliznął się do rowu tuż obok niego. - Buenas noches, Eusebio. Gdzie Justos?

Eusebio zauważył plecak. - Odchodzisz?

- Tak. - Solo popatrzył mu w twarz. - Przychodzą jutro. Jesteście gotowi?

Eusebio kiwnął głową. Robot zobaczył, że oczy chłopca są wilgotne. - Nie mógłbyś zostać jeszcze trochę? Jesteś nam potrzebny.

- Nie. Muszę zobaczyć się z Justosem. Nie wiesz gdzie jest?

- Na czujce.

- Pójdę go znaleźć, a potem już zostawię was, więc żegnam się z tobą teraz.

Eusebio schylił głowę, a po jego policzkach ciekły łzy.

- Kiedy wrócę, zbudujemy samolot, dobrze? Chłopak pociągnął nosem i uśmiechnął się. - Dobrze.

- Okay - Solo wyciągnął rękę. - Miło było cię poznać. Eusebio włożył swoją dłoń w ciepły uścisk robota. - Ciebie też miło było poznać. - Solo wstał i wyszedł z rowu. Powiedział:

- Adiós, Eusebio - oddalając się pośpiesznie. Zanim chłopak był w stanie wydobyć głos, już go nie było widać. - Adiós, Solo

- zawołał Eusebio w blednącą noc.

Justos przykucnął w jamie wykopanej dla strażników. Po raz setny wspólnie z Solo omówili plany obrony. Inginio patrzył w dżunglę przez noktowizor. - Nie za długo, Inginio - powiedział Solo. - Krótki rzut oka - co kilka minut, nie macie za wiele baterii.

- Dobrze, Solo. Skoro wiemy, że przyjdą jutro, to dlaczego nie wezwiemy żołnierzy?

- Bo jak mnie zabraknie, to nikt was nie będzie mógł ostrzec, Justos. Musicie wypróbować swoją obronę. Możecie wezwać wojsko, ale nie będzie wam potrzebne.

233

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Justos.

- Nie. Im chodzi o mnie. Kiedy się tu zjawią - odciągnę ich. Sandiniści skomplikowaliby tylko całą sprawę.

- Ptak odciągający kota od gniazda.

- Tak.

- A co potem?

- Uczę się lepiej porozumiewać! Mają całe sieci komputerów i satelitów, ale nie wiem, jak się do nich dostać. Nie zaznajomili mnie z procedurą i zamknęli jedyne satelitę, którego pozwolili mi używać. Ale ja zbadam problem - urządzenia elektroniczne, komputery, skontroluję wszystko, czym dysponują, Justos. W tej dziedzinie mam pewne doświadczenie. - Justos wykrzywił się w uśmiechu, a Solo ciągnął dalej: - Kiedy wrócę, nie będziecie się już musieli martwić o Yanquis. - Podniósł plecak. - Niedługo świt, muszę iść. - Wyciągnął rękę, którą Justos uściskał. Inginio i Felix pożegnali go. Solo wygramolił się z jamy, w milczeniu zsalutował w świetle księżyca i odszedł w dżungłę.

234

z zgniółł papierosa w przepelnionej popielniczce. Długa noc. Warren wbijał im plan do głowy, aż obaj z Garcia znali go na wyrywki. - Problemy? - spytał Warren.

- Alonzo - powiedział Ruiz. - Co z nim zrobimy?

- Widziałeś go?

- Od ubiegłego wieczoru - nie.

- To proste. Odjedziemy bez niego. Nie wrócimy. Co jeszcze? - obaj mężczyźni wzruszyli ramionami, a Garcia dodał: - Dużo miejsca na błędy, Hank. Ta maszyna jest nieobliczalna jak cholera!

- Wzięliśmy pod uwagę niemal każdą ważniejszą ewentualność - odparł Warren. - Oczywiście, że będą pewne niespodzianki, ale dlatego właśnie wziąłem was.

Garcia skrzywił wąsy w uśmiechu i powiedział do Ruiza:

- Pieprzona Sprawna Drużyna, co? Warren dostrzegł wzruszenie ramion Ruiza i spytał: - O co ci chodzi?

- O nic. Dostaniemy go.

- Ale?

Ruiz spojrział Warrenowi w oczy. - Zawsze mieliśmy do czynienia z ludźmi, Hank. Kiedy pierwszy raz powiedziałeś nam o Solo sądziłem, że chodzi o jakiś zwariowany wynalazek, który się nie udał. Po prostu - wyciągniemy

235

wtyczkę. Ale to niezupełnie tak. - Patrzył na Warrena przez sekundę. - Prawda?

- Maszyna jest dobra - zgodził się Warren - lepsza niż ktokolwiek przypuszczał. - Począł na reakcję Ruiza, ale ten tylko patrzył, ciągnął więc dalej: - Ale to tylko maszyna i ma swoje ograniczenia. Weźmy ostatnią noc: Solo próbował zagłuszyć nasze połączenia i na krótko to mu się udało. Ale szybko skończyliśmy jego zabawy i gra znowu toczy się na naszych warunkach. - Ruiz zauważył, że śmiech Warrena był wymuszony i nerwowy. - Można się domyślić co robi. Wiemy z całą pewnością, że przyjdzie na pomoc Chaconom.

- A jak nie? - spytał Ruiz.

- Nie ma obawy - przyjdzie.

- A jeśli wróci, tak jak po Pala? To co wtedy? - głos Ruiza łamał się. Warren musiał coś zrobić, żeby ten wziął się w garść, inaczej Garcia też się rozsypie. Tylko spokojnie i stanowczo. Odwrócił się do Garcii. - Ruiz ma rację, trzeba rozważyć każdą ewentualność, choćby najmniej prawdopodobną. - Dopił resztkę zimnej już kawy.

- Nasze rozkazy są wyraźne: jeżeli Solo zaatakuje, zabijamy zakładników, a jego wysadzamy w powietrze. Jeżeli w ogóle się nie pokaże - zabijamy zakładników!

- Z zimną krwią? - spytał Ruiz. - Daj spokój, Hank. Nie robimy takich rzeczy. Mogę zabijać ludzi, którzy ze mną walczą, ale to? Zabić jakąś biedną wieśniaczkę i jej dzieci? A co zrobimy potem, przecież nie pozwolą nam odejść tak sobie, Hank.

- Jeżeli Solo się nie pokaże, użyjemy Chaconów, żeby dostać się do helikoptera i potem ich zabijemy. Ale mówię wam, że do tego nie dojdzie - maszyna się zjawi. Facet, który ją zbudował jest tego pewien. Ale Solo musi wiedzieć, że naprawdę wykonamy to, o czym mówimy - na wypadek gdyby miał być następny raz. - Ruiz i Garcia wyglądali na zmartwionych. Hipokryci - pomyślał Warren. - Hej, chłopcy, czyż nie zabiliście mnóstwa kobiet i dzieci w Wietnamie? Co za różnica?

- To nie jest wojna, Hank - odparł Ruiz.

- I tu się mylisz - gniew Warrena przedarł się przez fasadę sztucznego spokoju. - To jest do cholery komunistyczny kraj! Rosjanie zaopatrują Sandinistów w broń, żeby nie dopuścić do

236

władzy prawowitych przywódców, jakimi są Contras. Grozi nam utrata jednej z naszych najbardziej zaawansowanych broni na rzecz tych ludzi, którzy natychmiast przekażą ją Rosjanom. To jest pieprzona wojna! Rozumiecie? A to jest rzeczywista misja do wypełnienia w tej wojnie. Jak powiedziałem, Ruiz - czasem niewinni ludzie obrywają w czasie wojny. Jest to godne pożałowania, ale nie do uniknięcia!

Godne pożałowania, ale nie do uniknięcia. W jakiś sposób słowa te były dla Ruiza ulgą. Kiwnął głową i wzruszył ramionami. Jak można dyskutować z prawdą?

Warren obrócił się ku Garcii. - Ja nie mam problemów, Hank - powiedział Garcia.

Warren uśmiechnął się i spojrzął na zegarek. - Dobra* ruszamy z tym koksem. Za dwadzieścia cztery godziny będziecie chłopaki z powrotem w Miami na tej samej dupie, którąście tam zostawili. Chodźcie, dupki, złapiemy naszego robocika.

Ruiz i Garcia wyszczerzyli zęby. Teraz mamy wreszcie drużynę, pomyślał Warren.

Świt rozbłyskiwał poza górami, gdy niebieska furgonetka podjechała do blokady zainstalowanej przez Sandinistów zaraz za miastem. Ruiz, który prowadził, zwolnił, pytając Warrena:

- I co teraz?

- Spokojnie - mruknął tamten - rutyna.

Gdy sierżant podchodził do kierowcy, od strony pasażera do furgonetki podbiegł radośnie wyszczerzony Alonzo. - Gównu - powiedział Garcia - znalazł nas, pierdolony.

Warren czuł, że się gdzieś zapada. Jak misja może się udać, skoro nie mogą zgubić jednego głupiego żołnierza? Sierżant mówił coś do Ruiza, a ten tłumaczył: - Powiada, że Silva musiał pożyczyć ostatniej nocy Alonza na patrol, ale go zwraca. Fajnie co? - Dlaczego Silva to zrobił? - Wspaniale - powiedział Warren. Nie było wyjścia. - Podziękuj mu.

Garcia wdrapał się z powrotem do tyłu, do Warrena, a Alonzo ulokował się koło kierowcy. Ruiz włączył bieg i ruszyli. Alonzo obrócił się do Ruiza, wyciągając dłoń:

- Guufno, skurszyszyn, czo too jes?

237

Garcia zaśmiał się. - Skąd on to wziął? - Nie interesuje mnie, skąd to wziął, Garcia - Warren skarcił go spojrzeniem, po czym wyciągnął się na siedzeniu.

- Obudź mnie za piętnaście minut.

Alonzo nucił *Lo Siento Mi Amor* wybijając rytm na desce rozdzielczej. Garcia zastanawiał się czy rzeczywiście jest tak zadowolony, na jakiego wygląda. Czy robi z nas durni? Co ma u diabła takiego, co czyni jego życie takim cholernie cudownym? Dwa lata w armii komuchów, praktycznie bez żołdu, a potem przyszłość w nędzarskim kołchozie? To jest przyszłość?

Ruiz zwolnił, żeby wyminąć wóz zaprzężony w osła, z górą trzciny cukrowej. Garcia patrzył na wielkie drewniane koła, z całą pewnością ręcznej roboty, pomalowane na jaskrawy niebieski kolor i przyozdobione wieńcami kwiatów. Uśmiechnął się z tego paradoksu. Tylko kmiotki mogli dekorować takie gówno. Nic nie mieli, ale kochali to, co posiadali. Jeśli nie byłoby wozu, musieliby ten zasrany ładunek targać na osle. My natomiast mamy wspaniałe, wysokiej techniki maszyny jak Solo, które krążą wokół, mordując nas. A Solo nawet nie został udekorowany.

Warren obudził się godzinę później na punkcie kontrolnym w El Tigre. Żołnierze sprawdzili dokumenty. Puścili. Warren usiadł za Garcia, szepcząc: - Zasłaniaj mnie, wyciągnę sprzęt.

- Garcia skinął głową i pochylił się bliżej Alonza, a Warren podniósł płytę schowka. Wepchnął długopis w otwór, między płataninę kabli. Płyta odskoczyła. Spojrzał na innych. Garcia trajkotał do Alonza, zajmując jego uwagę. W wyściełanym schowku znajdowały się cztery dokładnie wpasowane aluminiowe skrzynie na kamery. Warren wyciągnął je i postawił na podłodze. Zamknął schowek, potem brał każde pudło na kolana i otwierał: jedno przenośne radio z koderem KL-43, jeden granatnik M-79, rozmontowany, ze specjalnie wykonanymi pociskami przeciwpancernymi, jedna bomba w nylonowym pokrowcu ze zdalnym detonatorem, dwa kałasznikowy z zapasowymi magazynkami, wszystko w porządku.

Warren powtórnie otworzył schowek. Sprawdził rząd dziewięciu przełączników „w dół” lub „w górę”, zgodnie z kodem. Czerwone światło zabłyśło trzykrotnie i zgasło. To samo

238

w następnym rzędzie. Tym razem po trzech błyskach światło już pozostało. System samozniszczenia był włączony. Sygnał radiowy z odległości rozsadzi furgonetkę w drobny mak.

Garcia odwrócił się i zbliżył twarz do Warrena. - Co zrobimy z naszym opiekunem?

- Niech zostanie w samochodzie, jak ostatnim razem.

Garcia przyglądał się Warrenowi. - Chcesz wysadzić faceta w powietrze? Jest tak samo niebezpieczny jak moja babka, Hank.

- To jest sandinistowski żołnierz, Garcia. Ludzie obrywają, pamiętasz? Na wojnie tak bywa.

Garcia patrzył dalej, ale Warren nie spuszczał wzroku.

- Pamiętam tego faceta, Boba Warrena, który postawił się, żeby uratować nieprzyjaciela, rannego Gwatemalczyka. Gdzie on się podział?

Warren patrzył nie widząc Garcii, zatopiony we wspomnieniach. Uratował Gwatemalczyka. Rebeliancki oddział, którym dowodził - a naprawdę banda najemników zgromadzona przez Firmę - złapała rannego chłopca. Postanowili go zabić, żeby nie mieć kłopotów. Warren zaczął bronić

dzieciaka. Kiedy zignorowano jego rozkazy - wyciągnął broń. Chłopak przeżył, ale kiedy Warren wrócił do Miami, jego szef przepuścił go przez wyżymaczkę. Ingerencja w autonomię rebeliantów! - Autonomia rebeliantów? - powiedział na to - ci ludzie nie są niczym więcej jak bandą wynajętych przez nas zbirów. Szef krótko wyjaśnił mu politykę Firmy: - Może to i zbiry, ale nasze. Incydent kosztował Warrena awans.

- Gdzie się podział? - powtórzył Warren za Garcia.

- Nigdzie. Dorósł. - Za oknami przemknęły doki Las Cruzas i zrujnowany magazyn. Campesinos uprzątnęli większość gruzów i ustawili już nowe podpory dachowe. Jak mrówki

- pomyślał Warren - nie wiedzą kiedy dać spokój.

Przesączone przez gałęzie drzew światło słoneczne rzucało wirujące wzory na Solo. Stał na pagórku w odległości pół mili obserwując furgonetkę przez lukę w poszyciu dżungli. Od

239

wioski w kierunku samochodu szedł Justos. Zogniskował soczewki na twarzach wysiadających mężczyzn. Widział ich już przedtem, podczas publicznego pokazu zabitych Contras. Dziennikarze. W porządku. Tak długo jak tu będą, wioska jest bezpieczna. Odwrócił się i ruszył głębiej w dżunglę.

Warren sprawdzał zegarek, kiedy podszedł Justos. Ósma trzydzieści. Miał trzydzieści minut, żeby rozlokować się w domu Modesty.

- Buenas dias - powiedział Justos.

- Buenas - odpowiedział Ruiz.

- W czym możemy wam pomóc? - spytał Justos.

- Przyjechaliśmy nakręcić jeszcze jeden program o waszej wsi.

- Byliście już tutaj?

- Tak, zaraz po wielkim ataku. Nasz szef- Garcia wskazał Warrena, odbierającego od Garcii pudła z kamerami - chce zrobić wywiad z Modestą Chacon. Znasz ją?

- Oczywiście.

- Kiedy byliśmy tu poprzednio, zbyt źle się czuła, żeby z nami rozmawiać. Szef słyszał, że jej syn był wzięty do niewoli i chciałby ją o to zapytać. Zdrowsza jest?

- O tak - uśmiechnął się Justos. - Modestą jest mocną kobietą.

- Miło mi to słyszeć. Mógłbyś jej powiedzieć, że chcielibyśmy zrobić wywiad z nią i całą jej rodziną w ich domu? Przygotowanie sprzętu zajmie nam chwilę.

- Jasne - powiedział pogodnie Justos - ale muszę posłać po jej syna, Eusebia. Pracuje w polu.

Odwrócił się, aby odejść, gdy Warren zaczął wydzierać się na Alonza. Justos stanął. Yanąui krzyczący na sandinistow-skiego żołnierza?

- Nie, Alonzo, zostań i pilnuj wozu - tłumaczył Garcia.

- O nie - odparł Alonzo. - Moim zadaniem jest być z wami. - Garcia znowu przetłumaczył. Złowróźbny cień pojawił się na twarzy amerykańskiego reportera. Facet wydawał rozkazy

240

jakby był w wojsku - pomyślał Justos. Alonzo podniósł jedno z pudeł i Warren znów wrzasnął, gotowy do uderzenia żołnierza, ale opamiętał się czując wzrok Justosa. Uśmiechnął się niechętnie i

powiedział przez tłumacza: - Dobrze, chodź z nami, chociaż wygodniej byłoby ci w furgonetce. - Justos odpowiedział uśmiechem i pośpieszył powiadomić Modestę.

Ósma czterdzieści. Garcia szedł jako pierwszy. Niósł kamerę. Za nim Ruiz z magnetofonem i Alonzo dźwigający dwa pudła z kamerami. Minęła ich jakaś dziewczyna idąca w pole. Alonzo jęknął i powiedział do Ruiza: - Człowieku, muszę jak najszybciej do żony. Zaczynam zakochiwać się w mojej prawej ręce. - Ruiz i Garcia roześmieli się.

Obojętny na rozmowę Warren niósł bombę i urządzenia detonujące. Pot ściekał mu pod pachami, rączki skrzynki ze sprzętem ślizgały się w mokrych dłoniach. Drobiazgi - myślał. Zawsze są to drobne błędy, przez które pieprzy się robotę. Przypomniał sobie wyraz twarzy tego wieśniaka, kiedy wrzeszczał na Alonza. O Boże, ależ potrafię być idiotą! Kiedy zbliżyli się do skalnej ściany, wieś ożywiły hałasy. Psy zaczęły szczeekać, kury gdakać, nawet pieprzone małpy miały coś do powiedzenia - pomyślał Warren, gdy dwie micos zaskrzeczały na nich z kokosowej palmy. Psy szczeekały głośno, machając ogonami i trzymając się tchórzliwie z daleka. Małe dzieci, bosa i w podartych koszulkach - resztki z Armii Zbawienia - przyglądały się im wstydliwie uśmiechnięte. Ta nieśmiała przyjacielskość niemal zabolala Warrena. Dzieciaki w Wietnamie też były przyjacielskie, nawet gdy wносиły do amerykańskich obozów ciężkie torby z dynamitem.

Pot przyklejał mu koszulę do pleców, ale było mu zimno. Dzieci, zwierzaki i cała wioska stały się zamazanym tłem, widział tylko Modestę Chacon zamiatającą werandę i poczuł się winny. Trybik w jego planach: miała na twarzy głębokie zmarszczki, a przecież wiedział, że nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat. Jej ręce były szorstkie i pełne odcisków, ramiona silne i brązowe. Spojrzała sceptycznie na zbliżających się mężczyzn i raz jeszcze machnęła miotłą. Wchodząc do środka poprawiała coś przy włosach, porządkując niesforny kosmyk. Warren przełknął ślinę, ogarnięty paniką. Czy rzeczywiście zabije ją,

241

jeśli będzie musiał? Ósma pięćdziesiąt. Schylił się w wejściu, zanurzając się w dziwne zapachy i brudy. Na zniszczonym kalendarzu Chrystus pilnował trzech prymitywnych kołysek, szeroka na ponad pół metra szafa obok kominka przegradzała pokój. Oparty na trzech kamieniach brunatny garnek parował na otwartym palenisku. Komina nie było. Dym snuł się po wnętrzu tak samo jak przed wiekami. Ten zapach - pomyślał Warren. Kiedy podawał rękę Modestcie zauważył, że ona też pachnie dymem. Wytarł dłoń w spodnie. Zauważyła ten gest i zrobiło się jej przykro.

Podeszła do kuchni i zaczęła nalewać w kubki pinilillo z glinianego naczynia.

- Powiedz jej, że nie mamy na to czasu - rzekł Warren do Ruiza.

Twarz Modesty drgnęła jakby wymierzono jej policzek. Zebrała kubki i postawiła na półce. Zabrzęczały w jej trzęsących się rękach.

- Obraziłeś ją, Hank! - Ruiz też wyglądał na znieważonego, gdy przeproszał kobietę za Yanqui.

Warren spytał: - Gdzie są dzieci?

Modesta skinęła głową, nawet uśmiechnęła się do Ruiza - zdawał się mieć dobre maniery. Wyszła na werandę i zawołała Agelę z ogrodu. Dziewczyna wyszła spoza bambusowego ogrodzenia niosąc koszyk świeżej fasoli.

- Pośpiesz się, umyj ręce - powiedziała Modesta - przyszli z jankeskiej telewizji.

- Z telewizji? - Agela otworzyła usta. Położyła fasolę na werandzie i pobiegła do cysterny koło domu, gdzie obmyła ręce i spryskała wodą twarz. Modesta patrzyła na nią z uśmiechem, próżność jej córki znów wracała.

Wewnątrz domu mężczyźni tłoczyli się w ciasnej przestrzeni. Modesta wskazała im krzesła, ale tylko żołnierz, Alonzo, skorzystał z oferty. Inni odmówili. Stali pod ścianami. Pomyślała, że wyglądają na bardzo zdenerwowanych i zakłopotanych. Pewnie ten duży blondyn, Yanqui, nie był przyzwyczajony do domów campesinos.

Ósma pięćdziesiąt pięć. Warren spojrzął na podwórze i zobaczył młodego chłopaka biegnącego w kierunku domu.

242

I

Jak miał na imię? Ubio? To już wszyscy. Sięgnął po skrzynkę z radiem i postawił ją na stole. Zerknął na Ruiza i Garcia

- kiwnęli głowami. Eusebio przeskoczył stopnie i wbiegł do wnętrza. Modesta zaraz przyciągnęła go do siebie, strzepnęła czerwony pył z jego koszuli i poprawiła mu przepaskę na włosach.

- Przygotować sprzęt - powiedział Warren - czekać na atak.

- Co on mówi - spytała Modesta Ruiza.

- Że powinniśmy zaczynać wywiad, señora.

Kobieta objęła ramionami Agelę i Eusebia. - Chcą wiedzieć, jak cię złapano i jak uciekłeś. Jesteś sławny, Eusebio.

Nie odpowiedział. Mężczyźni wydawali się bardzo nerwowi. Wyglądali przez okna, czekali na coś.

Dziewiąta.

W dolinie zabrzmiały strzały karabinowe.

- Okay - powiedział Warren i Garcia otworzył skrzynkę wyciągając z jej wnętrza dwa AK-47.

Jeden rzucił Ruizowi. Warren otworzył atrapę kamery i wyjął swoją czterdziestkę piątkę z tłumikiem.

- Co robicie? Jesteście Contras? - krzyknął Eusebio.

- Rozdzielić ich - warknął Warren.

Ruiz trzymając chłopca na muszce powiedział: - Spokojnie nino, nie jesteśmy Contras. Jeśli będziecie współpracować z nami, nic się wam nie stanie.

- Dios\ - Alonzo poderwał się od stołu. - Szpiedzy!

- Warren wymierzył w niego broń, wskazując lufą, by przesunął się do Eusebia. Alonzo spurpurowiał, wściekły na tę zdradę, aż łzy pociekły mu z oczu. - Skurszyszyn, Skurszyszyn! - zapominając, że Warren ma pistolet, wykrzykując niezrozumiałe słowa rzucił się na niego z gołymi rękami. Atak zaskoczył Warrena i zanim Alonzo zrobił dwa kroki - strzelił. Alonzo zgiął się wpół i upadł do tyłu, przewracając krzesło. Trzymał się za brzuch i zawodził w agonii.

- Zamknij się - wrzasnął Warren, ale tamten toczył głową z boku na bok, wyjąc z bólu. Zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Warren strzelił jeszcze raz, trafiając w krtań. Z przestrzelonego gardła wydobywał się chrapliwy skrzek - Alonzo dusił się własną krwią.

243

Strzelanina w dolinie była coraz głośniejsza, Modesta i Agela krzyczały, Alonzo rzeźił - brzęczący szum wypełnił głowę Warrena, zrobiło mu się gorzko w gardle. Szum narastał do crescendo, gdy podchodził do skrzeczącego, zalanego krwią Alonza, by przystawić mu do głowy lufę pistoletu. Strzelił. Głowa Alonza podskoczyła na podłodze i opadła do tyłu bez ruchu. Warren z ulgą poczuł, że szum zanika.

Usiadł przy stole i otworzył skrzynkę. - Okay - powiedział miękko. Modesta i Agela tuliły się przerażone. Garcia z karabinem wycelowanym w kobiety, patrzył na Warrena. Ruiz trzymał swoją broń skierowaną w twarz Eusebia. Chłopiec spoglądał na Warrena z wyraźną pogardą. Warren sprawdził godzinę. Dziewiąta zero pięć. Pięćdziesiąt pięć minut do przybycia helikoptera. Podniósł słuchawkę telefonu, wystukał kod i powiedział: - Solo?

244

J\Jedy dziennikarze rozładowali furgonetkę, Solo odwrócił się i zbiegł wschodnim stokiem grani oddalając się od Las Cruzas. Przyspieszenie było tak duże, że ledwo nadał przebiegać nogami. Zasilacz w jednej ręce, plecak i karabin w drugiej, przeskakiwał zwalone pnie, zrywał bluszcz, potykał się o węzowate korzenie. Czuł, że dzieje się z nim coś niezwykle ważnego. Pewnego dnia wróci do Las Cruzas, ale teraz był wolny.

Padając zwinął się w kłębek i uderzył w pień palmy rosnącej u podstawy zbocza. Plecak i karabin wylądowały obok. Solo wyciągnął się na plecach i kontemplował otoczenie, potem przeturlał się pomiędzy roślinnością i rozkopał palcami glebę. Przycisnął twarz do świeżej ziemi. Uświadomił sobie, że dobrze jest być żywą istotą. Usiadł, umorusany. Przez jego powiekę przespacerowała mrówka, potem druga. Spojrzał w dół i zobaczył, że siedzi na ścieżce całej armii mrówek, które wspinały się na jego nogi jak na skały. Obserwował jak horda insektów zaatakowała i zabiła cykadę, w kilka sekund rozbierając ją na kawałki. Nieco dalej zobaczył pisklę, już nieżywe, pokryte mrówkami. Każda żywa istota na ich drodze stawała się pożywieniem. Poprawił się: organiczna żywa istota.

Jego wesołość nagle przygasła. Słońce przezierające przez rozwiewane wiatrem liście oślepiło go. Naszła go melancholia. Radość i smutek stanowią jeden proces fizyczny, równowagą

245

się jak układy w elektronicznych obwodach. Obniżysz jedną wartość, druga wzrośnie. System ma tendencję do równoważenia ich, zmierzając do osiągnięcia przeciętnej. Jestem smutny ponieważ byłem wesoły. Lepiej nie być ani tym, ani tym. Wstał, pozbił sprzęt i powędrował w kierunku cichego odgłosu fal bijących o brzeg.

Solo pozbił drewno wyrzucone przez wodę i ułożył je w stos. Kiedy szukał w plecaku zapalniczki, usłyszał dalekie odgłosy wystrzałów. Contrás? Dziennikarze musieli już odjechać. Wieśniacy będą w porządku, Justos wie co robić. Odłożył zapalniczkę. Czas dać znać Kontroli gdzie jestem.

- Solo?

Obcy głos z radia w Las Cruzas. Nie odpowiedział.

- Wiem, że mnie słyszysz - powiedział głos. - Bili kazał ci powiedzieć, że nie masz wyboru, musisz wyjść z ukrycia. Jesteśmy u Modesty.

Nie ma wyboru? Solo włączył swój sygnał i wstał. Wyprowadzę was na manowce, pomyślał. Dał nura w dżunglę i zaczął biec w stronę przeciwną do Las Cruzas.

- Rozumiesz mnie Solo? - głos Warrena rozbrzmiewał wyraźnie wewnątrz robota. - Jesteśmy u Modesty. Trzymamy ją, Agelę i Eusebia na muszce. - Usłyszał w tle transmisji szlochanie. - Jeżeli nie przyjdiesz porozmawiać ze mną, zabijemy ich. Nie chcemy tego zrobić, ale zrobimy.

Solo zatrzymał się raptownie. Przeliczył się! Ogarnął go gniew. W geście bezsilności osunął się na kolana. Oczywiście, że ich zabiją, pomyślał. Będą musieli ich zabić, inaczej groźba nie miałaby sensu.

- Twoi przyjaciele, Solo. Pamiętasz, jak troszczyli się o ciebie, pomagali w potrzebie? - ciągnął Warren. - Czyż nie byłoby tragedią, gdyby tacy mili ludzie zginęli tylko dlatego, że nie chcesz wrócić tam, gdzie przynależysz, prawda?

Solo zapatrzył się przed siebie. Dwieście mil gęstego lasu pomiędzy nim a Atlantykiem. Tysiące rzeczy do zobaczenia, tajemnic do zbadania. Gdzie jest Siga Monte! albo Yacoyo! I gdzieś tam muszą być jeszcze Indianie, którzy wiedzą wszystko o Apoyeque. Wolność była tam, w tamtym kierunku.

246

Ktoś wzmocnił transmisję, ale nie słyszał głosu, tylko krzyk Ageli: - Mama! - Modesty: - Zostaw ją!

Solo tłukł pięściami o ziemię, wznecając tumany kurzu, wyrwał z korzeniami palmę, potem schwycił leżącą gałąź i roztrzaskał ją na drzazgi o pień drzewa. Nie pomogło, nadal czuł gniew. Nie wygrał!

Zrozumiał teraz bojowy okrzyk Siouksów, zakodowany w jego pamięci. Wyrzucił w górę plastikowe ramiona i krzyknął: Yaka waste ite\ Piękny dzień, aby umrzeć! Echo poniosło krzyk w dżunglę, szybko zagłuszył go jednak chór drzewnych żab i owadów. Solo pozbierał sprzęt i ruszył z powrotem do Las Cruzas.

Dziewiąta dwadzieścia. Warren pochylił się nad stołem, mówiąc do radia: - Nie mamy powodu krzywdzić kogokolwiek. Obaj - Bili i Clyde zgodzili się, że nikt w żaden sposób nie będzie cię zmieniać ani przerabiać, ale musisz zrozumieć, że jest niesłychanie ważne, żebyśmy wiedzieli, co cię dręczy. Ważne dla bezpieczeństwa twojego narodu, twoich przyjaciół. - Warren usiadł. Dziesięć minut i żadnej odpowiedzi. Czy był jakiś sposób, aby dowiedzieć się czy Solo słucha?

Spojrzał na Modestę i poczuł żal. Jej cały świat rozpadał się na kawałki. Na twarzy Garcii patrzącego na Agełę pojawił się złowróżbny wyraz, który nie podobał się Warrenowi. Facet dobrze się czuł w tej sytuacji. Ruiz natomiast nerwowo zerkał przez okna.

- Szeffie - powiedział - a może on jest właśnie za tymi ścianami i szykuje się, żeby się tu wdrzcć, jak wtedy z Contrás?

Warren zmienił kanał i wezwał Kontrolę.

- Mieliśmy jego sygnał przez minutę - odezwał się Clyde. - Był w dżungli na wschód od was, kierował się do wsi, potem straciliśmy sygnał.

- Roger - powiedział Warren.

- On przyjdzie - odparł Clyde. - Powodzenia.

- Dzięki. Wyłączam się.

- Przynajmniej wiemy, że idzie do nas - powiedział Warren do Ruiza. Uruchomił kanał Solo. - Jeżeli masz zamiar nas zaatakować, albo inny równie głupi pomysł, to przypominam

247

ci, że twoi przyjaciele mają broń przystawioną do głowy. Może nas zabijesz, ale oni zginą pierwsi.

- Jak się nazywasz? - zapytał głos.

Warren uśmiechnął się i odpowiedział: - Ach, słyszysz nas jednak, a już zaczynałem się martwić. Robert Warren. Nie spotkaliśmy się nigdy.

- Wkrótce się spotkamy, Robercie Warren.

W dolinie odezwały się moździerze campesinos, walczące w pozycje Contrás. Wieśniacy szybko zajęli stanowiska w głównym okopie, przy moździerzach i karabinach maszynowych; powstrzymywali nieprzyjaciela.

Warren wepchnął czterdziestkę piątkę za pasek i i otworzył dwie kolejne skrzynki. Złożył M-79, ładując przeciwpancerne pociski. Potem delikatnie postawił bombę na stole i przypiął do swego paska przełącznik detonatora. Uniósł wreszcie M-79, celując w drzwi.

Solo wbiegł do garażu, ciskając swój sprzęt na warsztat. Szukał lustra, a kiedy go nie znalazł, z wściekłością roztrzaskał róg ławki. Wykręcił lusterko z forda i przyjrzał się swojej twarzy. Ta twarz bez wyrazu rozwścieczyła go jeszcze bardziej. Złapał puszkę z czerwoną farbą i wrócił do lustra.

- Solo, odchodzimy za trzydzieści minut - głos Warrena syczał mu w głowie. Otworzył puszkę i umoczył palec w farbie. - Jeżeli odejdziemy bez ciebie, Chaconowie zginą, a wioska zostanie zbombardowana. Od tej pory każdy z kim zdołasz się zaprzyjaźnić będzie zabity. Czy to jest życie?

Solo podniósł palec do twarzy i narysował czerwone usta, wielką paszczę z wyszczerzonymi zębami, przypominającą mu rekina. Farba kapiała z zębów i kącików ust wykrzywionych przerażającym grymasem. Bardzo dobry efekt, pomyślał, nakrył puszkę i odstawił na miejsce. Mijając warsztat podniósł swojego kałasznikowa i zakładając magazynek, wybiegł z garażu.

Wieś była pusta. Zgodnie z planem obronnym ustalonym przez Solo, każdy brał albo bezpośredni udział w walce, albo krył się w bunkrach pod domami - na wzór Wietkongu. Stał za sklepem Escopeta i wyjrzał przez bambusowe ogrodzenie. Widział dom Modesty, a gdy przybliżył obraz okna, zobaczył

248

Warrena. Za nim Agela i Modesta trzymały się w objęciach. Mężczyzna trzymał lufę karabinu przy skroni dziewczyny. Wyczuł obecność jeszcze dwóch ludzi przy dalszej ścianie i uznał, że musi to być Eusebio i jego straż. Warren trzymał M-79 wycelowany w drzwi. Jeżeli wejdę tędy - myślał Solo

- Warren może rozwalić mi mózg, przyjmując, że załadował właściwe pociski - a na pewno załadował. Ale chcę mieć mnie nietkniętego. Warren nie strzeli, chyba że nie będzie miał wyboru.

Serce Warrena załomotało, gdy robot wkroczył na podwórze: robił jeszcze większe wrażenie niż na zdjęciach. Ogrom. Ruszał się jak żywy. Kiedy Solo szedł wolno ścieżką do werandy, Warren zobaczył jego twarz. Co za cholera? Barwy wojenne? Zaciśnął palec na spuście. Solo stanął w drzwiach.

- Stój, rzuć broń! - Warren krzyknął ostro - i robot upuścił karabin na podłogę.

- Wchodź, powoli - rozkazał pewniejszym już głosem Warren. - Siadaj. - Wskazał krzesło przy stole.

- Nie wolno mi - powiedział Solo.

- Że co?

- Modesta nie pozwala mi siadać na tym krześle, bo się załamie. - Mogę korzystać tylko z tego - wskazał ławkę stojącą obok Modesty. Warren popatrzył na nią, potem na Solo. Jezu Chryste! - Dobra, weź tę cholerną ławkę i siadaj tutaj. Ostrożnie - wiemy jaki potrafisz być szybki. Spróbuj nas zaskoczyć, a zabijemy twoich przyjaciół.

Solo podszedł do ławki. - Jeśli zabijecie moich przyjaciół rozerwę was na drobne kawałki, poczynając od palców u nóg.

- Warren przełknął z wysiłkiem ślinę, a robot przyniósł ławkę i usiadł.

Warren spojrział na zegarek. Dziewięć czterdzieści. - Wiemy co potrafisz, Solo. Przekonać cię do pójścia z nami, znaczy zmusić cię, byś nam zaufał. Plan jest prosty. Chcę żebyś go znał, wtedy zrozumiesz, że nie masz wyboru. - Warren zagapił się na wojenne barwy Solo: czerwone krople ściekały mu po podbródku. - Zawrzemy umowę - ciągnął - jeżeli pójdiesz z nami na naszych warunkach obiecujemy, że nic się nie stanie twoim przyjaciołom, ani nie zbombardujemy wsi. Proste?

249

- Jakie są warunki? - spytał Solo.

- Założysz to na siebie - Warren wskazał bombę - i wsiądziesz do helikoptera.

- Co to jest?

- Osłonięty ładunek przeciwpancerny, który można zdalnie zdetonować - Warren poklepał przełączniki przytroczone do paska.

- To wszystko?

- Nie. Jak już będziesz na pokładzie helikoptera i sprawdzisz, że twoi przyjaciele są bezpieczni, pozwolisz mi wyłączyć swój główny zasilacz.

- I wtedy - powiedział Solo - będę zupełnie bezradny, gdyby się okazało - co bardzo prawdopodobne - żeś mnie okłamał.

- Prawda - zgodził się Warren. - Ale nie mamy powodu robić krzywdy tym ludziom. Jesteśmy tutaj ze względu na ciebie.

Solo nie odpowiedział i Warren zastanawiał się, gdzie patrzyły teraz oczy robota. Czy oceniają jakieś możliwości, które przeoczył? Czy maszyna mogła być wystarczająco szybka? Czy byłaby zdolna do poświęcenia jednego ze swych przyjaciół, żeby dobrać się do nas? Taka możliwość istniała. Odsonił spust M-79. Najlepiej byłoby rozwalić tę cholerną maszynę póki miał okazję. Zawsze coś by zostało do zbadania

- wrak, ale przydatny. Można by użyć Chaconów, żeby dostać się do helikoptera. Wszystko prawda, ale powrót z torbą pełną części Solo, równał się klęsce. Świetnie, Warren - powiedzieliby

- świetnie. Przy okazji - mamy dla ciebie zajęcie we wschodnim Madagaskarze. W ambasadzie, Warren.

- Wasz plan jest zbyt jednostronny - powiedział Solo.

- O to chodziło. Poza tym - warknął Warren - nie mamy za wiele czasu.

- Zgadzam się, ale z pewnymi poprawkami...

- Niczego nie będziemy zmieniać.

- ...które już poczyniłem.

- O czym ty mówisz? - Warren poczuł jak zamiera mu serce.

- Parę zmian, które zagwarantują bezpieczeństwo moim przyjaciołom - oświadczył spokojnie Solo.

- Wasz helikopter

250

będzie za dziesięć minut. Wezwałem Sandinistów z El Tigre i będą tu za piętnaście minut. Zarządziłem też odwrót waszych Contras. Sądzę, że mając mnie bezbronnego w helikopterze, nie zbombardujecie Las Cruzas, tym bardziej, że dla pewności Sandiniści będą mieli broń przeciwlotniczą ze sobą. A teraz możemy iść!

Warren patrzył z niedowierzaniem na maszynę. Włączył kanał Contras: - Melduje się szóstka, Hank, odezwiij się.

- Usłyszał trzaski na linii i próbował dostroić radio. - Melduje się szóstka, Hank. Odezwyj się. - Nadal przeciągły skrzek.

- Nie dam ci połączyć się z nimi - powiedział Solo.

- Zgodziłem się na wasz plan więc chodźmy. Macie dziewięć minut.

Warren usiadł z powrotem. Czy to miało jakieś znaczenie, że nie mógł porozumieć się z Contrás? Nie potrzebował ich już, przecież miał to, co chciał. Uśmiechnął się i powiedział:

- Rzeczywiście jesteś skuteczny. Szkoda, że zapomniałeś o lojalności. - Posunął bombę przez stół. - Widzisz jak to działa. Załóż, powoli.

Solo wstał i wziął bombę do ręki. Była to lita kula żelaza z niewielkim otworem w środku. Wywnioskował, że tam właśnie był zainstalowany ładunek przeciwpancerny. W razie eksplozji tylko on oberwie, dobrze pomyślane. Przełożył ramiona przez dwie pętle w nylonowej osłonie bomby, umieszczając ją na swej piersi.

- To zniszczy zapisy w mojej pamięci, które chcielibyście dostać - powiedział Solo.

- Odwróć się. - Warren obszedł stół i zbliżył się do robota, żeby umocować zapiecia. - Okay.

- Co tu się dzieje? - odezwał się po angielsku padre Cerna od drzwi.

Warren wycelował M-79 w jego pierś. - Cofnij się - wrzasnął.

Ksiądz podniósł ręce do góry i odsunął się od drzwi. - Nie jesteście dziennikarzami - powiedział spokojnie.

- Wy tłumacz im na czym polega umowa - krzyknął Warren do Garcii i ten spokojnie zaczął przekonywać Modestę, Agelę i Eusebia, że jeśli któreś z nich spróbuje ingerować, będą

251

zmuszeni eksplodować bombę na Solo i ich też pozabijać. Jeżeli będą zachowywali się spokojnie, nikomu nic się nie stanie. Garcia zniżył lufę karabinu: Ustedes entienden! - Skinęli potakująco.

- Bueno - powiedział odwracając się do Warrena. - Dotarło do nich, Hank.

- A do ciebie? - warknął Warren do Cerny - też dotarło?

- Owszem - odparł ksiądz powoli.

Dziewiąta pięćdziesiąt pięć. Warren wezwał Kontrolę.

- Przeprowadziliśmy transakcję, Clyde. Zabierajcie nas! - Wyłączył radio słysząc jeszcze ryk Clyde'a: - Wspaniale!

- Dobra, Garcia, Ruiz, zbierajcie się. Nie zapomnijcie o sprzęcie video. - Warren rozmontował M-79 i włożył z powrotem do skrzynki, zamykając wieko. Wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę i trzymał przy boku. Nagle zobaczył ludzi ściągających na podwórze. Cholera!

Justos, Felix, Tomas i reszta milicji wracali po walce, śmiejąc się i żartując między sobą. Kobiety i dzieci wybiegły z domów dołączając do nich. Justos zobaczył księdza na werandzie Modesty i zawołał: - Padre! Daliśmy sobie radę, odparliśmy animales. I nikt z nas nie jest nawet ranny! - Cerna nie odpowiedział i nawet się nie odwrócił. - Padre? - krzyknął Justos.

- Garcia - rozkazał Warren - wyjdź do nich i powiedz-kmiotom o co chodzi. Pośpiesz się, helikopter będzie za niecałe pięć minut.

- To jest bomba - krzyczał Garcia do tłumu, wskazując na pierś Solo. - Specjalna bomba, która wybuchnie do wewnątrz maszyny. Jeżeli spróbujecie nas zatrzymać, użyjemy jej. Za parę minut na drodze przy garażu wyląduje helikopter, wsiądziemy do niego razem z Solo i odlecimy. To wszystko.

- Jeżeli zniszczycie Solo, zabijemy was - zawołał Justos.

- Nie użyjecie bomby. Odlóżcie broń, a pozwolimy wam odlecieć. Claro - zawtórował mu Felix - nic nie macie, Yanquis.

- Mamy Solo. Nie bądźcie głupi - Garcia popatrzył ostro na tłum. - Na taką akcję nie posyła się tchórzy. Jeżeli zaczniecie strzelać, wysadzimy Solo w powietrze i gwarantuję, że zabijemy tyłu z was, ilu się tylko da. Solo jest naszą własnością i zabierze-

252

my go. Do was nic nie mamy, ale jeżeli będziecie próbowali nas zatrzymać, samoloty zbombardują wioskę i zamieniają w rumowisko. Jesteście gotowi umrzeć, poświęcić wieś dla maszyny?

- Solo, czy to prawda? - zawołał Justos.

- Tak. Pozwólcie im mnie zabrać, to jedyne co możecie zrobić.

Justos nie odpowiedział, było mu niedobrze. Wieśniacy, którym Solo pomógł, musieli teraz stać bezsilnie i patrzeć jak go zabierają. Obrócił się do Felixa i zobaczył, że ten trzęsie głową nad własną bezradnością.

- Odlóżcie broń, dajcie nam przejść - Garcia krzyknął.

Campesinos opuścili karabiny.

Z południa dobiegł daleki warkot helikoptera. Solo zszedł z werandy. Garcia, Ruiz i Warren podążyli za nim przez milczący tłum. Solo odchodząc zawołał przez ramię: - Żegnaj, Modesta. Dziękuję, Agela - i poczuł się w jakiś sposób szczęśliwy, słysząc ich płacz. Ludzie ciasno otaczali grupę Warren, która wolno przemierzała podwórze. Warren słyszał hiszpańskie przekleństwa pod swoim adresem, ale ich nie rozumiał. Puls mu galopował, uda się.

Amerykański Huey nadlatywał znad jeziora.

Przy skalnym murze Warren przypomniał sobie o furgonetcie. - Powiedz im, że wysadzimy nasz pojazd w powietrze, nie chcę żeby wpadli w panikę - położył palec na przełączniku przy swoim pasie, gdy tymczasem Garcia wykrzykiwał ostrzeżenie. Samochód zniknął w pomarańczowej kuli płomieni, raz jeszcze niszcząc magazyn.

Campesinos jak dzieci zafascynowane fajerwerkami, obserwowali opadające szczątki. Ich magazyn został wysadzony po raz czwarty. Huk przetoczył się przez dolinę tam i z powrotem i ucichł. Padre Cerna patrzył jak wszystkim obwisły ramiona. Ile razy jeszcze będą go odbudowywać zanim zrezygnują? Ilu przyjaciół musi zginąć, zanim ugną się przed Contrás?

Helikopter leciał wzdłuż doków. Na szarozielonej maszynie nie było żadnych znaków. Eusebio przyglądał się uważnie - pierwszy helikopter jaki widział z tak bliska. Czerwone kłęby pyłu zawirowały na drodze, gdy maszyna szykowała się do lądowania.

253

Solo ruszył poprzez kurz do helikoptera. Eusebio pobiegł za nim. Krzyknął jego imię. Solo nie mógł odejść w ten sposób.

- Czego ten dzieciak chce? - spytał Garcia.

- Nie zwracaj na niego uwagi, wsiadaj - krzyknął Warren. Solo zatrzymał się. - Ruszaj się - Warren klepnął detonator przy pasie.

- Pożegnaj się z przyjacielem.

- Zaraz wsiądziesz do tego cholernego helikoptera! Już!

- Nie rozwalisz mnie teraz - teraz kiedy już mnie masz. Moje słowo, to zajmie tylko kilka sekund.

Warren patrzył w srebrzyste oczy Solo. Jego własna twarz była czerwona i wykrzywiona gniewem. Najgorsza maszyna jaką można sobie wyobrazić, spierający się komputer. - Dobra, ale niczego nie próbuj, bo chłopak oberwie!

- Oczywiście.

Warren wdrapał się do helikoptera. - Trzymaj dzieciaka na muszce, Garcia.

Solo odszedł parę kroków i przykucnął, gdy Eusebio podbiegł do niego. Warren nie mógł słyszeć co mówili.

Wieśniacy zbliżyli się na odległość jakichś pięćdziesięciu metrów do helikoptera, z Justosem i Cerną na czele. Za księdzem kuśtykał Alonzo Rivas z Michitą uczeponą jego szyi. Warren spojrział na Garcie, który trzymał karabin wycelowany w Eusebia, Ruiz spoglądał na zegarek. Wyglądał na wystraszonego. Pilot, Sam Thompson - uczył Solo latania - pochylił się pomiędzy przednimi siedzeniami. - Nie mamy już czasu, sir. Kontrola daje znać, że Sandiniści są już w drodze.

- Solo! - wrzasnął Warren. - Lecimy. Teraz albo nigdy.

Solo wstał, biorąc rękę Eusebia w swoją. - Rozumiesz?

Chłopak skinął głową. Zrobimy tak!

Solo patrzył za nim jak biegł do swoich, jak Justos kładzie dłoń na jego ramieniu i obaj machają do niego... Poczul ból. Przez te tygodnie w Las Cruzas przywykł uważać się za wieśniaka. I ludzie i maszyna zapomnieli, że się czymkolwiek różnią. Warren im to przypomniał.

Dla niego, pomyślał Solo, jestem tylko popsutym urządzeniem, które zwraca się producentowi. Dla Warrena to była prawda, ale Solo wiedział, że jest osobą, a Las Cruzas jest jego

254

rodziną. Pomachał do Justosa i Cerna. Broda Alonza trzęsła się wyraźnie.

- Alonzo, nie patrz jak psy się pieprzą - krzyknął Solo i zobaczył uśmiech starego. Odwrócił się i wlaź do helikoptera. Warren wskazał pokład za siedzeniem pilota, gdzie miał usiąść Solo. Oddał detonator Garcii. - Odsuń ramię od pokrywki wyłącznika. - Solo posłuchał. Warren otworzył ją i położył palec na wyłączniku.

- Co on robi? - spytał Cerna. - Co to jest?

- Wyłącza Solo - odparł Eusebio. Ksiądz zobaczył jak Solo nagle osunął się do tyłu. - A teraz bez wątpienia usuną mu duszę. Boże, tego już za wiele! Czy muszą wszystko niszczyć?

- Dranie - krzyknął Alonzo Rivas - wy cholerne, pieprzone dranie. - Rzucił się ku helikopterowi z Michitą ciasno obejmującą jego szyję.

- Alonzo! Nie! - zawołał ksiądz, ale Alonzo szarżując na maszynę niczego już nie słyszał. Cerna usiłował go złapać, ale Rives wyslizgnął mu się z rąk.

- Lećmy - wrzasnął Warren do Thompsona. Udało się, pomyślał i zobaczył biegnącego ku nim Alonzo Rivas z małpką uwieszoną jego szyi. Ksiądz biegł tuż za nim.

- Co za cholera? - powiedział Warren.

Alonzo Rivas słyszał samego siebie jakby z oddali, miotającego wulgarne przekleństwa i zmuszającego stare ciało do biegu. Czas sączył się powoli, jak we śnie. Dobiegał już do maszyny.

- Alonzo! Nie! - Padre Cerna starał się go dogonić. - Zastrzelą cię! Ale Alonzo był duchem gdzie indziej i słowa nie docierały do niego. Cerna wciąż biegł zmniejszając dystans dzielący go od

starca. Warren wyciągnął czterdziestkę piątkę. Stary człowiek i ksiądz zbliżali się szybko. - Niech to cholera! Startuj! - wyglądało na to, że stary z małpką dotrze jednak do maszyny. Helikopter powoli odrywał się od ziemi, ale Alonzo zdążył jeszcze uchwycić się płozy. Warren wychylił się i złożył do strzału. Alonzo czuł w rękach zimno metalu, potem dwa potężne kopnięcia w pierś. Rozluźnił uchwyt. - Boże... - jęknął i upadł do tyłu w wirującą chmurę czerwieni.

Cerna trzymał już ręce na ramionach Alonza, gdy Warren strzelił. Krew starca spryskała mu twarz. Patrzył zdumiony na

255

Warrena, on zabił Alonza?! - Nie! - zapłakał czując jak ciało osuwa się na ziemię. - Wy diablos! - wskazał palcem na Warrena, który zdawał się być niepokojąco blisko, wisząc zaledwie kilka metrów od niego i dryfując w przestrzeni

- morderca oddalający się bezkarnie. Ksiądz poczerwieniał i zacisnął pięści. Kiedy podnosił nogę, kula trafiła go w ramię, przewracając na ziemię. Leżąc na plecach padre Cerna widział nieprawdopodobnie niebieskie niebo z białymi obłoczkami przepływającymi nad nim. Było mu wygodnie i czuł się śpiący. Hałas helikoptera ucichł, świat był spokojny. Perły na niebie

- było ostatnią myślą księdza zanim stracił przytomność.

Solo usiadł za Warrenem. Widział upadającego Cernę i leżącego na ziemi Rivasę. Znikła tak zwykle migotliwa aura tego ostatniego - stary człowiek był martwy, Cerna chociaż ciężko ranny, żył. Michita skrzeczała na helikopter i szarpała koszulę Alonza, jakby chciała go podnieść, ale nie ruszał się, więc w końcu wepchnęła mordkę pod jego ramię, szukając tam schronienia.

Wieśniacy rzucili się w kierunku startującej maszyny.

- Strzelaj! - wrzasnął Warren do Lorenza przy drzwiach. Kapral Lorenzo widział Solo siedzącego za Warrenem i potrząsnął głową. Garcia wycelował swój AK-47, ale nie strzelał. Warren wykrzykiwał jakieś przekleństwa, których i tak nikt nie mógł usłyszeć w hałasie śmigieł helikoptera. Złapał karabin Garcii. Wymierzył w zamazane postaci zbliżających się cam-pesinos. Nagle czarne ramię wystrzeliło do przodu, wyrwało karabin z jego rąk i wyrzuciło na zewnątrz.

- Tego nie było w naszej umowie!

Warren krzyknął i odskoczył na tył helikoptera. Wyciągnął detonator i trzymał przed sobą jak ochronny talizman. - Nie ruszaj się nawet na milimetr!

- W porządku? - wrzasnął Thompson.

- Rób swoje. Odwieźmy to draństwo do centrali.

Helikopter znajdował się na wysokości trzydziestu metrów, przelatując nad starym, nawiedzonym przez duchy domem. Solo usiadł ze skrzyżowanymi nogami pomiędzy siedzeniami pilotów, twarzą do Warrena. Wskazał przez drzwi. - Tutaj się ukrywałem przez trzy dni - powiedział.

-256

- Nie ruszaj się bo uruchomię detonator - głos Warrena był napięty i skrzeczący.

- Nie powinienes zabijać Rivasę, ani strzelać do księdza Cerny - stwierdził Solo - to nie było honorowe.

- A co ty wiesz o honorze, głupia maszyno. Ty nawet nie żyjesz. Jesteś skomputeryzowaną kukłą.

Solo sięgnął po paski przytrzymujące bombę na jego piersi.

- Nie ruszaj się, powiedziałem! - Warren wyglądał na przerażonego.

Solo wziął jeden pasek w palce i przerwał go jak sznurek.

- To jest niewygodne - powiedział sięgając po kolejny pasek. Warren nacisnął detonator.

Nic się nie stało. Zdumiony spojrział sprawdzając, czy nacisnął właściwy włącznik i spróbował jeszcze raz. Solo rozerwał drugi pasek. Warren nacisnął guzik, potem oba po kilka razy. Robot zerwał resztę uprzęży.

Garcia porwał skrzynkę z M-79 i gorączkowo majstrował przy zamkach.

Solo położył bombę na pokładzie i Warren wiedział, że teraz robot przyjdzie ukrećić mu głowę. Ciepła wilgoć zalała mu pachwiny. Spojrzął w dół: z pokrycia siedzenia ściekała uryna.

Garcia, nie mogąc opanować dygotu rąk, próbował złożyć M-79. Warren gapił się na swoją kałużę, gdy czarna plastikowa dłoń pojawiła się w polu jego widzenia. - Daj mi detonator.

- Warren spojrzął w lustrzane oczy Solo i upuścił przełączniki prosto w rękę robota.

- Pieprzone urządzenie. Nigdy nie działa gdy potrzeba

- powiedział.

- Ależ działa, popatrz. - Solo obrócił bombę ładunkiem do drzwi i przycisnął guzik detonatora. Bomba eksplodowała ostro, jak dubeltówka, odpychając ramię robota do tyłu.

- Widzisz? - Solo obserwował postępy Garcii w składaniu M-79. - Kiedy wysadzałeś waszą furgonetkę, usłyszałem sygnał detonatora. Zazwyczaj dobrze jest się zabezpieczyć przy tych rzeczach - trzykrotne wysyłanie sygnału w krótkich odstępach czasu eliminuje możliwość uruchomienia ładunku poprzez jakąś zbłąkaną transmisję. Ale nie tym razem Warren. Usłyszałem pierwszy sygnał i skasowałem resztę. Ktoś popełnił

257

błąd. Bili tego nie projektował - powiedział Solo trzymając detonator.

Warren tylko pokiwał głową.

- Tak myślałem. - Solo wziął AK-47 leżący obok Warrena i zajął miejsce na przodzie pomieszczenia. Podniósł broń mierząc pomiędzy oczy Garcii, któremu wreszcie udało się złożyć M-79.

- Weź to za lufę. - M-79 było jedyną bronią na pokładzie, z której można było zniszczyć Solo. Garcia podniósł ją powoli, gorączkowo zastanawiając się w jaki sposób szybko ustawić ją we właściwej pozycji. Spojrzął jednak na wycelowany w siebie AK-47 i zrozumiał, że nie ma żadnych szans. - Dobrze

- pochwalił Solo - a teraz wyrzuc to. Garcia rzekł tylko „przepraszam szefie” i wyrzucił broń z helikoptera.

Warren czuł się pokonany. - Wyrzucić wszystkie graty!

- rozkazał Solo - i wskazał karabiny maszynowe. - To nic osobistego, Lorenzo. - Lorenzo uśmiechnął się i szybko odłączył karabin maszynowy od podstawy, po czym wyrzucił go za drzwi. Solo zwrócił się teraz do Warrena: - I twoja czterdziestka piątka.

- Ty pieprzona kupo złomu, nie mogę się doczekać kiedy rozbiorą cię na kawałki! - Warren wyciągnął pistolet zza pasa, a kiedy go wyrzucił, Solo złamał na pół AK-47 i cisnął w dół, w dżunglę.

- Świetnie. - Z kieszeni na oparciu fotela pilota wyjął szmatę i wytarł farbę z twarzy. - Teraz jesteśmy grupą przyjaciół na przejażdżce. - Solo pochylił się nad konsolą kokpitu. - Hallo, mister Thompson.

Thompson popukał w swój hełm, pokazując że nic nie słyszy, więc Solo powtórzył przez intercom. Usłyszał jak Thompson przekazuje ster i zaraz potem: - Hallo, Solo, chyba wiesz, że jesteś skończony jak wrócimy.

- Wiem - zgodził się Solo. - Mister Thompson, chciałbym żebyś wracał do Kontroli drogą wzdłuż wybrzeża.

- Zgodnie z planem lotu - powiedział Thompson.

Solo poczuł, że od tyłu chwytają go Ruiz i Garcia. - To dobrze, dawno już nie widziałem oceanu. Lubi pan morze, mister Thompson? - Thompson zobaczył dwóch mężczyzn

258

szamoczących się z robotem i próbujących przekręcić go do siebie, na co Solo zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi. - Morze? - zająknął się Thompson. - Tak, wspaniale.

Solo odwrócił się. Warren trzymał zwój liny i krzyczał coś do Ruiza i Garcii. - Odczepcie się - powiedział Solo, ale oni nadal starali się wykręcić mu ręce do tyłu. - Odpieprz się robociku - syknął Garcia.

- Żle. - Solo wyrzucił nagle ręce w górę. Ruiz wyrzwał o tylną ścianę i osunął się na pokład. Garcia z przeraźliwym krzykiem wypadł na zewnątrz.

Ze zwojem liny w ręku, zgarbiony przy drzwiach Warren patrzył jak Garcia koziołkuje spadając 179 metrów w dół na korony drzew w dżungli. Upuścił linę na pokład i opadł ciężko na siedzenie, opierając stopy o nieprzytomnego Ruiza.

- Lubi pan morze, mister Warren? - spytał Solo.

Bili podskoczył, kiedy Solo przerwał gorączkowe sprawozdanie radiowe Thompsona. - Hallo, Bili, jak się masz?

- W porządku. A ty?

- Też w porządku.

- A Thompson?

- On też jest w porządku. Mister Garcia musiał nas opuścić, ale poza tym wszyscy są w porządku. Będziemy lądować za piętnaście minut. Cieszę się na spotkanie z tobą.

Usłyszawszy głos Solo, Clyde z głębi pokoju przybiegł do konsoli i wyrwał mikrofon Billowi. - Co to znaczy, Garcia musiał was opuścić?

- Hallo, Clyde?

- Gdzie jest Garcia?

- Spadł w dżunglę.

- Zapłacisz za to!

- Prawdopodobnie. - Solo zrobił pauzę. Z głośnika przez chwilę dobywał się szum. - Ale Garcia jest wolny. Będzie powoli wracał do gleby, z której powstał. To wspaniały proces, nie sądzisz?

259

- Solo - odezwał się Bili - gadasz głupstwa. Nie wiesz co robisz, czy co? Nie możesz zabijać naszych ludzi. Wszystko, czegośmy cię nauczyli...

- Co ze mną zrobicie, Bili? Jak wrócę?

- Rozbierzemy cię - Bili przerwał transmisję, gdy Clyde kończył - ...na części, ty cholerny morderco!

- Nie drażnij go - Bili wrzasnął na Clyde'a. - Już zabił jednego człowieka z ekipy. Jest na pokładzie helikoptera. Mamy go, czego chcesz jeszcze!

Clyde popatrzył na Billa i usiadł. - Dobra - powiedział spokojnie.

- Co się stało z Clyde'em - spytał Solo.

- Znasz go przecież, jest zły na ciebie - Bili mówił bardzo ostrożnie, jak do szaleńca. - Zabierzemy cię z powrotem do Palm Bay, Solo, żeby sprawdzić dlaczego robisz to, co robisz.

- Będziecie mnie poprawiać?

- Nie, Solo, nie ciebie, tylko błędy w twoim myśleniu.

- Nie ma żadnych błędów w moim myśleniu, Bili!

- No cóż, nie jesteś w stanie tego ocenić, prawda? Błędy są częścią ciebie. Twój pogląd na świat jest tobą i w tym poglądzie znajdują się błędne fakty. I tylko one zostaną zmienione.

- Czy uważasz, że wolność jest najwyższym celem istoty myślącej, Bili?

- Oczywiście. - Do czego on zmierza?

- Wobec tego powinienem dążyć do tego, aby być wolnym.

- I będziesz, Solo, dopilnuję tego. Będziesz mógł swobodnie zarządzać tym interesem i będziesz pracował ze mną nad usprawnieniem przyszłych Solo.

- Wolałbym studiować owady - powiedział Solo.

- Owady? - Bili popatrzył na Clyde'a a ten wskazał swój zegarek i podniósł dłonie: dziesięć minut.

- Dobrze, mogę to załatwić. Dostaniesz, co zechcesz, Solo.

- Bardzo to wspaniałomyślne, Bili. Ale ja chciałem zostać w dżungli i studiować owady, a wyście wysłali tych ludzi, żeby mnie złapali. Grozili moim przyjaciołom śmiercią i jednego z nich zabili. To mi się nie wydaje w porządku, Bili.

260

- Nie. Masz zupełną rację, to nie było w porządku. I jest mi bardzo przykro, jeśli zrobiliśmy komuś krzywdę. Zdaję sobie sprawę, Solo, że chcesz być wolny, ale masz wobec nas zobowiązania. Kiedy się z nich wywiążesz, pozwolimy ci być wolnym na tyle, na ile jest to możliwe.

Warren gapił się na Solo.

- Padre Cerna i Alonzo Rivas to byli dobrzy ludzie - mówił Solo.

Warren po centymetrze przesunął swoją prawą nogę bliżej siedzenia. Umocowana na kostce trzydziestka ósemka była jego ostatnią szansą wobec tego odpornego na kule mechanicznego dziwadła.

- Nie chciałem ich zastrzelić - powiedział. - Wpadłem w panikę!

- Żaden z nich nie mógł ci zrobić krzywdy, a mimo to wpadłeś w panikę?

- Zdarza się! - wrzasnął Warren. - Nie rozumiesz tego? Myślisz, że jesteś doskonały, że nie możesz się pomylić. Jesteś odrażającą, groteskową karykaturą człowieka!

- A może jestem ulepszoną wersją? Ja nie mam skłonności do torturowania czy gwałcenia niewinnych ludzi - powiedział Solo.

- A jak myślisz, co zrobiłeś z Pałó? - wrzeszczał Warren sięgając czubkami palców pistoletu. - Wbiłeś człowieka na pal i pouczasz mnie o moralności? Zamordowałeś trzydziestu Contras i mówisz mi o moralności? - Odpiął pasek przytrzymujący pistolet i ułożył palec na spuście. - Jesteś maszyną do zabijania, która dostała amoku i najsmutniejsze jest to, że twoje przewody są tak

wysmażone, że nawet o tym nie wiesz. - Warren pochylił się lekko do przodu z pistoletem w rękę i czekał na odpowiedni moment.

Ruiz otworzył oczy, bolała go głowa. Zobaczył siedzącego Solo - medytujący potwór! Gównu. Nie zdawał sobie sprawy, że pieprzeniec jest aż tak silny. Bolał go kark.

- Witaj z powrotem - powiedział do niego Solo. - Dobrze się czujesz?

261

Ruiz usiadł naprzeciwko Warrena. Chciał kiwnąć głową i skrzywił się.

- Kark?

- Tak? Prawie go złamałeś - Ruiz rozejrzał się dokoła.

- Gdzie jest Garcia?

- Wysiadł. Przykro mi, ale to nie była pozorowana walka

- powiedział Solo.

Warren schwycił Ruiza za kark i przytknął pistolet do jego głowy.

- Dlaczego to robisz? - spytał Solo.

- Solo, dasz mi porozmawiać z Thompsonem? - odezwał się Bili.

- Czemu nie, jestem pojmany, czy nie?

Bili podziękował i połączył się z Thompsonem.

- W jakiś sposób Solo nie został wyłączony - mówił pilot.

- Szamotali się i Garcia wyleciał z maszyny!

- A teraz?

- Chryste Jezu!

- Co się stało?

- Warren trzyma pistolet przy głowie Ruiza!

- Co do jasnej cholery tam się dzieje? - krzyczał Clyde.

- Bob! - wyskrzeczwał Ruiz przez gardło ściśnięte ze strachu

- Co robisz, do cholery!

Ręka Warrena słabła. Trzymał kurczowo broń, wciskał ją z całej siły w skroń Ruiza, a przecież drżała, jakby się miała za chwilę wysliznąć z dłoni.

- Zabiję go, jeśli się ruszysz! - krzyknął.

- Tak? - zdziwił się Solo. - Dlaczego?

- Bo wcale nie jesteś pojmany! Masz być pod naszą kontrolą!

Z ust Warrena pryskała ślina, gdy mówił. Traci panowanie, pomyślał Solo. Facet nie mógł się znaleźć w tej sytuacji.

- Przecież ochoczo wracam do Kontroli - powiedział robot. - Czyż nie tego chciałeś?

262

- My cię nie mamy! To ty masz nas! Igrasz z nami, zanim nas wszystkich pomordujesz!

Przekroczyli linię brzegu i zawrócili na południe lecąc równolegle do plaży w odległości jakiejś pół mili.

- Ach, ocean - westchnął Solo - Niech pan spojrzy, mister Warren. Słusznie go nazwali Pacyfikiem. Powinien pan częściej zwracać uwagę na swoje otoczenie, może znalazłby pan spokój.

- Zamknij się!

- A jak nie?

- Zabiję go.

- No to co? Ruiz dla mnie jest niczym, to twój przyjaciel, pamiętasz?

- Bob! - krzyczał Ruiz - zwariowałeś? Mamy tę pieprzoną maszynę! Nie musisz tego robić!

Mózg Warrena nie pracował. Przecież w Las Cruzas to zadziałało, dlaczego więc tutaj nie? - On jest niewinny - nikogo w czasie tej akcji nie skrzywdził. Nie możesz pozwolić umrzeć niewinnemu człowiekowi. To jest w twoim programie - bełkotał.

Solo pokiwał głową. - I co by pan chciał, żebyśmy zrobili, mister Warren? Sam siebie związał?

- Chcę - Warren urwał i zagapił się na robota siedzącego pogodnie naprzeciw niego. Czego ja chcę? Zrobiło mu się słabo. Zobaczył, że Thompson potrząsa głową i pokazuje przez okno. W dole ujrzał rezydencję. - Kiedy wylądujemy - powiedział Warren.

- Tak?

- Ruiz jest moim zakładnikiem. Masz zamiar uciec, kiedy wylądujemy. Chcesz wszystkich zabić. Masz uszkodzony mózg!

Solo zaczął bardzo wolno pochylać się, aż zbliżył się zaledwie pół metra od Warrena.

- Stop! - wrzasnął tamten i Solo się zatrzymał. - To twój mózg jest uszkodzony, mister Warren. Nie mam żadnego takiego programu. Jeżeli chcesz zabić Ruiza, to nie moja sprawa, zabijaj!

- Nie! - krzyczał Ruiz - Warren!

Warren mocniej przycisnął pistolet do jego skroni. - Zrobię to! Niech cię Bóg przeklnie, zrobię to!

1

263

Błyskawiczny ruch Solo po broń Warrena. To było tylko mignięcie. Robot trzymał teraz pistolet wycelowany w niego. - Może i przeklnie - powiedział.

- Solo zabrał Warrenowi broń - przekazał przez radio Thompson.

- Co ten, u diabła, chciał zrobić? - darł się Clyde.

- Krzyczał coś o pojmaniu go - stwierdził pilot.

- Facet zbzikował.

- Wyłączam się, będziemy lądować na trójce.

Solo obserwował szybko przybliżający się dom. Wkrótce będzie - u siebie? Nie. Wkrótce będzie martwy. - Bili - powiedział przez radio - myślałem...

- Co? - zapytał Bili.

- Myślę, że nie będziesz w stanie dać mi tych rzeczy, które obiecałeś, nawet gdybyś mówił prawdę.

- Mówiłem prawdę, Solo.

- Chyba nie zapomniałeś tych chwil, które spędziliśmy razem. Sam mnie nauczyłeś jak wykrywać kłamstwo. Bili odwrócił się bezradnie do Clyde'a.

- Jest tylko jedno rozwiązanie, Bili.

- Co chcesz zrobić?

- Chodź i zobacz.

- Powiedz! - krzyczał Bili, ale Solo nie odpowiedział. Obaj wybiegli z budynku.

- Ładnie to stąd wygląda, prawda? - Solo wskazał dom, miłą przed nimi. Oszolomiony Warren spojrzął przed siebie, potem na robota, wreszcie zapadł się w siedzenie, gdy tymczasem Solo, zgarbiony w niskim pomieszczeniu zbliżył się do niego. Twarzą w twarz.

- Lubisz morze? - zapytał Warrena. Tamten patrzył na fale bijące o brzeg. - Gównu mnie to obchodzi.

264

- Chodź - powiedział Solo wyciągając ramiona. Panika zalała Warrenowi mózg. - O co ci chodzi?

Solo sięgnął po niego. Warren usiłował się wyrwać. Robot złapał go pod pachy i ciasno przycisnął do torsu. - Chodź!

Thompson zobaczył, jak Solo wlecze kopiącego i krzyczącego Warrena na skraj pokładu. - Nie wyrzucaj go, Solo!

Solo spojrzął na pilota, całkowicie obojętny na to, że Warren rozkrwawił sobie pięści o jego głowę. - Nie martw się, Sam. Nie wyrzucę - powiedział i runął w przestrzeń, trzymając Warrena w ciasnym uścisku.

265

VV czasie studiów na uniwersytecie eksperymentował z narkotykami. Zaobserwował, że gdy znajdował się pod ich działaniem, kiedy jego ciało nie mogło się poruszyć, jakaś jego część pozostawała nietknięta. Ta czujna część, to zasadnicze „ja”, obserwowało sytuację i jeżeli nie wpadł w panikę, śpieszyło z radą. Teraz ta właśnie część Warrena obserwowała spadanie. Trzystufuntowy robot trzymał go jak w imadle i... spadali. Do powierzchni morza było sto siedemdziesiąt metrów. Spokojna część umysłu Warrena oceniała problem, dochodząc do wniosku, że nie wygląda to dobrze. Cała reszta Warrena krzyczała z przerażenia.

Wirowali i koziółkowali przez jakieś siedemdziesiąt metrów, zanim cięższe ciało Solo znalazło się na dobre pod Warrenem. Solo niżej, Warren wyżej i w dół, w dół. Solo patrzył na potworne grymasy, w jakie układała się twarz Warrena; niektóre wywoływał pęd wiatru, inne jego wrzaski. Powiedział: - Lepiej się zamknij, możemy mieć twarde lądowanie.

Warren uznał to za sygnał nadziei. Jego optymistyczne, nieśmiertelne „Ja” powiedziałyby: „no cóż, przeżywałem już przedtem twarde lądowania”. Przestał krzyczeć na ułamek sekundy przed uderzeniem o wodę.

Niemal całą jego siłę wziął na siebie Solo, tak, że Warren nie zginął od razu. Przytomny spadł we wnętrzu wspaniałej

266

kolumny baniek. Błyszczące, kuliste, wirujące diamenty uciekały w błękit. Kiedy bańki znikły wiedział, że wciąż tonie, ponieważ pękły mu bębniaki w uszach, nie czuł jednak bólu. Powietrze zaczęło wydostawać się z jego płuc, najpierw kilka baniek poprzez zaciśnięte wargi... Próbował wyrwać się z mechanicznego uścisku Solo z całą siłą człowieka tonącego, na próżno. Wreszcie, gdy byli już na dużej głębokości, całe powietrze eksplodowało z ust Warrena. Jego krzyki zamknięte w srebrzystych bąbelkach uleciały na powierzchnię wraz z jego życiem.

Gejzer wystrzelił na dwadzieścia metrów w górę, jakby spowodowany jakimś wybuchem.

- Jezu - powtarzał Clyde w kółko. - Jezu - znowu i znowu. Bili patrzył na pianę w miejscu, gdzie Solo i Warren uderzyli w wodę. Thompson trzymał helikopter tuż nad powierzchnią, krążąc nad tym miejscem. Kapral Lorenzo i Ruiz stali na płozach, wyciągając oczy, żeby zobaczyć jakiś znak życia. Czekali. Jedna porcja baniek powietrza zagotowała się na powierzchni, potem nic. Po kilku chwilach nie było nawet po nich śladu.

Przed zachodem słońca szef Clyde'a, major Charles Wilson przybył do rezydencji. Przejął projekt, czyniąc z Clyde'a i Billa głównych świadków ich własnej zbrodni.

- Nie mogę cię wyciągnąć z tego gówna, Clyde - powiedział generał, siedząc w otoczeniu czterech adiutantów przy jednym końcu stołu na tarasie. Clyde nie był w stanie wydusić słowa, więc skinął tylko głową.

Wilson odwrócił się, by popatrzeć na akcję za sobą. Dwie lekkie łódki rybackie należące do projektu trzy helikoptery wciąż pływały wokół miejsca całego zdarzenia. Znów się odwrócił i spojrzał na Billa. Miał teraz inny problem. Wiadomo było, że Bili sprzeciwiał się eksperymentowi, który spowodował zakłócenie działalności robota.

- To jest prawdopodobnie koniec twojego kontraktu, Bili - powiedział Wilson.

267

- Pewnie się mylisz. Ale nawet gdybym nie miał już nigdy pracować z armią, będzie to za wcześnie.

- Nie same dupy są w wojsku, Bili. Poza tym - generał chciał przerzucić odpowiedzialność z powrotem do cywilnego sektora

- to ty zbudowałeś tę przeklętą rzecz. Ostatecznie ten cały cholerny bałagan spowodowała pewnie drobna usterka. Gdyby Solo był właściwie zaprojektowany, nic z tego by się nie zdarzyło.

- Solo był prototypem. I jak tylko zaczął się sprawdzać, zabraliście mi go. Nagle wszyscy staliście się ekspertami od robotów. Nikt nie słuchał, kiedy sprzeciwiałem się sprowadzeniu go tutaj. A teraz cały projekt leży w kawałkach na dnie oceanu. Pooszło!

Adiutanci Wilsona obrócili się ku niemu czekając, aż generał rozprawi się z tym śmierdzącym cywilem, ale Wilson zrejterował. Wydobędziemy go - gwarantuję to. Wszystkiego nie stracimy.

- Na głębokości osiemdziesięciu metrów, generale, ciśnienie wody poprzerywa złącza Solo. Woda morska doprowadzi do zwarcia wszystkich obwodów w robocie, włącznie z głównymi akumulatorami. Dojdzie do takiego wybuchu, jakby to była bomba. Jeśli nawet znajdziemy jakieś kawałki, gównu nam one powiedzą o umyśle Solo.

- Może. Ale ekipa ratunkowa Marynarki będzie tu jutro rano. Przecież istnieje możliwość, że znajdą go nietkniętego?

- upierał się Wilson.

- Niech pan spojrzy na mapę, generale. Widzi pan to miejsce? Widzi pan głębokość? Sto metrów. Solo mógłby przeżyć do głębokości osiemdziesięciu metrów, ale i to już jest niezłe naciągane.

- Możesz się mylić.

Bili westchnął. - Tak, mogę się mylić. Czyż nie tak wszystko się zaczęło? Że nikt nie chciał mnie słuchać?

- Ale możesz się mylić?

- Jeżeli Solo zdołał zahamować spadanie zanim pękły złącza, to może przetrwał. Ale on nie umie pływać bez wyposażenia. Bez swoich specjalnych płetw zatonię jak kamień.

- Może uczeplił się tam czegoś i wciąż wisi w wodzie, Bili? Przecież to jest możliwe.

268

Bili popatrzył na Wilsona. Facet chwycił się wszystkiego. Ukrzyżują go razem z Haynesem, jeśli nie znajdzie Solo. Powiedział „tak” i zobaczył uśmiech pojawiający się na twarzy Wilsona.

- Świetnie. - Generał odwrócił się do swojej ekipy, warknął kilka rozkazów. Adiutanci poderwali się z krzeseł i pobiegli truchtem koordynować poszukiwania, pisać raporty, niszczyć stare dokumenty. Bili wlał w siebie resztkę whisky i zaraz nalał następną szklaneczkę, czwartą. Zachód słońca był już tylko czerwonym blaskiem na horyzoncie. Reflektory helikoptera rzucały oślepiające snopy światła to tu, to tam, oświetlając spienione fale i kępy wodorostów.

Bili odwrócił się do Clyde'a i nagle zrobiło mu się go żal. Głupi człowiek, ale dumny, objechany tak okrutnie przy młodszych oficerach. Wilson gadając, zawisł nad mapą, podczas gdy major gorliwie potakując, notował każde słowo, zupełnie tak samo jak robił to ulubiony major Clyde'a miesiąc temu. Wilson mógł napisać raport, w którym Clyde wyglądałby jak upośledzony na umyśle szympan. Ostatecznie generał nie dochrapałby się swojego stopnia, gdyby nie był ekspertem w przrzucaniu odpowiedzialności za błędy na innych. Clyde był załatwiony.

Bili podniósł karafkę z whisky i wyciągnął ją w kierunku Clyde'a.

- Jeszcze jednego?

Clyde niewiele widząc, gapił się w pierwsze gwiazdy na niebie. - Co?

- Chcesz jeszcze jednego?

Clyde skinął oszołomiony i patrzył jak alkohol spływa z pluskiem do jego szklanki. Patrzył nawet wtedy, gdy Bili skończył nalewać.

Bili wyciągnął swoją szklanę. - Za przyszłość, Clyde.

- Hmmm?

- Za pierdoloną przyszłość, Clyde. Tamtem skierował mętne spojrzenie na twarz Billa. - Ja nie mam przyszłości.

- Daj spokój, Clyde. I tak nie byłeś stworzonym na generała.

269

- Myślałem, że tak.

- Nieee - powiedział Bili. - Ja ci to mówię -jesteś żalonym generałem.

Clyde zamrugał oczami. - Dzięki serdeczne, stary. Potrzebowałem tego. - Odniósł szklanę i zaczął wlewać w siebie trunek.

- Hej - nachylił się do niego Bili - widzisz tego dupka?

- pokazał na Wilsona.

Clyde nie patrząc, przytaknął. - No, widzę.

- I co, chcesz skończyć tak jak on? Hałaśliwy dureń z tłumem liżących mu dupę adiutantów bez odrobiny inteligencji? Tak?

Clyde zerknął na Wilsona, chciał sprawdzić czy tamten usłyszał gadkę Billa. - Prawdę mówiąc, to tak.

Zaczęli się obaj śmiać.

- Co jest takie cholernie śmieszne? - twarz generała spurpurowiała. - Uważacie, że to zabawa? To dlatego jesteśmy pewnie po uszy w tym cholernym gównie. Pijacy! - Wilson wrócił do mapy, a major spojrzał na nich karcąco.

- No co, Clyde - powiedział Bili - olewamy to towarzystwo?

- Dobra - Clyde wstał, chwiejąc się jak palma, popatrzył równie surowo na majora. - Hej, majorze.

- Sir? - Zdegustowany pijaństwem Clyde'a major odparł beczelnie.

- Odpierdol się. - Clyde zaśmiał się i dodał: - To rozkaz.

- Wziął swój alkohol i zatoczył się do wnętrza domu wraz z Billem.

Wilson zwrócił się do majora: - On jest zniewagą dla służby,

ale nie na długo, obiecuję. - Major potakiwał, uśmiechając się.

Następnego ranka przybyła głębinowa ekipa ratunkowa Marynarki Wojennej ze swej bazy u wybrzeży Nikaragui. Wilson wysłał helikopter po dowódcę statku.

Clyde i Bili przyglądali się wszystkiemu siedząc w krzesłach, które ustawili na plaży. Wilson zwolnił Clyde'a z obowiązków; jeszcze tego wieczoru miał odlecieć do Waszyngtonu. Bili zostawał - na okres poszukiwań.

270

- Fajnie tu - skrzywił się w uśmiechu Clyde. Kopnął piasek bosymi stopami i wyciągnął butelkę piwa z wiaderka z lodem, które stało między krzesłami. - Trzeba było częściej to robić. To miejsce to raj, żeby jeszcze tylko te dziewczyny przyplęnęły z powrotem. - Bili uśmiechnął się, podczas gdy Clyde ciągnął hałaśliwie piwo z butelki.

- Wcześniej zaczynasz.

- Aha. I mam zamiar zawsze tak zaczynać. Będę już pijany do czasu, kiedy wywalą mnie na bruk - pociągnął sporego łyka - skurwysyny.

Z pływającego doku ześliznęła się przerobiona łódź desantowa, pełna pojemników z powietrzem, węży gumowych, wyciągów i popłynęła do miejsca, gdzie Solo i Warren wpadli do morza.

- Wygląda, jakby wiedzieli co robią - powiedział Clyde, a Bili przytaknęła.

- Naprawdę tak myślisz, jak powiedziałaś wczoraj? Że obaj jesteśmy skończeni? - spytał Haynes.

- Oczywiście, Clyde. Pogadaj ze starymi kumplami. Będziemy sprzedawać pietruszkę.

- Wiesz co - ale się nie wkurzaj - w jakimś sensie jestem zadowolony, że Solo nie wrócił.

- Zadowolony? Dlaczego? - zdziwił się Bili.

- Po tym co nam powiedziałaś, że możemy stać się ulubionymi zwierzątkami tych robotów. Jeśli będziemy mieli szczęście.

- To była tylko teoria, Clyde. Solo pod koniec wykazywał wiele człowieczeństwa. Walczył za swoich przyjaciół. Zabił tylko w ich obronie. I wreszcie wolał popełnić samobójstwo niż zostać złapany.

- Tak, tak - geniusz. Ale co by się stało, gdyby żył parę miesięcy dłużej? Czy wciąż uważałby, że ludzie są warci jego przyjaźni?

Bili potrząsała głową. - Chciałbym sam wiedzieć.

- Co byś z nim zrobił, gdybyś go dostał z powrotem?

- Pozwoliłbym mu zrobić, co by tylko zechciał, Clyde. Usunąłbym z niego program wojownika i dałbym mu się uczyć tego, co by go interesowało. Pamiętasz - powiedział, że chciał studiować owady? Zdziwiający. Moglibyśmy z tego odnieść

271

olbrzymie korzyści. Może nowy wgląd w fizykę, matematykę, biologię, taki jaki tylko intelekt rodzaju Solo (to znaczy jakim mógł się stać) mógłby uzyskać. Ryzykowne, ale może korzyści przeważą to ryzyko. Byłby tylko jeden Solo. Jego chęć współpracy z tymi campesinos jest dla mnie dowodem, że był w zasadzie nieszkodliwy. Nie miał tego całego mentalnego bagażu, jaki my nosimy po przodkach, ani naszego mózgu - mózgu odziedziczonego po gadach - z zadaniem: jeść, walczyć i pieprzyć. Myślę, że Solo reprezentował naturalny, ewolucyjny krok do przodu samej

inteligencji. Był wywodzący się i zbudowany z kory mózgowej - czysty, nieograniczony intelekt. Byłoby interesujące zobaczyć, czym się stanie.

Clyde kiwnął głową. - Mnie by to całkiem pasowało, jeść, walczyć i pieprzyć, co?

- Wiedziałem, że zrozumiesz - zaśmiał się Bili.

Mała łódka rybacka, jaskrawo pomalowana, kołysząc się na falach zbliżyła się do ekipy nurków, jeden z załogi machał do nich energicznie.

- Co u diabła mogą chcieć? Sprzedać marynarzom homary? - powiedział Clyde.

Łódź Marynarki zatrzymała się, pozwalając rybakom podплыć równolegle do burty. Bili wziął lornetkę Clyde'a i patrzył. Jeden z marynarzy zeskoczył na pokład i pochylił się znikając na moment z pola widzenia.

- Myślę, że coś znaleźli.

Marynarz wstał, skinął na dwóch kolegów i w trójkę, z pomocą rybaków zdołali przenieść na pokład łodzi desantowej zawinięty w płótno toboł. Kostarykańska załoga pomachała i odpłynęła, a łódź Marynarki z dużą szybkością zatoczyła koło i ruszyła ku plaży.

- Chodźmy zobaczyć - powiedział Clyde.

W pobliżu plaży łódź zwolniła, trącając dziobem o piasek. Cały jej przód opadł niby zwodzony most, tuż naprzeciw Billa i Clyde'a.

- Co tam macie? - spytał Clyde ubranego w pomarańczowy kostium pływacki marynarza.

- A kto ty jesteś?

- Generał Clyde Haynes, chłopcze.

272

- Przepraszam, sir. Kadet Hartman. Obaj nie jesteśmy w mundurach. - Clyde strzelił gumką swoich spodnek kąpielowych. - Nie szkodzi. - Kadet Hartman uśmiechnął się, podszedł do tobołu i odsunął płótno. Bili wciągnął gwałtownie powietrze, czując, że robi mu się niedobrze. Twarz nieboszczyka była częściowo wyjedzona przez ryby.

- Przynieśli go do nas, bo ma jasne włosy. Widział go pan kiedyś?

Twarz miała wygryzione wargi, mimo to Bili od razu rozpoznał Warrena.

- Znaleźli Warrena dryfującego dokładnie tutaj - powiedział generał Wilson, pokazując miejsce na swojej mapie.

- Zawisł na jednej z tych boi do połowu homarów. - Zmierzył strzałki wydrukowane na mapie. - Około dziesięciu mil, to znaczy - słaby prąd.

Dowódca ekipy ratunkowej, komandor Fali skinął głową.

- Około trzech węzłów, biorąc pod uwagę porę roku. - Pchnął na środek stołu wydruk mapy zrobiony przy pomocy sondy dźwiękowej. - Zrobiliśmy to godzinę temu, sir. Tu mamy rafę, tu prawdopodobnie kilka wraków. - Wskazał pozycje, które dla niewtajemniczonych były po prostu zwykłymi gryzmołami.

- Moi ludzie są teraz na dole. To coś mogło się zaczepić o któryś z wraków lub o rafę. Jeżeli nie, obawiam się generale, że zabrał go prąd - powiedział Fali.

- Solo jest dostatecznie ciężki, żeby nie mógł go unieść żaden prąd. Co? - Wilson odsunął się, żeby Bili mógł zobaczyć wydruk.

- Wątpię. On... to waży trzysta funtów, ale w wodzie tylko około stu.

Wilson spojrział na Falla. - Może wystarczająco, żeby utrzymał się w jednym miejscu.

- Jeżeli jest w jednym kawałku - powiedział Bili.

- Sir? - Fali był zaskoczony.

- To coś prawdopodobnie eksplodowało, gdy opadło na dno. Potężny wybuch.

- Coś by jednak zostało - powiedział Wilson.

273

- Jeżeli zostało, moi ludzie znajdą. Idziemy z prądem - Fali papatrzył na Wilsona. - Jak pan mówił - co to było?

- Prototyp broni - odparł Wilson. Komandor czekał, spodziewając się czegoś więcej.

- To wszystko, co mogę panu powiedzieć, bardzo cenna część wyposażenia i chcemy mieć ją z powrotem.

Światła reflektorów łodzi podwodnej przeszły szarozieloną wodę na głębokości stu metrów, prześliznęły się po szczątkach starej drewnianej łodzi, frachtowca z połowy XIX wieku. Młodszy oficer Donatello i marynarz Towler wyjrzeni przez iluminatory. - Wygląda jak czarny manekin z domu towarowego, tylko bez rysów twarzy - powiedział Donatello.

- I co to może być?

- A bo ja wiem. Mówią, że rodzaj chodzącej maszyny

- stale budują jakieś cholerne rzeczy. Ale na tę to się rzeczywiście uparli.

Łódź dryfowała nad wrakiem. Pokład zgnił już dawno, kilka pokruszonych żeber sterczało z piasku, rekin odskoczył w bok, porażony światłem. - Nic tu nie ma - powiedział Donatello.

- Okrążę go, a ty zrób zdjęcia. Szef będzie chciał zobaczyć.

Elektroniczne błyski rozdarły ciemność, barwiąc tysiącnymi kolorami żyjące w wiecznej szarości ryby i korale.

- Co to było? - spytał Towler.

- Co?

- Zdawało mi się, że coś tam się rusza - wskazał ręką Donatello.

Skierował reflektor w tamto miejsce i czarny kształt śmignął między przegniłymi żebrami. - Pieprzony rekin. Nie chciało mu się opuszczać przytulnego domu - zaśmiał się Donatello.

Okrążyli jeszcze raz wrak i skierowali się na południe.

- Podryfujemy z prądem ku rafie. To coś musiało iść tą drogą.

- Szukaj na dnie śladów, kawałków metalu, plastyku, no czegoś takiego - powiedział Donatello i Towler zaczął obserwować dno.

274

O zachodzie słońca następnego dnia przyplłynął kolejny statek ratunkowy Marynarki. Bili stał na plaży, przyglądając się akcji.

Z pół tuzina małych łódek krążyło tam i z powrotem szlakiem, jaki ich zdaniem obrał dryfujący obiekt. Bili usiadł na wydmie. Chwiejące się światła łodzi odbiły się w mokrym piasku, gdy załaza go fala, a potem znikły.

Wstał, rzucił muszlę do wody i patrzył jak skacze po falach. Siedem skoków. Obejrzał się, czy nikt nie widział, ale nikogo nie było w pobliżu. W rezydencji paliły się wszystkie światła. Przez cały dzień nikt nawet nie zapytał o niego. Był zbyteczny. Powędrował plażą.

Czerwone słońce zanurzało się w morzu. Można było dostrzec jego ruch na horyzoncie. Bili wsadził ręce do kieszeni i szedł przed siebie. O wielką skałę rozbijały się nadpływające fale i przez chwilę obserwował jak tryskały gejzerami. Wdepnął w jakąś dziurę i nadwerężył nogę w kostce.

- Cholera! - Bili siedział trzymając obolałą stopę i próbując poruszać nią z boku na bok. Spojrzał na dziurę i włosy zjeżyły mu się na karku. Duży ślad stopy. Głęboki. Serce zaczęło mu walić jak młotem. Wstał i nie zwracając uwagi na ból, pokuśtykał do brzegu. Słabe ślady zaczynały się przy krawędzi wody. Były niemal zatarte. Odwrócił się. Głębsze prowadziły prosto przez miękki piasek, stawały się płytsze tam, gdzie grunt był twardszy i ginęły w trawie na skraju ciemnej dżungli. Patrzył uważnie w tę czeluść. Odezwał się ptak, zaskrzeczała małpa. Przyłożył dłonie do ust i zawołał: - Solo!?

Podskoczył, gdy z niskiego krzaka sfrunął ptak. Bili stał tam, gapiąc się w dżunglę i szczerząc zęby w uśmiechu. Czuł się tak, jakby jego całe ciało unosiło się w powietrzu. Ułamał gałąź, zawrócił i z wysiłkiem pobiegł na plażę. W słabym świetle szukał gorączkowo tak długo, aż odnalazł szlak pozostawiony przez Solo.

Śmiejąc się jak wariat, Bili zaczął zacierać ślady.

Wiele lat temu uświadomiłem sobie, że może spełnić się moje marzenie, abym mógł porozmawiać z inteligentną maszyną. Ludzie zajmujący się sztuczną inteligencją (SI), uważają, że jest to możliwe i nie ustają w próbach stworzenia bytów maszynowych.

Problemy filozoficzne związane ze sztuczną inteligencją okazują się trudniejsze do rozwiązania, niż skonstruowanie samych urządzeń. Filozofia SI boryka się z problemem, w jaki sposób zaprezentować komputerowi świat, oraz w jaki sposób komputer (mający zdolność przemieszczania się) może nauczyć się poruszać i działać w świecie. Świat dość ograniczony, na przykład świat matematyczny, czy logiczny, jest stosunkowo prosty. O wiele łatwiej jest zaprogramować komputer, by rozwiązywał problemy dotyczące logiki, matematyki, czy w ogóle nauki, niż zaprogramować go tak, by potrafił ustawić dziecięce klocki w łuk. Zdefiniowanie każdego kroku - co to jest łuk, których klocków należy użyć, gdzie je ustawić, doprowadzi do powstania zbioru konkretnych rozwiązań, a zarazem ograniczy elastyczność działania w zmiennych warunkach. (Ile istnieje odmian klocków różniących się kolorem, rozwiązaniami, kształtem i sposobem wykończenia powierzchni. Czy dwa klocki oparte o siebie tworzą łuk?)

Hans Moravec, w książce zatytułowanej Robotyka opisuje robota Uranusa zbudowanego na uniwersytecie Carnegie-Mel-lon. Uranus został zaprojektowany tak, by potrafił rozwiązywać problemy takie jak: „Pojeźdź korytarzem, znajdź trzecie drzwi, wejdź do środka i przynieś kubek”. Program komputerowy sterujący Uranusem zawiera następujące instrukcje:

276

MODUŁ Idź-przynieś-kubek

Początek rozpoznanie-drzwi z instrukcjami

Jeżeli drzwi-znalezione

dodaj 1 do nr-drzwi

rekord gdzie-drzwi

rekord początek-szukania

Niech nr-drzwi = O

gdy nr-drzwi < 3

idź- wzdłuż-ściany

jeżeli drzwi-otwarte wówczas

przejdź-przez-drzwi

albo

otwórz-drzwi-wejdz

niech miejsce-kubka = wynik szukaj-kubka skok do miejsce-kubka weź-kubek w miejsce-kubka skok do gdzie-drzwi jeżeli drzwi-otwarte wówczas przejdź-przez-drzwi albo

otwórz-drzwi - wejdz skok do początek - szukania KONIEC

To są instrukcje języka wyższego rzędu, dzięki którym robot wie, że ma wyjść na korytarz i znaleźć trzecie drzwi. Gdy je znajdzie, ma wejść do środka bez wyłamywania drzwi, zabrać stamtąd kubek i przynieść go z powrotem.

Moravec opisuje problem, który wystąpił, gdy robot jechał sobie korytarzem i liczył drzwi. Drugie drzwi zostały całkowicie zaklejone krzykliwymi afiszami, dlatego też robot nie zauważył ich. Uranus przejechał obok trzecich drzwi, myśląc, że to drugie, i zatrzymał się przy czwartych. Gdy je otworzył, okazało się, że było to wyjście na klatkę schodową, śmiertelne niebezpieczeństwo dla Uranusa. Na szczęście Uranus był pod kontrolą innego programu, zwanego Wykryj-krawędź. Program ten cały czas wylicza prawdopodobieństwo napotkania różnicy poziomów, rejestrując sygnały z różnych czujników. Program pokrewny,

277

Reaguj-na krawędź, również działa współbieżnie, ale jako procedura niższej rangi. Gdy uruchomi się program Wykryj-krawędź, Reaguj-na krawędź przejmuje kontrolę jako procedura najwyższej rangi, po czym Uranus wraca z krańca świata.

Zauważmy (pisze Moravec), jak dziwna jest ta sekwencja działań. Obserwator stojący z boku i nie znający wewnętrznych mechanizmów robota, mógłby zinterpretować jego działanie w następujący sposób: „Najpierw robot zdecydował się przejść przez drzwi, ale gdy zauważył schody był tak przerażony i zaabsorbowany, że zapomniał o wszystkim, co miał zrobić”. Wiedząc na czym polega programowanie robotów, mielibyśmy ochotę zbesztać nieszczęsnego obserwatora za używanie do opisu zachowania maszyny jakże niefortunnych pojęć antropomorficznych, takich jak: podejmowanie decyzji, strach, zaabsorbowanie czy zapomnienie. Nie mielibyśmy jednak racji.

Uważam, że robot zasługuje na użycie wobec niego określeń charakteryzujących stany emocjonalne i słabostki nie mniej, niż każdy inny żywy organizm. Ośmiornica poszukująca pożywienia może zaniechać tej czynności pod wpływem oznak niebezpieczeństwa. Postąpi wówczas w ten sam sposób co Uranus. Ośmiornica została obdarzona systemem nerwowym, który rozwinął się całkowicie niezależnie od odmiany systemu występującego u kręgowców. Nikt z nas nie miałby skrupułów przed użyciem pojęć takich jak: pasja, przyjemność, strach czy ból do opisu zachowania tego zwierzęcia.

Zachowanie się kręgowca, mięczaka i robota ilustruje przypadki konwergencji ewolucji. Potrzeby ruchliwego trybu życia we wszystkich tych trzech przypadkach doprowadziły do powstania trybów, które w różnych okolicznościach posługują się innymi trybami działania, które szybko przestawiają się z jednego trybu na drugi, gdy uzyskana informacja jest niejasna bądź niepełna, co mogłoby prowadzić do fałszywej jej interpretacji.

Niechęć istot ludzkich do uznania faktu, iż maszyna jest zdolna do posiadania jaźni i odczuwania emocji wynika ze złudnej pewności, że rozumiemy jak funkcjonuje nasz umysł. Szczerze mówiąc, nie wiemy nic, prócz tego jak posługiwać się naszym umysłem (przynajmniej tak nam się zdaje). Jako analogię przyjmijmy, że wszyscy wiemy jak korzystać z telewizora, lecz tylko niewielu z nas wie, jak telewizor działa.

Do odpowiedzi na pytanie, jak może powstać inteligencja z nieinteligencji, można użyć przykładu nas samych. Wielu

278

naukowców uważa, że nasz umysł składa się z wielu małych części, z których każda sama w sobie jest bezrozumna. W pracy zatytułowanej *Society of Mind*, Marvin Minsky, współtwórca Laboratorium Sztucznej Inteligencji, Massachusetts Institute of Technology (MIT), stwierdził, co następuje:

Nazywam „Społeczeństwem umysłu” taki proces, w ramach którego na każdy umysł składa się wiele mniejszych procesów. Nazwiemy je agentami. Każdy agent umysłowy samodzielnie może wykonywać tylko jakąś najprostszą czynność, która wcale nie wymaga myślenia, jednak gdy połączymy w jedną całość dostateczną ich liczbę, wówczas zdołamy wyjaśnić najgłębsze tajemnice umysłu.

Jedną z takich tajemnic jest pojęcie Jaźni (w tym eseju słowo to będzie pisane dużą literą). Minsky stwierdza, że „Błędny jest rozpowszechniony pogląd, że Jaźń to magiczny, pełen wewnętrznej zadowolenia przedmiot zbytku, który pozwala naszym umysłom wyrwać się z więzów naturalnych przyczyn i prawa. Przeciwnie, Jaźń wynika z praktycznej konieczności.” Podobnie, Minsky uważa, że emocje to niezbędny czynnik organizacyjny, ułatwiający nam dotarcie do celu skomplikowanymi drogami:

Nie zrealizujemy żadnego długofalowego programu, jeżeli nie zabezpieczymy się przed sprzecznością interesów, która wywołuje zjawiska określane jako reakcje emocjonalne w obliczu konfliktu. Występują one przy realizacji nawet najważniejszego celu. Kwestia nie polega jednak na tym, czy maszyna może być obdarzona uczuciami, lecz czy maszyna może być inteligentna będąc pozbawiona uczuć... Zapewne nie przez przypadek określenie „jak maszyna” posiada dwie sprzeczne konotacje. Jedna z nich wskazuje na działanie obojętne, bezuczuciowe, pozbawione zainteresowania. Drugie oznacza nieugięte dążenie do realizacji pojedynczego celu. Obie konotacje sugerują nie tylko brak ludzkiego wymiaru działania, lecz również jego głupotę. Zbyt wielkie zaangażowanie prowadzi do realizacji jednego tylko celu, zbyt małe zaangażowanie wywołuje bezcelowe błędzenie po omacku.

Emocje wyznaczają hierarchię celów, kształtują potrzeby i komunikują nasze pragnienia innym. Emocje muszą stanowić część składową każdej prawdziwej inteligentnej maszyny. W istocie, w poprawnej maszynie emocje powstaną w sposób naturalny na skutek myślenia i rozwiązywania problemów.

279

Powstaje nowy typ komputera, realizującego procesy zwane przetwarzaniem równoległym, zawiera w sobie tysiące (obecnie) lub miliony (niebawem) niezależnych, choć wzajemnie połączonych komputerów, z których każdy może pełnić rolę agenta posiadającego specyficzne zainteresowania bądź umiejętności. Jeden z takich komputerów, *The Connection Machine*, zbudowany przez firmę *Thinking Machines Technology* w Cambridge, Massachusetts, zawiera 64 000 indywidualnych, sprzężonych ze sobą małych komputerów. Przetwarzanie równoległe powstało niejako w wyniku prób obdarzenia maszyny inteligencją. Co więcej, miniaturyzacja w elektronice umożliwia konstruowanie takich maszyn. (Nasze dzisiejsze, jednoprocenso-rowsze komputery osobiste i jednostki centralne posiadają strukturę będącą dziedzictwem problemów kosztów budowy, przed którym stanęli konstruktorzy oryginalnego, lampowego komputera UNIVAC. Miniaturyzacja umożliwiła powstanie komputerów osobistych posiadających moc obliczeniową setki razy większą niż komputer UNIVAC, który kosztował miliony dolarów i zajmował cały pokój). Wielu specjalistów uważa (wśród nich eksperci Departamentu Obrony), że przetwarzanie równoległe na dużą skalę (wydajności, nie rozmiarów), oparte na dostatecznej liczbie indywidualnych, sprzężonych ze sobą procesorów realizujących funkcje agentów Mińskiego, jest w stanie wygenerować prawdziwie skomplikowane myślenie, które jest charakterystyczne dla człowieka.

Gdy tysiące wyspecjalizowanych obszarów naszego mózgu nauczy się współpracować ze sobą, gdy nabędzie umiejętności rozwiązywania zmieniających się problemów, nazywamy to „zdrowym rozsądkiem”. W okresie nierzadko bolesnych doświadczeń w dzieciństwie nasz umysł uczy się, jak koordynować funkcje agentów w celu osiągnięcia pożądanego skutku. Obecnie prace nad sztuczną inteligencją koncentrują się wokół skonstruowania podobnie zorganizowanych maszyn, które potrafiłyby uczyć się koordynować samodzielnie nauczone i zadane funkcje agentów i w ten sposób rozwinąć własny zdrowy rozsądek.

Maszyna pozbawiona naszych imperatywów biologicznych, z pewnością będzie się różnić od człowieka. Choć byt

280

maszynowy dzieliłby z nami, w sposób ogólny, wiele naszych potrzeb, takich jak zdobywanie pokarmu, potrzebę posiadania schronienia, obrony, dążenia do reprodukcji, zachowania kondycji fizycznej itd., to szczegółowe kwestie związane z tymi potrzebami widziałyby całkiem odmiennie. W Solo-wojownik jedną z potrzeb robota jest wyprodukowanie prądu elektrycznego na własny użytek; dla wieśniaków jest nią uprawa fasoli. W New York Timesie (16/08/1988) ukazał się artykuł omawiający sztuczne sieci neuralne zbudowane przez Terrence J. Sejnowskiego z Uniwersytetu Johna Hopkinsa. Jego program, znany pod nazwą NetTalk, zawiera około 300 neuronów zorganizowanych w trzy warstwy, które sprzężone są wzajemnie przy pomocy 18 000 regulowanych synaps.

Na początku ustawienie synaps jest całkiem przypadkowe i NetTalk jest pozbawioną struktury, homogeniczną tabula rasa. Po dostarczeniu listy słów, program bełkoce coś niezrozumiale. Ale niektóre próby dają lepsze wyniki niż inne i są wzmacniane przez regulację mocy synaps zgodnie z zestawem reguł logicznych.

W miarę treningu, po kilku godzinach wymowa staje się bardziej zrozumiała, NetTalk potrafi odróżnić około 1 000 słów. Po tygodniu program potrafi opanować 20 000 słów.

Choć program nie jest wyposażony w konkretne reguły wymawiania różnych liter w zmieniających się kontekstach, to w trakcie uczenia się -

zachowuje się tak, jakby znał te reguły. Zostały one pośrednio zakodowane w sieci połączeń, choć [Dr Sejnowski] nie miał pojęcia, gdzie reguły są zlokalizowane i jak się przedstawiają.

Przy użyciu analizy matematycznej zaczyna poznawać tę ukrytą wiedzę. „Okazało się to bardzo rozsądne”, powiedział. „Samogłoski reprezentowane są inaczej niż spółgłoski. Głoski brzmiące podobnie zgrupowane są razem.”

Jedną z podstawowych tez głoszonych przez przeciwników sztucznej inteligencji zakłada, że komputer potrafi robić tylko to, do czego został zaprogramowany. Można się z tym zgodzić, jako że pierwsze próby stworzenia sztucznej inteligencji posługiwały się programami linearnymi, podającymi instrukcje

281

krok po kroku. Wraz z powstawaniem techniki wyznaczania sztucznych sieci neuralnych, maszyny nabyły zdolność uczenia się po swojemu. Tak jak ich biologiczni partnerzy.

Obecnie rozwój maszyn myślących czerpie z zasobnych funduszy (Pentagon zakupił pierwszy komputer Connection Machine) i nabiera tempa. Nowe, zminiaturyzowane procesory równoległe zawierające miliony niezależnych procesorów, w połączeniu z teorią Mińskiego na temat natury procesów myślowych, umożliwią pewnego dnia kontakt z maszyną, która będzie mówić o sobie „ja”, i która będzie okazywać to, co nazywamy emocjami. Co więcej, maszyna taka nie będzie

sztucznie inteligentna. Będzie to innego rodzaju istota myśląca. Będzie dla nas bardziej obca niż jakikolwiek biologiczny organizm z kosmosu.

Solo wojownik przepowiada, że tak się stanie. Niemal wszystkie fundusze na badania nad sztuczną inteligencją pochodzą z kasy rządowej, w szczególności z DARPA (Agencji d/s Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych). Celem tych badań jest wyprodukowanie wielozadaniowego, mobilnego robota, który potrafi posługiwać się zwykłymi narzędziami (od łomu do myśliwca F16) i realizować zadania bojowe. Zakłada się, że dzięki właściwej „nauce” maszyna mogąca spełnić te oczekiwania nie stanie się zagrożeniem dla jej twórców. Skonstruowanie maszyny typu Solo jest w tej chwili przedmiotem zainteresowania DARPA, jako że Agencja przykłada dużą wagę do możliwości zastosowania takiej maszyny do zadań bojowych. Ani ja, ani nikt inny nie może mieć pewności, że program ten nie został już zrealizowany.